

Najnowsza powieść
pierwszej damy literatury obyczajowej

DANIELLE STEEL

To, co bezcenne




AMBER

DANIELLE STEEL

To, co bezcenne

Przekład
IRENA KOŁODZIEJ
MAŁGORZATA STEFANIUK



Korekta

Agnieszka Deja

Magdalena Stachowicz

Zdjęcie na okładce

© amelaxa/Shutterstock

Tytuł oryginału

Precious Gifts

Copyright © 2015 by Danielle Steel

All rights reserved

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Żadna część tej publikacji nie może być reprodukowana

ani przekazywana w jakiegokolwiek formie zapisu

bez zgody właściciela praw autorskich.

For the Polish edition

Copyright © 2016 by Wydawnictwo Amber Sp. z o.o.

ISBN 978-83-241-5848-5

Warszawa 2016. Wydanie I

Wydawnictwo AMBER Sp. z o.o.

02-954 Warszawa, ul. Królowej Marysieńki 58

tel. 620 40 13, 620 81 62

www.wydawnictwoamber.pl

Konwersja do wydania elektronicznego

P.U. OPCJA

juras@evbox.pl

Moim cudownym, kochającym dzieciom: Beatie, Trevorowi, Toddowi, Nickowi, Samowi, Victorii, Vanessie, Maxxowi i Zarze.

Jesteście najjaśniejszymi gwiazdami na moim niebie, jesteście moją nadzieją, moimi marzeniami, moimi najcenniejszymi wspomnieniami.

Dzięki wam kocham, dzięki wam się śmieję.

Jesteście moją radością – moim życiem.

Z wielką, z głębi serca płynącą miłością,

mama D.S.

I Johnowi – za nasze cudowne dzieci, za szczęśliwe lata, najlepsze lata w moim życiu, za wspomnienia, które będę przechowywać w pamięci na zawsze, i za tyle, tyle darów.

Z wielką miłością,

Olive

Rozdział 1

Timmie Parker siedziała z podwiniętą nogą przy biurku. Gdy narastał poranny stres, niecierpliwie ściągnęła długie blond włosy gumką, a do południa w kitkę wetknięte były już cztery ołówki i długopis. Miała na sobie czystą, choć wymiętą koszulę w szkocką kratę z podwiniętymi rękawami, pod nią podkoszulek na ramiączkach, a do tego podarte džinsy, trampki Converse i zero makijażu. Po ojcu odziedziczyła wysoką, smukłą sylwetkę. Mierzyła metr osiemdziesiąt na bosaka, liczyła sobie dwadzieścia dziewięć lat i miała ukończone studia magisterskie w zakresie opieki społecznej na Uniwersytecie Columbia. Obecnie pracowała w fundacji, której misją było wyszukiwanie tanich, dostępnych mieszkań dla spełniających odpowiednie warunki przedstawicieli nowojorskiej populacji bezdomnych, i od szóstej rano siedziała przy biurku, usiłując nadrobić zaległości. Na blacie piętrzył się stos teczek. Timmie najchętniej dałaby dach nad głową każdemu potrzebującemu, ale wiedziała, że jeśli będzie miała szczęście, to nieustępliwie kołacząc do agencji rządowych i innych źródeł, z których korzystali, znajdzie go dla jednej-dwu osób, które „spełniały warunki”. To określenie – spełniający warunki – to było słowo-wytrych, służące do odfiltrowywania tych, którzy potrzebowali domu najbardziej.

Był skwarny lipcowy dzień, a klimatyzacja w biurze jak zwykle nie działała. Już wiedziała, że będzie to jeden z tych dni, kiedy nic nie idzie tak, jak by człowiek chciał, i że jej najbardziej zdesperowani podopieczni dostaną złe wiadomości. Gorzkie zawody to był jej chleb powszedni. Żyła w stanie nieustannej urazy i wściekłości na niesprawiedliwy system, który nie był w stanie skutecznie pomagać potrzebującym. Pomoc bezdomnym była jej pasją, odkąd skończyła kilkanaście lat. Była wrażliwa i pełna troski, choć często wpadała w gniew. Jako nastolatka nierzadko wygłaszała podczas obiadu całe tyrady na temat problemów społecznych i odtąd cały swój czas poświęciła temu, by coś zrobić w tej sprawie. Przede wszystkim nigdy się nie poddawała – niezmordowanie pracowała na rzecz tych, którym postanowiła służyć. Kiedy znalazła ludziom dom, nie opuszczała ich, była przy nich nadal. Pozostawieni sami sobie w mikroskopijnym rządowym mieszkanku, bez systemu wsparcia, na którym przywykli polegać podczas życia na ulicy, nierzadko wpadali w depresję i rozpacz i na serio można było obawiać się samobójstwa.

Timmie miała dziesiątki pomysłów, jak sprawić, żeby sprawy szły lepiej, ale nigdy nie było na to dość pieniędzy ani ludzi do pracy. W dobie kryzysu gospodarczego cięto programy walki z ubóstwem, szczipały też zasoby prywatnych fundacji, a w rządzie nikogo to nie obchodziło. Patrząc, jak jej klienci balansują na krawędzi, gdy czekali rok czy jeszcze dłużej na bezpłatny detoks albo

zakwalifikowanie się do przydziału jakiegoś dachu nad głową, Timmie miała wrażenie, że usiłuje wyczerpać ocean naparstkiem. Kobiety na ulicy radziły sobie gorzej niż mężczyźni, a w schroniskach często stawały się ofiarami brutalnych przestępstw. Timmie codziennie wydeptywała ścieżki w urzędach i wykonywała mnóstwo papierkowej roboty, pomagając ludziom wypełnić formularze podania o zasiłek z tytułu inwalidztwa czy wydanie dowodu osobistego. Najbardziej przejmowała się młodzieżą, ale dla młodych łatwiej było znaleźć jakiś program pomocy, byli też bardziej zaradni, jeśli chodzi o przetrwanie na ulicy. Dziś do południa widziała się już z sześciorgiem klientów, a po południu miała się spotkać z tuzinem kolejnych. Rzadko wychodziła z biura wcześniej niż o ósmej czy dziewiątej wieczorem, czasem zostawała do północy, a rano przychodziła na długo przed rozpoczęciem pracy. Praca to było jej życie i w tej chwili nie pragnęła niczego więcej.

Pod koniec studiów mieszkała przez jakiś czas z mężczyzną, który zdradził ją z jej najlepszą przyjaciółką. Później była w związku z innym i ten też ją zdradził, choć przynajmniej nie ze znajomą. Zerwała z nim i odtąd całą pasję i energię przełała na pracę; od dwóch lat nie spotykała się z nikim. Często mówiła, że kobiety w jej rodzinie nie mają szczęścia. Młodsza siostra Juliette miała nieustającą skłonność do słabeuszy. Czerpali z niej jak długo się dało, wykorzystywali jej życzliwość i dobroć, po czym, kiedy już dostali wszystko, co mogli, rzucali ją dla innej. Przy czym jedyną zaskoczoną była wówczas Juliette. Płakała całymi miesiącami, po czym znajdowała innego, który traktował ją dokładnie tak samo.

Matka, Véronique, przez dwadzieścia lat, jakie minęły od rozwodu, wciąż była w życzliwych stosunkach ze swoim przystojnym, pełnym czaru eksmałżonkiem, który tak samo ją zdradzał. W jakiejś chwili zorientowała się, że przez cały czas trwania ich małżeństwa miewał inne kobiety, aż wreszcie wyładował u boku dwudziestotrzyletniej supermodelki i na tym zakończyło się ich małżeństwo. Od tego czasu wciąż widywano go z ładnymi dziewczynami, a Véronique go usprawiedliwiała, mówiąc: „Wiecie, jaki jest ojciec”. Timmie bardzo dobrze wiedziała, jaki ojciec jest, i koniec końców doszła do wniosku, że wszyscy mężczyźni są tacy sami. Czarusie, często przystojni, rzadko uczciwi, okłamują kobiety, zdradzają je i wykorzystują. Właśnie dlatego nigdy nie była blisko z ojcem i była przerażona, gdy odkryła, że jej mężczyzna jest taki sam, choć ani tak przystojny, ani tak pełen wdzięku jak ojciec, który był mistrzem uwodzenia. Mało która potrafiła mu się oprzeć. Uwodził skutecznie niemal wszystko, co się rusza, i koniec końców Timmie zaczęła nienawidzić tej cechy. Nie cierpiała czarusiów, a matka i siostra oskarżały ją, że nie cierpi mężczyzn w ogóle. Nie, upierała się, wyłącznie tych, co kłamią i zdradzają, a także tych, którym zdawała się podobać. Natychmiast zakładała, że z facetem jest coś nie tak, skoro chce z nią być.

Tylko najmłodsza siostra, Joy, uniknęła tego losu. Zawsze była ulubienicą

ojca, bo była śliczna i szalenie podobna do matki, która mając pięćdziesiąt dwa lata, wciąż uchodziła za piękność. Obie, i Véronique, i Joy, miały bujne ciemne włosy, porcelanowobiałą cerę i lawendowe oczy, choć Joy była wyższa od matki i podczas studiów dorabiała jako modelka. Odkąd tylko nauczyła się mówić, zawsze potrafiła owinąć sobie ojca wokół paluszka i dostać od niego wszystko, co chciała, z innymi była jednak na dystans. Najbardziej z nich trzech niezależna, również mężczyzn traktowała z dystansem. Nietrudno było zauważyć, że boi się zranienia. Zawsze zadawała się z takimi, którzy mieszkali na przeciwległym wybrzeżu albo byli, jak ona, skupieni na pracy, łatwo więc było trzymać ich na odległość ramienia. Wydawało się, że każdy ją uwielbia, ale nigdy żadnego nie było w pobliżu.

Timmie lubiła podkreślać, że żadna z nich nigdy nie była w porządnym związku, co, jak twierdziła, wynika z „rodzinnej klątwy”. Według niej ojciec skazał je na zgubny pociąg do niewłaściwych mężczyzn. Tej części siebie nie potrafiła jak dotąd zmienić i więcej nie próbowała. Za dużo miała innych spraw, a załatwianie mieszkań dla bezdomnych było o wiele ważniejsze niż to, żeby spotkać właściwego chłopaka. W tej chwili naprawdę jej na tym nie zależało.

Zadzwoił telefon na biurku. Śpieszyła się, ludzie na nią czekali, i miała ochotę nie odebrać – niech dzwoniący zostawi wiadomość na poczcie głosowej. Ale może to jakiś zrozpaczony bezdomny albo odezwała się któraś z agencji mieszkaniowych, do których rano dzwoniła i mailowała? Niecierpliwie podniosła słuchawkę.

– Timmie Parker – powiedziała szorstko, oficjalnie. Nie była słodką kobietką, choć miała dobre serce, o czym świadczyła jej praca.

– Cześć, Timmie. Mówi Arnold – przedstawił się dzwoniący, a Timmie przebiegł dreszcz po plecach. Z miejsca poznała ten głos. To był Arnold Sands, prawnik ojca i jego najbliższy przyjaciel, znany jej od dziecka. Rok temu ojciec przeszedł udar i od tego czasu, niesprawny, przebywał w domu opieki. Kiedy widziała się z nim dwa tygodnie temu, przez cały czas to odpływał w nieświadomość, to powracał, a ona siedziała przy nim w milczeniu, trzymając go za rękę. Lewa strona ciała była sparaliżowana i przykro było widzieć go tak zmałym i słabym. Zawsze był szalenie witalny i nie wyglądał na swoje osiemdziesiąt lat, ale w ciągu roku, jaki nastąpił od udaru, stopniowo zaczął odchodzić. A choć Timmie przez całe życie krytykowała jego styl życia, świadomość, że wciąż jeszcze ma ojca, mimo wszystko była jakąś pociechą. I pomimo całej dezaprobaty dla jego sposobu życia, nadal miała w sobie tajemną, niewypowiedzianą, magiczną wiarę, że któregoś dnia wszystko się zmieni i ojciec stanie się innym człowiekiem, że będzie mogła go podziwiać i liczyć na niego, że wreszcie będą mieli ze sobą prawdziwą relację. Wiedziała, że to nigdy nie nastąpi, ale dopóki żył, trzymała się tej nadziei. Nigdy się o nie nie troszczył, ani o nią, ani o matkę, ani o siostry.

Matka mu to wybaczyła. Timmie – nigdy.

– Wybacz, że dzwonię w czasie pracy – rzekł Arnold poważnym tonem i Timmie z miejsca poczuła, co chce jej przekazać.

– Tato?

– Umarł spokojnie dziś w nocy.

Wszystkie wiedziały, że to nieuniknione. I tak trwało to dłużej, niż się spodziewały. Juliette chodziła do niego parę razy na tydzień, Joy nie była od dwóch miesięcy – mieszkała w Los Angeles, była zajęta, a poza tym najwyraźniej ciężko jej było, najciężej z nich wszystkich, oglądać go w tym stanie. Robiła, co mogła, żeby tego uniknąć. Timmie odwiedzała go co dwa–trzy tygodnie, choć również tego nie cierpiała. A matka była u niego przed miesiącem, w czerwcu, przed wyjazdem na lato na południe Francji. Wynajęła na dwa miesiące dom w pobliżu Saint-Tropez. Przed wyjazdem spędziła z Paulem cały dzień, po czym zwierzyła się Timmie, iż obawia się, że widzi go po raz ostatni, ale że powiedzieli sobie wszystko, co mieli do powiedzenia. Nie zdradziła tego córce, ale Paul przeprosił ją za to, że tyle razy zawiódł jako mąż, a nawet jako przyjaciel, i odjeżdżała ze spokojnym sercem. Pogodziła się z tym wszystkim już wiele lat temu. Dwadzieścia lat, jakie upłynęły od czasu, gdy byli małżeństwem, to kawał czasu, a Véronique potrafiła wybaczać. Nie było w niej goryczy ani z powodu krachu małżeństwa, ani z powodu jego przyczyn, ani nawet w związku ze znaczną kwotą, jaką dała mu przy rozwodzie tytułem ugody, którą dawno roztrwonił na inne kobiety i różne luksusowe wyskoki. Te pieniądze nie stanowiły finansowego uszczerbku ani dla niej, ani dla dziewczynek. Gdy były młodsze, to ona je utrzymywała, nigdy on.

– Mówiłeś już matce? – spytała cicho. Prędzej czy później spodziewała się tej wiadomości, choć niekoniecznie akurat dziś. Trudno było przewidzieć, kiedy to się stanie.

– Najpierw chciałem powiadomić ciebie. Nie wiedziałem, czy zechcesz, żeby mówić matce i dziewczynom. Przypuszczam, że będzie chciała zająć się pogrzebem – zauważył trafnie. Véronique pozostała bliska byłemu mężowi również po rozwodzie, a on od tego czasu nie związał się na poważnie z żadną kobietą. Była tylko niekończąca się parada dziewczyn, ostatnio wręcz młodszych od jego córek, kiedy jednak zachorował, wszystkie prędko się ulotniły. Nie spotykał się z kobietami, które trwałyby przy nim w ciężkich czasach, no i nie był już w stanie wypisywać im czeków. Nawet w wieku osiemdziesięciu lat wciąż miał bujne życie erotyczne i nadal olśniewał kobiety, tak jak olśnił dwudziestojednoletnią Véronique, gdy sam miał czterdzieści dziewięć. Jego prezencji, elegancji i czarowi praktycznie nie sposób było się oprzeć. Nawet pielęgniarki w domu opieki zachwycały się: jakież to przystojny mężczyzna. Timmie odziedziczyła po nim wygląd, ale poza tym w ogóle go nie przypominała. Była rzetelna, niezawodna, pracowita i godna zaufania.

– Zadzwońię do mamy za parę godzin – rzekła praktycznie. – Muszę się przedtem zobaczyć z dwojgiem podopiecznych. Czy możesz zadzwonić do dziewczyn? Spodziewały się tego, więc nie będzie to dla nich niespodzianka.

Nawet jednak ona musiała przyznać, że jest jej smutno. Koniec końców stało się, po herbacie. Ojciec, który nigdy nie był dla nich ojcem, odszedł... a ona odkryła, że ma w związku z tym mieszane uczucia, że czuje ciężar tej straty, i pewna była, że siostry też go odczują. A już dla matki na pewno będzie to trudne. Był figurantem, ale tak czy owak Véronique go jakoś tam od trzydziestu jeden lat kochała, jako męża, brata czy przyjaciela... W ostatnich latach stał się dla niej niemal ojcem i z pewnością był w odpowiednim do tego wieku. A ona mu matkowała, zwłaszcza odkąd zachorował. Timmie nigdy do końca nie rozumiała tej relacji. Wydawała jej się do bólu niewłaściwa, zwłaszcza od strony matki, ale wyglądało na to, że tak im pasuje.

Był między nimi zły okres, kiedy jawny romans ze słynną modelką spowodował krach ich małżeństwa, i drugi, jeszcze gorszy, gdy Véronique odkryła, że to tylko kolejny z licznych wcześniejszych romansów męża. A jednak po rozwodzie potrafiła jakoś wybaczyć mu na tyle, że zostali przyjaciółmi. Ta przyjacielska więź trwała przez dwadzieścia lat i okazała się trwalsza niż małżeństwo. Véronique twierdziła, że robi to dla dzieci, Timmie jednak zawsze czuła, że oni robią to dla siebie, że się nawzajem potrzebują.

– Powiem dziewczynom, żeby nie dzwoniły do matki, dopóki im nie powiesz – rzekł Arnold z westchnieniem. Wiedział, że będzie mu brakowało starego przyjaciela... Brakowało mu go już od roku, odkąd powalił go udar i nagle zaczął wyglądać jak starzec, co było tak niepodobne do człowieka, którego znał od tylu lat.

– Dziękuję, Arnold – powiedziała cicho Timmie. – Będziemy w kontakcie. – Podziękowała mu jeszcze raz i odłożyła słuchawkę. Przez chwilę siedziała bez ruchu, patrząc przez okno na ponurą ulicę dolnego Harlemu, gdzie mieściło się biuro. Kilkoro dzieci bawiło się koło strażackiego hydrantu. Na chwilę wróciła myślą do czasów dzieciństwa. Jakim bohaterem wydawał jej się wówczas ojciec! Aż do rozwodu, po którym niemal całkowicie zniknął z ich życia.

Kiedy rodzice się rozwiedli, miała dziewięć lat. Od tego czasu zdarzały się miłe chwile z ojcem, w wakacje, na urodziny czy w święta, kiedy pojawiał się na krótko, olśniewający niczym filmowy gwiazdor. Był jak piękny ptak w locie, o wspaniałym, barwnym upierzeniu. Nie sposób go było dogonić, można było go jedynie podziwiać, gdy z powrotem zniknął w błękitnych przestworzach, i nigdy nie wiedziała, kiedy się znów pojawi – wiadomo było tylko, że wtedy, kiedy będzie to jemu odpowiadało. Był chodzącą definicją narcyzmu. Nie był człowiekiem złym, tylko po prostu całkowicie skoncentrowanym na sobie, no i fatalnym ojcem. Jego córki płaciły za to aż do dnia jego śmierci – ona głębokim brakiem zaufania do

mężczyzn w jego typie, a wszystkie – nieświadomym pociągiem do facetów takich jak on. I Juliette – kolekcjonerka przegranych typów, którzy ją wykorzystywali, i Joy – z jej lękiem przed porzuceniem i zawodem, przez co nie potrafiła przywiązać się na dobre do żadnego mężczyzny. Była jednak młoda, mogła to jeszcze naprawić. Ale co do siebie i Juliette Timmie była przekonana, że to niemożliwe. Kości zostały rzucone, ich przekonania i wzory zachowań mocno się zakorzeniły. Trudno to zmienić.

Podniosła się i wyszła zza biurka, żeby otworzyć drzwi. W poczekalni czekało na kontakt z nią dwoje ludzi. Uśmiechnęła się do nich, poprosiła mężczyznę, żeby zaczekał parę minut, a kobietę zaprosiła do środka. Była młodsza od Timmie, o matowych włosach i bez zębów. Na ulicy żyła od trzech lat, jej troje dzieci było w domu dziecka, a ona miała za sobą długi okres brania narkotyków. Cały swój dobytek miała przy sobie: brudny śpiwór i dwie foliowe torby z rzeczami. Czekala na detoks. Timmie miała dla niej złe wiadomości: ośrodek detoksykacyjny zamykano i musiała próbować jeszcze raz gdzieś indziej, startując z samego dołu listy. Mogło to potrwać jeszcze dwa lata. Sytuacja wydawała się beznadziejna.

Timmie usiadła po drugiej stronie biurka, żeby przekazać te wiadomości klientce. Rozmawiając z nią, myślała zarazem o ojcu. Jakie śmieszne, skoncentrowane wyłącznie na sobie samym, daremne było jego życie w porównaniu z jej podopiecznymi! Nigdy nie zrobił nic dla nikogo, wyłącznie dla siebie samego i – przelotnie – dla kobiet, z którymi się spotykał. Jego życie to było nieustające dogadzanie sobie i częściowo właśnie dlatego Timmie pracowała tak ciężko. Dorastając, zawsze jedno wiedziała na pewno: że za nic w świecie nie chce być taka jak on. I nie była... a teraz on umarł. Wróciła myślą do klientki. Trzeba postarać się zapomnieć o ojcu, chociaż na godzinę czy dwie, dopóki nie będzie musiała zadzwonić do matki z wiadomością o jego śmierci. Z trzech córek Véronique ona była najstarsza, na nią więc zawsze spadały trudne zadania. Juliette nigdy do nich nie dorosła, a Joy uciekła w odrębne życie w Los Angeles i abdykowała.

Kiedy Arnold zadzwonił do Juliette, była właśnie pora lunchu i w jej maleńkim sklepie z kanapkami i wypiekami na Park Slope w Brooklynie trwał codzienny szczyt. Juliette uwijała się, ledwie nadążając z obsługą gości – otworzyła swoją Kuchnię Juliette trzy lata temu i niemal z miejsca lokal stał się hitem. Pod naciskiem matki poszła na historię sztuki i uzyskała magisterium na Sorbonie, ale jedynie po to, by – kiedy po skończeniu studiów poszła „dla hecy” na warsztaty do Le Cordon Bleu – odkryć, że jej pasją jest pieczenie. Codziennie wypiekała wysmienite, świeże croissanty, które stanowiły bazę jej kanapek; w ofercie miała także rozmaite ciasta i ciasteczka, przyrządzane na bazie przepisów przywiezionych z Francji. Po Le Cordon Bleu jej plany, że zostanie kuratorką w

jakimś muzeum albo zajmie się nauczaniem, poszły w ką. Nigdy nie była tak szczęśliwa jak teraz, gdy zaglądała w kuchni do pieca, podawała starszemu klientowi kubek dymiącej kawy lub nalewała do filiżanki gorącą czekoladę dla jakiegoś dziecka i ozdabiała ją czapeczką bitej śmietany. Zaspokajało to jej potrzebę karmienia ludzi, a jej lokalik robił to dobrze i skutecznie. Po długich debatach i gruntownym namyśle matka pożyczyła jej pieniądze na jego otworzenie, choć była bardzo rozczarowana, że Juliette zrezygnowała z zajmowania się sztuką. Miała nadzieję, że ta namiętność do pieczenia kiedyś jej przejdzie. Juliette była jeszcze młoda, miała dopiero dwadzieścia osiem lat. Véronique pragnęłaby dla niej ciekawszego, bardziej intelektualnego zajęcia, niż wypiekanie i sprzedawanie ciast. Jak miło było pomyśleć, że córka odziedziczyła po niej i po jej ojcu pasję do sztuki... Mieli to we krwi! Ale Juliette zrezygnowała ze sztuki na rzecz rogalików... Koniec końców, matka mimo wszystko jej pomogła i pożyczyła pieniądze.

Juliette była mniejszą i łagodniejszą wersją swojej starszej siostry Timmie. Dzielili je zaledwie rok i w dzieciństwie były jak bliźniaczki. Ale charaktery miały krańcowo różne, tak jak różne są dzień i noc. Obie odziedziczyły po ojcu zielone oczy, a Juliette miała lekką nadwagę, ale i tak była bardzo ładna. Timmie była wyższa i szczuplejsza, Juliette niższa i bardziej krągła, o kobiecej sylwetce, która z czasem tylko bardziej się zaokrągliła, jako że musiała próbować własnych wypieków, by sprawdzić przepisy. Miała też okazałą pupę, z której Timmie zawsze się podśmiewała. Podobnie jak siostra miała długie blond włosy, z tym że jej były kręcone, a w dzieciństwie wręcz kędzierzawe. Pięknie jej było w rozpuszczonych, ale w pracy oczywiście nie mogła się tak nosić; z reguły zaplatała je w warkocz, z okalającą twarz mgiełką drobnych loczków, zawsze wymykających się z fryzury. Wszystko w niej tchnęło ciepłem i życzliwością i nawet jako młodzianka dziewczyna miała w sobie coś macierzyńskiego. Wszystkimi chciała się opiekować. Timmie mawiała o niej, że przygarnia pod skrzydła wszelkie kulawe kaczątko tego świata, zwłaszcza jeśli są płci męskiej.

Wszystkie romanse Juliette zaczynały się właśnie tak: pojawiał się mężczyzna, który nie miał mieszkania, pieniędzy albo pracy. Z początku spał na jej kanapie, potem wślizgiwał się do sypialni, a w końcu znajdował drogę do jej konta bankowego, gdzie z pomocą Juliette używał sobie przez jakiś czas, po czym, gdy go do reszty rozpuściła, rzucał ją dla innej. Jak twierdziła Timmie, zbyt często się to jak dotąd zdarzało, by było przypadkowe – to był wzorzec i zły nawyk. Juliette zawsze doskonale szło wyszukiwanie mężczyzn przystojnych jak ojciec, którzy ją wykorzystywali. Nie znalazł się jak dotąd wśród nich ani jeden porządny. Zwykle byli z nią około pół roku, po czym ruszali dalej. Juliette przez jakiś płakała, szukała pociechy w pracy, wymyślała parę nowych przepisów i zyskiwała parę funtów wagi. A potem pojawiał się następny ze złamanym skrzydełkiem... Była śliczną,

pociągającą dziewczyną i nigdy nie pozostawała zbyt długo sama – w przeciwieństwie do Timmie, która od dwóch lat była sama z wyboru, wściekła na popełnione pomyłki. Juliette zawsze była gotowa wszystkim wybaczyć, sobie samej również, i wyglądało, że nigdy nie uczy się na błędach. Ale jeśli kogoś raniła, to wyłącznie siebie. Najsilniejszą cechą jej osobowości była życzliwość dla wszystkich – konsumentów, rodziny i swoich mężczyzn.

Kiedy zadzwonił Arnold, Juliette właśnie skończyła obsługę jednego ze swoich stałych gości. Wiedział, że w przeciwieństwie do Timmie, która była nienagannie rzeczowa i zdawała się wszystko przyjmować ze spokojem, Juliette bardzo to przeżyje i nie miał ochoty przekazywać jej tej wiadomości. I jak było do przewidzenia, zaledwie powiedział, że ojciec zmarł tej nocy, Juliette wybuchnęła płaczem. Południowy szczyt właśnie się skończył, ostatni klient wyszedł, była więc przez parę minut sama i mogła utonąć we łzach.

Uważała się za najbliższą ojcu i była gotowa na wszystko, co w jej mocy, byle zasłużyć na jego miłość. Według niej nie mógł zrobić nic złego. Zanim zachorował, dzwoniła do niego codziennie, by mu powiedzieć, co robi, i spytać go o samopoczucie. Ojciec odwiedził jej knajpkę tylko raz, ona jednak udawała, że przychodzi stale. Nigdy jej nawet nie zaświtało, że podtrzymywanie z nim kontaktu telefonicznego spoczywa wyłącznie na niej. Nigdy nie zadzwonił do żadnej z córek i nie interesował się nimi całe tygodnie, a nawet miesiące, dopóki to one się nie odezwały. Każda jego relacja była jednostronna, wysiłek jej podtrzymywania zawsze spoczywał na drugiej stronie. Timmie i Joy nie wkładały w to zbyt wiele energii, ale Juliette owszem. Podrzucała mu nawet swoje najlepsze wypieki, by mógł spróbować jej wynalazków. Rozpaczliwie pragnęła jego aprobaty.

Paul był dumny ze swoich pięknych córek i nie krytykował żadnego z ich wyborów. Po prostu nie chciał pełnić roli ojca ze wszystkim, co ona obejmuje, a kiedy córki podrosły, wołał być dla nich przyjacielem. W przypadku matki nie było mowy o takim pomieszaniu ról; zawsze podkreślała, że jest ich matką, a nie koleżanką, choć lubiła spędzać z nimi czas. To ona odpowiadała w całości za ich wychowanie, mimo to Juliette uparcie uważała się za bliską ojcu. Tak jak spodziewał się Arnold, wiadomość o śmierci ojca była dla niej ciosem, jakby wcześniej nie zdawała sobie sprawy, że on wkrótce umrze. Dla pozostałych nie była to niespodzianka. Dla Juliette tak.

– Myślałam, że z tego wyjdzie – powiedziała, ocierając oczy fartuchem. Arnold westchnął. Już od paru miesięcy nie było nadziei, Paul wyraźnie odchodził. Ale nawet w ostatnich tygodniach, kiedy rzadko był przytomny, Juliette mówiła do niego podczas odwiedzin, przekonana, że ją słyszy i że jeszcze wróci do zdrowia. Nie powrócił i zdaniem Arnolda błogosławieństwem było dla niego, że zmarł. Paul, którego znał i z którym przyjaźnił się od trzydziestu lat, nie chciałby takiej egzystencji. Było w nim do niedawna tyle życia, że Arnoldowi przykro było

oglądać go w tym stanie. Lepiej dla niego, że stało się, jak się stało, a z wielu rozmów w ciągu ostatniego roku Arnold wiedział, że przyjaciel był gotów na śmierć i nie żałował życia. Ale Juliette najwyraźniej nie była gotowa na rozstanie z ojcem i ze złudzeniami na jego temat. Po dwudziestu minutach, kiedy spróbował zakończyć rozmowę, wciąż jeszcze płakała.

– Timmie powiedziała, że za parę godzin zadzwoni do matki, więc ty na razie nie dzwoń – uprzedził ją.

– Dobrze, nie będę – zgodziła się posłusznie Juliette, a gdy się rozłączyli, podeszła do drzwi i odwróciła tabliczkę z napisem „Otwarte” na stronę „Zamknięte”. Potem przykleiła do drzwi kartkę z napisem: „Zamknięte z powodu śmierci w rodzinie” i poszła do domu, do swojego niewielkiego, odległego o parę przecznic mieszkania. Nigdy nie przykładała się specjalnie do jego urządzenia – spała tu tylko, a cały pozostały czas spędzała w pracy. Przychodziła do knajpki o czwartej rano, żeby upiec rogaliki dla pierwszych gości, którzy pojawiali się o szóstej, i wracała do domu nie wcześniej niż o siódmej wieczorem. Wyczerpana po całym dniu, z reguły zasypiała przed telewizorem. Jej życie, podobnie jak Timmie, koncentrowało się wyłącznie na pracy.

W porze gdy Juliette wróciła do domu, Arnold dzwonił do najmłodszej z siostr, Joy. Tak jak się spodziewał, trudniej było ją złapać, jej życie było zupełnie inne. Joy mieszkała w Los Angeles, gdzie usiłowała zrobić karierę aktorki. Miała autentyczny talent muzyczny i matka chciała, żeby rozwijała go w konserwatorium Juilliarda. Joy tymczasem przy pierwszej okazji rzuciła studia i wyjechała do LA. Opłacała sobie lekcje emisji głosu, na które zarabiała jako kelnerka, i po pół roku śpiewania z różnymi zespołami, które prowadziło donikąd, przerzuciła się na lekcje aktorstwa i odtąd uparcie walczyła o sukces. Wystąpiła w paru pomniejszych reklamach i zagrała kilka epizodów w telewizji. Miała nadzieję, że dostanie rolę w jakimś serialu, miała smykałkę do ról komediowych. Obecnie, w wieku dwudziestu sześciu lat, od pięciu mieszkała w LA i nadal pracowała jako kelnerka. Jej wielka szansa jeszcze nie nadeszła, ale Joy nadal wierzyła, że nadejdzie. Ojciec także w to wierzył i zawsze dodawał jej otuchy.

Była wyjątkowo piękną dziewczyną, o długich ciemnych włosach, wielkich fiołkowych oczach, nienagannej sylwetce i wspaniałym głosie, choć rzadko go używała. Brała każdą propozycję roli, jaka jej się zdarzała. Chodziła na każde przesłuchanie i miała zamiar wytrzymać wszelkie trudności związane ze startem w zawodzie aktorki. Wciąż była przekonana, że kiedyś odniesie sukces. Siostrą powiedziała, że jeśli do trzydziestki nie przydarzy się jej w LA nic ważnego, spróbuje w Nowym Jorku na Off-Broadwayu. Na razie jednak wciąż jeszcze nie chciała zrezygnować z szansy na rolę w jakimś serialowym hicie w LA. Była zdecydowana odnieść sukces w Hollywood. Wystąpiła już w paru telenowelach, ale zawsze w epizodach. Véronique oglądała je w telewizji i narzekała, że dają jej

takie małeńkie rólki.

Joy miała chłopaka, który także był aktorem. Występował w drugorzędnym teatrze objazdowym i rzadko był w domu, w LA. Prawie się nie widywali, co było typowe, jeśli chodzi o mężczyzn w jej życiu. Wyglądało na to, że zawsze wybiera kogoś, kto jest niedosiężny emocjonalnie albo nieobecny fizycznie. Przez ostatnie pięć lat, zajęta swoją karierą w LA, oddaliła się też od rodziny. Ich życie było tak odmienne od jej życia! Coraz mniej miała z siostrami wspólnego i nawet nie była do nich podobna. Czasem miała wrażenie, że podmieniono ją przy urodzeniu i w ogóle nie jest z nimi spokrewniona. A choć ojciec zawsze robił wokół niej dużo szumu, głównie z powodu jej urody, którą wyróżniała się już jako dziecko, z nim miała jeszcze mniej wspólnego. Jej prezencja mile łechtła jego narcyzm, ale zawsze czuła, że tak naprawdę jej nie zna i nawet nie stara się poznać.

A z matką miała problemy od lat. Véronique wciąż miała jej za złe porzucenie studiów i życie, jakie obecnie prowadziła: pracowała głównie jako kelnerka, z rzadka tylko otrzymując jakieś podrzędne rólki. Nie takiego życia chciałaby dla niej matka... Stać ją było na więcej, o wiele więcej, a to, co robiła, wyglądało w oczach matki na ślepą uliczkę. Miała nadzieję, że córka z tym skończy i wróci do Nowego Jorku. W tej sprawie rodzice nigdy się nie zgadzali i zawsze spierali się na ten temat. „Pozwól jej na trochę przyjemności” – brzmiała zawsze beztraska konkluzja ojca, ale matka się o nią martwiła. Siostry nie brały jej poważnie. Sukces aktorski w Hollywood wydawał się im równie mało prawdopodobny jak wygrana na loterii; traktowały jej pasję raczej jak hobby niż poważny zawód.

Jakiegokolwiek były jednak ich argumenty, Joy robiła co chciała, obywając się bez niczyjej pomocy, i udawało jej się przeżyć z tego, co zarobiła na niewielkich rólkach i jako kelnerka. Chciała znaleźć porządnego menedżera i lepszego agenta, ale jak dotąd jej się nie udało. Wszystko to wymagało czasu. Kochała to, co robi, i mijające lata nie wydawały jej się stracone. Miała mieszkanie w Zachodnim Hollywood, które bardzo lubiła i stać ją było na nie. Kiedy zadzwonił Arnold, była właśnie na castingu do jakiejś reklamy. Wiedziała, że ojciec jest bardzo chory i że wkrótce nadejdzie koniec, ale po prostu nie spodziewała się tego akurat teraz. W oczekiwaniu na swoją kolej wyszła do holu, by z nim porozmawiać.

– Ach, tak – powiedziała, gdy usłyszała wiadomość Arnolda, po czym zaległa cisza. Nie wiedziała, co by jeszcze powiedzieć. Podobnie jak siostry, miała za sobą długą historię rozczarowań co do ojca, choć się z nim nie kłóciła. Zawsze dziwnie się czuła, kiedy mówił otwarcie, przy siostrach, że jest jego pupilką, bo nigdy z nim nie rozmawiała naprawdę. Ojciec z nikim naprawdę nie rozmawiał. Nigdy więc nie czuła, że istotnie jest jego ulubienicą, było to dla niej po prostu coś, co mówił, i tyle. Ale i tak przykro jej było usłyszeć od Arnolda wiadomość o jego śmierci. Mimo wszystko był jej ojcem, jedynym, jakiego miała, nawet jeśli nie

spisywał się w tej roli..

– Dobrze się czujesz? – spytał Arnold, gdy wciąż milczała.

– Tak... tylko chyba po prostu jestem zaskoczona. Nie myślałam, że to będzie tak prędko. – Ostatni raz widziała go dwa miesiące temu; nie miała okazji, jak siostry, obserwować, jak szybko mu się pogarsza. – Wiesz, kiedy będzie pogrzeb?

– Timmie się tym zajmuje. Niedługo ma zadzwonić do waszej matki. Na pewno się z tobą skontaktują – powiedział po prostu. – Przykro mi, Joy. Wszyscy wiemy, że szalał na twoim punkcie. Zawsze byłeś jego ukochaną córeczką, aż do końca.

Pokiwała głową ze łzami w oczach.

– Wiem – powiedziała zdławionym głosem. Nagle to do niej dotarło: ojciec nie żyje... On przynajmniej zawsze popierał jej marzenia o karierze aktorskiej i zostaniu gwiazdą. Cała reszta rodziny traktowała to jak przelotny kaprys, który jej kiedyś przejdzie. On był jej największym fanem. Wysyłała mu DVD z nagraniami wszystkich swoich występów i prawda to czy nie, mówił, że wszystkie oglądał i bardzo mu się podoba to, co robi. Tylko on chwalił jej pracę, nikt inny.

– Do zobaczenia na pogrzebie – powiedział współczująco Arnold i po zakończeniu rozmowy Joy wróciła na casting. Roli nie dostała i wróciła do domu otępiała, myśląc o ojcu. Nieoczekiwanie jego śmierć zaczęła jej się wydawać wielką stratą. Nie sądziła, że tak to przeżyje.

Po południu Joy esemesowała do obu siostr i spytała Timmie, czy będzie mogła się u niej zatrzymać. Postanowiła, że poleci do Nowego Jorku jeszcze tej nocy. Chciała się znaleźć w domu. Timmie natychmiast odpowiedziała, że jak najbardziej. Mieszkała w West Village, w starej, modnej obecnie, zrewitalizowanej przemysłowej dzielnicy Meatpacking, co nie było wygodne ze względu na pracę, ale podobała jej się okolica. Wynajmowała mieszkanie o regulowanym przez miasto czynszu, na trzecim piętrze bez windy, ale było słoneczne i miało klimat. Joy zawsze wolała zatrzymać się u Timmie, lepiej się tu czuła niż w mikroskopijnym mieszkanku Juliette w Brooklynie, no i lubiła centrum miasta. Mogła również pójść do matki, ale u Timmie było swobodniej. Nikt nie komentował tu jej życia, tak jak robiła to matka, a zresztą rozczarowanie w jej spojrzeniu było gorsze niż słowa. Véronique nie lubiła kelnerowania Joy jeszcze bardziej niż aktorstwa i ten temat zawsze wypływał. Najmłodsza w rodzinie, Joy miała wrażenie, że traktują ją, jakby wciąż miała czternaście lat, a nie dwadzieścia sześć. Teraz będzie musiała stanąć z nimi twarzą w twarz i dziwnie było pomyśleć, że nie będzie już ojca, który nazywał ją „córcią” i wychwalał pod niebiosa. Nagle poczuła, że nie potrafi wyobrazić sobie świata bez ojca. Gdy dzwoniła do linii lotniczych i zamawiała bilet, po policzkach spływały jej łzy.

Timmie zadzwoniła do matki dopiero po obsłużeniu wszystkich

oczekujących. Była już czwarta po południu, ale chciała mieć spokojną głowę i nie musieć się śpieszyć podczas rozmowy, wiedząc, że czeka ktoś, czyje problemy są większe niż jej. Spojrzała na zegarek: we Francji jest już dziesiąta wieczorem... Nie cierpiała przekazywania złych wiadomości o tej porze; są tym bardziej dołujące, gdy człowiek ma przed sobą noc i potem leży i w kółko je przetrawia, nie mogąc zasnąć. Nie miała jednak wyjścia – wiedziała, że nie może czekać z powiadomieniem matki do następnego dnia, zwłaszcza że Véronique dzwoniła od czasu do czasu do domu opieki, żeby sprawdzić stan Paula i Timmie nie chciała, aby matka dowiedziała się od kogoś obcego. Zadzwoiła więc do jej wynajętej willi pod Saint-Tropez. Véronique, widząc, że telefon jest od Timmie, oddzwoniła ze swojej francuskiej komórki już po drugim dzwonku. Nie rozmawiały ze sobą od paru dni i nie była zaskoczona, że dzwoni.

– Cześć, kochanie – powiedziała głosem, który brzmiał niemal jak głos młodej dziewczyny. Rodzice zawsze sprawiali wrażenie młodszych, niż byli, i Timmie miała nadzieję, że odziedziczyła po nich tę cechę. Obecnie czuła się jak najbardziej w swoim wieku, a czasem nawet starzej, tak jakby dźwigała na barkach cały ciężar świata. Zwłaszcza w tej chwili, kiedy musiała przekazać matce złe wiadomości.

Pomimo że rodzice byli rozwiedzeni, wiedziała, że dla matki będzie to cios. Oprócz Paula i dzieci Véronique nie miała żadnej rodziny. Matka umarła, kiedy miała piętnaście lat, ojciec – gdy miała dwadzieścia jeden, i właśnie dlatego wyszła za Paula tak młodo. Było to w rok po śmierci ojca, czuła się sama na świecie, wystraszona i bezbronna, pomimo że po obojgu rodzicach odziedziczyła ogromny majątek. To on, niczym boja świetlna, pociągnął ku niej Paula, kiedy się poznali. No a poza tym była bardzo ładną, niewinną młodą dziewczyną.

– Cześć, mamó – powiedziała Timmie bez uśmiechu w głosie. – Nie mam dobrych wiadomości. – Chciała ją jakoś uprzedzić o tym, co za chwilę nastąpi.

– Ojciec? – spytała Véronique, wstrzymując dech, choć spodziewała się tego. Kiedy widziała się z Paulem w czerwcu, miała uczucie, że to po raz ostatni, i on tak samo. Tego dnia byli dla siebie wyjątkowo czuli.

– Dzwonił do mnie Arnold. Ojciec umarł tej nocy. Arnold powiedział, że odszedł spokojnie, we śnie.

Po drugiej stronie zapadła cisza, po chwili zaś Timmie usłyszała, że matka płacze. Śmierć Paula nie była niespodzianką, ale i tak była to dla niej ogromna strata. Nigdy tak naprawdę nie odszedł z jej życia – po prostu wszedł w inną rolę: starszego brata, ojca, przyjaciela.

– Bardzo ci współczuję – powiedziała matka. Pamiętała, jak to jest stracić ojca... Śmierć jej matki, na białaczkę, była dla niego ciosem, z którego nigdy się nie podźwignął. Był ważnym finansistą z Wall Street, Amerykaninem, a matka młodszą od niego o trzydzieści pięć lat Francuzką. Nigdy by się nie spodziewał, że

to on ją straci, była miłością jego życia i umarła tak młodo! Stało się to bardzo szybko, po zaledwie trzech miesiącach choroby. Marie-Laure de Bovay, poślubiając Phillipa Whitmana, była mniej więcej w tym samym wieku, co jej córka, gdy wychodziła za mąż za Paula Parkera.

Véronique mieszkała z rodzicami w różnych miastach – w Hong Kongu, Londynie, Paryżu. Jako dziecko nauczyła się mówić po chińsku, biegle znała też francuski, jako że matka była Francuzką i często bywali w jej ojczystym kraju. Swoje francuskie korzenie zaczęła silnie odczuwać zwłaszcza w ostatnich latach. Coraz więcej czasu spędzała w Paryżu, a latem w wynajętym domu na południu Francji, licząc, że i córki zajrzą tam na dwa-trzy tygodnie. W tym roku jednak były zbyt zajęte, żeby wpaść. Parę lat temu kupiła też mieszkanie na Wyspie św. Ludwika, przy Quai de Bethune, z oknami wychodzącymi na Sekwanę. Wciąż należał do niej dom rodziców w siódmej dzielnicy, przy Rue de Varenne, ale od lat stał nieużywany, opłacony był tylko dozorca, która utrzymywał go we właściwym stanie. Był to śliczny osiemnastowieczny *hôtel particulier*, wolno stojący piętrowy dom z ogrodem. Nie chciała się z nim całkiem rozstać, ale mieszkanie w tym miejscu byłoby dla niej zanadto przygnębiające. Zbyt wiele wspomnień się z nim wiązało... W pierwszym okresie małżeństwa często bywali tam z Paulem, ale od dwudziestu lat, od rozvodu, nie spała tam ani razu. Nie musiała go sprzedawać, więc po prostu trzymała go dla dziewcząt.

Dziadek Véronique ze strony matki był niezwykle cenionym handlarzem dzieł sztuki w Paryżu, a ojciec, Phillip Whitman, kupił od niego większość płócien impresjonistów, po czym ożenił się z jego córką. Ze względu na ogromną różnicę wieku ich małżeństwo było nietypowe, ale się nawzajem uwielbiali, a Véronique miała bez liku wspomnień kochających się rodziców, których głęboki związek uczuciowy obejmował także i ją.

Kiedy ojciec umarł, Véronique odziedziczyła należącą do matki okazałą kolekcję wartościowych dzieł sztuki, obejmującą parę wybitnych płócien, i kolosalny majątek ojca, który, umiejętnie zainwestowany, urósł z upływem czasu. W wieku dwudziestu jeden lat, młoda i samotna, mieszkała jedną nogą w ich nowojorskim mieszkaniu, a drugą – w paryskim domu, który Marie-Laure odziedziczyła po ojcu i nigdy się go nie pozbyła.

Véronique poznała Paula Parkera parę miesięcy po śmierci ojca, na jakimś weselu. Był to błyskawiczny romans i rok później, gdy miała dwadzieścia dwa lata, pobrali się. Poślubiając mężczyznę znacznie starszego, poszła w ślady swojej matki, ale wydawało się to zrozumiałe w tych okolicznościach. Potrzebowała ojca jeszcze bardziej niż męża... A ożenek z nią zmienił na zawsze życie Paula Parkera. Zrodzony z rodziców arystokratów, dalekich kuzynów Astorów, ale bez pieniędzy, szybko przystosował się do jej stylu życia, choć Véronique była o wiele prostsza i bardziej dyskretna niż on. Paul był szalenie towarzyski i kontaktowy, elegancki i

pełen czaru. Żył na wysokiej stopie z jej środków; porzucił mało ważną pracę, której nie lubił, i stał się mężem-rentierem. Byli szczęśliwi, zwłaszcza kiedy przyszły na świat dzieci, ale wszystko skończyło się wraz z jego romansem oraz jej odkryciem, że takich podbojów było multum. Nigdy nie potrafił oprzeć się ładnej kobiecie... Po dziesięciu latach małżeństwo zostało zakończone, choć Véronique w chwili rozwodu nadal go kochała. A Timmie zawsze podejrzewała, że nigdy nie przestała kochać, nawet jeśli twierdziła, że są tylko przyjaciółmi. Wiele by dała, żeby to nie ona była tą, która musi matce powiedzieć o jego śmierci.

– Załatwiałaś już coś w sprawie pogrzebu? – spytała matka, a Timmie przyznała, że nie miała dotąd czasu. Jego ciało nadal pozostawało w domu opieki.

– Chciałam najpierw porozmawiać z tobą – dodała. Wiedziała, że matka sama będzie chciała zająć się pogrzebem, jako że Paul nie miał innej rodziny oprócz niej i dzieci. Oboje byli jedynakami, nie było więc żadnych kuzynów czy dalszych krewnych, z którymi trzeba byłoby coś uzgadniać w tej sprawie.

– Zajmę się tym – powiedziała cicho Véronique. – Jutro wracam do domu. Jeszcze stąd zadzwonię do Franka Campbella. – Był to zakład pogrzebowy przy górnej Madison Avenue, z którego usług korzystali wszyscy znajomi. Véronique wspomniała, że rano, przed wylotem, może nawet zadzwonić do kwiaciarni. Musiały też ułożyć nekrolog do „New York Timesa”. Timmie miała wrażenie, że niewiele da się o ojcu powiedzieć poza tym, że miał fantastyczne życie, w dużym stopniu dzięki matce, która go obficie sponsorowała. Dzięki niej miał nieustające wakacje, które trwały trzydzieści lat.

– Przykro mi, mam – powiedziała Timmie szczerze. Jakikolwiek były jej uczucia wobec ojca, wiedziała, jak kochała go matka.

– Cóż, kochanie, stało się, co się musiało stać. Na pewno nie chciałby żyć w takim stanie. Przyszedł jego czas.

Porozmawiały jeszcze parę minut, a po zakończeniu rozmowy Véronique zadzwoniła do pozostałych córek. Juliette odebrała telefon z płaczem.

– Przylatuję jutro – powiadomiła ją matka. We Francji była już prawie północ, mimo to długo rozmawiały. Juliette była niepokieszona, wciąż mówiła, jakim wspaniałym ojcem był Paul. Véronique się nie sprzeciwiała – wiedziała, że Juliette pielęgnuje tę fantazję od lat. To Timmie zawsze usiłowała otworzyć jej oczy, nigdy matka. Véronique знаła niedostatki Paula jako ojca i męża, ale nigdy nie krytykowała go wobec dzieci.

Joy zastała przy pakowaniu się do podróży. Dziewczyna była jakby roztargniona i odrętwiała.

– Przylatuję nocnym – powiedziała. Wciąż usiłowała oswoić się z faktem, że nie ma już ojca. Wiadomość była dla niej szokiem. Aż do tej chwili nie przyjmowała tego do wiadomości.

Na zakończenie Veronique zadzwoniła jeszcze raz do Timmie. Córka wciąż

jeszcze była w biurze – wypełniała dwanaście rozmaitych formularzy potrzebnych do ubiegania się o pomoc finansową dla niepełnosprawnych.

– Zapomniałam cię zapytać, czy ktoś dzwonił do Bertiego – powiedziała, wyraźnie strapiona. Bertie był synem Paula z pierwszego małżeństwa. Kiedy Paul i Véronique się pobrali, miał osiem lat. Jego matka utonęła, kiedy miał cztery. Véronique od początku traktowała go jak własnego syna, ale zawsze był trudnym dzieckiem. Był szalenie podobny do ojca, ale bez jego wdzięku, nawet kiedy był mały.

Z czasem przestało być tajemnicą, że Paul poślubił Véronique dla pieniędzy, choć trzeba było lat, by ta prawda do niej dotarła, ale był też dla niej czuły i oddany. Bertie, nawet jako dziecko, interesował się wyłącznie pieniędzmi. We wszystkim, co robił Paul, była gracia, elegancja i styl. We wszystkim, co robił Bertie, była przebiegłość. Wyrzucono go z paru najlepszych szkół za złe zachowanie i kradzież. Z Uniwersytetu Darmouth – za oszustwo. Później wpływał się w dziesiątki projektów typu „jak błyskawicznie zostać bogatym”; wszystkie były nieco podejrzone i żaden nie wypalił. Obecnie, w wieku trzydziestu ośmiu lat, był zawsze bez grosza przy duszy, „o krok od morderstwa”, jak sam mówił, korzystał z cudzych biur i sypiał na cudzych kanapach. Stracił co do centa wszystko, co kiedykolwiek pożyczyła mu na jego pomysły Véronique. Nawet Paul dawał mu jakieś pieniądze, żeby stanął na własnych nogach, ale Bertie zawsze potrafił je przepuścić i lądował przed sądem – albo na bruku, wyrzucony z pracy. Żył z dnia na dzień, ledwie utrzymując się na powierzchni.

Véronique zawsze go tłumaczyła: stracił matkę jako małe dziecko i to dlatego. Kiedy był młodszy, robiła, co się da, żeby mu pomóc, i traktowała go jak własnego syna, nawet po rozwodzie. Ale w końcu i ona parę lat temu przestała mu dawać pieniądze. To był worek bez dna... Nie widziała się z nim już dwa lata, choć źle się z tym czuła. Sam rzadko dzwonił, no, chyba że czegoś chciał.

Bertie był strasznie zazdrosny o siostry i to już od chwili ich narodzin. W dzieciństwie zabierał im kieszonkowe i wyrósł na chciwego, głęboko nieuczciwego człowieka. Jeśli tylko mógł, zawsze wybierał drogę występku. No, ale miły czy niemiły, był synem Paula i należało go powiadomić o śmierci ojca. Nie ożenił się, nie miał dzieci, o których by wiedział, i zawsze miał u boku jakąś podejrzaną kobietę. A Timmie nienawidził jeszcze bardziej niż pozostałych sióstr, nie miała więc ochoty do niego dzwonić. Parę razy próbował bez powodzenia wyłudzić od niej pieniądze, twierdząc, że to tylko parotygodniowa pożyczka, ale Timmie znała go na wylot i nie dostał od niej ani centa.

Nigdy nie dawał wiary, że siostry żyją wyłącznie z własnych zarobków i nie mają żadnych zapasowych funduszy. To matka pragnęła dla nich tej lekcji. Znacznie hojniejsza była wobec Bertiego, bo chciała, by stanął na własnych nogach, do czego nigdy nie doszło. Co do dziewcząt jednak, to bez względu na to,

co miały po niej odziedziczyć w przyszłości, nie chciała, żeby były leniwe czy zachowywały się jak księżniczki. Po jej śmierci będą bardzo bogate, ale na razie żyły z własnej pensji i z rzadka tylko korzystały z jej pomocy, jak w przypadku pożyczki na knajpkę Juliette. Véronique była dla nich o wiele surowsza niż dla marnotrawnego pasierba, ale w końcu dała sobie spokój i z nim. Jako dorosły mężczyzna stał się człowiekiem wyjątkowo niemiłym, którego lepiej było unikać. W tej chwili jednak uniknąć z nim kontaktu ani chciała, ani mogła. Choć dawno nie widział się z Paulem twarzą w twarz, to jednak i on stracił teraz ojca. A Véronique zawsze mu współczuła, bardziej nawet niż Paul, który dawno już stracił do niego cierpliwość. Bertie wyciągnął mnóstwo kasy i od niego.

Po zakończeniu rozmowy z Timmie Véronique zadzwoniła na komórkę Bertiego. Nie rozmawiała z nim już blisko rok, od czasu, gdy jego ojciec dostał udaru. Podczas choroby Bertie prawie go nie odwiedzał. Zawsze miał jakąś wymówkę i twierdził, że jest zbyt zajęty.

Bertie odebrał natychmiast. Zdziwił się, słysząc głos macochy. Powiedziała łagodnie, że jego ojciec nie żyje i że przykro jej, że musi mu przekazać tak smutną wiadomość.

– Nie jestem zaskoczony – odparł chłodno. – Wracasz na pogrzeb?

Zaskoczyło ją to pytanie.

– No, oczywiście. – Słusznie przyjął, że skoro jest lato, to macocha na pewno jest we Francji.

– Jestem teraz w Chicago, ale jutro wieczorem mogę być z powrotem – oznajmił.

– Zadzwoń do ciebie, jak tylko wszystko będzie załatwione – obiecała. – I oczywiście zapraszamy cię z nami na pogrzeb.

– Dzięki, ale mam własny samochód. – Byłoby z nim ciasno w aucie, ale mimo wszystko czuła się zobowiązana go zaprosić. Była jedyną matką, jaką miał, gdy dorastał, nawet jeśli nie był milutkim dzieckiem. Kłamał przy każdej okazji i był przykry dla sióstr. Zawsze doprowadzał którąś do płaczu. Nie było teraz pomiędzy nimi śladu miłości, wszystkie trzy go skreśliły. Tylko Véronique wciąż była dla niego miła, choć nie dawała mu już pieniędzy, a tylko na tym mu zależało.

Wiedząc, jak martwił się synem Paul, nie mogła się oprzeć ciekawości, czy pozostawił mu coś w testamencie. Nie rozmawiał z nią o tym. Z pewnością niewiele po nim zostało, sam z reguły bywał splukany, niemniej wciąż miał coś, co dostał od niej w ramach ugody, choć z biegiem lat zasoby szybko topniały. Zawsze żył ponad stan, miał szeroki gest i za dużo wydawał na kobiety. Nigdy się nie zmienił... No i nadal był właścicielem zamku we Francji, który kupiła dla nich w czasie trwania małżeństwa i podarowała mu przy rozwodzie. Bardzo mu zależało, żeby dostać go w ramach ugody, potem jednak szybko przestał się nim interesować, tak jak to było ze wszystkim. Teraz zamek stał zabity deskami;

wiedziała, że Paul nie był tam od dwunastu lat. Przypuszczała, że pozostawił go w spadku swoim czworgu dzieciom, i teraz dziewczyny będą musiały dzielić się nim z Bertiem albo, co bardziej prawdopodobne, wspólnie nim zadysponować. Żadnemu z nich nie był potrzebny kłopot w postaci popadającego w ruinę zamku we Francji i wszyscy bardziej skorzystają na jego sprzedaży, zwłaszcza Bertie. Myśl, że Bertie otrzyma jedną czwartą ojcowskiego majątku, była zupełnie rozsądna, nawet jeśli wszystko, co posiadał Paul, pochodziło od niej. Bertie nadal był jego synem, czy był porządnym człowiekiem, czy nie, a pieniądze, jakie podarowała Paulowi Véronique, były jego i mógł nimi zadysponować, jak chciał.

Zakończyła rozmowę z Bertiem i położyła się do łóżka. Leżała i myślała o wszystkim, co ma do zrobienia, o pogrzebie, który musi zorganizować. Timmie obiecała, że jej pomoże. Jakie to dziwne, że Paula już nie ma... Wiedziała, że będzie go jej brakować. Dobrze było z nim porozmawiać, pobyć z nim od czasu do czasu, nawet po rozwodzie. Nie była już w nim zakochana, i to od lat, i była to dla niej ulga. Kochała go jednak jako ważną osobę w swoim życiu. Ciężko będzie to teraz utracić... Zасыpiając, myślała o tamtych dziesięciu latach małżeństwa, które były najszcześniejszym okresem w jej życiu. Nikt nigdy nie był tak olśniewający, jak Paul Parker... I nigdy nie będzie nikogo takiego jak on. I pomimo jego wad, o tym samym myślały tej nocy również jej córki. Paul był jedyny i niepowtarzalny.

Rozdział 2

Joy dotarła do Timmie po nocnym locie z Los Angeles, zanim siostra wyszła do pracy. Miała się stawić o siódmej, Timmie zgodziła się więc poczekać. Zaraz po wylądowaniu Joy wysłała siostrze SMS-a, aby potwierdzić, że będzie na czas. Była równie zorganizowana i solidna jak Timmie, podczas gdy Juliette zawsze była bardziej roztargniona i kapryśna, no i też najbardziej z nich wszystkich emocjonalna. Timmie rozmawiała wieczorem z Juliette, która wciąż rozpaczała po ojcu. Z herosa stał się dla niej świętym... Irytowało to Timmie, choć starała się nie mówić tego na głos.

Poprzedniego wieczoru, po powrocie do domu, sporządziła szkic nekrologu. Niewiele dało się powiedzieć o ojcu, a ona nigdy nie była wobec niego miłosierna. „Skuteczny łowca posagu zmarł w Nowym Jorku po roku choroby będącej następstwem udaru” – to nie wydawało się właściwe. Nie napisała tak, ale tak czuła, pisząc, że skończył Princeton, był dwukrotnie żonaty, ma czworo żyjących dzieci, które wymieniła z imion. Jego kariera zawodowa była krótka i nieznacząca, obejmowała jakieś mało ważne zajęcia na obrzeżach bankowości i nieruchomości, dopóki nie poznał matki, która była dla niego niczym manna z nieba. Véronique nigdy nie robiła z tego problemu, ale nie było to tajemnicą dla dzieci. Jedyny majątek, jaki miał w życiu, to ten, który zyskał dzięki małżeństwu z matką. Timmie była wściekła, że oszukał matkę i zniszczył jej złudzenia co do niego, tak samo jak złudzenia ich, dzieci.

Paul był przystojny i kiedy wchodził do jakiegoś pomieszczenia, robił wielkie wrażenie. Stanowił ozdobę każdego przyjęcia, ale niczego w życiu nie osiągnął, a jego skłonność do ładnych, ale nijakich młodych kobiet niewiele przydawała wartości jego życiu i zero wartości – jego CV. Żył wyłącznie chwilą, pragnął tylko rozrywki i nigdy nie myślał o przyszłości czy o skutkach tego, co robi. Tak było aż do samego końca. Jego ostatnia dziewczyna, śliczna młoda Rosjanka, zniknęła, gdy tylko zachorował. Przynajmniej nie musiały mieć z nią do czynienia, pomyślała Timmie. Wystarczy, że miały na głowie Bertiego, który będzie walczył do upadłego o każdy grosz. Timmie nie miała co do niego złudzeń, podobnie jak żadna z nich, i na ogół w ogóle o nim nie pamiętała. W ostatnich latach prawie go nie widywały, co dla wszystkich było błogosławieństwem. I on także ich unikał, bo kontakt z nimi nie przynosił mu żadnej korzyści. Wyglądało na to, że odziedziczył po ojcu wyłącznie jego najgorsze cechy, pomnożone przez tysiąc, i ani jednej dobrej, która by je łagodziła. Sam jego ojciec tak powiedział.

Joy była wyraźnie niewyspana, a mimo to, w króciutkiej białej spódniczce i T-shircie, piękniejsza niż kiedykolwiek przedtem. Nawet na płaskich obcasach miała niemal ten sam wzrost co siostra, choć styl i typ urody każdej z nich były

krańcowo różne. Timmie, blondynka, miała arystokratyczne rysy i prezencję swego ojca. Joy była absolutnie olśniewająca ze swoimi ciemnymi włosami, fiołkowymi oczami i kremową cerą. Miała urodę matki i ojcowski wzrost. Timmie nie widziała jej już dość długo, choć od czasu do czasu ze sobą rozmawiały. Joy nigdy nie była dobra w podtrzymywaniu kontaktu. Z Juliette Timmie rozmawiała znacznie częściej, ale Joy była zbyt zajęta – ciągle przesłuchania, pokazy, castingi, role... A w międzyczasie – kelnerstwo.

Objęły się na powitanie. Joy przytuliła się do siostry na długą chwilę, podczas której obie myślały o ojcu.

– Nie mogę uwierzyć, że go już nie ma – powiedziała ochryplym głosem, wchodząc do mieszkania. – Chyba w pewnym sensie wydawało mi się, że będzie żyć wiecznie.

– Wszystkim nam się wydawało – zauważyła Timmie, nalewając jej w kuchni kubek kawy. Miała na sobie inną koszulę w kratę, czyste dżinsy i te same tenisówki Converse, które nosiła poprzedniego dnia. Ten szmaciarski styl, jednakowy dla obu płci, uprawiany był przez wszystkich w fundacji i mało się różnił od tego, jak ubierali się ich bezdomni podopieczni, podczas gdy Joy w swojej minispódniczce wyglądała seksownie, młodo i bardzo w stylu LA. Starsza siostra uśmiechnęła się na jej widok. Joy była bezsprzecznie rodzinną pięknnością, jak zawsze twierdził ojciec. Wyglądała jak wyższa wersja matki, wzbogacona o ogromną dozę seksapilu. Matka miała skromniejszą, bardziej powściągliwą urodę, choć rysy i koloryt były te same.

– Mama przylatuje dziś po południu – powiadomiła ją Timmie. – Esemesowała do mnie trzy godziny temu, kiedy wsiadała do samolotu w Nicei. Powiedziałam jej, że zatrzymasz się u mnie. – Nie było to dla Véronique niespodzianką, jako że Joy niemal zawsze mieszkała u Timmie, ilekroć przyjeżdżała do Nowego Jorku, co zdarzało się bardzo rzadko. Obie siostry lubiły być razem w centrum miasta, dawało im to też szansę na nadrobienie zaległości w kontaktach. Timmie wydawała się starsza i dojrzalsza, choć dzieliły je tylko trzy lata, co stanowiło znacznie większą różnicę, gdy były dziećmi. – Pogrzeb będzie chyba za trzy dni. Mama ustali to na miejscu.

– Wraca potem do Saint-Tropez? – spytała Joy w poczuciu winy, że nie znalazła czasu, by pojechać tam tego lata, no ale Timmie też nie znalazła. I Juliette także nie mogła pojechać, bo nie miała nikogo, kto by ją zastąpił w sklepie z kanapkami. Była tylko dziewczyna, która pomagała jej w piekarni, ta jednak nie mówiła po angielsku i nie nadawała się do obsługi klientów. W ciągu trzech lat Juliette niemal nie miała wolnego dnia, dopiero wczoraj, kiedy umarł ojciec. A teraz chciała wziąć sobie wolne do końca lata, żeby opłakać i uczcić ojca i mieć trochę czasu dla siebie. Ta śmierć, choć oczekiwana, była dla niej szokiem.

– Nie wiem, nie mówiła – odparła Timmie. – Myślę, że wynajęła ten dom do

końca miesiąca, ale chyba czuje się tam samotna. – Ale i w Nowym Jorku Véronique nie miała nic do roboty. To córki wypełniały przez lata jej życie i odkąd dorosły, nastąpiła pustka.

Od czasu do czasu Véronique wspominała, że warto by wrócić do malowania, ale nic dotąd w tym kierunku nie zrobiła. Była kiedyś utalentowaną portrecistką i studiowała na Akademii Sztuk Pięknych w Paryżu, ale kiedy pojawiły się dzieci, zarzuciła malarstwo, twierdząc, że nie ma na nie czasu. Teraz znowu go miała, ale tak dawno już się tym nie zajmowała... Nie wiedziała, czym wypełnić dni. Dużo czytała, jeździła do Paryża i z powrotem, trochę zajmowała się dobroczynnością, ale nie znalazła nic, co by ją naprawdę zafrapowało. Po rozwodzie spotykała się z paroma mężczyznami, ale od czasów Paula nie była z nikim na poważnie. Spędzała z nim wystarczająco dużo czasu, żeby zaspokoić głód towarzystwa i nie czuć zbyt dojmującej potrzeby znalezienia kogoś innego. Timmie zastanawiała się wczoraj wieczorem, czy odejście ojca coś tu zmieni. Może matka będzie teraz bardziej otwarta na innych mężczyzn? Ale Véronique zawsze mówiła, że w wieku pięćdziesięciu dwóch lat jest na to za stara, a Timmie się nie spierała, bo i ona czuła się za stara, mając raptem dwadzieścia dziewięć – czy raczej, w jej przypadku, zbyt zniechęcona. Timmie dość miała mężczyzn niewiernych, chora była na myśl o zdradzie, ale w Véronique nie było tej goroty. Timmie nie miała ochoty próbować jeszcze raz, przynajmniej w tej chwili – w przeciwieństwie do Juliette, w której życiu zamontowane były na stałe obrotowe drzwi dla nieudaczników, i do Joy, która zawsze miała chłopaka, nawet jeśli zwykle nie było go w pobliżu.

– Postaram się wrócić wcześniej – powiedziała Timmie. – Obiecałam mamie, że pójde z nią do Franka Campbella. Jak znam mamę, to wszystko będzie miała zapięte na ostatni guzik jeszcze przed wylądowaniem. – Uśmiechnęły się obie. Tak, to prawda... Matka była bezbłędnie zorganizowana i zawsze miała na wszystko oko. Była idealną matką i żoną i tym ciężiej będzie jej teraz, gdy pozostanie jej do ogarniania tylko własne życie.

Timmie szybko cmoknęła Joy w policzek i wyszła. Będzie dziś w pracy później niż zwykle, o ósmej. Idąc od stacji metra w stronę biura fundacji, znowu myślała o ojcu. Prawie nie istniał w ich życiu, w sensie i dosłownym, i przenośnym, a mimo to stanowił dziwnie silną, łączącą je więź. Ciężko było uwierzyć, że odszedł...

W pracy miała akurat tyle czasu, by uporządkować leżące na biurku teczki, i o dziewiątej pod drzwiami czekały już na spotkanie z nią trzy osoby. Bardzo pożądane było to odwrócenie uwagi od jej własnych sprzecznych uczuć i myśli o zmarłym ojcu.

Zanim samolot wylądował na lotnisku Kennedy'ego, Véronique zdążyła już sporządzić parę list. Będzie musiała zadzwonić do firmy cateringowej, do księdza,

do kwiaciarni, wybrać z Timmie trumnę u Campbella, załatwić co trzeba na cmentarzu, zamówić nekrolog w „Timesie” i poprosić paru znajomych Paula, żeby nieśli trumnę. Jednym mógłby być Bertie, Arnold Sands drugim, ale potrzeba było jeszcze sześciu. Paul nie miał bliskich przyjaciół. Wolał towarzystwo kobiet, a wszystkie jego męskie znajomości były dość powierzchowne – widywał ludzi na przyjęciach i w innych towarzyskich sytuacjach, ale z nikim nie był blisko. Takie chwile jak ta uwydatniały to, co skądinąd wiedziała – że w życiu Paula nie było głębi ani znaczenia. Chodziło mu wyłącznie o rozrywkę, zobowiązań, o ile tylko się dało, skrzętnie unikał. Dlatego trudno było znaleźć ludzi, którym naprawdę na nim zależało – poza Arnoldem Sandsem, jego prawnikiem, który stał się też jego najbliższym przyjacielem i jedynym powiernikiem, jakiego miał. Jakie to dziwne, że Paula już nie ma, pomyślała Véronique. Dobrze, że jest ten pogrzeb do załatwienia... Przynajmniej nie ma czasu, żeby myśleć za wiele, choć smutek i tak się wkradał.

Podszedł przedstawiciel linii Air France, żeby eskortować ją przy wysiadaniu z samolotu, i szybko, jako że nie miała nic do oclenia, przeprowadził ją przez kontrolę imigracyjną i celną. Miała na sobie prostą, czarną bawełnianą sukienkę, stosownie do przyczyny powrotu. Nie była wdową po Paulu, ale niemal się nią czuła. Musiała przypominać sobie samej, tak jak robiła to Timmie w czasie rozmowy, że nie byli już mężem i żoną. Niemniej straciła właśnie kawał historii swego życia, a poza tym przypominało jej to smutek i ból po stracie rodziców, kiedy była młoda. Po ich śmierci nie miała już żadnej podpory oprócz Paula... a teraz już tylko siebie. Od rozwodu, a zwłaszcza w ostatnich latach, nigdy nie polegała na Paulu przy podejmowaniu jakichkolwiek decyzji, a raczej odwrotnie. W miarę jak się starzał, coraz częściej to on zwracał się do niej, gdy miał kłopot czy potrzebował czyjejs rady. W wieku dojrzałym to ona z nich dwojga była mądrzejsza i doskonale o tym wiedział. Oczekiwał, że zdecyduje o wszystkim, co dotyczy dzieci, nie chciał nic wiedzieć o ich problemach, wyłącznie o sukcesach i radościach. Był w każdym calu facetem na dobre czasy. Ona była opoką, fundamentem, na którym zbudowane zostało ich życie, kimś, na kogo zawsze można było liczyć. On – figurantem. Niczym więcej.

Kiedy dotarła do mieszkania, gosposia, Carmina, czekała na nią. Powiedziała, że przykro jej z powodu pana Paula. „Dobry był z niego człowiek” – westchnęła i przeżegnała się. Nie знаła Paula i jego wyskoków z czasów trwania małżeństwa, a dla niej był miły, podobnie jak dla każdego. Łatwo było go lubić, o ile niczego się od niego nie oczekiwało.

Podczas gdy Carmina rozpakowywała bagaże, Véronique przeszła do studia i załatwiła wszystkie potrzebne telefony. Potem wysłała Timmie SMS-a, że już jest w domu, i usiadła przy biurku z filiżanką herbaty, którą zostawiła dla niej Carmina. Pracowała u niej tylko na przychodne. Véronique nie potrzebowała nikogo w nocy

i wolała być sama. Sama też przyrządzała sobie coś do zjedzenia, kiedy była głodna; gdyby ktoś miał przygotowywać dla niej posiłki, odczuwałaby to jako rodzaj presji, niewygodę. Podobnie było to zorganizowane w Paryżu: służąca przychodziła tylko w ciągu dnia. Kiedy dziewczęta dorosły, Véronique uprościła swoje życie i zatrudniała bardzo nieliczny personel. Paul, kiedy byli razem, a dziewczynki były jeszcze małe, upierał się przy licznej służbie. Obecny stan odpowiadał Véronique o wiele bardziej. Nie lubiła, żeby przy niej skakano, choć cieszyła się, że ma Carminę, zwłaszcza że mieszkanie przy Piątej Alei było dość obszerne.

Były tu dwa pokoje dla gości i własny apartament Véronique. Z okien roztaczał się piękny widok na Central Park, a rozległe ściany stanowiły znakomitą powierzchnię do ekspozycji dzieł sztuki. Véronique nadal miała w posiadaniu wybitną kolekcję prac impresjonistów, zgromadzoną przez ojca, z których kilka posłała do Paryża. W mieszkaniu nowojorskim wisiało parę Renoirów, dwa Degasy, Pissarro, Mary Cassat, którą Véronique umieściła u siebie w sypialni, uwielbiany przez nią Chagall, w jadalni Picasso, a oprócz tego niezliczone mniejsze płótna autorstwa Corota i innych artystów plus seria rysunków Renoira. Mieszkanie było eleganckie, utrzymane w kojących tonach. Lubiła rzeczy proste, ale doskonałej jakości, i zawsze miała namiętność do sztuki.

W holu prowadzącym do sypialni powiesiła kilka portretów własnego pędzla, w tym jeden ojca. Malowała wielkie, imponujące oleje, w stylu Johna Singera Sargenta. Nie było wątpliwości, że miała talent, choć od lat nic z nim nie robiła. Od czasu do czasu szkicowała, ale to wszystko. Namalowała też śliczne portrety córeczek, wiszące w garderobie. Jedną z jej wielkich fascynacji było studiowanie i wyszukiwanie falsyfikatów; wiedziała, że jej ojciec też się tym interesował. Ale i tą ścieżką nie podążała, choć miała oko do fałszerstw. A jej matka malowała akwarele, łagodne i spokojne w tonacji, które Véronique umieściła w pokojach gościnnych. Sztukę miała w genach, choć żadna z córek nie wykazała nigdy ochoty do rysowania czy malowania. Wyglądało na to, że namiętność do sztuki w ich rodzinie przeminie wraz z Véronique.

O czwartej zadzwoniła Timmie i powiedziała, że pójdzie z nią do Franka Campbella i że Joy także postanowiła do nich dołączyć. Spotkały się na dole w lobby jej budynku. Timmie wciąż miała na sobie robocze ciuchy, a Joy przebrała się w czarną, jeszcze krótszą spódniczkę i pantofle na wysokich obcasach. Wyglądała, jakby zeszła wprost z okładki „Vogue”. Véronique bardzo się ucieszyła na widok córek, ucałowała je i podziękowała, że zechciały się z nią spotkać.

Wszystkie trzy, każda piękna na swój sposób, spotkały się z kierownikiem zakładu, by omówić organizację pogrzebu Paula, a w wieczór poprzedzający – pożegnania. Paul nie był religijny, ale Véronique tak, choć nie przewidywała żadnej ostentacji. Tego popołudnia rozmawiała z księdzem w parafii św. Ignacego i

ustalili, że msza żałobna odbędzie się za dwa dni. Kiedy więc usiadły w biurze kierownika, miała już wszystkie potrzebne informacje, co nie było zaskoczeniem dla żadnej z dziewczyn. Pogrzeb ojca był już zaplanowany.

Szef domu pogrzebowego cały czas zwracał się do Véronique jako do wdowy; nie miało sensu wyjaśniać, że byli od dwudziestu lat rozwiedzeni. Po uporaniu się z przykrym obowiązkiem wszystkie trzy wróciły do mieszkania Véronique, gdzie dołączyła do nich Juliette. Zbyt była przygnębiona, żeby spotkać się z nimi w zakładzie pogrzebowym. Zaledwie weszła do mieszkania, potargana i nieszczęśliwa, natychmiast wybuchnęła płaczem i siedziała, łkając w ramionach starszej siostry. Timmie powstrzymała się od zgryźliwych uwag na temat ojca, ale Joy widziała po jej oczach, co myśli. Nie było dla nich tajemnicą, jak krytyczna była zawsze Timmie wobec niego.

Godzinę trwało, zanim Juliette się uspokoiła, po czym przeszły do kuchni, żeby coś zjeść. Carmina już wyszła. Véronique zaproponowała, żeby zamówić coś z dostawą do domu, ale żadna, jak się okazało, nie była głodna. Juliette przyniosła pudełko ciastek, ale i ciastek nie chciały. Lekko zaokrąglona sylwetka Juliette stanowiła dowód, że próbuje ona własnych wypieków, ale siostry i matka były znacznie bardziej uważne w kwestii tego, co jedzą, i było po nich to widać. Ciastka pozostały nietknięte, tylko Juliette skubała po trochu czekoladowego croissanta.

– Nie mogę uwierzyć, że on nie żyje – westchnęła Juliette już chyba po raz setny, a Joy przyznała, że ona też. Véronique miała takie samo uczucie, ale jej uwagę odwracały szczegóły pogrzebu, który organizowała jako ostatni hołd dla ojca jej dzieci i człowieka, którego dawno temu tak namiętnie kochała. Kwiaty miały być okazałe, wybrała też muzykę, którą szczególnie lubił. To miał być jej ostatni dar dla niego i chciała, żeby był tak dystyngowany i elegancki, jak pragnęły tego Paul. Żył stylowo i równie stylowo opuszczał ten świat.

Siedziały w kuchni przez dwie godziny, pijąc herbatę i rozmawiając. Pod koniec Timmie odważyła się wspomnieć, że Juliette opłakuje ojca, jakim Paul wcale nie był.

– Jak możesz tak mówić! – odparła natychmiast Juliette. – Był wspaniałym ojcem!

Timmie zacisnęła zęby i nic nie powiedziała, a Véronique odwróciła ich uwagę, mówiąc o kolejnych szczegółach pogrzebu. Dobrze, że się udało, pomyślała. Zwłaszcza dziś nie chciała, żeby się pokłóciły, choć wiedziała, że Timmie mówi prawdę. Juliette przez całe życie miała złudzenia co do ojca... Ale choć powiedziała, że rozmawiali ze sobą niemal codziennie, żadna jej nie wytknęła, że to ona zawsze do niego dzwoniła. W końcu Timmie i Joy wróciły do siebie, do centrum, a Juliette – do swojego samotnego mieszkania w Brooklynie.

Nazajutrz wieczorem miały wszystkie pójść na pożegnanie, dzień później na pogrzeb, rano zaś „Times” miał zamieścić notkę o pogrzebie. Véronique załatwiła

dwa samochody, które miały zawieźć dziewczyny tu i tu. Chciała im wszystko maksymalnie ułatwić. Wiedziała, jak to jest stracić ojca, a nikt jej wtedy niczego nie ułatwiał. Miała poczucie, że choć tyle może dla nich zrobić. To było dla niej typowe – koncentracja na tym, by ułatwić im życie, choć tego nie zauważały i przywykły, że matka, na swój spokojny, metodyczny sposób, zawsze dba o wszystkich wokół. Robiła to przez całe ich życie.

Po wyjściu córek Véronique siedziała pogrążona w myślach. Bała się jutrzejszych i pojutrzejszych uroczystości. Nie mogła się powstrzymać od myśli, że Paul po raz kolejny zostawił wszystko na jej głowie – pocieszenie dzieci, zadbanie o każdy szczegół, pospłacanie wszystkich rachunków. Ta postawa stale mu towarzyszyła, również kiedy żył. I tak samo było, kiedy umarł. Nieoczekiwanie jednak zatęskniła za tym, żeby móc do niego zadzwonić. Nie miała przyjaciół, z którymi chciałaby się podzielić tym, co przeżywa; większość i tak by nie zrozumiała. Zbyt nietypowa była ich relacja na tle innych rozwiedzionych par, zwłaszcza że Paul niespecjalnie spisywał się w roli ojca i męża. Niemniej był jej przyjacielem, i to przez ponad połowę jej dorosłego życia. Wiele utraciła z jego śmiercią, a przy tym miał w sobie dawną, zeszlowieczną klasę, elegancję i szyk.

Uroczystość pożegnania, która odbyła się nazajutrz, była prosta i oficjalna. Długa kolejka ludzi, których Véronique nie знаła, przysłała wpisać się w wyłożonej przez nią oprawnej w skórę księdze. Były tam ładne młode kobiety, młodsze od jej córek, które się nie przedstawiały, były dobrze ubrane pary i wielu mężczyzn w wieku Paula, jego bliższych i dalszych znajomych. Nieliczni tylko uścisnęli rękę Véronique i wyrazili swoje współczucie, a niektórzy zerkali na Timmie, Juliette i Joy, w prostych czarnych sukienkach, stojące z poważnymi minami obok matki. Po uroczystości wróciły wszystkie do domu, kompletnie wyczerpane.

Nazajutrz wszystko odbyło się mniej więcej tak samo, tylko na większą skalę. I ku zaskoczeniu Véronique, żałobnicy wypełnili niemal cały kościół. W powietrzu wisiała ciężka woń białych kwiatów, wypełniających wielkie wazony porozstawiane po kościele, trumnę zaś, z ciemnego mahoni, pokrywał dywan maleńkich białych orchidei. Véronique udało się też znaleźć dwóch znajomych Paula, którzy mieli nieść trumnę wraz z Bertiem i Arnoldem, a czterech pozostałych dostarczył zakład Franka Campbella.

Bertie nie przyszedł poprzedniego wieczoru na pożegnanie, pokazał się jednak dziś przed rozpoczęciem nabożeństwa, by przywitać się z Véronique i dziewczynami. Z zaskoczeniem stwierdziły, że przyprowadził ze sobą jakąś młodą kobietę. Miała na sobie krótką czarną spódniczkę, jedwabną czarną bluzkę z głębokim dekoltem i szpilki, była przesadnie umalowana i wyglądała na znudzoną. Nie odezwała się do nich ani słowem, a Bertie jej nie przedstawił. Nie miały pojęcia, czy to jego dziewczyna, czy zwykła znajoma, którą zabrał dla towarzystwa. Nie zadał sobie trudu, żeby to wyjaśnić, i nikt go nie pytał.

Bertie wyglądał na lekko poirytowanego tym, że musi tu być, choć miał na sobie stosowny czarny garnitur, białą koszulę, czarny krawat od Hermès'a i drogie, nienagannie lśniące półbuty. Był równie przystojny jak jego ojciec. Odziedziczył po nim wygląd, ale nie serce. Paul był skoncentrowanym na sobie narcyzem, ale miał też w sobie ciepło. W spojrzeniu, jakim Bertie obdarzył macochę i przyrodnie siostry, było wyrachowanie i lodowaty chłód. Véronique zaprosiła go, żeby usiadł z nimi w pierwszej ławce – bądź co bądź, był synem Paula. Kiedy ustawiono trumnę, wśliznął się do ławki wraz z towarzyszką i w oczekiwaniu na rozpoczęcie nabożeństwa cały czas z nią szeptał.

Po nabożeństwie i matka, i córki zgodziły się, że było bardzo ładne, takie, jakiego wart był ojciec. Pod kościołem ludzie uścisnęli sobie dłonie i rodzina pojechała na cmentarz Woodlawn w Bronksie, gdzie ksiądz powiedział parę słów, po czym złożono trumnę w rodzinnym grobie Véronique. Nie wiedziała, gdzie indziej mogłaby Paula pochować; nie chciała wykupywać pojedynczego, samotnego grobu, no i przypuszczała, że dziewczyny będą chciały mieć go na cmentarzu wraz z resztą rodziny. Rodzice Véronique też byli tu pochowani.

Bertie miał osobny samochód, którym wrócił do miasta wraz z towarzyszką, która, jak się do tego czasu zorientowały, miała na imię Debbie. Dołączyli do gości w mieszkaniu Véronique, gdzie w jadalni firma cateringowa urządziła doskonale zaopatrzone bufet. Wszędzie stały białe kwiaty, a ponad setka ludzi, czekając na ich przyjazd z pogrzebu, jadła, piła i rozmawiała. Jediną osobą, którą знаła Véronique w tym tłumie, był Arnold. Na jej widok twarz mu się rozjaśniła i podszedł do niej i dziewcząt.

– Wygląda, jakby to było wesele – mruknęła Timmie z dezaprobatą do Joy, która pokiwała głową. Matka fantastycznie ojca uhonorowała, co nie było dla nich zaskoczeniem. – Jak myślisz, zrobiła to dla niego, dla siebie czy dla nas? – spytała na głos.

– Pewnie z wszystkich trzech powodów – odparła Joy, a Arnold tymczasem objął ich matkę. Wszystkim od lat było wiadomo, że ma do niej słabość i chętnie posunąłby się dalej, Véronique jednak nie czuła podobnej skłonności i choć traktowała go życzliwie, zawsze stawiała jasno tę sprawę. Lekko po sześćdziesiątce, był atrakcyjnym, od wielu lat rozwiedzionym mężczyzną, odniósł też znaczny sukces zawodowy. Véronique okazywała mu jednak zainteresowanie wyłącznie jako prawnikowi Paula i jego najbliższemu przyjacielowi. Jakikolwiek były jego aspiracje i pragnienia, dla niej na tym sprawa się kończyła.

– Znakomicie wszystko zorganizowałaś – skomplementował ją Arnold, a Véronique uśmiechnęła się i mu podziękowała. Juliette, wciąż przygnębiona i rozbita po pogrzebie, poszła do bufetu. *Ave Maria* ją niemal rozwaliło i nakładając sobie jedzenie na talerz, wciąż wyglądała na wstrząśniętą. Joy i Timmie stały, rozmawiając po cichu. Żadna z nich nie znała nikogo z obecnych w pokoju gości.

Wyglądali na to, czym byli – kawiorową elitą, ludźmi, którzy znali Paula dość powierzchownie, mimo to przyszli i smakowali teraz atmosferę przyjęcia w domu jego byłej żony.

– Twoja matka musiała na to wydać majątek – zrobił nieprzyjemną uwagę Bertie, zwracając się do Timmie. Spojrzała na niego nieprzyjaźnie.

– Widocznie uważała, że tato na to zasługuje – odparła surowo. Joy stała, zastanawiając się, czy fajerwerki wybuchną jak należy, gdy podszedł do nich Arnold. Byli teraz razem, wszystkie trzy siostry i Bertie; Véronique mówiła coś do jednego z kelnerów, który nalewał białe wino i szampan dla gości.

– Chciałbym coś zaproponować, skoro widzę was wszystkich razem – powiedział spokojnie Arnold. – Nie ma już czegoś takiego jak oficjalne odczytywanie testamentu, ale skoro jest w mieście i Joy, może byśmy spotkali się jutro u mnie w kancelarii i załatwili to? Będziemy w ten sposób mogli pogadać, a ja – odpowiedzieć na wasze pytania, jeśli będziecie je mieli.

Pomysł wydawał się rozsądny i nie zabrzmiało to w jego ustach złowieszczo. Żadna z dziewczyn nie spodziewała się, że ojciec pozostawił po sobie jakiś majątek, a jedyną jego własnością, o jakiej wiedziały, był zamek we Francji, o ile nie był w całości obciążony hipoteką. Nikt nie wiedział, jak z tym jest naprawdę. Ojciec nigdy nie był zbyt skrupulatny w sprawach pieniężnych.

– Jak dla mnie, pomysł jest w porządku – powiedział Bertie, wyraźnie zainteresowany, a dziewczyny skinęły głowami, zaskoczone. Żadna z nich nawet nie pomyślała dotąd o testamencie.

– Będziecie wszyscy mieli czas? – upewnił się Arnold i w tej samej chwili podeszła Véronique.

– Na co? – spytała.

– Pomyślałem, że moglibyśmy jutro załatwić sprawę testamentu i mieć to za sobą – wyjaśnił Arnold. – Moim zdaniem byłoby miło, gdybyś przyszła i ty.

Véronique zrobiła zdziwioną minę. Nie spodziewała się, że Paul jej cokolwiek pozostawi, skoro wszystko, co miał, dostał od niej; zakładała, że zapisze to dziewczynom. Plus coś dla Bertiego, ale z pewnością nic dla niej.

– Nie będzie wam przeszkadzało, jeśli przy tym będę? – spytała. Córki odparły, że tak wolą, a Bertie stwierdził, że wszystko mu jedno. Nietrudno było zauważyć, że interesowało go wyłącznie to, co pozostawił mu ojciec.

– Czy dziewiąta rano wam odpowiada? – spytał Arnold, a wszyscy spadkobiercy wraz z matką potwierdzili skinieniem głowy.

– W takim razie do zobaczenia. – Uśmiechnął się i wkrótce potem opuścił przyjęcie. Bertie wyszedł niedługo po nim, a Timmie na odchodnym poradziła mu, żeby nie przyprowadzał na jutrzejsze spotkanie Debbie.

– To chyba jasne – odparł, patrząc na nią z pogardą. Timmie zawsze potrafiła go rozwścieczyć. Robiła to celowo – nie znosiła go, co w pełni odwzajemniał.

Kiedy wychodzili, Debbie nie odezwała się ani słowem do Véronique ani do dziewczyn, rozmawiała wyłącznie z Bertiem.

Reszta gości ulotniła się dwie godziny później, po uprzednim zjedzeniu wszystkiego, co było w bufecie, i wypiciu zaskakujących ilości szampana. Timmie zrobiła uwagę, że przyszli po to, żeby się za darmo najeść i nażłopać, a nie dla ojca, a Véronique spojrzała na nią z dezaprobatą. Gdy w końcu dziewczyny poszły do siebie, i matka, i córki były wykończone.

Kiedy Véronique została sama, czuła się tak, jakby przejechał ją autobus. Żałowała, że zgodziła się na jutrzejsze spotkanie w kancelarii Arnolda. Nie miała powodu, żeby tam iść, i wydawało jej się to niekonieczne. Była wyczerpana emocjonalnie i jedyne, czego pragnęła, to wyspać się do woli. No, ale się zgodziła, nie chciała teraz tego odwoływać i denerwować dziewcząt. Rozebrała się, położyła do łóżka i natychmiast zasnęła, nie wyłączając nawet światła. Ulgę sprawiała jej świadomość, że zorganizowała wszystko jak należy i Paul odszedł na wieczny spoczynek dokładnie tak, jak by tego pragnął, z całą pompą i elegancją, na jakie we własnej opinii zasługiwał.

Rozdział 3

Nazajutrz rano Véronique ruszyła do kancelarii Arnolda na ostatni rozdział tej udreki. Wczorajsze uroczystości pogrzebowe były wystarczająco ciężkie... Kiedy poznają szczegóły ostatniej woli Paula, będą mogły zostawić to wszystko za sobą i zająć się własnymi sprawami. Timmie i Joy były do tego gotowe, Juliette zamierzała zamknąć swój sklep z kanapkami na cały sierpień, aż do Dnia Pracy. W drodze do kancelarii Véronique zastanawiała się, kiedy jechać z powrotem do Francji. Dom w Saint-Tropez wynajęty był do końca miesiąca, ale nie miała nastroju, żeby tam wracać. Paryż był latem martwy, więc i tam nie miała ochoty siedzieć, a Nowy Jork był zbyt upalny... Nie zawracała sobie wcześniej głowy planami na sierpień i teraz nie była pewna, co robić. Dotarła na miejsce, nie podjąwszy żadnych decyzji, i stwierdziła, że przybyła jako pierwsza. Korków było mniej, niż przypuszczała.

– Fantastycznie wczoraj wszystko zorganizowałaś. I nic dziwnego – powiedział ciepło Arnold i francuskim obyczajem ucałował ją na powitanie w oba policzki, po czym uściśnął odrobinę zbyt mocno. Zawsze okazywał jej więcej ciepła i życzliwości, niżby chciała. Przez parę minut rozmawiali o dziewczętach, po czym niemal równocześnie pojawili się wszyscy pozostali. Bertie miał na sobie kolejny dobrze skrojony garnitur, białoniebieską koszulę i granatowy biznesowy krawat. Wyglądał jak dobrze prosperujący bankier, a nie cwaniak, którym był.

Arnold wprowadził ich do sali konferencyjnej. Sekretarka zaproponowała kawę lub herbatę, ale wszyscy zgodnie podziękowali. Chcieli jak najszybciej zakończyć spotkanie i mieć za sobą sprawy formalno-biznesowe związane ze śmiercią ojca. Joy miała już zamówiony na popołudnie lot do Los Angeles, bo – jak mówiła – nazajutrz ma przesłuchanie do jakiejś rólki w operze mydlanej, a poza tym wzywa ją do powrotu restauracja, gdzie pracowała przez pięć wieczorów w tygodniu. Lokal był często odwiedzany, a napiwki obfite, mogła dzięki nim opłacić czynsz za mieszkanie, nie chciała więc, żeby szefostwo było wściekle albo przyjęło kogoś na jej miejsce.

– Przez ostatni rok – zaczął z powagą Arnold – obszernie dyskutowaliśmy z waszym ojcem, o ile tylko był w stanie rozmawiać, kwestię jego ostatniej woli. Zanim przystąpię do jej odczytania, chcę powiedzieć, że zapisy, jakie sporządził, są nieco niekonwencjonalne, co też było jego zamiarem. Nasze poglądy na to, jak zadysponować majątkiem, różniły się, przy czym muszę przyznać, że jego pomysły były bardziej twórcze niż moje. Ogromne znaczenie miała dla niego świadomość, że kiedyś odziedziczyicie znaczny majątek po matce i że w związku z tym wasza przyszłość jest zabezpieczona, dlatego był przekonany, że może sobie pozwolić na pewną swobodę w patrzeniu na te sprawy. Pragnął zaspokoić wasze doraźne

potrzeby, a nie długofalowe, które są odpowiednio zabezpieczone.

Arnold, podobnie jak Paul, zdawał sobie sprawę, że taka była życiowa filozofia Véronique: dziewczyny mają same zarabiać na życie, bez względu na to, co odziedziczą po niej w przyszłości. Chciała być dla nich czymś w rodzaju siatki ochronnej na okoliczność nagłych wypadków, a nie źródłem gotówki na codzienne wydatki. Oczekiwała, że same zarobią na życie, i rzeczywiście zarabiały wszystkie trzy, i to z dużą energią. Paul się z nią nie zgadzał, uważał, że powinna być bardziej hojna, ona jednak uparcie obstawała przy swoim. Nie chciała, żeby wyrosły na zepsute bogaczki i żyły jak ich ojciec, szastając cudzymi pieniędzmi, tak jak on szastał jej. Uważała, że nie jest to dla nich odpowiedni wzorzec. Arnold był pod wrażeniem lekcji, jaką starała się im przekazać, nawet jeśli Paulowi się to nie podobało. Sprawiała, że były samowystarczalne, bez względu na stan posiadania matki i to, co po niej odziedziczą w przyszłości. I z pewnością nie były ani leniwe, ani zepsute, czy akceptowała ich zawodowe wybory, czy też nie.

– Tak więc – podjął Arnold – jego ostatnia wola odzwierciedla to podejście: chciałby, aby to, co wam pozostawia, miało dla was znaczenie już teraz, jako że waszą dalszą przyszłość zabezpiecza matka. I właśnie dlatego przeznacza dla każdej z was sumy niejednakowe, co również jest niekonwencjonalne, ale jak sądził, wychodzą one naprzeciw temu, czego każda z was może potrzebować w ramach tego, co aktualnie robi ze swoim życiem. W żadnym razie nie jest to natomiast wyrazem, jak sam to ujmuje w testamencie, jakichkolwiek różnic w miłości, jaką was wszystkie obdarza.

Powiódł wzrokiem po obecnych, a Véronique zauważyła, że Bertie ma na twarzy wyraz nadziei i lekkiego zniecierpliwienia. Nie obchodziła go ojcowska argumentacja, interesowało go wyłącznie to, ile dostał.

– Wasz ojciec chciał, żeby każda dostała to, z czego najbardziej skorzysta, i był w tej sprawie bardzo konkretny – kontynuował Arnold. Dziewczyny zgodnie skinęły głowami, a Arnold wziął do ręki testament Paula i przystąpił do jego odczytywania. Miał kopię dla każdej ze spadkobierczyń, ale na razie im ich nie rozdał. Wolał przedtem wszystko wyjaśnić sam.

– „Mojej córce Timmie, którą kocham i niezwykle podziwiam, pozostawiam kwotę następującą...” – Arnold wymienił sumę, a Timmie zaokrągliły się ze zdumienia oczy. I jej, i innym wydała się kolosalna. – „Moim życzeniem jest, by kupiła za nią dom, w okolicy, którą uzna za odpowiednią, z przeznaczeniem na własną placówkę pomocy ludziom ubogim, na rzecz których pracuje, i otworenie własnej fundacji, tak by mogła czynić jak najwięcej dobra, przy czym pozostawiam jej pełną swobodę co do szczegółów przedsięwzięcia. Jestem w pełni przekonany, że zrobi to znakomicie, a działając na własną rękę, będzie mogła pomagać skuteczniej niż dotąd. W ten sposób, pośrednio, będę mógł i ja wesprzeć ludzi, którym nie pomogłem nigdy w życiu. Mam nadzieję, że ten zapis nieco polepszy

jej marną opinię o mnie jako o człowieku samolubnym. Istotnie nim byłem, teraz jednak pragnę wesprzeć ją, a za jej pośrednictwem ludzi będących w potrzebie”.

Timmie słuchała i łzy powoli przesłaniały jej wzrok. Nigdy nie spodziewałaby się tego po ojcu... Matka i siostry, też z mokrymi oczami, uśmiechały się do niej z aprobatą.

– Nie wiem, co powiedzieć – szepnęła, głęboko wzruszona.

– Przeanalizowaliśmy do spółki z twoim ojcem ten temat i suma, jaką ci zapisuje, wydaje się odpowiednia, by pokryć koszt domu, o którym mówi, oraz na rozpoczęcie działalności. Twoja suma jest największa – uściślił Arnold, również na rzecz pozostałych spadkobierców. Wszyscy skinęli głowami, przy czym dziewczyny nie wyglądały na zawiedzione, na twarzy Bertiego pojawiło się jednak napięcie. Kwota wydała mu się za wielka, wątpił też, by ojciec miał cztery razy tyle, by obdzielić wszystkich, czy choćby w przybliżeniu.

– „Dla mojej ukochanej córki Juliette” – podjął Arnold – „przeznaczam stosowną kwotę, by mogła w swojej piekarni i sklepie zatrudnić personel i menedżera, co pozwoli jej pracować mniej ciężko niż dotąd, podróżować, jeśli zapragnie, i mieć więcej czasu dla siebie. Kwota wystarczy jej również na wprowadzenie jakichś ulepszeń i rozwinięcie interesu, jeśli takie będzie jej życzenie. Ale, droga Juliette, chcę, żebyś zaczęła żyć pełną piersią. Jesteś wspaniałą kobietą i powinnaś zobaczyć więcej świata, niż widziałaś dotychczas”.

Kwota była spora, choć znacznie mniejsza niż ta, którą pozostawił Timmie, i Juliette załkała, przepelniona wdzięcznością. Nigdy nie potrzebowała ani nie pragnęła zbyt wiele i to, co jej zapisał, wydało jej się więcej niż hojne. Uśmiechając się przez łzy, spojrzała na siostry i uściśniła rękę siedzącej obok Timmie. Nie zazdrościła starszej siostrze, że ojciec pozostawił jej więcej – nie wiedziałyby, co zrobić z taką sumą. A jeśli Timmie miałyby otworzyć schronisko dla bezdomnych, nawet na niewielką skalę, to i tak będzie potrzebowała znacznie więcej pieniędzy, niż ona na ulepszenia i zatrudnienie personelu, tak by mogła od czasu do czasu wyjechać. Ojciec dobrze wszystko policzył i przykroił zapisy stosownie do ich potrzeb, właśnie tak, jak powiedział Arnold. I najwyraźniej bardzo starannie to przemyślał.

– „Zaś co do mojej ślicznej najmłodszej córki, Joy” – ciągnął Arnold – „to choć wiem, że jej matka nie akceptuje jej aktorstwa, wierzę, że ma prawdziwy talent i chciałbym być aniołem, który pomoże jej spełnić marzenia. Suma, którą jej zapisuję, przeznaczona jest na zatrudnienie przez nią porządnego menedżera, w miarę możliwości najlepszego w LA, tak by zaczęła odnosić zawodowe sukcesy i przyciągnęła uwagę lepszego niż dotąd agenta. Wystarczy jej to także na naukę aktorstwa u najlepszego nauczyciela w LA, jak również na życie przez dwa lata, tak by mogła przestać pracować jako kelnerka i w pełni skupić się na zawodzie aktorki. Umożliwi jej to odniesienie sukcesu, na który zasługuje”. – Suma, którą

ustalili z Arnoldem, otwierała dla niej ścieżki dotąd niedostępne z powodu braku pieniędzy, jako że Véronique nie wspierałaby finansowo kariery aktorskiej, której nie akceptowała.

Joy słuchała, cała rozpromieniona. Zerknęła ze skrucą na matkę i z ulgą zobaczyła, że i ona się uśmiecha. Uśmiechały się wszystkie. Joy wiedziała, że kwota, którą pozostawił jej ojciec, jest więcej niż wystarczająca, by zawodowo zrobiła wielki krok naprzód. Było to dokładnie to, czego potrzebowała, i brzmiało dla niej cudownie.

Bertie wiercił się niecierpliwie na krześle. Dość miał słuchania o dziewczynach i ich marzeniach. Chciał usłyszeć o sobie.

– „Ponadto” – czytał dalej Arnold, a Bertiemu wyraźnie ulżyło: w końcu docierają do części, gdzie będzie mowa o nim – „zapisuję zamek w polizu St. Paul de Vence, w czterech równych częściach, moim trzem córkom: Timmie, Juliette i Joy, oraz” – Arnold jakby zawahał się na moment – „mojej czwartej córce, Sophie Agnès Marnier, córce Elisabeth Marnier, z którą byłem przez kilka lat w intymnym związku. Zdaję sobie sprawę, że istnienie Sophie, jak również jej matki, będzie szokiem dla moich dzieci i dla Véronique, i przepraszam je za to. Istnienie Sophie i jej matki w najmniejszym stopniu nie umniejsza mojej miłości dla trzech starszych córek ani dla Véronique, gdy byliśmy małżeństwem. Tamta historia miała miejsce dawno temu, a teraz, umierając, chcę uznać moją najmłodszą córkę i zrobić dla niej coś, czego nie robiłem za życia. Chcę, by była wraz z siostrami współwłaścicielką zamku, czyli na każdą z nich przypada jedna czwarta jego wartości. Zapisuję jej także fundusze, jakie pozostaną po obdzieleniu trzech starszych córek. Będzie to znacznie mniejsza kwota niż to, co przypadnie w udziale im, niemniej przyda się Sophie i ujmie trochę ciężaru jej matce. Przynajmniej tyle mogę teraz dla nich zrobić”.

W pomieszczeniu zapadła martwa cisza. Nikt się nie poruszył, nikt nie wymówił słowa, nikt nawet nie oddychał. Nawet Véronique, która wyglądała, jakby zmieniła się w kamień. Najbardziej zszokowany wygląd miała Joy. Zawsze myślała, że jest ukochaną najmłodszą córeczką, pupilką ojca, a tu się okazuje, że istnieje córeczka jeszcze młodsza... i że w ogóle nigdy nie była żadną pupilką! Wszyscy byli oszołomieni.

– Ile ona ma lat? – spytała w końcu zdławionym głosem Véronique. Arnold wiedział, że odpowiedź będzie dla niej bolesna.

– Sophie ma dwadzieścia trzy lata. Jest o trzy lata młodsza od Joy.

Oboje wiedzieli, co to znaczy. Paul był jak najbardziej żonaty z Véronique, gdy wdał się w romans z matką Sophie. Urodziła się na trzy lata przed rozwodem, kiedy wszystko między nimi było rzekomo jak najlepiej i Véronique nie miała jeszcze pojęcia o jego przygodach. Dowiedziała się o nich dopiero po rozstaniu i stanowiło to dla niej szok, ale nazwisko Elisabeth Marnier nic jej nie mówiło.

Udało mu się utrzymać wszystko w tajemnicy aż do tej chwili... I najwyraźniej było to coś poważnego, skoro mieli dziecko! Véronique wiedziała, że nie powinno jej to dziwić po wszystkim, co już wiedziała o Paulu, a jednak dziwiło. No i że potrafił to przed nią zataić przez te wszystkie lata!

Dziewczyny milczały. Bertie był czerwony jak burak. Słuchał uważnie i potrafił liczyć. Cztery córki zostały współwłaścicielkami zamku, z wyłączeniem jego, a wszelkie pozostałe fundusze dostały się nieślubnej córce ojca, Sophie, co oznacza, że dla niego nie zostało nic.

– „Zaś dla mojego syna Bertranda” – podjął Arnold – „któremu sfinansowałem już chyba tuzin rozmaitych przedsięwzięć, z których żadne się nie powiodło z powodu braku trzeźwego osądu, dobrych praktyk i solidnego biznesplanu, i którego macocha pomagała mu w znacznie większym stopniu niż ja, kiedy był młodszy, lecz z równie miernym skutkiem, mam przekaz następujący: miałeś o wiele korzystniejszą sytuację niż siostry i dysponowałeś znacznie większymi pieniędzmi niż te, które im obecnie zapisuję, a dotąd nie dostały one ode mnie ani grosza. W mojej ocenie otrzymałeś już znacznie więcej, niż wynosiłby twój uzasadniony udział w moim majątku, plus pomoc ze strony macochy, a obawiam się, że cokolwiek pozostawiłbym ci obecnie, zostałyby zmarnowane tak samo jak wcześniej otrzymane kwoty. Kocham cię, synu, i wiem, że to dla ciebie przykra lekcja, teraz jednak musisz sam na siebie zapracować, uczciwie zarabiać na życie i nauczyć się tego, czego bez powodzenia usiłowaliśmy cię nauczyć wraz z Véronique. Powinieneś zbudować własną karierę i własny majątek bez niczyjej pomocy, bez chodzenia na skróty, i osiągnąć w ten sposób rezultaty, na których ci zależy. A choć ta decyzja może ci się wydawać brutalna, bądź pewny, synu, że cię kocham”.

Arnold zakończył odczytywanie testamentu. Bertie zerwał się z miejsca i z furią spojrzał na Véronique i dziewczyny.

– Wy suki! Wszystkoście z niego wycykały, boście łąziły do niego, całowały go w tyłek, jęczałyście i obmawiałyście mnie przed nim! I ty! – zwrócił się wściekle do Véronique. – Ta twoja wieczna świętoszkowata gadka, jak to trzeba samemu na wszystko zapracować, to twoje udawanie, że jesteś biedna, to skłanianie ludzi, żeby płaszczyli się przed tobą i żebrali o kasę... To przez ciebie, to ty go namówiłaś, żeby mnie wystawił do wiatru, tak żeby twoje córeczki mogły wszystko zgarnąć!

Wszyscy wiedzieli, że nic z tego, co powiedział, nie było prawdą. Dziewczeta nigdy nie skarżyły się przed ojcem ani niczego od niego nie oczekiwały, a Véronique nigdy nie udawała biednej ani nie chciała, żeby dzieci żebrały u niej o pieniądze. Chciała, żeby miały uczciwe zajęcia i umiały zarobić na życie, a jak powiedział w testamencie Paul, dla Bertiego zawsze była o wiele hojniejsza i bardziej tolerancyjna niż kiedykolwiek dla córek. Chciała mu zastąpić

matkę, której nie miał. Zawsze było jej go żal z tego powodu i robiła dla niego ustępstwa, których ani nie doceniał, ani na nie nie zasługiwał. Bertiego zaślepiła jednak furia.

– Czy to wszystko, jeśli chodzi o mnie? – zwrócił się do Arnolda, który skinął głową.

– Tak, Bertie, to wszystko. Przykro mi. Ojciec uważał, że ci w ten sposób pomoże. – I Arnold się z tym zgadzał, choć nie powiedział tego na głos. Bertie był utracjuszem najgorszego sortu i bez sensu byłoby dawać mu cokolwiek. Dziewczyny zrobią lepszy użytek z pieniędzy Paula, spożytkują je konstruktywnie. Bertie przepuściłby je na jakieś nierealne pomysły i Paul zdawał sobie z tego sprawę. Był realistą, jeśli chodzi o syna.

– No, to jeszcze zobaczycie! – rzucił z pogroźką w głosie w stronę Véronique i dziewcząt. – Na tym się nie skończy, o nie! – Po czym wymaszerował z sali konferencyjnej i trzasnął drzwiami.

Dziewczyny milczały.

Był to dzień niespodzianek i silnych wrażeń zarówno dla Véronique, jak i dla wszystkich pozostałych. Wiadomość, że ojciec ma pozamałżeńską córkę, była o wiele bardziej zaskakująca i przykra niż wszystko, co powiedział Bertie, czy fakt, że został wykluczony z testamentu, choć było to zdumiewające także i dla nich. Przypuszczały, że Bertie będzie miał udział we wszystkim, co posiadał ojciec. Nigdy by im nie przyszło do głowy, że nie dostanie nic i że pojawi się nowa siostra... Véronique wciąż była blada i wstrząśnięta do głębi, a dziewczyny zaczęły wszystkie naraz wypytywać Arnolda o Sophie.

Arnold jednak przywołał je jeszcze raz do porządku. Było coś więcej.

– „A mojej byłej żonie Véronique, którą bardzo kocham i która jest najbardziej niezwykłą kobietą, jaką znam, pozostawiam moją miłość, moje serce, wspomnienia oraz pewną prośbę. Proszę, by wróciła do malowania. Masz wielki talent, Véronique, i nie powinnaś go zaniedbywać. Ponadto zapisuję ci obraz, który kupiliśmy podczas miodowego miesiąca w Wenecji, przypisywany Belliniemu, którego autentyczność nigdy nie została potwierdzona. Choć byłaś zdania, że to fałszerstwo, oboje uwielbialiśmy ten obraz, bez względu na jego wartość czy brak wartości. Obiecałaś, że sprawdzisz jego pochodzenie, ale nigdy tego nie zrobiłaś. Jeżeli jest bezwartościowy, to mam nadzieję, że będzie dla ciebie przypomnieniem szczęśliwych dni, tak jak był dla mnie przez cały ten czas”. – Véronique odstępiała mu go przy rozwodzie, choć niezbyt chętnie, bo miał dla niej wartość sentymentalną. Paulowi jednak zależało na nim jeszcze bardziej, więc pozwoliła mu go zatrzymać. – „A gdyby się okazało, że to oryginalny Bellini, pozostawiam ci go z radością jako cenny podarunek, choć i tak daleko mu do wartości tego, co zrobiłaś dla mnie przez wszystkie te lata. Ponadto przepraszam cię z całego serca za ujawnienie dziecka, o którym nie wiedziałaś. Uwierz, proszę, że nigdy nie

kochałem jego matki tak, jak kochałem ciebie. Zawsze byłaś moją jedyną prawdziwą miłością. Żałuję, że przez całe życie byłem takim głupcem. Kocham cię, choć nigdy nie byłem mężem, na jakiego zasługiwałaś”.

Arnold podniósł wzrok na kobiety i zobaczył, że Véronique jest we łzach.

– Po czym się podpisał – zakończył cicho, a Véronique dyskretnie wydmuchała nos. Umierając, Paul okazał się o wiele bardziej uważny i troskliwy wobec dzieci, a nawet wobec niej, niż kiedykolwiek w życiu. Córki na pewno skorzystają na tym, co im zapisał, i Bertie też. A może Bertie spróbuje unieważnić testament? Ale Paul nie miał obowiązku, by mu cokolwiek zapisywać. Zgodnie z prawem amerykańskim, a w przeciwieństwie do francuskiego, nie był obowiązany do pozostawiania dzieciom jakiegokolwiek majątku, a wyjaśnił przekonująco, dlaczego nie przewidział tego w przypadku Bertiego. Wzruszyło ją też, że zapisał jej Belliniego, pamiątkę dobrego czasu, jaki wspólnie przeżyli, i namiętnych początków ich małżeństwa, choć nadal nie sądziła, by był to autentyk. Nigdy nie miało to dla nich znaczenia, po prostu obraz szalenie im się podobał i była to miłość od pierwszego wejrzenia. Wzruszające było też to, że uważał, iż powinna wrócić do malowania. Myślała o tym wiele razy, odkąd dziewczęta dorosły, ale nigdy się jakoś za to nie zabrała. Nie wiedziała, czy zabierze się teraz – tyle lat upłynęło, odkąd miała pędzel w ręce... Niełatwo zaczynać coś na nowo. No i miały teraz wszystkie znacznie ważniejsze sprawy do przemyślenia i dyskusji, na przykład Sophie Agnès Marnier... Dziewczyny gorączkowo wypytywały o nią Arnolda, bardzo przygnębione, co w pełni zrozumiało – nie tym, że przypadła na nią część majątku, ale samym faktem jej istnienia i tym, że ojciec nigdy im nie powiedział o tym owocu pozamałżeńskiego romansu. Nowiny były szokujące, a nie mogły już o nic zapytać ojca, wyłącznie Arnolda.

Arnold powiedział, że Sophie mieszka koło St. Paul de Vence, w pobliżu zamku, gdzie też Paul poznał jej matkę, i o ile wie, z żadną z nich się nie widział od trzynastu czy czternastu lat. Niewiele zrobił, by jej pomóc, i właśnie dlatego chciał to wyrównać obecnie. Wcześniej usunął ją ze świadomości, aż do chwili, gdy zbliżała się śmierć i zaczął analizować własne sumienie. Dodał ją do testamentu dopiero po namyśle. Arnold nic nie wiedział o Sophie, znał tylko jej adres, który obaj sprawdzili na okoliczność testamentu. Paul nie kontaktował się przed śmiercią z jej matką, powiedział Arnold, a Véronique nie mogła oprzeć się myśli, że i w tym wypadku wycofał się ze swoich obowiązków, tak jak było ze wszystkim w jego życiu, aczkolwiek starał się naprawić niektóre ze szkód pośmiertnie.

Kiedy wyszły z kancelarii Arnolda, Timmie zaproponowała, żeby pójść razem na kolację, a Joy samorzutnie postanowiła, że odłoży swój wylot do jutra. Wobec postanowień testamentu powrót do obowiązków kelnerki nie był już tak szalenie ważny. Po powrocie do LA będzie mogła zrezygnować z pracy w restauracji i przez najbliższe pięć lat skupić się wyłącznie na karierze aktorskiej. A

miały o czym pogadać i pomyśleć, musiały też postanowić, co z zamkiem. Miały także do obgadania projekty zawodowe, jakie sfinansował im ojciec swoim zapisem. No i trzeba było porozmawiać o Sophie! Była teraz na równi z nimi współwłaścicielką zamku. Arnold powiedział, że przysłał im kopię testamentu i udziału Sophie w zapisach.

Umówiły się na obiad w Da Silvano, niedaleko mieszkania Timmie, o ósmej. Kiedy Véronique wracała taksówką do siebie, wciąż była przygnębiona odkryciem Sophie i jej matki. Nie mogła oprzeć się myśli, że nawet po śmierci Paul potrafił zranić ją jeszcze raz, i to głęboko, ujawniając romans, który miał miejsce podczas ich małżeństwa, i dziecko, o którym dotąd nie miała pojęcia. Przypominało to raz jeszcze, kim był naprawdę i jakim był człowiekiem... Samolubny, narcystyczny, robił, na co miał ochotę, nie bacząc, że może to kogoś zranić albo przynieść szkodę w przyszłości. Jediną osobą, o którą przez całe życie troszczył się naprawdę, był on sam.

Rozdział 4

Véronique zamówiła taksówkę i przyjechała do Da Silvano na czas, punkt o ósmej. Joy i Timmie pojawiły się tuż przed nią, a Juliette krótko potem. Był ciepły lipcowy wieczór, zajęły więc stolik na zewnątrz. Usiadły i Timmie zamówiła wino. Miały za sobą długi, pełen emocji i wrażeń dzień, a poranne rewelacje wytrąciły wszystkie trzy z równowagi. Z jednej strony ojciec wykazał nadzwyczajną wnikliwość i troskę, jeśli chodzi o ich sytuację i potrzeby, podarował każdej z nich swobodę podążania za własnymi marzeniami, z drugiej – powalił je wiadomością o pozamałżeńskim dziecku. Nie wspominając już o Bertiem, jego pogroźkach i oskarżeniach, że to one są winne wykluczenia go z testamentu, a nie jego własne zachowanie od dwudziestu lat. W ciągu paru minut straciły brata, a zyskały siostrę, i nie sprawiło im przyjemności ani jedno, ani drugie, choć wiadomość o Sophie Marnier dotknęła je znacznie bardziej. Na Bertiem położyły kreskę już dawno temu.

– No to co, dziewczyny, jak wam się podoba, że mamy nową siostrzyczkę? – spytała sarkastycznie Timmie, pociągnąwszy łyk wina. Prześladowało ją to przez cały dzień, martwiła się też o matkę, która wciąż była blada jak ściana. Myśl o niej nie dawała jej spokoju od porannego spotkania w kancelarii Arnolda.

– Cóż, nie jestem już jego pupilką i pewnie nigdy nie byłam. A przynajmniej od bardzo dawna – mruknęła ponuro Joy. Wiedziała, że to głupie, a jednak ją to dręczyło. Ojcowska nieuczciwość była przygnębiająca dla wszystkich. – Jej matka pewnie poleciała na jego szmal, a teraz znowu miały szczęście i wyładowały jako współwłaścicielki zamku. A jeśli Sophie będzie się sprzeciwiała jego sprzedaży? – Joy była na serio zaniepokojona.

Véronique pokręciła głową.

– Nie może tego zrobić. Przy decyzji co do ewentualnej sprzedaży, jakakolwiek by się okazała, decyduje głos większości, a was jest trzy na nią jedną. W testamencie ojca nie ma wymogu jednomyślności, jeśli chodzi o zadysponowanie zamkiem. Jej współwłasność ma charakter czysto techniczny, oznacza po prostu, że należy jej się jedna czwarta kwoty sprzedaży, która pewnie, gdyby do niej doszło, nie będzie zbyt wielka. Wątpię, żeby ojciec o niego dbał przez te wszystkie lata, a nigdy nie był to Wersal. – Był to jednak piękny wiejski zamek, kiedy to ona była jego właścicielką. Utrzymywała go w nienagannym stanie aż do chwili, gdy przekazała go Paulowi, i odtąd popadał w zaniedbanie. Paul nie poświęcał mu żadnej uwagi, przestał się nim interesować z chwilą, gdy stał się jego własnością i trzeba było zadbać o jego stan. Zbyt wiele to wymagało pracy i pieniędzy, a on ich nie miał lub nie miał ochoty ich wydawać na jakąś posiadłość we Francji, z której i tak nigdy nie korzystał. Jakie to typowe dla Paula... Co z

oczu, to z głowy. I z portfela, rzecz jasna.

– Okej, to mogę wam powiedzieć od razu: uważam, że powinniśmy go sprzedać – rzekła Timmie bez wahania, gdy złożyły zamówienie. – Współwłasność zamku we Francji i zwracanie głowy z jego utrzymaniem to ostatnia rzecz, jakiej potrzebuję. Wygląda, że to worek bez dna.

– Zawsze tak było – przyznała Véronique. Wiedziała, że dla córek nonsensem byłoby go zatrzymać. Do Francji jeździły tylko na parę dni w roku, kiedy odwiedzały ją podczas wakacji, a w tym roku w ogóle nie znalazły na to czasu. Czas wspólnych wakacji przeminął. Zbyt odmienne było teraz życie każdej z nich, zbyt różne miały grafiki, zobowiązania, potrzeby... Utrzymywanie zamku tylko po to, żeby raz na rok spędzić tam parę dni, byłoby absurdem.

– Mnie też nie jest potrzebny jakiś zamek we Francji – powiedziała Joy z paniką w oczach. – Mieszkam i pracuję w LA, muszę mieć czas na castingi. Nawet nie mieszkam na Wschodnim Wybrzeżu, za trudno by było latać tam z Los Angeles. Poza tym nie stać mnie na to.

A co ważniejsze, nie miała na to ochoty.

– Nie sądzicie, że powinniśmy przynajmniej zobaczyć ten zamek, zanim coś postanowimy? – spytała ostrożnie Juliette. Żadna z nich nie była tam od dwudziestu lat, miały jedynie mgliste wspomnienia z dzieciństwa. – Może jednak warto byłoby go zatrzymać? Mogłybyśmy go wynająć, co dałoby nam środki na jego utrzymanie, a może nawet i dochód, z którego wszystkie miałybyśmy pożytek.

– Tyle że przedtem włożymy w niego majątek – odparła zdecydowanie Timmie. – Nie mam zamiaru wydawać pieniędzy, które zapisał mi tato, na jakiś zamek we Francji, z którego nigdy nie będę korzystała.

Joy odczuwała to tak samo.

– A ja chcę rzucić na niego okiem, zanim go sprzedamy – upierała się Juliette. – Mogę pojechać w sierpniu, bo sklep i tak będzie zamknięty. – Postanowiła, że w związku ze śmiercią ojca zamknie go na resztę lipca i cały sierpień, miała więc sporo czasu do dyspozycji. – Jedziesz ze mną? – spytała, patrząc znacząco na młodszą siostrę. Co do Timmie, to jasne było, że nie zamierza zostawiać swoich podopiecznych, żeby oglądać jakiś tam zamek na południu Francji. Zresztą była zdecydowana sprzedać go bez oglądania, obojętne w jakim byłby stanie.

– Bo ja wiem. Może... Skoro nie będę już pracować – odparła Joy z wahaniem. Jedyne, o czym potrafiła obecnie myśleć, to castingi, na które pójdzie, i role, jakie może otrzymać, zwłaszcza z nowym agentem i menedżerem, jakich zyska dzięki ojcu.

– A ty, mamó? – Juliette miała ochotę zorganizować rekonesans. Myślała o tym całe popołudnie.

– Mogę się tam z wami spotkać – powiedziała Véronique z namysłem. Nigdy

nie myślała, że będzie oglądać to miejsce jeszcze raz. Wiązały się z nim tak liczne wspomnienia... Byłoby to dla niej i gorzkie, i słodkie zarazem.

– No a co z Sophie? – przypomniała Juliette. – Myślę, że i z nią powinniśmy się spotkać. – Obie siostry i matka spojrzały na nią w szoku. – Powinniśmy się przekonać, z kim mamy do czynienia, no i bądź co bądź to nasza siostra.

– Przyrodnia siostra – poprawiła ją Timmie surowo, ze względu na Véronique. Bardzo żał jej było matki dzisiejszego ranka, gdy wyszła na jaw prawda o romansie i pozamałżeńskim dziecku ojca. Jakie to dla niego typowe, zrzucić im to na barki dopiero, gdy zamknął za sobą drzwi... Nie miał jaj, żeby powiedzieć im o tym za życia. Co za świństwo wobec matki! Nawet po śmierci potrafił rozwiać ostatnie resztki jej złudzeń co do ich małżeństwa. Timmie miała wrażenie, że matka dostała w twarz. Jedną ręką podarował im spełnienie marzeń, drugą – odebrał wszelką nadzieję, że mogą go szanować jako męża i ojca.

Timmie szczególnie cierpiała z powodu bólu, jaki widziała w oczach matki. Nie chodziło o stratę, chodziło o zdradę, a to przecież znacznie gorsze. Timmie nie była z matką zbyt blisko, nie była też osobą ciepłą, ale szanowała matkę i była wobec niej lojalna. Jakie to okropne, że spotkał ją ten finałowy cios... Obraz, który z sentymentu pozostawił jej ojciec, nie był żadną rekompensatą za to, co zrobił.

– Nie mam ochoty się z nią spotykać – powiedziała otwarcie, nawiązując do Sophie.

Joy siedziała zamyślona. Kochała matkę, ale nowo odkrytej siostry nie sposób było zignorować.

– Nie wiem, co zrobić. A jeśli okaże się okropna albo będzie próbowała wyciągnąć więcej kasy? – spytała niespokojnie.

– Na pewno zrobi to Bertie – zauważyła Timmie zgryźliwie. – Nie sądzę, żeby poprzestał na tym, co postanowił ojciec. Nie usłyszałyśmy jeszcze jego ostatniego słowa... Czego nam trzeba, to mieć z głowy ich oboje. Jego tutaj i ją we Francji.

– Może mogłybyśmy ją jakoś sprawdzić, mamo? – spytała rozsądnie Joy.

– Myślę, że mogłabym zamówić usługę detektywistyczną. Ustalenie czegoś nie powinno być specjalnie trudne. – Niepokoiła się, że Sophie i jej matka mogą oczekiwać od nich czegoś więcej, choć nigdy nie kontaktowały się z nią ani dziewczynami, nie ścigały też Paula na drodze prawnej. Gdyby tak było, wiedziałyby o tym, no i Paul wspomniał w testamencie, że nic dla niej aż dotąd nie zrobił. No, ale nie zaszkodziłoby dowiedzieć się o nich czegoś więcej. Véronique była też ciekawa – jak długo trwał ten związek i jak się poznali. Wciąż nie mogła się otrząsnąć z szoku, że nic dotąd o tym nie wiedziała ani nawet nie podejrzewała. Nigdy nie słyszała ani słowa o Elisabeth Marnier i jej dziecku... I nawet teraz ciężko było to zaakceptować. – Spróbuję podzwonić, jak wrócę.

Kiedy wszystko zostało ustalone, wróciły do rozmowy o testamencie ojca i

nietypowych prezentach, jakie im pozostawił. Wdzięczne mu były za otwarcie przed nimi nowych możliwości, ale wobec ujawnienia nieznannej dotąd przyrodniej siostry ich uczucia były bardzo mieszane, słodkie i gorzkie zarazem.

– To jakiś odjechany testament – skomentowała Joy. Ojciec przykroił jednak to, co im pozostawił, do specyficznych potrzeb każdej z nich, co było dowodem rzadkiej u niego wnikliwości.

– Bertie z pewnością myśli tak samo – zauważyła z szerokim uśmiechem Timmie i wszystkie wybuchnęły śmiechem, włącznie z matką. Zaczęły rozmawiać o tym, jaka przykra była tamta scena w kancelarii Arnolda, i to tuż po tym, kiedy dowiedziały się o Sophie.

– Na wieść o niej po prostu mnie zatkało – przyznała Juliette, nieco bardziej rozluźniona po winie i dobrym obiedzie.

– No. Mnie też – podchwyciła Joy.

Véronique westchnęła. Ją też naturalnie zatkało, poczuła się także głęboko zraniona, kiedy się dowiedziała, ile lat ma nieznaną dotąd córka Paula i kiedy się urodziła.

– Cóż, może to miła dziewczyna – powiedziała, siląc się na wielkoduszność, ale nie wypadło to przekonująco.

– Mało prawdopodobne, biorąc pod uwagę, z jakim typem kobiet ojciec się z reguły spotykał – odparła Timmie, i wszystkie wiedziały, że to prawda. Od czasów Véronique nie miał ani jednego poważnego związku z jakąś wartościową kobietą. W każdym chodziło wyłącznie o jego ego i o prezencję towarzyszkę. Miał sześćdziesiąt lat, kiedy się rozwiedli, i – jak stwierdziła Timmie – ożeniłby się ponownie, gdyby znalazł kobietę odpowiednio majątną, ale poprzedzała go jego reputacja. Po Véronique żadna nie chciała za niego wyjść. A on zbyt dobrze się bawił i zbyt przyjemnie mu się żyło na jej koszt, by miał się przejmować.

Pod koniec posiłku miały ustalony luźny plan, że w sierpniu spotkają się we Francji, ale szczegóły uzależniły od tego, co matce uda się ustalić w związku z paniami Marnier. Zgodziły się jednak, że aby podjąć dobrą decyzję co do zamku, powinny go przedtem zobaczyć. Tylko Timmie zdecydowanie utrzymywała, że zamek jej nie interesuje i chce się go pozbyć, choćby nawet wyglądał jak sam Wersal.

Juliette natomiast również zdecydowanie chciała go zobaczyć, a Joy powiedziała, że może przyjechać dla towarzystwa, skoro i tak nie będzie pracować, ale była tego samego zdania co Timmie. Niepotrzebne jej były obowiązki i wydatki związane z jakimś zamkiem we Francji. Brzmiało to dla niej jak jakiś koszmar.

– Kiedy wracasz, mam? – spytała Timmie, kiedy wychodziły z restauracji.

– Jeszcze nie wiem. Myślę, że za parę dni. – Wyjeżdżając z Saint-Tropez, zabrała ze sobą wszystkie rzeczy, nie musiała więc wracać do wynajętego domu, ale w Nowym Jorku nie miała nic do roboty i zdała sobie sprawę, że na resztę lata

wolałaby jednak wrócić do Europy. Nie miała konkretnych planów, ale być może Paryż w lipcu i sierpniu, nawet jeśli pusty i cichy, nie byłby taki zły? I tak nie była teraz w rozrywkowym nastroju. A Paryż wydawał się lepszy niż Nowy Jork, w którym się dusiła.

– A co z tym obrazem, który zostawił ci tato? – spytała Juliette. Cały wieczór rozmawiały wyłącznie o Bertiem, Sophie i zamku. – Jest autentyczny?

– Zawsze mi się wydawało, że nie – powiedziała w zamyśleniu Véronique. – Czasem trudno to ustalić w przypadku takich renesansowych prac. Mógł go namalować któryś z uczniów Belliniego, paru malarzy z jego szkoły, sam mistrz albo umiętny fałszerz. Zawsze miałam zamiar się tym zająć, ale jakoś nigdy do tego nie doszło. A później, kiedy się rozwiedliśmy, zabrał go ojciec. To piękne płótno, nawet jeśli fałszywe – dodała tęsknie. Wspomnienia, jakie się z nim wiązały, były szalenie wzruszające, zwłaszcza teraz, po odczytaniu testamentu.

– Powinnaś to sprawdzić – zauważyła łagodnie Joy. Od dzisiejszego ranka jej uczucia wobec matki stały się znacznie cieplejsze. Véronique nie zrobiła ani jednej niemiłej uwagi na temat tego, że ojciec wsparł jej karierę aktorską. Uszanowała jego decyzję, a przy tym zanadto była wstrząśnięta ujawnieniem Sophie. Ten fakt w szczególny sposób zjednoczył ją z córkami. Jakikolwiek dzieliły je różnice, zostały zapomniane w obliczu znacznie poważniejszych problemów i wspólnego nieprzyjaciela, którego gotowe były nienawidzić. Nie mówiąc o Bertiem, który zapowiedział wojnę ze wszystkimi czterema. Były osaczone z obu stron.

– Może i spróbuję – odparła Veronique, wyraźnie zmęczona. – Mogę pojechać na jakiś czas do Włoch, zamiast do Francji.

Zawsze lubiła powłóczyć się po Rzymie, Wenecji, Florencji, pozwiedzać muzea i kościoły. Można by znowu pojechać, pomyślała po powrocie do siebie. Ale chciała też wynająć w Paryżu detektywa, by sprawdził, kim są panie Marnier. W tej chwili był to dla niej priorytet, ze względu na dziewczyny i na nią samą. Miała o czym myśleć.

Decyzję, co robić, podjęła nazajutrz rano. Zadzwoił do niej Arnold, pytając, jak się czuje, i przepaszając za szok, jakim musiały być dla niej nowiny wczorajszego ranka.

– Prosiłem go, żeby powiedział ci o tym sam – rzekł miękko – ale nie chciał. Wolał, żebym ja to zrobił za niego. Nie był dobry w tego typu sprawach – westchnął. Oboje wiedzieli, że to prawda. Paul robił tylko to, co było łatwe, nigdy to, co trudne.

– To już nie ma znaczenia – odparła uprzejmie Véronique, marząc, by była to prawda. Ale to miało znaczenie i pozostawiło jej w ustach przykry posmak. O jedno rozczarowanie za dużo... No i tym razem Paul zranił także dzieci, niezależnie od całej wnikliwości i troski, jaką wykazał przy dysponowaniu

majątkiem. I nagle przypomniała sobie coś, o co chciała zapytać Arnolda po rozmowie z córkami poprzedniego wieczoru. – Mógłbyś mi dostarczyć zdjęcie tego obrazu? Jestem pewna, że Paul musiał jakieś mieć w swoich papierach.

– Mogę ci niedługo dostarczyć sam obraz – zaofiarował się Arnold, ale ona nie była na to gotowa. Płótno było ogromne, nie miała u siebie na nie miejsca. Musiałaby przewiesić parę innych rzeczy, a nie była pewna, czy tego chce, zwłaszcza gdyby Bellini miał się okazać fałszywy. Przy tym obraz budził w niej teraz sprzeczne emocje, przywoływał i czułe wspomnienia odległej przeszłości, i ból świeżo zadanej rany.

– W tej chwili wołałabym zdjęcie. Obraz i tak muszę oddać na przechowanie.

– Popatrzę – obiecał. – Może chciałabyś, żebym dał ci fotkę przy obiedzie? – spytał z nadzieją. Nie rezygnował.

– Szczerze mówiąc, wciąż jestem zanadto przygnębiona. Wczoraj dałeś nam sporo do przetrawienia. Za parę dni wybieram się do Francji. Muszę się ogarnąć i spakować. – Nie miała nastroju do odpierania delikatnych, uporczywych awansów Arnolda. – Zamierzam wynająć w Paryżu detektywa, żeby dowiedział się czegoś o paniach Marnier, na użytek dziewcząt – powiedziała, żeby zmienić temat, a on uznał, że to dobry pomysł i obiecał dostarczyć jej przed wyjazdem zdjęcie rzekomego Belliniego.

– Zamierzasz sprawdzić obraz? – spytał.

– Być może. Ewentualnie. Nie jestem pewna, czy będę miała teraz czas. W Wenecji jest pewien klasztor o nieprawdopodobnie bogatych archiwach, gdzie sprawdza się autentyczność prac, zwłaszcza tych, co do których istnieją sporne opinie. Swoją drogą, ciekawie będzie ich odwiedzić, tak czy owak. Byłam tam kiedyś z matką, po tym jak dziadek napisał o tym klasztorze w swojej książce. Matkę zawsze szalenie interesowały fałszyfikaty. Złapałam bakcyła od niej. Jeśli pojedę do Włoch, to może znowu ich odwiedzę.

– Kiedy wracasz?

– Jeszcze nie wiem. Pod koniec sierpnia, może we wrześniu. Mam zamiar obejrzeć z dziewczynami zamek.

– Przewidują, że go zatrzymają? – spytał z zainteresowaniem.

– Wątpię... Niepotrzebny im taki ciężar. Zamek we Francji... Zanadto są zajęte swoim życiem tutaj. – Oboje wiedzieli, że Véronique mogłaby przejąć odpowiedzialność za tę posiadłość i opiekować się nią w ich imieniu, ale nie chciała. Podarowała zamek Paulowi i teraz był to dla niej relikwiarz pradawnej historii.

– Dostarczę ci to zdjęcie, zanim wyjedziesz – obiecał jeszcze raz. – Fascynująco to brzmi... Daj mi znać, co ustaliłaś. I co do Sophie i jej matki też. – Paul, co było tak bardzo w jego stylu, pozostawił za sobą szlak tajemnic i problemów, dziwną mieszankę radości i bólu, skutek tego, że myślał wyłącznie o

sobie.

Dwa dni później Véronique zajmowała się pakowaniem i przygotowaniem do wyjazdu, gdy Arnold zadzwonił ponownie. Dostał list od prawnika, który reprezentował Bertiego, wyrażający wielkie niezadowolenie jego klienta w związku ze sposobem zadysponowania majątkiem przez ojca. Bertie proponował siostronom możliwość załatwienia sprawy poprzez włączenie go do współudziału we własności zamku i wypłacenie pewnej kwoty pieniężnej, tak by „zrównoważyć sytuację”, zwłaszcza jeśli chodzi o Timmie, której udział był największy. A jeśli się nie zgodzą, to uczciwie ostrzega, że wystąpi przeciwko każdej z nich indywidualnie, jak również wnieśli pozew o unieważnienie testamentu.

Véronique westchnęła, słuchając, ale nie była zaskoczona.

– Tak myślałam, że może zrobić coś takiego. Teraz to jego jedyna nadzieja na wyciągnięcie czegoś z Paula i dziewcząt – rzekła ze smutkiem.

– Pozwałby ciebie, gdyby mógł, ale ani nie jesteś współwłaścicielką zamku, ani nie dostałaś żadnego zapisu pieniężnego. A obraz, który i tak uważasz za fałszerstwo, go nie interesuje.

– Głupio z jego strony. Jeśli to autentyk, wart jest fortunę.

– Bertie potrzebuje czegoś pewniejszego, co szybciej da mu kasę. Tak naprawdę zależy mu na ugodzie, nie na procesie. Próbuje dziewczyny zastraszyć. – Dla Arnolda było to oczywiste i Véronique też to przyszło do głowy. – Jak myślisz, dadzą mu coś, żeby się go pozbyć? – spytał.

– Nie ma mowy – odparła Véronique z przekonaniem. Dziewczyny nie znosiły przyrodniego brata od lat i dobrze wiedziały, co z niego za ziółko. Były też znacznie mniej miłosierne niż matka. – I słusznie. Nie zasługuje nawet na grosz. Dostał już od Paula i ode mnie dużo więcej, niż by mu się należało, i wszystko stracił. Straciłby i to. – Arnold zgadzał się z nią. – Co teraz robimy?

– Czekamy. Zobaczymy, czy wystąpi z pozwem, a jeśli tak, będziemy działać. Daleko z tym nie zajdzie. Paul miał prawo zrobić ze swoim majątkiem, co chce. Bertie może co najwyżej nękać dziewczyny o ugodę. Proces moim zdaniem będzie dla niego nieskuteczny, ale może próbować. – Véronique nadal sądziła, że kto wie, może i spróbuje.

Wszystkie trzy córki zadzwoniły do niej po południu, kiedy Arnold przefaksował im list Bertiego. Wszystkie były oburzone, ale nie zdziwione.

– Niech spróbuje nas pozwać. Damy mu popalić – powiedziała zwięźle Timmie i Véronique była przekonana, że tak będzie. Żadna z córek nie żywiła dla niego ciepłych uczuć, a już najmniej Timmie, która nienawidziła go jeszcze jako dziecko i już wtedy przejrzała na wylot jego sztuczki i kłamstwa. Zdaniem Arnolda, Bertie mógł podważać również zapis Sophie, jako że nie została uznana przez ojca za jego życia, wątpliwe jednak, by coś uzyskał, chyba że zastraszy Sophie, a ona stchórzy. Bertie nie miał żadnych podstaw prawnych. Jedyne, co

miał, to zazdrość, złość i pazerność, a w sądzie nic mu z tego nie przyjdzie.

Bardziej zaniepokojona była Juliette, obawiała się stresu związanego z ewentualnym pozwem. Véronique starała się dodać jej otuchy, a nazajutrz odwiedziła ją w jej maleńkim mieszkanku w Brooklynie, żeby ją uścisnąć przed wylotem do Francji. Wizyta była bardzo miła. Véronique obiecała córce, że da jej znać, co ustalił detektyw w związku z Sophie Marnier.

Tego wieczoru Véronique wpadła także na parę minut do Timmie, żeby pożegnać się i z nią. Zwykle żegnała się z córkami telefonicznie, ale ponieważ straciły właśnie ojca, tym razem wolała to zrobić twarzą w twarz. Nazajutrz odlatywała do Paryża, dziewięć dni po przylocie z Nicei, choć wydawało jej się, że upłynęło od tej chwili dziesięć lat. Bolesna to była wizyta, pełna trudnych emocji, dobrych i złych niespodzianek i całego tego chaosu, który pozostawił po sobie Paul. Nie mogła się doczekać, żeby mieć to za sobą i znaleźć się w swoim spokojnym paryskim mieszkaniu na Wyspie św. Ludwika.

Arnold znalazł dla niej zdjęcie Belliniego. Jeśli pojedzie do Włoch, spróbuje sprawdzić obraz. Zdjęcie miała w bagażu podręcznym, wraz z kopią ostatniego listu Bertiego i drugą – testamentu.

Wreszcie zadzwoniła do LA, do Joy, żeby pożegnać się i z nią. Joy była w biegu i w dobrym nastroju. Zaraz po powrocie zrezygnowała z pracy kelnerki i teraz, cała podekscytowana, spotykała się z nauczycielami aktorstwa i agentami, by móc wybrać właściwe osoby. Z głosu matki wynikało, że jest z niej zadowolona. Wyszły z kryzysu i teraz, za przykładem ojca, starała się okazywać większą akceptację wobec jej aktorstwa. Joy była pod wrażeniem tego, o ile miłsza jest teraz matka w tych sprawach.

Véronique postanowiła pogodzić się z faktami. Bądź co bądź Joy miała dwadzieścia sześć lat, od pięciu lat ciężko pracowała na to, by zostać aktorką, co świadczyło, że nie jest to przelotny kaprys. Miała autentyczny talent i gotowa była zrobić wszystko, by go rozwijać. Véronique czuła, że nie ma dłużej prawa stać Joy na drodze. To było jej życie i jej marzenia.

Nazajutrz po południu wchodziła na pokład samolotu z ciężkim sercem. Tyle się wydarzyło... Rozwiały się jej ostatnie złudzenia na temat Paula i ich małżeństwa. Jedno było dobre: w rezultacie tego wszystkiego czuła się bliższa córkom niż dotychczas. Kiedy jednak samolot wzbił się w niebo, Véronique poczuła się dziwnie samotna. Paul odszedł, nie pozostało po nim nic, czego można by się uchwycić, jako męża czy choćby jako przyjaciela. A choć bardzo kochała córki, były już dorosłymi kobietami i miały własne życie. Zdała sobie sprawę, że zbyt długo bazowała na nich emocjonalnie. Po Paulu nigdy tak naprawdę nie stworzyła sobie własnego, odrębnego życia. Dzieci były jeszcze małe, trzymała się więc ich kurczowo – i Paula, choć inaczej niż dotąd. Teraz, wraz z jego śmiercią, pępowina została przecięta. I gdy Nowy Jork pod nią stawał się coraz mniejszy i

mniejszy, Véronique poczuła się samotna jak nigdy w życiu.

Rozdział 5

Samolot wylądował na lotnisku Charlesa de Gaulle'a nazajutrz o szóstej rano. Véronique wsiadła do taksówki i kazała się zawieźć do miasta akurat w chwili, gdy lśniące róże i oranże świtu zaczęły się przebijać przez nocne mroki paryskiego nieba. Wyglądało to jak jeden z jej impresjonistycznych obrazów i o mało się nie rozpląkała, takie to było piękne. Była szczęśliwa, że wróciła. Paryż miał w sobie coś kojącego i krzepiącego. Mimo że mieszkała w różnych miastach, w Nowym Jorku nawet przez wiele lat, wracając do Paryża zawsze miała wrażenie, że wraca do domu.

Gospodyni była uprzedzona o jej przyjeździe i kiedy weszła do mieszkania, z lekko pochyłymi podłogami i zapierającym dech w piersiach widokiem na Sekwanę, zastała w nim nienaganny porządek. W kuchni była świeża bagietka, na stole kosz owoców wyglądający jak martwa natura, w lodówce jej ulubione produkty. A w łóżku, zasłanym perfekcyjnie wymaglowaną pościelą, odchyłono kołdrę, w razie gdyby chciała się położyć. Bardzo lubiła Carminę w Nowym Jorku, ale nic na świecie nie równało się z jej apartamentem w Paryżu oraz ze starannością paryskiej gospodyni, dbającej, by mieszkanie zawsze na nią czekało, gotowe na jej przyjazd.

Zjadła jabłko, zrobiła sobie kawę i z uczuciem spokoju usiadła przy stole w kuchni, wyglądając przez okno. Czuła się lepiej niż dzień wcześniej. Po wzięciu prysznicza na chwilę się położyła. Miała listę rzeczy, które chciała zrobić tego dnia, najpierw jednak potrzebowała odpocząć i zadomowić się. Dzień zapowiadał się upalny. W mieszkaniu nie było klimatyzacji, ale to jej nie przeszkadzało. Lubiała upały, a w lipcu na wpeł opustoszałe miasto emanowało spokojem, tempo życia było wolniejsze niż zwykle. Połowa kraju wyjechała na wakacje teraz, druga połowa wyjeżdżała w sierpniu i wtedy w Paryżu robiło się jeszcze spokojniej. Zamykano wiele firm i restauracji.

Spała w chłodnej pościeli dwie godziny, a gdy się obudziła, było już prawie południe. Zadzwoiła do prawnika, o którym wiedziała, że będzie potrafił polecić jej dobrego detektywa, a gdy zadzwoniła i do niego, przekonała się z ulgą, że nie wyjechał na urlop. Wyjaśniła mu, jak wygląda sytuacja, podała imiona dwóch pań Marnier oraz poinformowała, że mieszkają gdzieś w okolicach St. Paul de Vence. Detektyw obiecał, że gdy tylko uzyska jakieś informacje co do tego, gdzie mieszkają i pracują, o ich stanie cywilnym i o innych szczegółach z ich życia, skontaktuje się z nią drogą mailową. Nie sądził, by zadanie miało być trudne, o ile tylko kobiety wciąż mieszkały w okolicy i nie zniknęły, a Véronique wiedziała od Arnolda, że nie.

Poczuła ulgę jak po wypełnieniu misji i wysłała maila do wszystkich córek z

wiadomością, że śledztwo w sprawie Sophie Agnès Marnier i jej matki się rozpoczęło. A potem wyrzuciła to z głowy i poszła na spacer.

Szła powoli wzdłuż Sekwany, gdzie przy nabrzeżu stały kramiki z książkami, dziełami sztuki dla turystów i pocztówkami z widokiem Paryża, i ostatecznie zawędrowała do kawiarni. Wypiła kawę i coś przegryzła, patrząc na mijających jej stolik przechodniów i turystów, a potem poszła pieszo pod Notre Dame i wróciła do mieszkania przy Quai de Béthune.

Dom jej dziadka, a później jej rodziców, znajdował się w pobliżu, ale tam się nie wybierała. Nie miała powodu; chodziła tam tylko wtedy, gdy musiała podjąć decyzję co do jakichś napraw czy przeróbek. Trzymała ten dom jako świątynię własnej przeszłości, ale o wiele bardziej wołała to pogodne mieszkanie nad Sekwaną. Wróciła więc i spróbowała ustalić, co będzie robiła przez następne kilka tygodni. Nic nie musiała, a czasu miała mnóstwo. Zastanawiając się nad tym, wyjęła zdjęcie rzekomego Belliniego i zaczęła mu się długo i uważnie przyglądać. Spodobał jej się pomysł, by pojechać do Wenecji i spróbować prześledzić historię obrazu i zbadać jego autentyczność w tamtejszym klasztorze. Wenecja latem była zatłoczona i upalna, ale projekt ją pociągał. No i skoro obraz stanowił teraz część jej majątku, chciała wiedzieć, czy jest autentyczny. Dziewczęta też będą ciekawe.

Wsunęła zdjęcie z powrotem do teczki, a następnie pod wpływem impulsu postanowiła, że pojedzie do Rzymu. Uwielbiała to miasto i zawsze dobrze się tam bawiła, nawet gdy była sama. Stamtąd mogłaby się udać do Wenecji, aby sprawdzić obraz. Włochy zawsze podnosiły ją na duchu, a ona tego teraz potrzebowała. Te dni po śmierci Paula były trudne. Dziewczyny powróciły do swoich spraw; ona musiała znaleźć coś swojego. Teraz, bez Paula, jej świat bardzo się zmienił. Dziwne, ale jego śmierć i odkrycie jego ostatniej zdrady uwolniło ją od łączących ich więzów; czuła się wolna jak nigdy. Ale też tęskniła za byłym mężem. Zawsze istniały między nimi niewidzialne więzi, które teraz zostały ostatecznie zerwane. Nagle zapragnęła zrobić coś dla siebie i Rzym wydawał się doskonałym miejscem, by zacząć. Chciała tam spędzić tylko jeden dzień, zanim uda się do Wenecji.

Zrobiła rezerwację w hotelu Cipriani w Wenecji i w Hasslerze w Rzymie i zarezerwowała na następny dzień lot do Rzymu. Podróżując samotnie, czuła się wolna, nie musiała się dostosowywać do niczyich planów ani martwić, co będą robili. Spakowała niewielką walizkę i nazajutrz rano była gotowa. Miała przy sobie zdjęcie obrazu. Była podekscytowana, że pojedzie do klasztoru, ale nawet sam pobyt we Włoszech wydawał się jej atrakcją. Czekala ją przygoda.

Samolot wylądował na lotnisku Fiumicino w Rzymie, a stamtąd wzięła taksówkę do miasta. Hotel Hassler znajdował się w centrum, w pobliżu najlepszych sklepów, ponad Fontanną di Trevi u szczytu Schodów Hiszpańskich. Pokoje były staroświeckie i wytworne. Uwielbiała ten hotel, mimo że zawsze zatrzymywała się

tu wraz z Paulem. Odepchnęła od siebie tę myśl. Zameldowała się i zaprowadzono ją do pokoju, całego w żółtych atlasach, z baldachimem nad łóżkiem. Z okien rozciągał się przyjemny widok na miasto.

Nie siedziała w nim długo, po półgodzinie wybrała się na spacer. Na zatłoczonych ulicach panował żar. Miała na sobie białą bawełnianą sukienkę i sandały. W czerni przestała chodzić po zapoznaniu się z testamentem Paula. Chciała już zamknąć drzwi za przeszłością, ale nie miała pojęcia, co szykuje dla niej przyszłość.

Spacerowała cztery godziny, zwiedziła kilka małych kościółków, zajrzała do ulubionych sklepów. Kupiła śliczne pantofle i kazała je odesłać do hotelu. Gdziekolwiek poszła, wszędzie widziała obejmujące się albo idące ramię w ramię pary lub rodziny z małymi dziećmi, i w chwili powrotu do hotelu znowu poczuła się samotna. Miło byłoby dzielić z kimś zwiedzanie miasta... Dla niej jednak była to już przeszłość. Stała i myśląc o tym, przyglądała się ludziom wrzucającym pieniążki do fontanny, by spełniły się ich życzenia.

Podbiegł do niej mały chłopiec, żebrak, i zaproponował, że wymieni jej euro na monety. Uśmiechnęła się, wymieniła pieniądze i jedną monetę podarowała chłopcu, a potem długo stała z zaciśniętą w dłoni resztą. Nie wiedziała, czego mogłaby sobie życzyć. Chłopiec powiedział po włosku, że jedno życzenie powinno dotyczyć szczęścia, drugie prawdziwej miłości, a trzecie powrotu do Rzymu. Znała włoski na tyle, że rozumiała, co mówił.

Stała i patrzyła dłuższy czas na fontannę. W jakiejś chwili spostrzegła mężczyznę w dzinsach i niebieskiej koszuli, który przyglądał się jej z powagą. W ręce miał wycelowany w nią duży aparat fotograficzny, ale gdy zauważył, że na niego patrzy, opuścił go. Ich spojrzenia na chwilę się spotkały, po czym Véronique odwróciła wzrok. Mężczyzna miał młodą twarz, włosy przyprószone siwizną i wyglądał na Europejczyka. Było w nim coś, co wyróżniało go spośród tłumu. Po chwili zniknął.

W końcu rzuciła za siebie trzy monety, wypowiadając w myśli życzenia, które podsunął jej chłopiec – szczęścia, miłości i powrotu do Rzymu. Czowała się w tej chwili dość melancholijnie. Postanowiła, że zanim wróci do hotelu, jeszcze trochę się powałęsa. Ruch uliczny był gęsty, chaotyczny, chodniki roiły się od przechodniów, wokół słyszała mnóstwo rozmaitych języków; miasto tętniło życiem, nie chciało jej się wracać do hotelowego pokoju, gdzie będzie sama. Rzym to miasto, które powinno się z kimś dzielić, i było jej smutno, że nie ma z kim. Wokół było tyle piękna!

Spacerowała jeszcze przez godzinę. Znalazła kolejne dwa śliczne kościołki i wracając do hotelu, szła ku fontannie i Schodom Hiszpańskim, gdy wtem jak gdyby zagarnął ją ruch uliczny. Nagle okazało się, że stoi pośrodku jezdni, a z obu jej stron śmigają samochody i lawirujące pomiędzy nimi skutery. Sparaliżowało ją.

Nie wiedziała, w którą stronę się obrócić. Wtem spostrzegła pędzące wprost na nią na pełnym gazie czerwone ferrari. Patrzyła na auto jak na szarżującego byka. Za chwilę samochód w nią uderzy, może zginąć! Chwila była hipnotyzująca, nie była w stanie się poruszyć. I nagle przestało jej zależeć, co się stanie. Paul ją zdradził, dzieci już jej nie potrzebowały, nie miała nic, co chciałyby robić, życie przebiegało obok niej. Jakie to ma znaczenie, czy będzie żyła, czy nie? Żadne. Zginie? No to zginie.

Wtem rozległ się krzyk i dokładnie w chwili, gdy – z przyczyn, których potem nie potrafiła odtworzyć – postanowiła pozostać na miejscu, jakaś potężna siła odepchnęła ją i wyrzuciła w powietrze. Wylądowała na czworakach na poboczu, a ferrari przemknęło obok niej ze świstem i z piskiem opon zatrzymało się kilka metrów dalej. Klaksony wyły, ludzie krzyczeli coś po włosku. Wtem pochylił się nad nią wysoki, krępy mężczyzna o ciemnych włosach, z wyrazem przerażenia na twarzy, i spróbował pomóc jej wstać.

Kiedy mu się to udało, poczuła, że nogi trzęsą się pod nią jak galareta. Miała podrapane dłonie i kolana, biała sukienka była powalana krwią. Widok był okropny, ale nie mniej przerażający był fakt, że niewiele brakowało, a zginęłaby pod kołami ferrari i że niemal gotowa była do tego dopuścić. Coś ją zepchnęło z jezdni... Nie miała pojęcia, kto to zrobił lub co, a obok nikogo nie było. Kierowca wyglądał na równie wstrząśniętego jak ona, twarz miał tak samo poszarzałą. Podprowadził ją do krawężnika, gdzie usiadła, i podał jej chusteczkę, żeby otarła krew z dłoni i z kolan. Była tak zszokowana tym, co się stało, że nie czuła bólu. Mężczyzna nachylił się nad nią i z ciężkim akcentem przemówił do niej po angielsku.

– O mało pani nie zabiłem – rzekł, a ona zobaczyła, że dłonie, w których trzyma chustkę, silnie drżą. Był dobrze ubrany, w płócienną marynarkę i szare spodnie, a na ręku miał ciężki złoty zegarek. Była niemal pewna, że jego akcent jest rosyjski. – Zawiozę panią do szpitala – zaofiarował się. Wokół roili się ludzie, samochody trąbiły na tarasujące ulicę ferrari.

– Nie, nie, nic mi nie jest – zapewniła ledwo dosłyszalnie. Podniosła na niego oczy, potwornie skrępowana stanem, w jakim się znajdowała, a jeszcze bardziej tym, że niemal pozwoliła, by ją przejechał, choć nie wiedziała dlaczego. Nigdy przedtem nie miała takich odruchów... Śmierć Paula i wszystko, co od tamtej pory odkryła, zbierały swoje żniwo. – Przepraszam... Chyba się przestraszyłam i dlatego tak mnie wmurowało. – Chciała wierzyć, że był to chwilowy paraliż, a nie coś gorszego.

– Powinien panią obejrzeć lekarz – nalegał nieznajomy, pokazując zakrwawioną chusteczkę, której użyła do wytarcia kolan. Miał mocne, wyraziste rysy, bystre niebieskie oczy i niski głos. Wyglądał jak ktoś przyzwyczajony do wydawania poleceń. Emanował siłą i był mniej więcej w jej wieku.

– Naprawdę, to tylko zadrapania, wszystko jest dobrze – odrzekła słabo, drżąc na całym ciele i jednocześnie próbując nad tym zapanować.

– Zabiorę panią do mojego hotelu i wezwiemy lekarza. – Mówiąc to, wskazał na Hassler, a ona blado się uśmiechnęła. Ktoś podał jej torbę, którą wcześniej upuściła, jaskraworóżową, płócienną, którą zawsze zabierała na zakupy; kobieta, która podała ją Véronique, uśmiechnęła się do niej współczująco. Sukienka była rozdarta i powalana krwią. Wiedziała, że wygląda żałośnie, siedząc tak na krawężniku, ale było jej niedobrze i kręciło jej się w głowie; zaczęła myśleć, że lekarz to chyba nie jest zły pomysł.

– Ja też się tam zatrzymałam – powiadomiła kierowcę ferrari, on zaś pomógł jej wstać z chodnika i poprowadził ją do auta. Idąc, ocierała jego chusteczką krew z kolan. Nie chciała zaplamić mu tapicerki, ale najwyraźniej na to nie zważał. Był szczęśliwy, że jej nie zabił.

– Rzym to bardzo niebezpieczne miasto – zauważył, jadąc w kierunku hotelu. – Zapchane ulice, mnóstwo samochodów i motocykli. Szaleni kierowcy...

Chwilę później byli na miejscu. Gdy weszli do lobby, ujął ją za ramię i poprowadził do recepcji, gdzie poprosił o wezwanie lekarza. Nadal czuła się słaba i bliska zemdlenia. Zastępca kierownika hotelu spojrział z szacunkiem na jej towarzysza i zwrócił się do niego per „pan Pietrowicz”. Widział, że jej dłonie krwawią, i ewidentnie się przejął.

– Mieliśmy wypadek – wyjaśnił Pietrowicz, a Véronique podała recepcjoniście numer jej pokoju i poprosiła o klucz. Obiecano, że lekarz przyjedzie natychmiast.

Rosjanin odprowadził ją do jej pokoju, jeszcze raz wylewnie przeprosił i spytał, czy na pewno czuje się na tyle dobrze, by mogła zostać sama. Zapewniła go, że tak, a on popatrzył na nią z ulgą.

– Naprawdę myślałem, że panią zabiłem – powiedział przejęty. – A jeszcze nigdy nie miałem żadnego wypadku.

– To była moja wina – powtórzyła, pragnąc uspokoić zarówno jego, jak i siebie. – Poza tym czuję się dobrze. – Bynajmniej nie czuła się dobrze, wciąż się trzęsła, ale dość już przysporzyła temu człowiekowi kłopotów jak na jedno popołudnie.

– Powiem, żeby lekarz przyszedł do mnie – rzekł. – Zadzwoń do pani, kiedy się pojawi. – Nie spodobał jej się ten pomysł, ale nie miała siły się opierać. Rosjanin otworzył kluczem jej drzwi. Jedyne, czego teraz pragnęła, to zdjęć z siebie zakrwawioną sukienkę, opłukać twarz zimną wodą i się położyć. I o wiele bardziej wolałaby przyjąć lekarza u siebie... Po chwili jednak Rosjanin sobie poszedł. W jego twarzy było coś znajomego, ale nie mogła skojarzyć co, a po tym, co się stało, była zbyt wstrząśnięta, by trzeźwo myśleć.

Przeraziła się, kiedy ujrzała swoje odbicie w łazienkowym lustrze.

Wyglądała okropnie! Ściągnęła sukienkę i upuściła ją na podłogę. Miała ochotę wziąć prysznic, ale nadal kręciło jej się w głowie i bała się, że może zemdleć. Oplukwała więc tylko nogi i ręce i poszła się położyć. Okropnie bolała ją głowa.

Po pięciu minutach zadzwonił telefon: dzwonił pan Pietrowicz z wiadomością, że lekarz czeka na nią w jego apartamencie. Faktycznie przybył natychmiast. No, ale Rosjanin, kimkolwiek był, ewidentnie robił na kierownictwie hotelu kolosalne wrażenie. Rzucalo się to w oczy.

Rosjanin podał jej numer swojego pokoju, który mieścił się na szóstym piętrze, dwa piętra nad nią. Włożyła inną płócienną sukienkę i poszła na górę. Pietrowicz czekał na nią przy windzie i zaprowadził do efektownego apartamentu z długim tarasem, z którego roztaczał się widok na cały Rzym. Był to apartament prezydencki.

Lekarz czekał na nią w salonie, gdzie na kanapie spoczywała śliczna dziewczyna. Pietrowicz zwrócił się do niej po rosyjsku i dziewczyna, rzuciwszy szybkie spojrzenie na Véronique i lekarza, bez słowa zniknęła w sąsiedniej sypialni. Na oko bardzo młoda, była ubrana w szorty i obcisły top i miała ciało bogini.

Véronique czuła się lekko oszołomiona. Pietrowicz poprosił ją, by usiadła, a lekarz zabrał się za oględziny jej dłoni i kolan. Jedne i drugie miała powalane ulicznym pyłem i ziemią. A jej gospodarz był ewidentnie przyzwyczajony do mówienia ludziom, co mają robić. Traktował ją w tej chwili jak dziecko, zupełnie jak tę dziewczynę, którą odesłał do sąsiedniego pokoju. Również lekarz słuchał go z wyraźnym szacunkiem, gdy wyjaśniał, co się wydarzyło. Potem lekarz zapytał, czy uderzyła się w głowę lub straciła przytomność, a ona zaprzeczyła. Upadła na czworaki, bo coś ją odrzuciło czy pchnęło, czy co tam się właściwie zdarzyło. Nadal tego nie rozumiała. Coś – lub ktoś – za jej plecami odepchnęło ją z nadludzką siłą z trasy pędzącego samochodu. Albo człowiek, albo przeznaczenie.

Lekarz przemył zadrapania środkiem dezynfekującym i orzekł, że nie ma potrzeby szyc. Rany były powierzchowne i większość krwi pochodziła z zadrapań. Powiedział, że nie wyczuwa żadnych złamań.

Rosjanin wyglądał na zachwyconego. Ulżyło mu.

– O mało jej nie zabiłem – zwierzył się żałośnie lekarzowi, a ten uśmiechnął się do obojga. Widział, że są wstrząśnięci, ale zapewnił, że Véronique szybko wróci do siebie i że nie stała się jej żadna poważna krzywda.

– Ale na szczęście pan nie zabił – odparł pogodnie w odpowiedzi na słowa Pietrowicza. – A pani wkrótce poczuje się lepiej.

Véronique rzeczywiście czuła się już lepiej. Uśmiechnęła się do obu mężczyzn, choć nadal była skrępowana i upokorzona zamieszaniem, jakie wywołała. Lekarz poprosił ją o podanie nazwiska, by mógł je wpisać do karty. Zrobiła to, a Rosjanin spojrział na nią i powiedział, że nazywa się Nikołaj

Pietrowicz. Od razu się zorientowała, z kim ma do czynienia. Pietrowicz był jednym z najpotężniejszych ludzi w Rosji, multimiliarderem, który miał jachty na całym świecie, domy w Paryżu i w Londynie i był znany z olbrzymiej kolekcji szybkich aut i pięknych kobiet. Traf chciał, że na osobę, która miała ją przejechać, wybrała bardzo ważną postać... Lekarz dyskretnie się ulotnił, a Nikołaj otworzył butelkę szampana, nalał kieliszek i jej podał.

– Proszę wypić, poczuje się pani lepiej. Bardzo mi przykro, że panią pokaleczyłem – rzekł, nalewając szampana dla siebie.

– A mnie przykro, że się nie usunęłam – powtórzyła. Nikołaj wskazał taras i otworzył prowadzące nań drzwi balkonowe, więc z kieliszkiem w dłoni wyszła – i dech zaparło jej z zachwytu. Widok był najpiękniejszy w całym mieście... Widać stąd było wszystko! Obeszli taras dookoła, po czym usiedli na dwóch leżakach, a ona po łyku szampana zaczęła się wreszcie odprężyć.

– Zawsze zatrzymuję się w tym apartamencie ze względu na widok – poinformował ją Nikołaj, znowu spoglądając na miasto, po czym zwrócił twarz ku niej. – Ma pani piękne oczy – rzekł. – Jak szafiry. – Widać było, że to człowiek o wyszukanym guście, a jednak miał w sobie coś chropawego. Był otwarty i bezpośredni, niemal bezceremonialny. – Gdzie pani mieszka?

– Przeważnie w Nowym Jorku, a czasem w Paryżu.

– Jest tu pani sama? – Skinęła głową, a on był chyba zaskoczony. – Nie jest pani zamężna?

Poszukał wzrokiem obrączki, ale jej nie miała.

– Ja też nie – wyznał bez ogródek. Tak pomyślała, kiedy wchodząc, zobaczyła dziewczynę na kanapie. Dziewczyna więcej się nie pokazała. – Rozwiódłem się – dodał niemal dumnie, jakby to był jakiś symbol statusu. – Moja była żona mnie nienawidzi – oświadczył niespodziewanie, a sposób, w jaki to zrobił, sprawił, że się roześmiała. – Byłem bardzo niedobrym mężem – uśmiechnął się.

Paul też, pomyślała, ale nie powiedziała tego na głos.

– Mój były mąż właśnie zmarł. Przygnębiło mnie to i pewnie dlatego byłam taka rozkojarzona, przechodząc przez ulicę. Przyjaźniliśmy się.

– Musi pani być dobrym człowiekiem, skoro potrafiła się pani przyjaźnić z byłym mężem – orzekł Pietrowicz, przyglądając się jej uważnie.

– Byliśmy od dawna rozwiedzeni.

Nie wiedziała, dlaczego dzielą się szczegółami życia każdego z nich, tak jakby to było ważne. No, ale może to, że o mały włos nie zginęła pod kołami jego auta, stworzyło między nimi natychmiastową więź... Zachowywał się, jakby chciał dowiedzieć się o niej wszystkiego.

– Ma pani dzieci? – Wydawała mu się młoda, młodsza niż była w rzeczywistości.

– Trzy córki. Dwie mieszkają w Nowym Jorku, jedna w Los Angeles.
– Nie powinna pani podróżować sama – zganił ją. – To zbyt niebezpieczne dla pięknych kobiet.

– Dziękuję – odparła z uśmiechem. Nie wyjaśniła, że nie miała wyboru. I nie czuła się piękna, czuła się rozmemłana i nieporządna, dłonie i kolana bolały ją bardziej niż na początku, a środek dezynfekujący piekł. Wciąż go czuła, chociaż szampan ukoił jej nerwy.

– Ja mam cztery córki – poinformował niepytany. – Zawsze chciałem mieć syna.

Skinęła głową i ze smutkiem pomyślała o Bertiem, który, pomimo całej miłości, jaką go obdarzyła, tak ją rozczarował.

– Dziewczynki zawsze kochają ojców – zauważyła miękko, a on się uśmiechnął i przyznał, że to prawda.

– Lubi pani łodzie? – spytał, a ona kiwnęła głową. – Musi pani kiedyś zjeść ze mną kolację na jednej z moich. Wybiera się pani na południe Francji?

– Będę tam za kilka tygodni z córkami. W sierpniu.

– W takim razie musicie przyjść wszystkie na kolację. – Roześmiał się i rozluźnił jeszcze bardziej. Wypadek porządnie wystraszył i jego. – Będziemy świętowali to, że pani nie zabiłem.

– Wydaje mi się, że ktoś mnie z tej ulicy zepchnął – rzekła z zastanowieniem, wracając myślą do incydentu.

– Nie było pani przeznaczeniem zginąć – oświadczył z powagą. – Teraz musi pani cieszyć się życiem bardziej niż przedtem, bo pani przeżyła. – Czasem miał problem z wyszukaniem właściwego słowa. Mówił po angielsku płynnie, choć daleko mu było do perfekcji, ale go rozumiała. – Każdy dzień to dar.

Nie myślała o tym w ten sposób, ale miał rację. Czuła się tak, jakby podarowano jej drugą szansę. Gdyby coś jej nie zepchnęło z ulicy, jej dzieci mogłyby teraz chować i ją... To była otrzeźwiająca myśl.

Oboje siedzieli przez jakiś czas w milczeniu, podziwiając widok. Pod rzymskim niebem powoli zapadał zmierzch. Potem Nikołaj podszedł do barierki, a ona do niego dołączyła i oboje spojrzeli w stronę miejsca, gdzie o mało co jej nie przejechał. Ruch uliczny wydawał się stąd szaleńczy, a fontanna piękniejsza niż kiedykolwiek.

– Wypowiedziałam dzisiaj trzy życzenia – powiedziała melancholijnie, mając na myśli trzy monety, które wrzuciła do fontanny.

– W takim razie się sprawdzą – odparł z uśmiechem. – Życzenia są magiczne. Jest pani dobrym człowiekiem, dlatego została pani dziś uratowana.

– Nie jestem tego taka pewna – mruknęła i też uśmiechnęła się ostrożnie; zaczynała odczuwać działanie szampana. Nikołaj znowu napełnił jej kieliszek. – Chyba raczej miałam szczęście.

– Mamy takie szczęście, na jakie sobie zasłużyliśmy – rzekł z przekonaniem, po czym odstawił kieliszek i na nią spojrział. – Zje pani ze mną kolację?

Była zaskoczona zaproszeniem. A co z dziewczyną w sypialni? Jej gospodarz zdawał się nią nie przejmować.

– Nie jestem w stanie nadającym się do wyjścia – zauważyła, wskazując pogniecioną sukienkę, którą w pośpiechu wyciągnęła z walizki na spotkanie z lekarzem, i pokaleczone dłonie i kolana.

– Możemy zjeść tutaj. Jedzenie mają bardzo dobre – rzekł po prostu.

Pomimo luksusowych wozów i kosztownego stylu życia nie używał żadnych sztuczek ani podstępów, po prostu przyjemnie mu się z nią rozmawiało. Nigdy nie spotkał takiej kobiety, cały czas spędzał z młodymi dziewczynami, które były z nim dla pieniędzy. Véronique pochodziła z innego świata. Podał jej kartę, a potem złożył zamówienie.

Siedzieli na tarasie, gawędząc o Rzymie i sztuce, o Wenecji, o obrazie, który pozostawił jej Paul. Pół godziny później pojawiła się kolacja wraz z trzema kelnerami do obsługi. Za namową Nikołaja Véronique zamówiła makaron z truflami i sałatkę z homara, a on na przystawkę dla nich obojga kawior. To był królewski posiłek, a kelner dobrał do niego wyśmienite wino, Chassagne-Montrachet.

Pod koniec kolacji Véronique była odprężona i lekko zawiana. Nie pijana, ale przyjemnie rozluźniona i oszołomiona. Miło jej się z nim rozmawiało. Dzień przybrał najbardziej niespodziewany obrót... Parę godzin temu o mało nie zginęła na ulicach Rzymu, a teraz jadła kolację na najwspanialszym tarasie świata z jednym z najbardziej wpływowych ludzi na planecie! Nawet nie potrafiła sobie wyobrazić, że opowiada o tym córkom. I wiedziała, że to, co mówił Nikołaj, było prawdą. Należy chwytać życie oburącz i cieszyć się każdą chwilą. Wyglądało na to, że tak właśnie postępuje Nikołaj, z tymi jego jachtami, samolotami, domami, egzotycznymi samochodami i efektownymi młodymi kobietami. Ale i w jej towarzystwie najwyraźniej dobrze się bawił.

Po sprzątnięciu naczyń i wyjściu kelnerów Véronique podziękowała Pietrowiczowi za kolację i powiedziała, że jej zdaniem powinna pójść się położyć. Mieli za sobą dzień pełen wrażeń, poza tym Pietrowicz z samego rana, jak mówił, wylatywał własnym samolotem do Londynu – miał tam jakieś interesy do załatwienia.

Odprowadził ją do jej pokoju i zostawił swoją wizytówkę. Widniały na niej numery wszystkich jego telefonów, a przed wyjściem od niego poprosił o telefon również ją. Obiecał, że do niej zadzwoni i przypomni o swoim zaproszeniu na kolację na południu Francji.

– I proszę uważać przy przechodzeniu przez ulicę! – upomniał ją, dla odmiany patrząc na nią po ojcowsku, a ona się uśmiechnęła.

– Spędziłam dzięki panu wspaniały wieczór, Nikołaju. Dziękuję i przepraszam, że przysporzyłam tylu kłopotów. – Czuła się winna za swój udział w doprowadzeniu do niedoszłej katastrofy i uważała, że Nikołaj wynagrodził jej z nadwyżką to, co zaszło. Był dla niej szalenie miły i troskliwy, poświęcił jej wiele czasu i ugościł wyśmienitym posiłkiem. Zupełnie się czegoś takiego nie spodziewała i doceniała to.

– Ogromnie kłopotliwa z pani kobieta – pogroził jej palcem – i niebezpieczna z tymi dużymi niebieskimi oczyma.

Jeszcze nikt nigdy nie nazwał jej niebezpieczną i to ją zdumiało. Tego dnia życie ich obojga o mało co nie zmieniło się w sposób nieodwracalny i oboje byli wdzięczni losowi, że nie zdarzyło się nic strasznego. Przeciwnie, wszystko zakończyło się wspaniałym wieczorem i Véronique wiedziała, że zyskała miłego znajomego.

– Zobaczymy się znowu we Francji lub wcześniej. Z pewnością się do pani odezwę – obiecał i ciepło ją uściskał. Był jak wielki pluszowy miś. – Uważaj na siebie, Véronique – powiedział na koniec z uśmiechem i ruszył do windy, a ona mu pomachała i weszła do siebie.

Czuła się, jakby przez ostatnie kilka godzin żyła życiem kogoś innego. Nie wiedziała czyim, ale na pewno nie swoim. Nikołaj przysłał jej SMS-a, w której życzył jej dobrej nocy i słodkich snów. Prawie już spała, kiedy odczytała tę wiadomość, i poszła za jego radą. A Pietrowicz w tym czasie leżał już w objęciach dziewczyny, czekającej na niego w sypialni. Czekala wiele godzin, ale była na tyle mądra, że się nie skarżyła. A on tymczasem spędził uroczy wieczór z Véronique.

Rozdział 6

Gdy nazajutrz Véronique się obudziła, Nikołaja nie było już w hotelu, wymeldował się. Jęknęła, gdy zobaczyła się w lustrze... Kolana miała niczym hamburgery, na nogach pełno siniaków. Podrapane dłonie nadal bolały i w dodatku dokuczał jej kac po szampanie.

– Wyglądasz okropnie – powiedziała do swojego odbicia, a potem weszła do wanny, by wymoczyć siniaki i się zrelaksować.

Kiedy się ubierała, czuła się już lepiej i uśmiechnęła się na wspomnienie wspaniałego wieczoru, jaki spędziła wczoraj na tarasie prezydenckiego apartamentu. Nikołaj to wyjątkowy człowiek... Ciekawe, czy jeszcze go kiedyś zobaczy. Wydawało się to mało prawdopodobne, ale byłoby zabawnie zapoznać z nim córki, gdyby rzeczywiście pojawił się na południu Francji. Byłyby zdumione, że to jej znajomy, zresztą i sama wciąż była tym zszokowana. Nikołaj nie należał do osób, z jakimi obcowała w swoim spokojnym życiu, i z pozoru niewiele ich łączyło, niemniej był interesującym rozmówcą i miał wiele życiowej mądrości. Bez wątpienia potrafił czerpać z życia, każdy dzień przeżywał w pełni i radził, by postępowała tak samo. Był to w sumie wyłącznie niewinny flirt, nie ulegało jednak wątpliwości, że był ogromnie intrygującym i atrakcyjnym mężczyzną. Nie wyobrażała sobie, by mogła wdać się z nim w romans, zanadto się różnili, no i, sądząc z jego reputacji, była dla niego o wiele za stara, niemniej zabawnie byłoby mieć takiego znajomego. Miała nadzieję, że jeszcze go zobaczy.

Kiedy wymeldowywała się z hotelu, była w dobrym nastroju. Portier wynajął dla niej samochód, którym sama pojechała do Wenecji. Mogła polecieć, ale wolała auto, chciała nacieszyć się po drodze widokami. Ruszyła w południe i przed wieczorem dotarła na miejsce. Podróż była łatwa i wygodna, jechała głównie obwodnicami, omijając Florencję i Bolonię.

Hotel Cipriani, w którym zarezerwowała pokój, przysłał po nią łódź. Po oddaniu wynajętego auta wsiadła do niej i została zawieszona do hotelu, gdzie dostała apartament z widokiem na lagunę. Wieczór był piękny i ciepły i gdy się już rozpakowała, kazała się zawieźć jedną z hotelowych łodzi na plac św. Marka. Nie mogła się doczekać zwiedzania Wenecji. Lata minęły, odkąd widziała ją ostatnio...

Miasto było jeszcze piękniejsze, niż je zapamiętała, z tym ogromnym kościołem, Pałacem Dożów i licznymi kafejkami. W ulicznych ogródkach siedziało mnóstwo ludzi, którzy jedli, gawędzili i pili wino. Turyści byli wszędzie, ale jej to nie przeszkadzało. Czuła się bezpieczna i spokojna.

Spacerowała dwie godziny, kupiła sobie lody na ulicznym stoisku, przez jakiś czas podziwiała podświetloną nocą katedrę, przyglądała się ludziom wsiadającym do gondoli, by przejechać pod Mostem Westchnień. Pomyślała, że

Wenecja to najromantyczniejsze miasto na świecie. Powróciły wspomnienia z jej miesiąca miodowego z Paulem, starała się jednak o tym nie myśleć. Tak jak mówił wczoraj Nikolaïj, przeszłość minęła i nadszedł czas, by spojrzeć przed siebie, w przyszłość, i cieszyła się teraźniejszością. To była dobra rada. Kiedy wsiadała z powrotem do łodzi, by odwiozła ją do hotelu, czuła przyjemne zmęczenie. Przecinając lagunę, podziwiała światła Wenecji.

W hotelowym pokoju wyszła na balkon i wspominała niezwykle widok z tarasu hotelu w Rzymie. Przez chwilę pomyślała o Nikolaïju, o ich wspólnej kolacji i niedosłej katastrofie, po czym poszła się położyć. Tuż przed zaśnięciem dostała SMS-a: Nikolaïj! Uśmiechnęła się. Pisał, że ma nadzieję, iż czuje się lepiej i nie dokuczają jej już skutki wypadku z poprzedniego dnia. Odpisała natychmiast, ponownie podziękowała za kolację i zapewniła, że czuje się dobrze, że szalenie jej się podoba w Wenecji i że ma nadzieję, iż jeszcze się spotkają.

Nazajutrz obudziła się wcześniej, zjadła śniadanie na balkonie, po czym znowu kazała się podwieźć na plac św. Marka. Tym razem zamierzała zwiedzić miasto dokładniej. Było tu mnóstwo wijących się uliczek i za każdym razem, gdy sądziła, że się zgubiła, po jakimś czasie odnajdowała się ponownie w znajomym miejscu. Uliczki płątały się i przecinały, powoli jednak zaczynała się orientować w ich gąszczu. Wchodziła do uroczych kościółków, podziwiała ich wyrafinowane marmurowe mozaiki i wspaniałe freski i w każdym dokonywała nowych odkryć. Ta sztuka zapierała dech w piersiach, ekscytujący był już sam fakt, że mogła to wszystko oglądać.

Po kilku godzinach wałęsania przysiadła na ławeczce na jakimś skwerku i rozejrzała się. Nie miała pojęcia, gdzie jest. Ale nie miało to znaczenia – wiedziała, że odnajdzie drogę na plac św. Marka, a w Wenecji każda jej część była warta obejrzenia.

Siedziała tak parę minut, gdy nagle przysiadł obok jakiś mężczyzna. Nie wiedziała dlaczego, ale wydał jej się dziwnie znajomy. Z ramienia zwisał mu na pasku aparat fotograficzny. Miała wrażenie, że gdzieś go już widziała, nie potrafiła sobie jednak przypomnieć, gdzie to mogło być. Zauważyła, że on też na nią zerka i że się skrzywił, gdy spojrział na jej podrapane i posiniaczone kolana, widoczne spod rąbka krótkiej różowej sukienki. Wyglądały o wiele lepiej niż dzień wcześniej, już tak nie bolały i nie utrudniały jej chodzenia, ale ich widok nadal był dość przykry. Całkiem jakby ciągnięto ją na kolanach za koniem... Mężczyzna spostrzegł, w jakim stanie są również jej dłonie i znowu się skrzywił.

– To musiał być nieprzyjemny upadek – rzekł współczującym tonem z wyraźnym brytyjskim akcentem. Wiedział, że ona mówi po angielsku, bo widział przewodnik leżący obok niej na ławce. Próbowwała przy jego pomocy zorientować się, gdzie jest, ale nie zdołała.

Uśmiechnęła się do nieznajomego. Miał młodą twarz, przyprószone siwizną

ciemne włosy i poważne ciemnobrązowe oczy.

– Miałam w Rzymie bliskie spotkanie z samochodem – wyjaśniła lekko. – Ale nie jest tak źle, jak na to wygląda.

Nieznajomy nie wydawał się przekonany. Siniaki na jej kolanach od wczoraj przybrały barwę śliwki. Zdecydowanie wyglądała jak dziecko wojny, ale nie sprawiała wrażenia przygnębionej z tego powodu. Zbyt zafascynowana była tym, co ją otaczało, żeby się przejmować zadrapaniami i siniakami.

– Tu przynajmniej pani nie grozi, że przejedzie panią samochód – zauważył z uśmiechem. A potem wspomniał o kościele, który właśnie zwiedził, i że jego zdaniem wart jest obejrzenia. Podziękowała mu i sięgnęła po przewodnik, by znaleźć opis kościoła.

Po kilku minutach nieznajomy odszedł, a ona, choć nadal jej się wydawało, że gdzieś go już widziała, uznała, że to tylko wyobraźnia, i zapomniała o nim. Miała ochotę cofnąć się do kościoła, o którym mówił, bała się jednak, że znowu się zgubi. W końcu udało jej się odnaleźć kościółek na mapie. Znajdował się kilka uliczek dalej, ale droga do niego była dość zawijała. Ruszyła przed siebie i kiedy wydawało jej się, że powinna już dochodzić na miejsce, ponownie trafiła na plac św. Marka.

Poranne zwiedzanie okazało się bardzo udane, obejrzała wspaniałe rzeczy, mnóstwo kościołów i kapliczek wypełnionych typową dla Wenecji sztuką Renesansu. Po wejściu na plac zatrzymała się w jednej z ulicznych kafejek, zamówiła kawę i lody, wyjęła z torby notes i zaczęła rysować. Po obejrzeniu tych wszystkich dzieł sztuki, tu, w Wenecji i poprzedniego dnia w Rzymie, miała na to straszną ochotę. Zaczęła szkicować twarze ludzi siedzących w kawiarni i pochłonęło ją to bez reszty. Popijała kawę, podjadała lody i nie podnosiła oczu, dopóki nie skończyła szkicu kobiety, która siedziała o parę stolików dalej.

Kiedy wreszcie odłożyła notes i się rozejrzała, znowu dostrzegła mężczyznę z aparatem. Siedział o dwa stoliki od niej. Uśmiechnął się i wskazując na nią palcem, zrobił zdziwioną minę.

– Czy pani mnie śledzi? – spytał, a ona roześmiała się i pokręciła głową. Ich ścieżki przecięły się dziś już po raz drugi. No, ale Wenecja to niewielkie miasto i wszystkie drogi zawsze prowadziły z powrotem na plac św. Marka.

– To chyba raczej pan śledzi mnie – zażartowała, a on zaprzeczył. Kiedy stolik między nimi się zwolnił, bez pytania usiadł obok niej i zerknął ciekawie na rysunek.

– Bardzo dobre – skomplementował ją.

Zawstydzila się i schowała notes. Nigdy nie lubiła pokazywać swoich prac, krępowała się, a zresztą teraz rzadko już szkicowała. Zainspirował ją jednak ten ranek zwiedzania, a pobyt we Włoszech sprawił, że znowu zapragnęła malować.

– Proszę mi więc wyjaśnić – rzekł swobodnym tonem mężczyzna o

intensywnie brązowych oczach i szpakowatych włosach – dlaczego chodzi pani za mną po całej Wenecji? Jest pani z CIA albo z KGB?

Udawał powagę, ale w oczach miał szelmowski błysk. Było w nim coś lekko sarkastycznego, a ostatnie zdanie ją rozśmieszyło. Prawda była taka, że po prostu zwiedzali te same miejsca, a wtedy łatwo wpaść na te same osoby. Nieznajomy trochę się wyróżniał spośród tłumu turystów, więc za każdym razem go rozpoznawała.

– Była już pani w Pałacu Dożów? – spytał z zaciekawieniem.

– Byłam rano... Jest niesamowity. Próbowалам też dostać się do katedry, ale kolejka była taka długa, że zrezygnowалам.

Zwykle nie miała zwyczaju rozmawiać z obcymi, ten jednak miał w sobie jakąś bezpośredniość i otwartość. Konwersacja była niewinna, cóż więc szkodziło trochę pogawędzić przy kawiarnianym stoliku.

– Zdradzę pani sztuczkę, dzięki której się pani do niej dostanie – rzekł, ścisząc konspiracyjnie głos. – Jeśli powie pani strażnikom, że idzie na mszę, wpuszczą panią bez kolejki. Znajomy mi o tym powiedział i to działa. Wypróbowałem dzisiaj.

– Naprawdę? – Spojrzała na niego z zaskoczeniem, wdzięczna za podpowiedź. Nie chciało jej się godzinami czekać w kolejce przy tym upale.

– Naprawdę. Proszę sprawdzić – poradził, zaglądając jej w oczy.

– Tak zrobię. Dziękuję.

Uśmiechnęła się do niego i znów wezbrało w niej przeświadczenie, że oprócz tej ławeczki na skwerze gdzieś go już wcześniej widziała. Wrażenie déjà vu było niezwykle silne... Zerknęła na jego aparat – i wtedy sobie przypomniała. Widziała go przy fontannie di Trevi w Rzymie, kiedy zamierzała wypowiedzieć swoje trzy życzenia! Przyglądał jej się z wycelowanym w nią aparatem, po czym zniknął, a ona później zupełnie o nim zapomniała.

– Widziałam pana dwa dni temu w Rzymie – rzekła z namysłem. – Chyba chciał mi pan zrobić zdjęcie, kiedy zamierzałam wrzucić monety do fontanny.

Skinął głową. Rozpoznał ją już wcześniej. Zachwyciła go jej uroda i niezwykle kolor oczu, lawendowobłękitny.

– Widziałem panią potem jeszcze raz – wyznał z nieco skruszoną miną i wskazał na jej kolana. – Obawiam się, że to ja jestem za to odpowiedzialny.

Pokręciła głową.

– Nie, nie, to wypadek. O mało nie potracił mnie samochód – odparła, nagle jednak przypomniała jej się siła, która zepchnęła ją z trasy ferrari. Co on ma na myśli?

– Obawiam się, że trochę przesadziłem. Myślałem, że pani zginie – powiedział, patrząc jej w oczy.

– To pan? – spytała zdumiona, a on kiwnął ze zmieszanym głową. – Tak

właśnie myślałam, że ktoś mnie popchnął, ale nie byłam pewna... Uznałam, że to była ręka przeznaczenia – powiedziała, uśmiechając się do niego z wdzięcznością.

– Nie, to tylko ja. Nie wyglądało, by zamierzała pani się odsunąć. Tak się pani przestraszyła, że bała się zareagować. – Nie chciała się przed nim przyznawać, że nadal nie wie, dlaczego stała wtedy jak wmurowana i patrzyła, jak szarżuje na nią auto Nikolaja. – Jest pani lżejsza, niż założyłem, dlatego poleciała pani dalej, niż chciałem. Pchnąłem panią bardzo mocno – dodał ze skrucą. – Poczulem się strasznie, kiedy dziś rano zobaczyłem pani kolana.

– Uratował mi pan życie – rzekła zdumiona. – Dlaczego pan nie został? Rozglądałam się później, ale nikogo nie widziałam. Byłam w szoku...

– Widziałem, że kierowca wysiada, żeby pani pomóc, i szybko zebrało się wokół pani mnóstwo ludzi. Uznałem, że nie będę już potrzebny. Wiedziałem, że nic już pani nie grozi – dokończył ciszej.

Nadal nie mogła wyjść ze zdumienia, że to był on i że spotkali się ponownie w Wenecji.

– Często pan to robi? Ratuje ludziom życie, wyciągając spod rozpędzonych aut? – Była naprawdę poruszona, że poznała swojego wybawcę i że mogła mu osobiście podziękować. Pchnął ją tak mocno, że uciekła przed śmiercią dosłownie na skrzydłach, późniejsze niezręczne lądowanie się nie liczyło.

– Nigdy. Jestem okropnym człowiekiem. Zwykle spycham ze schodów staruszki. – Jednak w roli czarnego charakteru był o wiele mniej wiarygodny niż w roli bohatera. – Poza tym stała pani tuż przede mną i pomyślałem, że jeśli auto uderzy w panią, może też uderzyć we mnie. Więc był to czyn całkowicie egoistyczny. – Znowu się z nią droczył. Miał dość cyniczne poczucie humoru.

– Nie wierzę panu – odparła, a on się roześmiał.

– Tak czy owak, to mnie pani zawdzięcza te piękne kolana i dłonie. Przepraszam za brutalność.

– Już mnie nawet nie boją, a potrącenie przez samochód skończyłoby się o wiele gorzej – odrzekła miękko.

– Tak, to prawda. I byłaby kupa bałaganu – dodał, co zabrzmiało bardzo po brytyjsku.

– Wie pan, ja dosłownie wzbiłam się w powietrze i pofrunęłam. Biedny kierowca o mało nie padł trupem z przerażenia.

– Powinien. Jechał za szybko i naprawdę był o włos od potrącenia pani. – Jej dobroczyńca chyba się zdenerwował. – W Rzymie wszyscy jeżdżą za szybko.

Oboje wiedzieli, że to prawda, jednak nieznamy z aparatem zdawał się uważać, że całą winę za kolizję ponosi kierowca ferrari, a ona miała wielkie szczęście.

– Tak naprawdę to była moja wina. Nie uskoczyłam z jezdni. Nie wiem dlaczego, ale po prostu mnie замуrowało – wyznała.

– I dlatego pchnąłem panią tak mocno. Nie zdawałem sobie tylko sprawy, że lądowanie będzie takie ostre. Cieszę się, że niczego sobie pani nie złamała – rzekł z ulgą w głosie. Myślał o niej tamtego wieczoru po wypadku. Bardzo przeżył ten moment, gdy sądził, że zginie. – Może przy okazji się przedstawię: Aidan Smith. – Wyciągnął rękę, ona ją ujęła i wymienili uścisk dłoni.

– Véronique Parker – odrzekła uprzejmie.

– Miło mi. – Znów był drwiąco-poważny. – A teraz proszę już przestać mnie śledzić, Véronique. – Podniósł się, zapłacił za swoją kawę i szykował się do odejścia. Ona także wstała.

– Postaram się – obiecała. – Teraz już wracam do hotelu, więc nie musi się pan martwić. – Śmiała się, mówiąc to, i on także.

– Gdzie się pani zatrzymała?

– W Cipriani.

Nie był zaskoczony. Był to jeden z najlepszych hoteli w Wenecji i Véronique do niego pasowała.

– Bardzo elegancko. Ja mieszkam w małym zajeździe przy Calle Priuli dei Cavalletti. O oczko wyżej od schroniska młodzieżowego, ale za to jest tanio. – W przeciwieństwie do Cipriani, rzecz jasna.

– Jest pan fotografem? – spytała, gdy ruszyli razem przez plac. Aparat, który miał przy sobie, wyglądał bardzo profesjonalnie.

– Owszem. Jestem kronikarzem zła tego świata, a jest go bez liku – odparł ironicznie.

– W takim razie dlaczego fotografował mnie pan wtedy przy fontannie? Nie było tam żadnego zła.

– Bo pięknie pani wyglądała – odparł miło i twarz mu złagodniała. – Chciałem uwiecznić ten widok. Słońce uwydatniło kolor pani oczu, a gdy zastanawiała się pani nad życzeniami, w pani twarzy było coś wzruszającego. Nadzieja i smutek. – Uśmiechnął się do niej jakoś tak ciepło i łagodnie, choć kiedy indziej, jak zauważyła, bywał gwałtowny i porywczy. Przypuszczała, że jest człowiekiem o wielu twarzach i zmiennych nastrojach.

– No cóż, niech się pani nie pozwoli przejechać gondoli – zażartował, kiedy ją odprowadził do łodzi przysłanej z Cipriani.

– Nie pozwolę. I dziękuję za uratowanie mi życia w Rzymie – powiedziała szczerze, z wdzięcznością. Prawda była taka, że w tamtym ułamku sekundy, gdy przytłoczona niedawnymi wydarzeniami zdała się na los, uratował ją przed nią samą.

– Zawsze do usług. To była sama przyjemność. I jeszcze raz przepraszam za rękę i kolana. Następnym razem będę ostrożniejszy, jeśli sytuacja się powtórzy.

– Mam nadzieję, że nie! – wykrzyknęła żarliwie, wspominając pędzące wprost na nią ferrari Nikołaja, przed którym uratowało ją nadludzko silne ramię

Aidana.

– Ja też mam taką nadzieję. Do zobaczenia jutro gdzieś na szlaku – rzucił swobodnie.

– Jeszcze raz obiecuję, że nie będę pana śledziła – powiedziała z uśmiechem.

– Nie musi mi pani tego obiecywać. I tak przez cały dzień na okrągło natykałem się na tych samych ludzi. A to dlatego, że niemal przez cały czas się gubiłem – wyznał i oboje wybuchnęli śmiechem, po czym Véronique wsiadła do łódki.

Łódź odbiła. Véronique pomachała mu na pożegnanie, a on pomachał jej w odpowiedzi. Odprowadzał ją wzrokiem i myślał, czy jeszcze ją kiedyś zobaczy. Jak dotąd przeznaczenie interweniowało trzykrotnie: przy fontannie di Trevi, kiedy zepchnął ją z trasy ferrari i teraz w Wenecji. Wydawało się zbyt wielkim optymizmem sądzić, że los zainterweniuje po raz czwarty, więc raczej w to wątpił. Nikt nie ma aż tyle szczęścia... Ruszył przed siebie, myśląc o kolorze oczu Véronique. Była jeszcze piękniejsza niż mu się wydawało wtedy w Rzymie, przy fontannie. Przypominała mu ciemnowłosego anioła. Dziwne, że los i okoliczności ciągle stawiają mu ją na drodze... Teraz już wiedział, gdzie się zatrzymała, ale nie chciał się jej narzucać. Byli dla siebie obcy i pozostawało mu tylko mieć nadzieję, że na którejś z uliczek Wenecji natknie się na nią ponownie.

Rozdział 7

Nazajutrz wczesnym rankiem, korzystając z podstępu, jaki podsunął jej Aidan, Véronique dostała się do bazyliki św. Marka. Jednemu ze strażników powiedziała, że przyszła na mszę, a ten natychmiast podniósł linkę i ją wpuścił. A koniec końców i tak została na mszy. W tym wyjątkowo wspaniałym kościele proste i piękne nabożeństwo robiło szczególne wrażenie. Véronique nieustannie popatrywała po ścianach, sklepieniu i wszystkich zgromadzonych tu dziełach sztuki. Przed wyjściem zapaliła świeczkę za córki i za Paula, i zdała sobie sprawę, że przybyła do Wenecji pośrednio dzięki niemu – by uzyskać potwierdzenie autentyczności Belliniego, nad którą zastanawiali się od trzydziestu lat.

Później znowu zwiedzała niezliczone świątynki, w tym także Santa Maria della Salute, stanowiący jeden z punktów orientacyjnych miasta, pobliski klasztor św. Grzegorza oraz kościół Santa Maria dei Miracoli, który zwiedzała kiedyś z Paulem. W porze lunchu uznała, że ma dosyć kościołów i wstąpiła do trattorii na kawałek pizzy, a potem znowu powróciła na wąskie weneckie uliczki. Oglądała wystawy sklepowe, zajrzała do kilku jubilerów na Moście Rialto, a potem przez jakiś czas stała i przyglądała się sunącym pod nim gondolom.

Też chciała się jedną z nich przejechać, ale jeszcze nie miała na to czasu, zbyt zajęta była zwiedzaniem. Właśnie opuszczała kolejną kapliczkę, odkrytą przez przypadek, gdy ponownie wpadła na Aidana. Jadł lody czekoladowe, które ściekały mu po brodzie. Na jej widok szeroko się uśmiechnął. Miał nadzieję, że jeszcze ją spotka, postanowił jednak, że decyzję w tej sprawie złoży w ręce losu. Była przyjazna i miła, zdawał sobie jednak sprawę, że ich światy są odległe. On mieszkał w jednym z najtańszych hotelików w Wenecji i to mu wystarczało, ona w najelegantszym, na Lido, i ewidentnie było to jej powszednie otoczenie. Cóż, te dwa światy nie mają żadnych punktów stykowych... Mimo to cieszył się, że los znowu ich ze sobą zetknął.

– Dzięki panu dostałam się rano do św. Marka. – Patrząc, jak ociera sobie brodę ze śladów po lodach i wtyka resztę rożka do ust, uśmiechnęła się szeroko.

Przez chwilę milczał i tylko wpatrywał się w jej oczy. Ich głęboki fiołkowy kolor go hipnotyzował.

– Ale pod koniec postanowiłam zachować się uczciwie – wyznała – i wzięłam udział w nabożeństwie. Kościół jest nieprawdopodobnie piękny. A pan co dziś porabiał?

Zachowywali się jak starzy przyjaciele. Aidan wreszcie przełknął rożek i mógł się odezwać.

– Fotografowałem freski i ludzi na ulicach. Wszyscy tu są tacy piękni, niemal jak tutejsze dzieła sztuki. – Jak zawsze trzymał w ręce aparat.

– Czy potem sprzedaje pan te zdjęcia magazynom i gazetom? – Była go ciekawa, tym bardziej że wyglądało, iż jest profesjonalistą.

– Nie jestem tego rodzaju fotografem – uśmiechnął się. Ruszyli przed siebie.
– Wystawiam swoje prace w galeriach i mam nadzieję, że pewnego dnia znajdą się w muzeach. Fascynują mnie rzeczy niecodzienne, tajemnicze i ponure. Wkrótce będę miał wystawę w Berlinie. Mam świetnego agenta, potrafi mnie wkręcić w bardzo interesujące miejsca.

Véronique wiedziała, że scena artystyczna w Berlinie działa doskonale, Wystawiało się tam wielu amerykańskich artystów, ale sama nigdy w Berlinie nie była.

– W zeszłym roku – ciągnął – miałem wystawę w Londynie. Niestety, wśród recenzentów zdarzają się zazdrośni, mali ludzie bez talentu i z ograniczonym umysłem – podsumował ich z irytacją. – Wystawiała pani może kiedyś swoje prace? – spytał, równie ciekawy jej. Wiedział, że ma talent, bo poprzedniego dnia oglądał jej szkic. Oboje byli kronikarzami życia i ludzkiej kondycji, a to go fascynowało.

– Tylko raz, we wczesnej młodości, ale to nie była prawdziwa wystawa. Mój ojciec ją zorganizował, dla przyjaciół. Wtedy jeszcze studiowałam w Beaux-Arts. Krępujące to było, ale dostałam wtedy kilka zamówień. Teraz od dawna już nie maluję – dodała, jak zawsze skromna i niezbyt wierząca w swój talent.

– Dlaczego? – spytał Aidan z naciskiem, tak jakby miał jej to za złe. On nie wypuszczał aparatu z ręki od czasów nastoletnich. Zawsze powtarzał, że jest jego wzrokiem, że bez niego nie widzi, i uważał, że ona powinna tak samo traktować swoje malarstwo. Zbrodnią było, jego zdaniem, marnować talent, jakim człowiek został obdarzony, i nie wykorzystywać go. Był ambitny i tego samego oczekiwał od innych.

– Byłam zajęta – wyjaśniła. – Małżeństwem, dziećmi... A teraz jestem już na to za leniwa.

Zbyła pytanie nazbyt łatwo, ale Aidana nigdy nie zadowalały powierzchowne odpowiedzi, choć tego jeszcze nie wiedziała. Zawsze chciał dotrzeć do sedna wszystkiego, i dawało się to dostrzec w jego zdjęciach. Nawet prosta szczerść mu nie wystarczała – zawsze chciał więcej.

– To słabe wymówki – powiedział krytycznie. – Może wcale nie jest pani leniwa, tylko się boi.

Zaskoczył ją tą uwagą i przez chwilę szli w milczeniu. Zastanawiała się nad tym, co powiedział. Po chwili na niego spojrzała.

– Może i ma pan rację – rzekła z namysłem. Była szczerą, zwłaszcza gdy chodziło o nią samą, i nigdy nie udawała kogoś, kim nie jest. – Boję się malować od dawna, zwłaszcza odkąd dzieci dorosły. Nie mogę już ich obwiniać za to, że nie maluję.

– Czego się pani boi? – drażzył, zawsze zainteresowany prawdziwymi odpowiedziami, a nie łatwymi.

– Może tego, że nie mam talentu, że jestem artystyczną oszustką. Łatwo namalować portret, który się ludziom podoba. Koryguje się oczywiste wady, delikatnie idealizuje model. Gdyby malować prawdę, to, co ludzie mają w środku, byłiby śmiertelnie przerażeni i nigdy by portretu nie kupili. Zawsze byłam uprzejma w moich pracach, malowałam raczej ideał niż prawdę. Nie chcę tego więcej robić, tak naprawdę nigdy nie chciałam. Nie chciałam być artystką komercyjną, a że nie da się tego uniknąć, przestałam malować w ogóle.

– Więc niech pani maluje to, co widzi, i tak, jak czuje – rzekł po prostu. Jemu się to wydawało oczywiste, ale on zajmował się kryminalistami i skazańcami, prostytutkami i bezdomnymi, narkomanami i ludźmi z ulicy. Jego prace nie musiały się podobać nikomu poza nim samym.

– Tylko dla kogo bym wtedy malowała, Aidanie? – spytała, patrząc na niego przenikliwie fiołkowymi oczami. Miała spojrzenie równie intensywne jak on i to mu się podobało.

– Maluje się dla siebie, nie dla innych – upierał się.

– Tak się nie da z portretami. Ludzie byłiby przerażeni.

– Nie da się połączyć tych rzeczy? Być szczerym i prawdziwym, a zarazem wiernym sobie?

– Może się i da... Nigdy się nad tym nie zastanawiałam. Byłam bardzo młoda, kiedy przestałam malować.

– Mówi pani, jakby teraz była stara – zauważył z przyganą. – A tak nie jest.

– Jestem dostatecznie stara – powiedziała szczerze. Niewątpliwie miała też więcej życiowego doświadczenia niż on. Pomimo siwizny we włosach wyglądał na człowieka młodego. – A już na pewno starsza od pana – dodała z ostrożnym uśmiechem.

Miała wrażenie, że zaczynają się zaprzyjaźniać. Ich rozmowa była dość poważna jak na dwójkę obcych sobie ludzi zaledwie w dzień po tym, jak się poznali. Ale Aidan nie był kimś banalnym – był mocny i wyrazisty.

– Mam czterdzieści jeden lat – obruszył się, przekonany, że jest od niego młodsza, chociaż zapewne niewiele.

– A ja o jedenaście więcej, pięćdziesiąt dwa.

Zaskoczyła go. Tego się nie spodziewał.

– Sądziłem, że ma pani trzydzieści pięć, góra dziewięć! – Miała w sobie coś młodzieńczego, a jej łagodność sprawiała, że wydawała się młodsza. Strój nic nie mówił o wieku, a twarz była prawie nietknięta upływem czasu. – Jestem pod wrażeniem.

– Dziękuję – powiedziała z uśmiechem.

– Uważam, że wiek się nie liczy. Chodzi o to, co się robi, o sposób myślenia,

o żywotność, a nie o to, co jest napisane w paszporcie. Znałem ludzi o połowę ode mnie młodszych, którzy byli martwi. A w zeszłym roku fotografowałem stuletniego mężczyznę, który duchem był młodszy ode mnie.

– Niestety, kiedy spoglądam do lustra, nie widzę duszy – odparła ze śmiechem. – Widzę twarz. I czasami jestem przerażona.

– Wygląda pani jak dziecko – upierał się. – À propos dzieci, ile ich pani ma?

Było w niej coś fascynującego, w każdym aspekcie, i fizycznym, i psychologicznym, i chciał się o niej dowiedzieć czegoś więcej. A ona była tak samo zaintrygowana nim. Miał w sobie coś mrocznego i tajemniczego, ale kiedy się uśmiechał czy mówił coś miłego, było tak, jakby zza chmur wyszło słońce.

– Trzy córki. Są po dwudziestce, ciężko pracują, prowadzą bardzo aktywne życie. – Aktywniejsze niż ona, co było obecnie jej problemem. Musiała wymyślić, co ze sobą zrobić. Ostatnio wszystko wskazywało, że powinna powrócić do malowania. Paul zasugerował to w swoim testamencie, a teraz Aidan, który ledwie ją znał, też ją popychał w tym kierunku.

– Czym się zajmują?

– Jedna pracuje w pomocy społecznej, druga ma piekarnię, trzecia jest aktorką. – Sama wiedziała, że to dość egzotyczna mieszanka, niemniej tak wyglądała prawda.

– Ciekawe. Musiała im pani dawać sporo luzu w dzieciństwie na bycie sobą.

– Nie, to nie tak – roześmiała się. – Po prostu wszystkie są bardzo uparte i zawsze robią, co chcą. – Jej ton wskazywał, że podziwiała za to córki. Aidan wyraźnie to usłyszał.

– Pani też jest taka uparta jak one? – spytał, zaglądając jej w oczy.

– Nie – pokręciła głową. – Aż tak to nie. To przywilej młodości, za nic nie odpowiadać i słuchać tylko siebie. A jak jest z panem?

– Ja jestem prawdziwym potworem – odparł dumnie, a ona się roześmiała. Nie była pewna, czy to prawda, chociaż potrafiła sobie wyobrazić, że może być trudny. Miał zdecydowane poglądy i nie bał się ujawniać, nawet przed kimś, kogo ledwie znał. – Nigdy nie byłem żonaty, nie mam dzieci i nigdy nie chciałem ich mieć. Myślę, że marny byłby ze mnie ojciec. Znadto jestem niezależny, żeby być dobrym przykładem dla dzieci, i możliwe, że teraz już zbyt samolubny. Żyłem z dwiema kobietami. Jedna mnie nienawidzi, bo po pięciu latach związku nie chciałem się z nią ożenić. Z drugą rozstaliśmy się w przyjaźni. Byliśmy ze sobą osiem lat. Skończyłem to, bo byłem znudzony... oboje byliśmy. Przestaliśmy się rozwijać i nie chciałem czekać, aż się nawzajem znienawidzimy. Nie jest łatwo utrzymać żywy związek, a my się bardzo różniliśmy. Ona była prawniczką z zamożnej arystokratycznej rodziny, ja – artystą o zbyt cygańskim, jej zdaniem, stylu życia, a przynajmniej tak uważała jej rodzina. Ostatecznie wyszła za mąż za członka Izby Lordów i jej rodzice byli tym zachwyceni. Ja byłem dla niej małym

skokiem w bok, zanim się ustatkowała – powiedział z lekkim rozgoryczeniem, co nie uszło uwagi Véronique.

– Nie lubi pan arystokratów? – spytała śmiało. Niepodobne to było do niej, no ale on rozmawiał z nią tak szczerze...

– Mam na nich alergię – odparł z żarem. – Zwłaszcza na tych z pieniędzmi. Wychowałem się w biedzie i wierzę w szczerłość i autentyczność ludu. W dzieciństwie zazdrościłem bogaczom. Wydawało mi się, że są od nas szczęśliwsi, ale potem odkryłem, że są tak samo nieszczęśliwi... tyle że mają lepsze maniery i używają okrągłych słów.

Roześmiała się. Szli dalej.

– Nie wszyscy bogaci są źli, choć niektórzy na pewno tak – przyznała, myśląc o Bertiem i o tym, jak zepsuł go pościg za kasą, chciwość i zazdrość wobec wszystkich i o wszystko.

– I nie wszyscy biedni są dobrzy – zgodził się. – Ale chyba są bardziej szczerzy. Jeśli cię nienawidzą, zwykle mówią ci to wprost. Nie znoszę udawania i hipokryzji. Rodzina Arabelli doprowadzała mnie do szału – nigdy nie byli szczerzy, tylko nadzwyczaj dobrze wychowani i ugrzeczniejsi. Już wolę, jak biedny pluje mi w twarz, niż kiedy ściska mi dłoń bogaty. Mój ojciec pochodził z rodziny górniczej z północy, rodzina matki miała trochę wyższy status. Obydwie rodziny się nienawidziły i matka z ojcem niemal przez całe małżeństwo byli bardzo nieszczęśliwi. Jak ogień i woda, jak mówi stare porzekadło. Takie połączenia się nie sprawdzają. Jakby rybę wydano za ptaka.

Miał bardzo zdecydowane opinie. Ciekawe, co by powiedział o jej rodzinie, o Paulu, który się z nią ożenił dla pieniędzy i żył z nich bez cienia wstydu przez trzydzieści lat... Nic w tym godnego podziwu, niemniej przez jakieś dziesięć lat było im ze sobą dobrze, no i miała z tego małżeństwa trójkę dzieci. Dlatego czuła, że było warto, bez względu na koszty.

– Jest pani rozwiedziona? – spytał, a ona potwierdziła skinieniem głowy.

– Ale nie zerwaliśmy kontaktów. Byliśmy sobie bliscy. Mój były mąż zmarł przed dwoma tygodniami i wszyscy to bardzo przeżyliśmy. Nie był zbyt dobrym mężem ani ojcem, ale nie można też powiedzieć, że był zły.

Pomimo że ją zdradzał, oszukiwał i bez opamiętania trwonił jej pieniądze. Dopiero od jego śmierci, po tym jak dowiedziała się o córce, którą spłodził podczas trwania ich małżeństwa, miała co do niego bardzo mieszane uczucia. O jeden występki za dużo... Ale o żadnej z tych rzeczy nie powiedziała Aidanowi.

– Chyba dość młodo umarł – zdziwił się. – Zginął w jakimś wypadku czy może miał atak serca?

– Rok temu dostał wylewu. Był ode mnie o wiele starszy. Miał osiemdziesiąt lat, kiedy umarł. Moje dzieci nadal są bardzo przygnębione. Trochę to potrwa, zanim się uporamy z tą stratą.

I z szokiem wywołanym istnieniem Sophie... Czy kiedykolwiek się z tym pogodzą? Jeśli o nią chodzi, to raczej nie, zważywszy na okoliczności. Przez ostatnie dwa tygodnie to odkrycie zaciemniało wszystkie jej uczucia wobec Paula. Jakie to dziwne, że opowiada temu w gruncie rzeczy obcemu mężczyźnie o ludziach, których on nie zna.

– Pewnie uważasz, że mówię jak komunista – rzekł z uśmiechem, przechodząc bez ceregieli na ty. Przysiedli na ławce stojącej na wprost niewielkiego parku, w którym bawiły się dzieci pilnowane przez matki.

– Nie, raczej, że masz bardzo wyrobione zdanie na temat spraw, o których mówisz. I że niezbyt lubisz ludzi bogatych – odparła, także się uśmiechając. – Czasami ja też ich nie lubię. I tak jak ty nie cierpię hipokryzji i kłamstwa. Nie sądzę jednak, żeby to było typowe wyłącznie dla bogaczy. Jestem przekonana, że ludzie bez pieniędzy też kłamią.

– Nieustannie – zgodził się z szerokim uśmiechem. – Taka jest natura człowieka... i niektórych kobiet. – Sam jednak sprawiał wrażenie wyjątkowo szczerego, nawet co do siebie samego, i poszukując prawdy, bez wahania docierał do sedna rzeczy.

Przez jakiś czas siedzieli w milczeniu, przyglądając się dzieciom. Sceny takie jak ta zawsze przywodziły jej na myśl szczęśliwe dni, gdy jej własne dzieci były małe. Trudno było nie tęsknić teraz za nimi.

– Myślisz o swoich dzieciach, prawda? – powiedział, jakby potrafił czytać w jej myślach. Pokiwała głową i odwróciła się do niego. W jej oczach widział znacznie więcej, niż powiedziała. Wydawało mu się, że jest bardzo samotna i nie całkiem szczęśliwa. – Po co przyjechałaś do Wenecji? – spytał, marząc po cichu, by móc jej zrobić zdjęcie. Nie chciał jednak, by miała wrażenie, że jest pod nieustanną obserwacją. Widział, że nie lubiła, gdy skupiało się na niej zbyt wiele uwagi. I on jako fotograf też tego nie lubił.

– Mam trochę wolnego czasu i tak naprawdę przyjechałam sprawdzić autentyczność obrazu, który zostawił mi w spadku były mąż. Kupiliśmy go tu, w Wenecji, podczas naszego miodowego miesiąca. Zawsze uważałam, że to falsyfikat, a on twierdził, że autentyk. Bellini... Trudno powiedzieć, czy namalował go uczeń, sam mistrz czy doskonały fałszerz. Jest tu pewien klasztor, który zajmuje się badaniem autentyczności dzieł sztuki i wydaje certyfikaty pochodzenia. Od dawna zamierzałam tu przyjechać, ale jakoś nigdy do tego nie doszło. No więc teraz jestem – uśmiechnęła się.

Aidan był zaintrygowany.

– Mógłbym ci towarzyszyć? To musi być fascynujące.

– Oni tam mają jedną z największych bibliotek sztuki na całym świecie, głównie z epoki Renesansu. Ilustrowane manuskrypty i książki bardziej współczesne, dzięki którym można prześledzić pochodzenie płótna. Odnależli

sporo skradzionych obrazów, ustalili autentyczność tych najbardziej zagadkowych, demaskowali fałszerstwa, za które prywatni kolekcjonerzy i muzea płacili fortuny. Przywiozłam ze sobą zdjęcie mojego obrazu, żeby się przekonać, czy będą potrafili ustalić jego pochodzenie. Jestem to winna moim dzieciom.

– Będiesz go nadal lubiła, nawet jeśli się okaże fałszywy?

– On ma dla mnie wartość sentymentalną, więc nie o to chodzi – odparła, myśląc o Paulu. Obraz stanowił pamiątkę ich lepszych czasów, tak innych niż to, co nastąpiło później – wraz z szokującą rewelacją w finale.

Siedzieli i gawędzili, patrząc na mijających ich przechodniów. Aidan był pod wrażeniem tego, że Véronique tak dobrze zna się na sztuce. Spytał, skąd ma tak rozległą wiedzę w tej dziedzinie.

– Mój dziadek był słynnym marszandem w Paryżu, poza tym wiele nauczyła mnie matka. Zanim zmarła, przekazała mi całą swoją miłość do sztuki. Zawsze mnie fascynowała i fascynuje nadal. – Jasne było, że malarstwo to jej pasja, podobnie jak fotografia w jego przypadku.

– Nie jesteś czasem głodna? – spytał po chwili, a ona skinęła głową. – Wczoraj przez przypadek odkryłem przyjemną knajpkę. Może ją wypróbujemy?

– Czemu nie – uśmiechnęła się, rozbawiona ich nieoczekiwaną komitywą. Weneccy turyści, którzy nieustannie na siebie wpadają, przy czym wcześniej w Rzymie on uratował jej życie... Bardzo to było ekscytujące. Świetna historia, jeśli zdecyduje się opowiedzieć ją córkom... choć tego rodzaju anegdoty raczej ich nie zainteresują. Znadto były zajęte, żeby poświęcać uwagę temu, jak spędza czas matka. Miały własne życie do ogarniania, a nie jej... Poświęcały jej uwagę, kiedy potrzebowały pomocy lub rady, ale jej codzienność ich nie interesowała. Była teraz zdana na siebie, zwłaszcza że już nie mogła zwrócić się od czasu do czasu do Paula... Z upływem lat stała się większą samotniczką, niż zamierzała. Tym bardziej cieszyła ją ta przypadkowa znajomość z Aidanem, zwłaszcza że miała teraz czas, żeby się nią radować.

Trattoria, do której ją zabrał, tętniła życiem, wesołością i hałasem. Klientami byli głównie miejscowi, chociaż dostrzegła też trochę turystów. Jedzenie było świetne. Zamówili makaron z pesto, mozzarellę i wielką porcję zielonej sałaty, a na deser granite di limone. Był to idealny posiłek na upalny dzień. Véronique najchętniej wróciłaby do hotelu i wyciągnęła się na leżaku przy basenie, ale tyle jeszcze chcieli zobaczyć! Włoczyli się po Wenecji przez cały dzień, lądując ostatecznie na placu św. Marka, gdzie oboje przyznali, że są wykończeni i nie mogą się doczekać powrotu do swoich hoteli, ale że świetnie się ze sobą bawili. Véronique zaproponowała Aidanowi, aby nazajutrz pojechał z nią do klasztoru, a on przystał na to z radością.

– Po Wenecji zamierzałem pojechać do Sieny i Florencji – rzekł, gdy sącząc lemoniadę w jednym z kawiarnianych ogródków, czekali na łódź, która miała

zabrać Véronique do hotelu Cipriani. – Zdołam cię namówić, żebyś mi towarzyszyła?

Hm... Miała czas, ale przecież wcale go nie znała. Choć z drugiej strony doskonale się ze sobą czuli. Była pewna, że córki strasznie by się oburzyły, gdyby się dowiedziały, że podróżuje z nieznanym. Wczoraj wieczorem jednak Véronique sprawdziła Aidana w sieci i wyglądało na to, że naprawdę jest fotografem, z długą listą wystaw na koncie. Przynajmniej było wiadomo, że jest tym, za kogo się podaje.

– Mam trochę wolnego czasu przed wystawą w Berlinie – ciągnął. – Za miesiąc będę tam musiał pojechać i zająć się przygotowaniem, ale przedtem postanowiłem zrobić sobie wakacje i trochę się poszpendać po Włoszech. Chciałem wpaść do Wenecji i paru innych moich ulubionych miast. Siena jest wspaniała... Gdybyś ją zobaczyła, zakochałabyś się w niej. A Florencja to miasto, które najbardziej lubię fotografować.

Wiele razy była we Florencji i też ją uwielbiała. Przez chwilę zastanawiała się nad jego propozycją.

– Czemu nie – powiedziała ostrożnie. Ostatecznie postanowiła mu zaufać, chociaż nie bardzo wiedziała dlaczego. A zresztą jeśli będzie się czuła niekomfortowo albo jeśli on zacznie się dziwnie zachowywać, w każdej chwili będzie go mogła zostawić. Jednak jak na razie zachowywał się normalnie i pomimo radykalnych poglądów był miły, interesujący, uprzejmy i traktował ją z szacunkiem. Był także otwarty i inteligentny.

– Włochy o tej porze roku to najcudowniejsze miejsce na świecie – rzekł z entuzjazmem. Nie sposób było się z nim nie zgodzić, poza tym nie miała żadnych zobowiązań, dopiero w przyszłym miesiącu miała się stawić w St. Paul de Vence, aby obejrzeć z córkami zamek. Ona także miała czas.

Ustalili, że nazajutrz o jedenastej spotkają się na placu św. Marka i pojedą do klasztoru w sprawie obrazu, a potem znowu będą zwiedzać miasto. Jako miejsce jutrzejszej kolacji Aidan zaproponował Harry's Bar. Był to znany wenecki lokal i Véronique również bardzo spodobał się ten pomysł. A pojutrze mieli wyjechać do Sieny. Aidan powiedział, że ma na parkingu auto, starego austina-healeya, którego od lat dopieszcza i hołubi, i chociaż nie robiło to takiego wrażenia jak ferrari Nikołaja, zabrzmiało to dla niej miło i atrakcyjnie. Zapowiadała się przygoda, a to pasowało do obecnego nastawienia Véronique, które miała od śmierci Paula: że życie jest krótkie i trzeba z niego korzystać, póki się da. Aidan też zdawał się żyć zgodnie z tą maksymą.

Po powrocie do hotelu poszła popływać w basenie, a potem zjadła kolację u siebie w pokoju. Jakież to był miły dzień! A Aidan był takim świetnym towarzyszem...

Wyjęła zdjęcie Belliniego i położyła je na biurku, żeby było gotowe na jutro.

Nie mogła się doczekać, co powiedzą o nim bracia. Wprawdzie sądziła, że to mało prawdopodobne, a jednak... Byłoby niesamowite, gdyby się okazało, że obraz jest autentyczny!

Rozdział 8

Nazajutrz rano spotkali się na placu św. Marka. Aidan pił kawę w ulubionej kawiarence. Dostrzegłszy ją, pomachał w jej stronę, a gdy przysiadła się do stolika, zamówił espresso również dla niej. Parę minut leniwie gawędzili w blasku słońca, po czym Aidan poprosił ją o pokazanie zdjęcia. Przez jakiś czas przyglądał mu się w milczeniu, skupiając się na szczegółach.

– Piękny obraz – rzekł z podziwem. – Moim zdaniem wygląda na autentyczny.

Jej zdaniem też, nawet za bardzo, i właśnie dlatego od samego początku była podejrzliwa. Wyjaśniła to Aidanowi, gdy dopijali kawę.

– Kiedy obraz jest zanadto doskonały, zwykle coś jest z nim nie tak. Bardzo niewiele płócien ma tę nieskazitelną precyzję, a te, które mają, od dwustu lat wiszą w muzeach. Obraz może pochodzić ze szkoły Belliniego, możliwe nawet, że malowało go paru jego uczniów, ale raczej nie sędzę, żeby sam mistrz. Mnisi z pewnością będą chcieli zobaczyć oryginał, ale na początek mogą spróbować ustalić jego pochodzenie i prześledzić, co się z nim działo przez ostatnie sześćset lat. – Obraz niewątpliwie został namalowany w piętnastym wieku, pozostawało tylko pytanie, kto go malował, jakiś nieznaną artysta czy sam mistrz.

– Cóż to za fascynujące zadanie – rzekł Aidan oczarowany. Zaczynał się zarażać jej bakcylem.

Dokończyli kawę i ruszyli. Véronique знаła adres klasztoru, który leżał znacznie dalej niż którekolwiek z miejsc, do jakich dotąd w Wenecji dotarli. Był pod wezwaniem św. Grzegorza z Luce. Przypuszczali, że o ile się nie zgubią, to dotarcie tam pieszo zajmie im około dwudziestu minut. Klasztor pochodził z piętnastego wieku, podobnie jak znaczna część Wenecji. Nie uprzedzali o swoim przybyciu, zamierzali zajrzeć z marszu, przy czym Véronique miała nadzieję, że przynajmniej jeden z braci będzie mówił po angielsku lub francusku. Wprawdzie z włoskim sobie radziła, nie na tyle jednak, by rozmawiać o szczegółach obrazu i udzielić wszystkich potrzebnych informacji.

Aidan zwrócił jej zdjęcie, a ona poczuła się, jakby nieśli Świętego Graala. W skrytości ducha marzyła, aby się okazało, że obraz jest autentyczny; byłoby to wspaniałe dziedzictwo dla dzieci. Była jednak przygotowana na to, że ostatecznie zostanie uznany za podróbkę. Kupili go z Paulem w jakimś sklepie z antykami, który już nawet nie istniał. Właściciel przyniósł go z zaplecza i sprzedał za bardzo niewygórowaną cenę. Zaraz pierwszego dnia w Wenecji poszła poszukać tego antykwariatu, ale już go nie było.

Po drodze do klasztoru nie mogli się oprzeć, by nie przystawać przy mijanych kościółkach. Obiecali sobie, że na pewno wstąpią do nich w drodze

powrotnej. Idąc, cały czas swobodnie rozmawiali. Aidan opowiadał, że poprzedniego wieczoru wybrał się na długi spacer i że w sąsiedztwie hotelu dokonał nowych odkryć, między innymi natrafił na małą knajpkę, w której zjadł kolację. Jedzenie było doskonałe, ale już ustalili, że dziś pójdą do Harry's Bar, ulubionej restauracji Véronique; marzyła o ich risotto Milanese, twierdziła, że jest najlepsze na świecie. Aidan nigdy tam nie był, ale powiedział, że z chęcią pójdzie wraz z nią. Była to jedna z najsłynniejszych restauracji w Wenecji, znana na całym świecie. Doczekała się wielu kopii, ale żadna nie była tak dobra, jak oryginał. Véronique zapewniła Aidana, że czeka ich wyśmienity posiłek.

Dotarcie do klasztoru zajęło im trochę dłużej, niż liczyli. Ciężkie klasztorne podwoje z brązu otwierały się na przestronny dziedziniec, gdzie stało, rozmawiając, kilku mnichów. Véronique podeszła do nich i spytała, czy jest tu jakieś biuro lub biblioteka, gdzie mogłaby porozmawiać z kimś o pochodzeniu pewnego obrazu. Jego autentyczność stanowiła odrębną kwestię, zbyt skomplikowaną do wyjaśnienia. Jeden z braci z miejsca zrozumiał, o co chodzi, i wskazał im niewielkie drzwi. Okazały się zamknięte, więc zadzwonili. Czekali dłuższą chwilę, w końcu w drzwiach pojawił się mnich w brązowym habicie. Véronique znowu wyjaśniła, z czym przychodzi. Zakonnik poprosił, by poszli za nim. W tejże chwili rozległo się bicie dzwonów i bracia na dziedzińcu weszli do klasztoru.

Véronique i Aidan zostali wprowadzeni do niewielkiej poczekalni, wyglądającej prawie jak cela, i po kilku minutach wyszedł do nich młody braciszek w habicie i sandałach zakonnych. Przywitał się z nimi, po czym poprowadził ich w głąb budynku. Véronique trzymała w ręce zdjęcie, które wcześniej wyjęła z torby.

Długim, wąskim kamiennym korytarzem zaprowadzono ich do dużej sali. Była to biblioteka o kamiennej posadzce i ścianach wyłożonych boazerią; liczne półki ściśle wypełniały wielkie stare księgi i foliały. Kilku mnichów na drabinach ostrożnie odkurzało księgi, a jeden, bardzo wiekowy, siedział przy biurku. Kiedy weszli, spojrzął w ich stronę i uśmiechnął się. Było coś podniosłego w panującej tu atmosferze. W powietrzu unosiła się miła woń starych pergaminów, papieru i skórzanych opraw ksiąg.

Kiedy podeszli do biurka, stary mnich wstał. Był niski i tęgi, ze śnieżnobiałą brodą i – jak nakazywała reguła zakonu – ogoloną głową. Gdyby nie zakonny habit, wyglądałby jak Święty Mikołaj. Wskazał im dwa proste drewniane krzesła, poprosił, by usiedli, i jeszcze raz się do nich uśmiechnął.

– Co państwa do nas sprowadza? – spytał po angielsku, bo słyszał, że rozmawiają ze sobą w tym języku. Mówił z lekkim akcentem, lecz biegle. Przeniósł wzrok z jednego na drugie, czekając na odpowiedź. Véronique ścisłym głosem opowiedziała mu historię obrazu, odkąd trafił w jej ręce, i szczerze podzieliła się wątpliwościami co do jego autentyczności. Ponieważ jednak, jak powiedziała,

zawsze chciała dowiedzieć się o nim czegoś więcej, w końcu przyjechała w tym celu do Wenecji. I podała mnichowi fotografię.

Starzec włożył pozbawione oprawek okulary, przybliżył zdjęcie do twarzy i zmarszczył brwi. Potem z wolna obrócił je do góry nogami i dłuższą chwilę trzymał w tej pozycji. Véronique opisała mu fakturę obrazu i jej defekty, spowodowane głównie upływem czasu, gdyż szczerze wierzyła, że obraz istotnie pochodzi z epoki, jaką podał im wówczas antykwariusz. Wątpliwości budził wykonawca, ale nie fakt, że płótno powstało w okresie Renesansu. Było oczywiste, że zna się na piętnastowiecznej sztuce i w ogóle na malarstwie. Podała zakonnikowi bardzo dobry opis technicznych aspektów płótna. I znowu, podobnie jak wcześniej, gdy o tym rozmawiali, Aidan był pod wrażeniem kompetencji Véronique. Doskonale znała się na sztuce i mnich – brat Tommaso, jak powiedział – zdawał się uważać tak samo. Długo przyglądał się zdjęciu, potem odłożył je na biurko i podniósł oczy na Véronique.

– Rozumiem, dlaczego jest nim pani zaintrygowana. To bardzo interesujące dzieło. Bellini malował ten temat jeszcze parokrotnie, ale nigdy nie ujął go w ten właśnie sposób. – Obraz przedstawiał Matkę Boską z Dzieciątkiem w otoczeniu licznej grupy aniołów. I choć było to dzieło religijne, pod względem detali wydawało się wyjątkowe: Madonna była uderzająco piękna, a anioły unosiły się nad weneckim pejzażem na tle świtającego nieba.

– Jeśli obraz jest autentyczny – podjął brat Tommaso, akcentując słowo „jeśli” – to namalował go Jacopo Bellini, ojciec, który był uczniem Gentile da Fabriano. Nie sądzę, by to było dzieło któregoś z synów Jacopo, Gentilego czy Giovanniego, bo ci nie tak chętnie jak ojciec malowali anioły, ich obrazy nie były aż tak uduchowione.

Véronique słuchała zafascynowana. Czytała o Bellinich, więc imiona, które padały, nie były jej obce, wiedziała też o istnieniu zięcia Belliniego nazwiskiem Andrea Mantegna, który malował z Bellinim i synami w ramach ich artystycznej społeczności.

Paulowi obraz zawsze bardzo się podobał, bo jego zdaniem Madonna była podobna do Véronique. Brat Tommaso również to zauważył i wspomniał o tym – ku wielkiemu zaskoczeniu Véronique, bo nie sądziła, by rzeczywiście była podobna. Po czym brat Tommaso zaskoczył ją jeszcze bardziej, mówiąc, że istnieje podobny obraz i że chciałby go jej pokazać.

Poprowadził ich do kolejnej gigantycznej sali bibliotecznej, a stamtąd do kilku następnych. Regały z książkami sięgały sufitów, po książki wchodziło się po drabinach. W piątej sali brat Tommaso poprosił młodego mnicha, by wspiął się do wskazanej przez niego półki, i wyjaśnił, o którą książkę mu chodzi. Wiedział dokładnie, w którym miejscu stoi, i po chwili młody braciszek mu ją podał. Brat Tommaso otworzył książkę i odszukał reprodukcję obrazu podobnego do płótna

Véronique, o prawie identycznej tematyce.

– Albo pani artysta zainspirował się tym obrazem, albo Bellini wykonał ich całą serię, a my na przestrzeni lat po prostu straciliśmy jeden z oczu. Dzięki pani, moja droga, czeka nas wielce interesujące dochodzenie. Najpierw zajmiemy się proveniencją, a następnie będzie nam pani mogła podesłać oryginał do dalszych badań.

Zaprowadził ich następnie do innej sali, wypełnionej obrazami przysłanymi przez muzea i kolekcjonerów do sprawdzenia ich autentyczności. Klasztor słynął z niezwyklej drobiazgowości w prowadzeniu badań.

Później przeszli do mniejszego pomieszczenia, całkiem odmiennego niż sale biblioteczne. Był to pokój komputerowy, gdzie prowadzono badania z użyciem nowoczesnej techniki i kontaktowano się z muzeami i sprzedawcami dzieł sztuki na całym świecie. Klasztor miał nawet bezpośrednie połączenie z Interpolem, by sprawdzać autentyczność obrazów skradzionych! Kiedy weszli, przy komputerach pracowało kilku młodszych braci. Sprawa Véronique znajdowała się w dobrych rękach... Brat Tommaso powiedział, że nie wie, kiedy to nastąpi, ale gdy będą gotowi do następnego kroku – analizy oryginału – na pewno się z nią skontaktują.

Kiedy po dwóch godzinach wyszli, Aidan był w zachwycie. Oboje zgodzili się, że chętnie posiedzieliby w bibliotece jeszcze parę godzin, wertując stare księgi.

– Dziękuję, że mnie ze sobą zabrałaś. To było fascynujące – rzekł Aidan, wciąż pod wrażeniem. Wracając na plac św. Marka, wstąpili do ich ulubionej trattorii.

– Jak sądzisz, prędko się odezwą? – spytał Aidan znad talerza smakowitego spaghetti, ciekawy procedury, jaką dzięki niej poznawał.

– Prawdopodobnie za kilka miesięcy – odparła z namysłem. – Może później... W świecie sztuki nic nie dzieje się szybko. Poza tym w przypadku tego obrazu muszą się przekopać przez sześć wieków historii, zanim w ogóle zabiorą się do oceny jego autentyczności. A jeśli nic na jego temat nie znajdą, będziemy mieli do czynienia z zupełnie inną sytuacją. Będzie to znaczyło, że obraz jest falsyfikatem albo wręcz przeciwnie, że jest jeszcze rzadszy i cenniejszy, niż zakładamy. Na tym etapie nic po prostu nie da się jeszcze powiedzieć.

– To całkiem jak jakaś tajemnica, która czeka na wyjaśnienie – zauważył z przejęciem Aidan. Był zachwycony, że mógł ten poranek spędzić z Véronique i poznać brata Tommaso. – Skąd wiedziałaś o tym klasztorze?

– Mój dziadek wspominał o nim w książce, którą napisał prawie siedemdziesiąt lat temu. To było zawsze jedno z najbardziej wiarygodnych źródeł weryfikacji. Wszystkie muzea o nim wiedzą i korzystają z jego usług. Kiedy studiowałam w Beaux-Arts, słyszałam o nim wiele pochlebnych opinii.

– Niesamowita sprawa – mruknął jakby do siebie. Uwielbiał dowiadywać się

nowych rzeczy i strasznie mu się podobało to, czym się z nim dzieliła. Wiedział mnóstwo o fotografii, jednak jej wiedza o sztuce to był zupełnie inny świat.

Tego popołudnia zwiedzili jeszcze kilka kościołów, do których nie mieli czasu wstąpić wcześniej, choć oboje byli już nimi trochę przesyleni. Później Véronique zostawiła Aidana i poszła połączyć się z otaczającym plac sklepikach, a Aidan udał się do jednego z kościołów, by sfotografować wystawione w nim czaszki i relikwie. Poza tym zamierzał kupić mapy na ich podróż do Sieny, umówili się więc, że w porze kolacji spotkają się koło przystani.

Véronique była bardzo zadowolona z zakupów, zwłaszcza z małej torebki od Prady i z małej, typowo weneckiej, ślicznej broszki z głową Maura, od Nardiego. Wiedziała, że nie jest to politycznie poprawne, no ale broszka stanowiła część historii Wenecji, a do tego Murzyn miał maciupeńkie diamentowe kolczyki. Pomyślała, że ładnie to będzie wyglądało do czarnej sukienki, aczkolwiek była przekonana, że córki zganią ją za ten zakup. Dla niej jednak była to po prostu pamiątka z Wenecji – broszka z Maurem, nic obraźliwego. Modne damy nosiły te broszki od lat.

Po powrocie do Cipriani miała czas tylko na przebranie się i poszła na spotkanie z Aidanem. Był w dobrze skrojonym beżowym płóciennym garniturze, do tego koszula, krawat i stosowne buty. Ona włożyła szpilki i krótką czerwoną sukienkę; nogi wyglądały już o wiele lepiej, siniaki i zadrapania były prawie niewidoczne. Gdy wsiadali do wodnej taksówki, która miała ich zawieźć na kolację, tworzyli naprawdę przystojną parę.

Jedzenie w Harry's Bar było tak znakomite, jak Véronique obiecywała. Ona na początek zamówiła risotto Milanese, o którym tak marzyła, z kwiatami cukinii, a on linguini vongole, a potem stek, który mu bardzo smakował. Jedząc, rozmawiali z ożywieniem.

Podobnie jak Véronique, w młodości Aidan spędził jakiś czas w Hong Kongu, mówili więc o swoich doświadczeniach i przeżyciach. Później, przed powrotem do Londynu, mieszkał w Szanghaju i w Singapurze i trochę również w Nowym Jorku i Paryżu. Wyglądało więc, że nawet jeśli nie pochodzili z tych samych sfer, to przynajmniej łączyła ich geografia. Aidan wciąż był zaskoczony, że Véronique tak młodo wyszła za męża i że mąż był od niej aż o tyle starszy.

– Byłam zagubiona po śmierci ojca – tłumaczyła, sącząc zamówione przez Aidana chianti. – Zostałam bez rodziców. Nie wiedziałam, jak ogarnąć to wszystko, co pozostawił mi ojciec. Byłam samiotka w wielkim domu i nie miałam nikogo, do kogo mogłabym się zwrócić o pomoc. Paul przejął rolę ojca i mentora, było mi łatwiej, kiedyśmy się pobrali. Bez niego nie miałabym nikogo, kto by się mną opiekował.

– Prawdopodobnie mogłabyś zaopiekować się sama sobą – powiedział cicho Aidan.

– Stałam się łatwym łupem dla różnych podejrzanych ludzi. Paul mnie przed tym wszystkim osłonił, a po ślubie, kiedy zaczęłam rodzić dzieci, po prostu szalenie się w nim zakochałam. Czułam się przy nim bezpiecznie. Dobre czasy trwały jedenaście lat. Teraz nie wydaje się, że to długo, ale byliśmy bardzo szczęśliwi. – Miała spokój w twarzy. – To były najlepsze lata mojego życia.

– A później?

– Na początku trochę mi było trudno samej z trójką dzieci. I byłam przyzwyczajona do życia w małżeństwie. Ale ze względu na córki nie miałam czasu na depresję. Zanim się obejrzałam, już były nastolatkami, a potem poszły na studia. Czas przeleciał jak z bicia strzelił... i któregoś dnia obudziłam się, a dzieci już nie ma, wszystko się skończyło. Najmłodsza córka wyjechała na studia osiem lat temu. Od tamtej pory żyję bardzo spokojnie.

– I nie było w twoim życiu przez ten czas żadnego mężczyzny? – Był zaskoczony, zważywszy na jej urodę.

– Kilku, ale żaden na serio. Dziewczynkom by się to nie podobało. Bez ogródek mówiły o mężczyznach, z którymi się umawiałam. Żaden nie był wystarczająco dobry i nie dorównywał ich ojcu. A ja nigdy nie poznałam nikogo, w kim bym się zakochała na poważnie. No, może jeden taki był... Myślałam, że mogłabym sobie ułożyć z nim życie, ale miał trudne dzieci i okropną byłą żonę, nie chciałam się z tym zmagać. Niełatwo poznać kogoś nowego, kiedy się ma dzieci – powiedziała z uśmiechem. Pogodziła się z tym stanem rzeczy, widział to i uważał, że to źle. – Poza tym gdzieś na obrzeżach cały czas był Paul, służył mi radą czy towarzyszeniem, jeśli tego potrzebowałam. Pomędzy jego romansami często gdzieś razem wychodziliśmy. No i zawsze razem spędzaliśmy święta. To chyba w jakimś stopniu pomniejszało moją motywację, żeby się znów na poważnie zaangażować. A potem poczułam, że jestem za stara na nowe związki. Mężczyźni wolą się umawiać z kobietami w wieku moich córek, nie w moim.

– To kompletna bzdura i dobrze o tym wiesz – sprzeciwił się Aidan. Zamówili kawę. – Po prostu nawet nie próbowałaś kogoś poznać. A poza tym jakie prawo mają twoje córki, żeby ci mówić, z kim masz się spotykać?

Roześmiała się.

– Dzieci nie mają oporów przed mówieniem nam, co mamy robić. No i córki były lojalne wobec ojca, nawet jeśli na to nie zasługiwał. Kiedy dorosły, dostrzegły wreszcie jego braki jako rodzica, oprócz średniej, która zawsze widziała w nim ideał. Ale żadna nigdy nie widziała jego braków jako męża, a ja z nimi o tym nie rozmawiałam, nie chciałam ich nastawiać przeciwko niemu. Dlatego w ich oczach na tle ojca każdy inny wypadał niekorzystnie. Aż do niedawna – dokończyła cicho.

– A co się stało? – spytał z zaciekawieniem. Véronique już wcześniej robiła ogólnikowe uwagi na ten temat, nie zagłębiając się jednak w szczegóły.

– Podczas odczytywania testamentu wyszły pewne sprawy, które wszystkich

wprawiły w szok. Stało się jasne, również dla nich, że Paul nie był najlepszym mężem. Sam się nawet do tego przyznawał w testamencie. Zawsze starałam się go chronić w oczach córek, ale po rozstaniu odkryłam, że w czasie trwania małżeństwa zachowywał się bardzo źle, gorzej nawet, niż było mi wcześniej wiadomo. Ciągnęło go do ładnych młodych kobiet... Rozwiedliśmy się z powodu jego romansu, ale były też inne, o których nie wiedziałam.

– Zostałaś z nim, bo miał pieniądze? – spytał otwarcie Aidan. Chciał poznać jej motyw, a ona ledwie się powstrzymała, żeby nie parsknąć śmiechem.

– Nie, nie dlatego. Kochałam go i przez dziesięć lat byliśmy naprawdę szczęśliwi, zanim Paul nie zakochał się na zabój w słynnej modelce. Zdradzał mnie tak otwarcie, że nie sposób było tego nie widzieć. Ostatecznie mu wybaczyłam, ale nasze małżeństwo było już martwe. Były też inne rzeczy, o których nie wiedziałam, więc dobrze, że się rozstaliśmy. – Nie mówiła tego wszystkiego z goryczą, po prostu rzeczowo, choć ze smutkiem przedstawiała fakty. Aidan był poruszony. A nie chciała opowiadać człowiekowi, którego prawie nie знаła, że Paul nie miał grosza przy duszy, że ożenił się z nią dla pieniędzy, które w trakcie ich małżeństwa wydawał lekką ręką. Zależało jej na uszanowaniu pamięci byłego męża, a poza tym nie chciała podkreślać, że jest bogata. Była dyskretna, a Aidan niczego się nie domyślał.

– Właśnie dlatego nigdy się nie ożeniłem – oświadczył, gdy kończyli kawę. – Ludzie wyrządzają sobie nawzajem paskudne rzeczy. Łatwiej się z tego wszystkiego wypłatać, jeśli nie było ślubu. No, ale przynajmniej masz trójkę fajnych dzieciaków.

Skinęła głową na znak, że się zgadza. Ona również miała ostatnio problem z obroną instytucji małżeństwa. Dawniej widziała w niej sens, teraz jednak, kiedy się dowiedziała, jak nieuczciwy był Paul, ich małżeństwo jawiło się jej jako jedna wielka fikcja. Paul był zakochany w innej kobiecie i miał z nią dziecko, gdy ona sądziła, że są szczęśliwą parą! Czuła się jak idiotka, którą nabito w butelkę.

Zaproponowała, że zapłaci za kolację albo przynajmniej za siebie, ale Aidan nie chciał o tym słyszeć. Sprawdził rachunek, zapłacił i zostawił kelnerowi duży napiwek. Wbrew jego „podłemu” – jak je nazywał – pochodzeniu, zachowywał się przy niej jak dżentelmen, miał bardzo dobre maniery, był szalenie uprzejmy, choć zarazem całkiem normalny, rozluźniony.

Kiedy wyszli z restauracji, zaproponował, by wybrali się do kasyna i zagraли. Kasyno znajdowało się przy Ca' Vendramin Calergi, więc aby tam dotrzeć, musieliby wziąć wodną taksówkę. Było to coś nowego, zabawnego, i Véronique chętnie się zgodziła.

Budynek kasyna był klasycznie wenecki, a samo kasyno działało, jak się okazało, od siedemnastego wieku. Wejście było eleganckie, ale sale zaskakujące proste. Wypełniał je tłum dobrze ubranych kobiet w koktajlowych sukniach i

mężczyzn w garniturach. Aidan zagrał w oczko i wygrał tysiąc euro. Wyglądało, że miał w tym wprawę... Potem rozegrali kilka rozdań pokera, ale nie chcieli siedzieć zbyt długo, więc wyszli. Wtedy Aidan powiedział, że zanim odwiezie Véronique do hotelu, chce ją zabrać w jeszcze jedno miejsce.

Jakie to miejsce, nie chciał zdradzić. Wsiadli do wodnej taksówki i Aidan kazał taksówkarzowi popłynąć na plac św. Marka. Gdy tam dotarli, wynajął gondolę. Véronique jeszcze nią nie płynęła, choć obiecywała to sobie każdego dnia; zbyt była zajęta zwiedzaniem z Aidanem kościołów i miasta. Chciała również odwiedzić fabrykę szkła w Murano i tego planu też nie zrealizowała. Aidan uparł się jednak, że przejażdżka gondolą to mus, że nie może wyjechać z Wenecji, choć raz nią nie przepłynąwszy.

Gondolier, którego wynajął, miał na sobie tradycyjną bluzę w pasy, a gondola była szczególnie ładna. Zajęli miejsca i ruszyli. Aidan już wcześniej powiedział gondolierowi, dokąd ma płynąć. Świetny pomysł na ostatni wieczór w Wenecji! Świecił księżyc, gondolier cicho pogwizdywał, sceneria była szalenie romantyczna. Véronique spojrzała na Aidana z uśmiechem i podziękowała mu. O wszystkim pomyślał! Mieli za sobą taki miły wieczór, Harry's Bar, kasyno, a teraz ta przejażdżka gondolą... Nie miała wrażenia, że Aidan próbuje ją uwieść – raczej zależało mu na tym, by miło spędziła czas. Wreszcie dotarli do Mostu Westchnień i gondolier wyjaśnił im, że jeśli chcą być ze sobą na zawsze, to kiedy gondola będzie przepływać pod mostem, muszą się pocałować.

Véronique roześmiała się. Przecież dopiero co się poznali!

– Co cię tak rozbawiło? – droczył się Aidan.

– Ostatnia rzecz, jakiej ci trzeba, to utknąć ze mną „na zawsze” – odparła. – Nie znasz moich wad i nie wiesz, jaką okropną jestem kucharką.

Nie wiedział, ale zdążył się już zorientować, że jest dobrym człowiekiem. Wstrzymał się od komentarza, uśmiechnął się tylko, a po chwili wpłynęli pod most i gondolier zaśpiewał dla nich miłosną piosenkę. Wokół było tak pięknie! Véronique, zasłuchana, przymknęła oczy, rozkoszując się chwilą, gdy nagle poczuła na wargach delikatny dotyk ust Aidana. Otworzyła oczy i spojrzała na niego ze zdumieniem... a potem znowu opuściła powieki. Pocałunek był serio, jej pierwszy od bardzo dawna... Całował ją do chwili, gdy gondola wyłoniła się po drugiej stronie mostu i znowu zalał ich blask księżyca. Véronique otworzyła oczy i spojrzała na Aidana.

– Uratowałem ci życie – rzekł spokojnie. – Pomyślałem więc, że w zasadzie mogę cię zatrzymać przy sobie na zawsze – dodał lekko. – Inaczej po cóż miałbym cię ratować? – rozłożył dłonie w bardzo włoskim geście. Véronique się roześmiała, ale pocałunek bardzo ją zaskoczył. Czy towarzyszyły mu jakieś romantyczne podteksty? Nie wiedziała. Przez resztę przejażdżki Aidan zachowywał się zupełnie normalnie, Véronique za to czuła się lekko oszołomiona, i pocałunkiem, i chianti,

które pili. Gdy wycieczka dobiegła końca, pomógł jej wysiąść z gondoli i dał gondolierowi dodatkowy napiwek, chyba na fali radości po wygranej w kasynie. Cały wieczór był wyjątkowo udany, dla obojga.

Potem Aidan odwiózł ją aż do Cipriani, gdzie umówili się nazajutrz na spotkanie. Na koniec Véronique zaprosiła go na ostatniego drinka do hotelowego baru, tym razem na jej koszt. Do tej pory za wszystko płacił on. W barze jeszcze raz mu podziękowała za wspaniały wieczór, jednak żadne nie wspomniało o pocałunku w gondoli. Véronique była pewna, że ją pocałował, bo chciał być miły lub ze względu na lokalną tradycję, niemniej pocałunek na chwilę ją oszołomił. Nagle dostrzegła w nim wielką zmysłowość, choć na pożegnanie pocałował ją tylko w policzek. Nie chciał, żeby się niepokoїła wycieczką do Sieny albo myślała, że zabiera ją tam, bo próbuje ją uwieść. Po prostu lubił jej towarzystwo, bardziej niż jakiegokolwiek kobiety od dłuższego czasu.

– Dobranoc, Aidanie. Świetnie się dziś bawiłam, naprawdę – powiedziała szczerze. Jej wyprawa do Wenecji okazała się dzięki niemu o wiele ciekawsza, i to pod każdym względem.

– To tak jak ja. Do zobaczenia jutro – odparł, ale jakoś niepewnie. Widząc, w jakim hotelu się zatrzymała, uznał, że z pewnością podróżuje z dużym bagażem, a on wcześniej o tym nie pomyślał. – A tak przy okazji, ile zabrałaś ze sobą walizek? – Jego austin-healey miał maleńki bagażnik i niewielką tylną kanapę, wystarczającą co najwyżej dla niedużego psa. Trzymał na niej plecak i niewiele więcej.

– Tylko cztery. I dwa kufry – odparła, patrząc na niego niewinnie tymi ogromnymi błękitnymi oczyma. – A to jakiś problem?

Wyraźnie spanikował. Jak teraz dotrą do Sieny i Florencji? Może będzie musiał na tę podróż wynająć większy samochód? I wtedy spostrzegł, że Véronique się śmieje. Stroїła sobie z niego żarty!

– Mam tylko jedną niewielką torbę, wielkości podręcznej, i torbę na zakupy – uspokoїła go, a on roześmiał się z ulgą.

– Przez chwilę byłem przerażony. Ale jak tak, to wszystko gra.

Jeszcze raz się z nią pożegnał, odprowadził ją do windy i odszedł. Popłynął łodzią na plac św. Marka i uśmiechnięty, ruszył w stronę hotelu. Véronique była kobietą, o jakiej zawsze marzył, tyle że w innym opakowaniu niż mógł sobie kiedykolwiek wyobrazić. Było oczywiste, że pochodzi z rodziny zamożnej albo o wysokim statusie, Francja-elegancja, i że jej były mąż też pewnie był majętny. No i była jedenaście lat od niego starsza... Ale co go obchodzi jej pochodzenie czy to, kogo miała za męża, czy w jakim jest wieku? Nigdy jeszcze nie spotkał tak wspaniałej kobiety, tak mądrej, tak pięknej, tak zmysłowej. Ledwie się mógł doczekać ich jutrzejszej podróży... A na razie, mieli za sobą wspólny czas w Wenecji. Coraz bardziej mu się podobała. Była w niej gracia, wdzięk, wrodzona

elegancja i łagodność, jakiej nie znalazł dotąd u żadnej kobiety. Kimkolwiek była, jakiegokolwiek było jej pochodzenie, Véronique Parker była kobietą jego marzeń. I wracając do maleńkiego hoteliku położonego przy jednej z bocznych uliczek Wenecji, Aidan uśmiechał się od ucha do ucha. Bardzo mu się podobał ich pierwszy pocałunek... Udało mu się go skraść pod Mostem Westchnień! Myśląc o tym, czuł się jak chłopak. Nie mogło ułożyć się lepiej! Pogwizdywał, idąc, a gdy szedł po schodach do pokoju, miał ochotę przeskakiwać po parę stopni naraz. Jutro ruszają we wspólną podróż!

Rozdział 9

Aidan, z plecakiem i niewielką walizką, spotkał się z Véronique nazajutrz rano w Cipriani, skąd hotelową łodzią udali się na duży parking przeznaczony dla mieszkańców Wenecji i odwiedzających ją gości. Trochę potrwało, zanim odnaleźli austina-healeya Aidana. Véronique była nim zachwycona. Była to bardzo brytyjska z wyglądu ciemnozielona wyścigówka, doskonale pasująca do jej właściciela. Zapakowali torby i walizki do bagażnika i na tylną kanapę. Véronique przyniosła też kupione w hotelu kanapki, w razie gdyby nie chcieli się w drodze zatrzymywać na jedzenie. Miała na sobie różowe dżinsy i biały podkoszulek oraz sandały, które sprawiła sobie w Wenecji. Pomimo gorącego lipcowego dnia wyglądała świeżo i pięknie. Aidan był w koszuli z podwiniętymi rękawami i w dżinsach. Opuścił składany dach, oboje założyli okulary i zajęli miejsca. Świetnie się razem prezentowali, czuli się ze sobą swobodnie i nikt by się nie domyślił różnicy wieku między nimi ani że dopiero co się poznali. Jej córki byłyby w szoku, gdyby zobaczyły ich razem... Zresztą i ona dziwiła się sama sobie.

– Gotowa? – spytał z uśmiechem Aidan. Skinęła głową i ruszyli w trzygodzinną podróż do Sieny. Po drodze podziwiali widoki i gawędzili od niechcienia. Po godzinie Véronique zaproponowała, żeby coś zjedli. Aidan pochłonął pół kanapki, ona wybrała jabłko. Chrupiąc je, wspomniła ich wczorajszy pocałunek, ale nic nie powiedziała. Aidan był taki swobodny, rozluźniony... Może był to po prostu jednorazowy epizod? Zachowywał się, jakby byli starymi znajomymi. Odpowiadało jej to, a jednak poprzedniego wieczoru, kiedy ją pocałował, z zaskoczeniem zdała sobie sprawę, że miałaby ochotę na coś więcej. Czuła się dezorientowana, sama nie wiedziała, czego oczekuje po ich znajomości. Wszystko to było takie nowe...

Do Sieny dotarli w porze lunchu i postanowili, że przed zameldowaniem się w hotelu rozejrzą się po mieście. Aidan, by uspokoić Véronique, już wcześniej wspomniiał luźno o wynajęciu dwóch oddzielnych pokoi. Była więc spokojna i skupiła się na zwiedzaniu.

Obeszli Piazza del Campo i zwiedzili olbrzymi Palazzo Pubblico oraz katedrę z jej niezwykłą parawanową trójosiową fasadą. Całe miasto zostało zbudowane w średniowieczu, w trzynastym wieku i wyglądało na starsze od Wenecji. Tuż przed ich przyjazdem zakończył się urządowany w Sienie w lipcu, a potem w sierpniu, coroczny festyn Palio, ściągający do miasta mnóstwo turystów. Aidan już go kiedyś oglądał, opisał go więc Véronique, zapewniając, że jest wart obejrzenia. Festyn zagarniał niemal całe miasto, przyjeżdżano z każdego zakątka Włoch i z całej Europy, żeby wziąć w nim udział, a zwłaszcza obejrzeć wyścigi konne, które, jak twierdził Aidan, są niesamowite. Bez trudu się zgodzili, że nic nie

jest w stanie pobić uroku Italii. Nawet Francja, którą oboje uwielbiali, nie była tak ciepła i ponętna... I wszędzie, gdzie szli, Aidan ciągle robił zdjęcia, również Véronique.

Późnym popołudniem dotarli do niewielkiego pensjonatu, który Aidan pamiętał z poprzednich wizyt, i wynajęli dwa pokoje. Znajdowały się obok siebie, a hotel był przemyły. Właściciel sam już nie wiedział, jak im dogodzić, a na kolację polecił im małą knajpkę, która obojgu bardzo się spodobała. Siena różniła się od Wenecji, ale też była śliczna. Kiedy wracali po kolacji do pensjonatu, Véronique zwierzyła mu się, że dla niej gwoździem podróży była jednak Wenecja.

– Czy w takim razie mam nie próbować oczarować cię resztą Włoch? – spytał Aidan, robiąc zawiedzioną minę, a ona wybuchnęła śmiechem. Oboje się zgodzili, że na bazie wcześniejszych wizyt lubią też Florencję i że bardzo się cieszą, że tam jadą.

Opuścili Sienę nazajutrz, zaraz po porannej kawie i ciastku. Za pokoje zapłacili oddzielnie. Wprawdzie Aidan zaofiarował się, że zapłaci za oba, Véronique jednak nie chciała o tym słyszeć. Podróżowali jako znajomi, a poza tym to Aidan najczęściej płacił za ich posiłki, o wiele częściej niż ona. Véronique nie wiedziała, jak wygląda jego sytuacja finansowa i była wzruszona jego szczodrością oraz tym, jak miło ją traktował.

W miarę jak zbliżali się do Florencji, Aidan z rozbawieniem obserwował rosnącą ekscytację Véronique. Zachowywała się, jakby jechali do Mekki, opowiadała o Galerii Uffizi, o tym, jak ją uwielbia, o Duomo, katedrze, o pałacu Vecchio. Z zapałem opisywała dzieła sztuki, jakie tam widziała. Często jeździła do Florencji z rodzicami, a potem z ojcem, i ledwie się mogła doczekać, by pokazać Aidanowi ulubione miejsca. Zaraz po przyjeździe zameldowali się w hotelu Excelsior na Piazza Ognissanti, odstawili samochód na parking i ruszyli piechotą w miasto.

Najpierw poszli do katedry Santa Maria del Fiore, a potem do muzeum za katedrą. Véronique wiedziała wszystko o dziełach Donatella, Della Robbii i innych artystów i dzieliła się swą rozległą wiedzą z Aidanem, który był tym zafascynowany. Stamtąd udali się do Galerii Uffizi, która dla Véronique była rajem. Aidan był zachwycony, że może ją zwiedzać wraz z nią. Znała anegdoty o niemal wszystkich artystach, o szczegółach ich pracy, porównywała różne płótna w sposób, o jakim on nigdy by nie pomyślał, a jej oczy, gdy o tym mówiła, lśniły z podniecenia. Ożywiała dla niego Renesans... I równie mocno się rozpaliała, gdy przy innych okazjach rozmawiali o impresjonistach. Co za szczęście, że ma taką przewodniczkę!

W drodze powrotnej do hotelu zatrzymali się na Piazza della Signoria i znowu wstąpili na lody. Choć Véronique była bardzo szczupła, wyglądało, że lody stanowią jej stałą dietę. Umówili się, że po krótkim odpoczynku w hotelu wrócą

jeszcze wieczorem na plac na kolację. Przebywanie na zewnątrz w ciepłą noc to była sama przyjemność.

No i podczas tej kolacji o mało się nie pokłócili. Aidan powiedział, że jedynym powodem, dla której Véronique przestała malować, było to, że stać ją było na to, ona zaś twierdziła, że była zajęta wychowywaniem dzieci.

– To żadne usprawiedliwienie. Jeśli ma się dany przez Boga talent, trzeba go wykorzystywać. Nie wolno go ot tak ignorować przez dwadzieścia lat. To zbrodnia! Gdybyś była biedna, na pewno byś malowała.

– Gdybym była biedna, pewnie byłabym kelnerką albo kimś takim, żeby zarobić na dzieci. Nie w głowie by mi było malowanie. – Wydawała się lekko poirytowana i przyjmowała postawę obronną.

– Może musiałabyś malować komercyjnie, ale przynajmniej nie ignorowałabyś swojego talentu.

Trudno powiedzieć, co by robiła... Ponieważ sam nie miał dzieci, zupełnie się nie orientował, jak dużo czasu pochłaniają. A ona zawsze stawiała je na pierwszym miejscu, uważała, że są ważniejsze od sztuki, i to właśnie powiedziała Aidanowi.

– Dla nich byłoby lepiej, gdyby wiedziały, że mają utalentowaną matkę, która traktuje swój talent poważnie i szanuje ten dar. Dałabyś im wspaniały przykład.

– Wszystkie moje córki realizują swoje pasje. Tak jak i ja przez te wszystkie lata – odparła cicho. Była wzruszona, że podziwiał jej zdolności i miłość do sztuki, ale dzieci zawsze były dla niej ważniejsze. Chciała mieć dla nich czas – i dla Paula, gdy byli jeszcze małżeństwem, ale ten system wartości był Aidanowi obcy. Całe życie poświęcił własnemu talentowi i jego rozwijaniu, co szanowała, ale było faktem, że nie miał dzieci ani partnerki, którymi musiałby się zajmować i poświęcać im czas, więc mógł się skupić wyłącznie na sobie. Jej życie wyglądało zupełnie inaczej, było poświęcone rodzinie. To ona stanowiła priorytet.

Nadal o tym dyskutowali, gdy nagle Véronique otrzymała SMS-a. Zerknęła na niego, chcąc sprawdzić, czy to nie od córek. Nie – od Nikołaja! Sprawdzał, czy dobrze się czuje i czy już doszła do siebie po wypadku w Rzymie, i zapewniał, że ma nadzieję, iż wkrótce znowu się spotkają. Uśmiechnęła się, po czym powiedziała o tym Aidanowi.

– To od Nikołaja Pietrowicza. Pyta, jak się czuję. – Ale nie odpowiedziała na tę wiadomość, postanowiła, że zrobi to później. Nie chciała być nieuprzejma i esemesować w jego obecności do kogoś innego. Zdumiona była, widząc, że się rozłościł.

– O co mu chodzi? Dlaczego do ciebie pisze? Przecież podobno przy wyjeździe z Rzymu mówiłaś mu, że nic ci nie jest. Co on knuje?

– Ależ nic – odparła, zaskoczona jego reakcją. – Po prostu jest miły i czuje

się odpowiedzialny za wypadek.

– Odpisz mu, że nic ci nie jest i żeby dał ci już spokój – warknął Aidan. – Zresztą ten gość to pewnie członek rosyjskiej mafii. Nikt nie dorabia się takich pieniędzy uczciwie. – Według prasy był wart osiemdziesiąt milionów dolarów.

– Z pewnością może tak być – zgodziła się. Nie знаła Nikołaja na tyle dobrze, żeby go bronić, nie wiedziała też, jak zdobył swój majątek. – Ale był dla mnie bardzo miły – dodała szczerze.

– Najpierw próbując cię zabić! Pewnie się boi, że go pozwiesz.

– Ależ skąd – obruszyła się, chcąc go uspokoić, po chwili jednak zrozumiała, że Aidan jest po prostu zazdrosny... Czyżby więc pocałunek w Wenecji oznaczał coś więcej niż ukłon w stronę turystycznego obyczaju? Ale przecież od tamtej pory się nie całowali, a Aidan zachowywał wobec niej pełen szacunku dystans. Niemniej wyglądał na szczerze przygnębionego SMS-em Nikołaja.

– To ty byłeś bohaterem tamtego wydarzenia, Aidanie – powiedziała ciepło, próbując podnieść go na duchu. – To ty mnie uratowałeś. – Poklepała go po dłoni i zobaczyła, że jego nastroszone piórka się wygładzają. Siłą woli powstrzymała się od uśmiechu. Jego złość na Rosjanina była taka słodka...

– Uważaj na takich facetów jak on – ostrzegł ją, próbując zniechęcić do Nikołaja. – Nie znasz go. To niebezpieczny gość. Nigdy nie wiadomo, co taki typ zrobi. Ludzie z taką władzą i takimi pieniędzmi myślą, że cały świat należy do nich. Chyba nie chcesz, żeby pomyślał, że jesteś jego własnością?

Wzruszył ją sposób, w jaki to powiedział. Traktował ją, jakby była młoda i naiwna.

– Nie sędzę, żeby się jeszcze do mnie odezwał. Myślę, że po prostu był uprzejmy... a ja po upadku na chodnik nieźle oszołomiona. – Starła się go ułagodzić, ale nadal był nabzdyczony.

– Upadłaś na chodnik przeze mnie, nie przez niego.

– Nie, ty mnie uratowałeś – upierała się. – Gdybyś nie popchnął mnie tak mocno, nie skończyłoby się jedynie na oszołomieniu. Już bym nie żyła.

Uśmiechnął się.

– Przykro mi, że się pokiereszowałaś – powiedział szczerze.

– A mnie nie – odparła lekko. – Bo gdyby nie to, może bym cię nigdy nie poznała. – Kiwnął głową i odtąd wieczór przebiegał gładko, choć Véronique już wiedziała, że Aidan z niechęcią myślał o wszystkich, których uważał za „bogatyh”. Nikołaj niewątpliwie pasował do tej etykiety o wiele bardziej niż ona. Pieniądze, jakie odziedziczyła, to była błahostka w porównaniu z majątkiem Nikołaja... Ale ludzie z pieniędzmi denerwowali Aidana bez względu na to, jak do nich doszli.

Temat wypłynął ponownie po wizycie w pałacu Vecchio i pałacu Pittich, które stanowiły materialne oznaki dawnych florenckich fortun. To sprowokowało

Aidana do wygłoszenia kolejnej tyrady o bogaczach i o tym, że nie są w stanie zrozumieć realnego życia, a ona grzecznie zaprzeczyła.

– Pieniądze nie chronią przed problemami, Aidanie – próbowała tłumaczyć.
– Moja matka zmarła, gdy miałam piętnaście lat, a ojciec, gdy miałam dwadzieścia dwa. Pieniądze ich od tego nie uchroniły, chociaż bardzo bym tego chciała. Bogaci ludzie umierają, chorują, przeżywają miłosne zawody, tak jak wszyscy inni. Pieniądze zapewniają wygodę, ale nie chronią przed nieszczęściami. – Jednak Aidan, ilekroć ten temat wypływał, strasznie się irytował, choć tak na serio zdenerwował się tylko raz, gdy podczas którejś kolacji Véronique wspomniała, że wtedy, w Rzymie, przez moment nie chciała zejść z drogi pędzącego ferrari. Przyznała, że śmierć Paula bardzo ją przygnębiła, no i te przykre fakty ujawnione w testamencie, do tego córki dorosły i odeszły z domu... Wszystko to sprawiło, że jej życie bardzo straciło na znaczeniu. Aidan był przerażony.

– Pozwól, że coś ci o sobie opowiem – zaczął, patrząc jej prosto w oczy. – Kiedy miałem dwanaście lat, moja matka popełniła samobójstwo. Miała dosyć ubóstwa, ciągłego braku pieniędzy nawet na jedzenie, mimo że całe życie ciężko pracowała. Ojciec przepijał każdy zarobiony przez nią grosz, zdradzał ją z sąsiadkami i bił, ilekroć upił się bardziej niż zwykle. Więc się zabiła. Musiało się jej wydawać, że to jedyna droga wyjścia.

Véronique była tak zaskoczona tym, co mówi, że brakowało jej słów, by to skomentować. Nie wiedząc, co robić, wyciągnęła rękę i nakryła jego dłoń. Na widok tego, co malowało się w jego oczach, serce jej pękało. Nagle zobaczyła w nim chłopczyka, którym był, gdy umarła mu matka.

– Ojciec zapił się na śmierć, kiedy miałem siedemnaście – podjął. – Odszedłem z domu zaraz po pogrzebie i nigdy się za siebie nie oglądałem. Pewnie dlatego nigdy nie chciałem się ożenić i mieć dzieci. Nie chciałem dla nich takiego dzieciństwa, jakie sam miałem.

– Przecież nie byłbyś taki, jak twój ojciec – zauważyła łagodnie. – Jesteś kimś zupełnie innym. – Skinął głową i dostrzegła łzy w jego oczach. Wzruszało ją, że dzieli się z nią mrocznymi sekretami swojego dzieciństwa.

– Mój ojciec był sukinsynem, dla wszystkich. Matka była kochana i nie zasługiwała na kogoś takiego jak on.

Véronique kiwnęła współczująco głową. Wciąż trzymała go za rękę. To, co mówił, wiele wyjaśniało – to, że nieraz tak się unosił, że bał się małżeństwa i dzieci, że nienawidził biedy i tego, co robiła z ludzi – i że za całe zło świata obwiniał bogaczy. Bo ktoś musiał za nie odpowiadać i Aidan uznał, że to ich wina. Demonizował każdego, kto miał pieniądze, i niepokoiło ją to, ale współczuła mu z powodu traum i tragedii dzieciństwa.

Upierał się, że biedni i bogaci różnią się od siebie. Nie wierzył, że ludzie majątni mogą tak cierpieć, jak cierpiał on. Ona jednak wiedziała, że cierpienie

przybiera najróżniejsze formy i barwy i nie jest zarezerwowane wyłącznie dla biednych. Bogaci też przeżywają tragedie.

– Niektórzy ludzie są po prostu źli, Aidanie. Nie jest ważne, czy mają majątek, czy nie.

– Pewnie tak – odparł z ciężkim westchnieniem i uściśnął jej dłoń. Widział po jej oczach, że bardzo mu współczuje. – Nienawidziłem każdej sekundy swojego dzieciństwa, zwłaszcza ojca.

Po kolacji wybrali się na spacer i Aidan objął ją ramieniem. Oboje myśleli o tym, co jej opowiedział. Lepiej go teraz rozumiała. Chwilami bywał szorstki, ale czuła, że pod tą powłoką kryje się czułe serce. Był człowiekiem dobrym, wrażliwym i bardziej bezbronnym, niż gotów był się przyznać. Gdy poznała historię śmierci jego rodziców, stał się jej bliższy.

Wrócili do swoich oddzielnych pokoi, a nazajutrz kontynuowali pielgrzymkę po dziełach sztuki. Obeszli wszystkie ważne galerie, wrócili jeszcze raz do Uffizi i po pięciu dniach pławienia się w sztuce Florencji uznali, że mają dosyć i że nie ma już nic, co chcieliby zobaczyć. Przy lunchu Aidan podniósł na nią wzrok.

– Co teraz robimy? – spytał. Do wyjazdu do Berlina pozostało mu jeszcze parę tygodni, no i nie miał ochoty rozstawać się z Véronique. Pomimo okazjonalnych sprzeczek świetnie się ze sobą czuli. Nieznajomi z początku, teraz stali się przyjaciółmi.

– Nie wiem. Chyba powinnam skontaktować się z córkami. Dwie z nich mają tu przyjechać i chyba powinnam się dowiedzieć kiedy.

– A po co przyjeżdżają? Tak po prostu na wakacje?

– Nie. Jakiś czas temu wynajęłam dom w Saint-Tropez i żadna się nie zjawiła. Są bardzo zajęte. Przyjeżdżają w związku z rodzinnym majątkiem, tylko na kilka dni. – Widział samotność w jej oczach, gdy to mówiła. Była samotna od dawna, nie miała z kim spędzać czasu, nikogo, kto by ją kochał. Choć miała trzy córki, nie brały już udziału w jej codzienności. Nagle z całą wyrazistością zobaczył, jaka jest osamotniona. I podejrzewał, że znosi to ciężiej, niż po sobie pokazywała.

Tego wieczoru Véronique zadzwoniła do Timmie. Dla córki było to popołudnie, była w pracy. Nie zapytała, gdzie matka jest i jak się miewa – zakładała, że jest w Paryżu. Véronique próbowała też dodzwonić się do Juliette, ale jej się nie udało, a z poczty głosowej Joy dowiedziała się, że córka cały tydzień będzie zajęta kręceniem reklamy i nie znajdzie czasu na odbieranie telefonów.

– Jak myślisz, kiedy dziewczyny mają przyjechać na oględziny zamku? – Być może Timmie wie, nawet jeśli sama nie planowała przyjazdu.

– Nie wiem, mamó. Ich musisz pytać. Dwa dni temu rozmawiałam z Juliette, mówiła, że za kilka tygodni. Teraz chyba wyjechała do znajomych w Vermont. Wciąż jest przybita po śmierci taty.

– Jeśli będziesz z nimi rozmawiała, przekaz im, żeby dały mi wcześniej znać, kiedy przyjadą – poprosiła Véronique. Córka się zdziwiła.

– Ale dlaczego? Jesteś czymś zajęta?

– Być może będę. Nie zamierzam siedzieć tu bezczynnie w oczekiwaniu na ich przyjazd. Joy nie odbiera telefonu, a do Juliette nie mam jak się dodzwonić, bo na lato zamknęła sklep. – Dotąd siedziała w nim dzień i noc i łatwo było ją złapać. Teraz zaginęła.

– Napisz do obu SMS-a – poradziła praktycznie Timmie, a Véronique powstrzymała się od uwagi, że to dość dziwny sposób kontaktowania się z własnymi dziećmi. Córki zakładały, że ona nie ma nic do roboty, że siedzi i na nie czeka i że wszystko rzuci, kiedy zdecydują się pojawić. I rzeczywiście tak było przez wiele lat. Nagle zapragnęła jednak od życia czegoś więcej. Poczuli to po śmierci Paula, a teraz doszedł Aidan. Dobrze jej z nim było. Z każdym dniem stawał się dla niej coraz ważniejszy, chociaż i on miał własne życie: czekało go zorganizowanie wystawy w berlińskiej galerii. Na razie jednak oboje byli wolni, ona nawet bardziej niż on, nie ciążyły na niej żadne zawodowe zobowiązania.

– Tak zrobię – odparła w odpowiedzi na sugestię Timmie. – A co u ciebie?

– Młyn, jak zawsze. Tu nigdy nic się nie zmienia. – Teraz mogło się zmienić w związku z ojcowskim zapisem, ale Timmie jeszcze nie podjęła w tej sprawie żadnych kroków. Chciała się rozejrzeć za budynkiem, ale jak na razie nie miała na to czasu.

– Cóż, postaraj się nie przepracowywać. Robisz sobie czasami wolne?

– W ten weekend jadę do znajomych w Hamptons. To pierwszy wolny weekend, jaki sobie zrobię.

– To dobrze. Cóż, życzę dobrej zabawy – rzekła Véronique i dodała, że ją kocha. Kiedy się rozłączyły, zdała sobie sprawę, że Timmie nie spytała, co u niej ani jak się czuje. Żadna z jej córek nigdy o to nie pytała.

Nazajutrz rano powiedziała Aidanowi, że nie wie, kiedy córki przyjadą. Być może minie jeszcze parę tygodni, chociaż nie była w stanie skontaktować się z tymi dwiema, które mają przyjechać, więc tak naprawdę nie zna ich planów.

– Niezbyt to rozważne z ich strony – zauważył praktycznie podczas śniadania, które jedli w hotelu. – Czy one myślą, że rzucisz dla nich wszystko, jak tylko się pojawią? – Wyglądał na lekko zszokowanego. Uważał, że dorosłe osoby nie powinny się tak zachowywać, nawet jeśli Véronique to ich matka.

– Moje córki nie bardzo się mną przejmują – odrzekła szczerze. – Nie mogę oczekiwać, że będą organizowały sobie życie wokół mnie, one jednak oczekują, że będę wolna, kiedy tylko zechcą przyjechać. Myślą, że nie mam nic innego do roboty. Czasami to trochę irytujące.

– Może powinnaś im powiedzieć, że jesteś zajęta, trochę je przećwiczyć. Chyba warto by im przypomnieć, że nie jesteś ich niewolnicą. – Uśmiechnęła się

na te słowa. –Zdaje się, że za długo byłaś dla nich na każde zawołanie.

Istotnie tak było, a to dlatego, że w jej życiu brakowało mężczyzny, nie pracowała, była samotna i bardzo za nimi tęskniła. Dlatego córki zawsze zakładały, że znajdzie dla nich czas, i jak dotąd zawsze znajdowała, nawet jeśli musiała zmieniać własne plany, co zresztą często się zdarzało. Jej plany nigdy nie były tak ważne jak dzieci.

– Masz rację – zgodziła się. – Przeze mnie nabrały złych nawyków. Tym razem jednak nie przyjeżdżają dla przyjemności. Mają obejrzeć zamek, który ich ojciec zostawił im w spadku, w pobliżu St. Paul de Vence. Prawdopodobnie go sprzedadzą, nie był używany od lat, ale najpierw powinny go obejrzeć.

– Sama widzisz, co miałem na myśli, mówiąc o bogaczach... Ich ojciec był właścicielem zamku, z którego w ogóle nie korzystał. Czy to nie jest zepsucie?

Uśmiechnęła się do niego. Ciekawe, co by powiedział, gdyby mu wyznała, że to ona podarowała Paulowi ten zamek... Zauważyła, że Aidan myśli, że to Paul miał pieniądze, mimo to nie próbowała rozwiać tej iluzji. Znała już jego radykalną opinię o ludziach majątnych, bała się więc przyznać, że majątek należał do niej, nie do Paula; że Paul, zanim się z nią ożenił, nie miał grosza przy duszy. Na razie wolała nie wyprowadzać Aidana z błędu. Wprawdzie nie chciała, by odniósł wrażenie, że przez ostatnie dwadzieścia lat była jedną z tych kobiet, który utrzymują się z alimentów i ugody rozwodowej, na razie jednak wydawało się to lepszym wyjściem niż wyjawienie prawdy.

– A tak w ogóle, to gdzie się macie spotkać z córkami? – spytał.

– Na Cap d'Antibes. Do tego czasu nie mam nic do roboty – przyznała. – Byłabym zachwycona, gdybyś je któregoś dnia poznał – powiedziała z uśmiechem, ale on pokręcił głową.

– Nie wiem, czybyśmy się dogadali. Nie podoba mi się to, jak cię traktują. Nie wyglądają na szczególnie troskliwe. Wasze kontakty przypominają ulicę jednokierunkową: cała miłość i uwaga płyną od ciebie. – Nie mylił się, choć w jego ustach zabrzmiało to zbyt ostro. Nie mogła jednak zaprzeczyć, że sama tak to często odbierała, a on wydobył to ze wszystkiego, co mu o sobie opowiadała.

– Ale to nie zawsze tak wygląda – sprzeciwiła się, starając się być uczciwa wobec córek. – Przez parę dni po śmierci ich ojca sporo rozmawialiśmy. No, ale zwykle są po prostu zajęte. – Po śmierci Paula córki potrzebowały jej pomocy, więc znalazły czas... Co do reszty jednak Aidan miał rację. A SMS to nie to samo co rozmowa przez telefon albo spotkanie. Córki rzadko włączały ją do swojego życia, a jej życiem się nie interesowały.

– Jak dla mnie wydają się zanadto zaabsorbowane sobą, nie inaczej niż ich ojciec. Może to on je nauczył, jak należy cię traktować. – Był krytyczny, jednak nie do końca w błędzie.

– W rzeczywistości Paul był od nich miłszy – odparła w zadumie. Ale czy na

pewno? Sama już nie wiedziała. – Tak sobie myślę, że kiedy się ma dwadzieścia parę lat, nie ma się czasu dla rodziców. Kiedy ja byłam w ich wieku, miałam już trójkę dzieci i męża, a to uczy myślenia o innych. One są w innej sytuacji. Mogą się koncentrować wyłącznie na sobie i na tym, co im odpowiada.

– W porządku. W takim razie czort z nimi – powiedział Aidan bez ogródek. – Zastanówmy się, co będziemy robili my. Florencję chyba już wyczerpaliśmy. Co byś powiedziała na to, żeby jeszcze trochę razem popodróżować? Ja mam czas. – Nie chciał się z nią rozstawać, chyba że ona by tego chciała, ale miał nadzieję, że tak nie będzie. Czas, który wspólnie spędzili, był magiczny, poczynając od Wenecji, przez Sienę, aż do Florencji. Chciał jeszcze.

Spojrzała na niego wstydliwie.

– Byłabym zachwycona – przyznała. Nie wiedziała, co to jest: przyjaźń czy coś więcej, mimo różnicy lat. Wydawało się to mało prawdopodobne, ale czasami zachowywali się jak para, zwłaszcza gdy się sprzeczali na temat poglądów na życie. Sprzeczki były jednak prowadzone z szacunkiem i szybko się kończyły. Ich znajomość była dziwnym nawiasem w ich życiu, ale się sprawdzała i każda minuta, jaką ze sobą spędzili, była dla niej przyjemna i wartościowa. Nie chciała tego kończyć i on też tego nie chciał. Wydawał się zadowolony z jej odpowiedzi.

– To może pojedziemy do Francji? – zaproponował. – Możemy jakiś czas pobyc na południu. A potem wylądujemy tam, gdzie masz być ty. Co ty na to?

– Wspaniały pomysł – odparła z szerokim uśmiechem. Ustalili, że wyruszą następnego dnia po jeszcze jednej wizycie w Galerii Uffizi i że pojedą do Francji bez pośpiechu, zatrzymując się wszędzie, gdzie będą mieli ochotę.

Po śniadaniu, zadowoleni z planów, poszli z powrotem do swoich pokoi. Kiedy zbliżali się do pokoju Véronique, Aidan położył jej dłoń na ramieniu i przyciągnął ją do siebie, tak jakby chciał jej coś powiedzieć. Podniosła na niego wzrok i zobaczyła ciepły czekoladowy brąz jego oczu, a on wziął ją w objęcia i pocałował, namiętniej niż w gondoli... i jakoś intymniej. Pocałunek trwał długo, a gdy się skończył, obojgu brakowało tchu. Véronique oparła się o drzwi, a Aidan znowu ją pocałował. I już nie było wątpliwości, co to jest. Zakochiwali się w sobie... Nie wiedzieli, czy to przetrwa, czy w ogóle zadziała, w tej chwili jednak tylko tego chcieli. Było cudownie.

Rozdział 10

Nazajutrz opuścili Florencję i udali się do Lucca, gdzie na dwa dni zatrzymali się w małym zajeździe. Chodzili na spacer w wiejskiej scenerii i było to relaksujące i spokojne. Rozmawiali i żartowali, a Aidan nieustannie robił Véronique zdjęcia. Zawsze wtedy, kiedy się tego nie spodziewała, kiedy była zamyślona, bo taką ją lubił najbardziej. Drugiego dnia wieczorem zadzwonił do niej detektyw, którego wynajęła w Paryżu. Sporządził raport w sprawie pań Marnier i chciał wiedzieć, dokąd ma go przesłać. Powiedział, że nie miał problemu z zebraniem informacji: przez całe życie mieszkały w tej samej miejscowości. Véronique poprosiła, żeby przefaksował raport do hotelu, po czym, z poważnym wyrazem twarzy, uważnie go przeczytała. Aidan obserwował ją z niepokojem, ale zczekał z pytaniami, dopóki nie skończy czytać. Nie trwało to długo, bo raport miał tylko pięć stron. Pod koniec Véronique wyglądała na zafrasowaną.

– Złe wieści? – spytał z troską. Pokręciła przecząco głową, ale nie wydawała się najszcześliwsza.

– Stare wieści – mruknęła z westchnieniem. Nie bardzo jej się uśmiechało zawracać mu głowę przykrymi szczegółami z jej życia i zdradami byłego męża. – Podczas odczytywania testamentu Paula okazało się, że ma nieślubną córkę z kobietą, z którą miał romans, kiedy jeszcze byliśmy małżeństwem. Po rozstaniu z nim odkryłam, że miał wiele romansów. – Mówiła już o tym Aidanowi wcześniej. – Ale tylko ten zaowocował potomstwem. To był szok dla nas wszystkich. I przepisał tej córce ćwierć swojego majątku. W czwartej części jest właścicielką zamku wraz z moimi córkami. Dlatego próbowałam się dowiedzieć czegoś o niej i o jej matce. Właśnie ich dotyczy raport, który czytałam. W Paryżu, przed wyjazdem do Rzymu, wynajęłam detektywa.

Aidan zafrasował się tak samo jak ona.

– To musiał być straszny szok i dla ciebie, i dla twoich córek. Niczego nie podejrzewałaś?

– Nie, nigdy. Nie w tym wypadku. Kiedy się dowiedziałam o innych kobietach, nie było wśród nich tego nazwiska. Paul dobrze ją ukrywał i nigdy mi o niej nie powiedział, do samego końca.

– Tchórz. Czekał z tym, aż umrze – orzekł twardo Aidan, a Véronique się nie sprzeciwiła.

– Taki był Paul. Zawsze unikał rzeczy trudnych i nieprzyjemnych. Zostawiał je na mojej głowie. Przypuszczam, że zakładał, że jakoś tę sytuację naprawię, i pewnie rzeczywiście to zrobię, na ile będę mogła. Dziewczyny będą się musiały z nią kontaktować. To ich siostra, czy raczej siostra przyrodnia.

– Dziwne, że pozostałaś z nim w przyjaźni – mruknął. Trudno mu było to

pojąć. W jego mniemaniu jej mąż był draniem, i w pewnym sensie rzeczywiście był, choć zarazem obdarzonym wielkim urokiem.

– Na początku chodziło mi o dzieci. I chyba zaraz po rozwodzie wciąż go kochałam. A potem się po prostu przyzwyczaiłam, że utrzymujemy kontakt. Pod koniec już go nie kochałam, więc nie przejmowałam się jego zachowaniem. Nie mam rodziny poza córkami, więc Paul był częścią mojego życia. Jak starszy brat-łobuz... Ale jego ostatni wyczyn, a raczej wiadomość o nim, wszystko zmienił w moich oczach. W tej chwili nie mam dla niego najcieplejszych uczuć.

Aidan w milczeniu skinął głową. Przez chwilę przetwarzał w głowie to, co usłyszał.

– A co o tych kobietach mówi detektyw? – spytał wreszcie.

– Wygląda na to, że dziewczyna studiuje medycynę, a matka jest lekarzem. Ludzie w okolicy mają o niej bardzo dobre zdanie, jest szanowana. Ona też musiała studiować medycynę, kiedy się z Pauliem poznali i nawiązali romans. Paul nie łożył na córkę, wysyłał tylko okazjonalne „podarki pieniężne”, co mnie nie zaskakuje. Nigdy nie traktował odpowiedzialnie zobowiązań finansowych i prawdopodobnie zapominał o córce, kiedy mu to pasowało. Widział ją tylko kilka razy, i to nie ostatnio. Jej matka nigdy nie wyszła za mąż, chociaż miała partnera, też miejscowego lekarza, który zmarł przed dwoma laty. Ten lekarz był jedynym ojcem, którego znała córka Paula. Wygląda na to, że matka nigdy jej nie powiedziała, że to Paul jest jej ojcem. Aż do niedawna sądziła, że to stary znajomy rodziny, który ich raz na jakiś czas odwiedza. I jestem przekonana, że Paulowi odpowiadała ta szarada.

Aidan słuchał w milczeniu. Doprawdy, trudno mu było znaleźć w osobie Paula Parkera coś sympatycznego czy godnego szacunku... Ból w oczach Véronique, kiedy o tym mówiła, budził w nim wściekłość na jej byłego męża i współczucie dla niej. Widział wyraźnie, że czuła się zdradzona.

– Zgodnie z raportem – ciągnęła – ludzie z sąsiedztwa twierdzą, że to bardzo miła dziewczyna, bardzo odpowiedzialna i poważna, dobra studentka. A jej matka to podobno urocza kobieta. Wygląda na to, że Paulowi ułożyło się lepiej, niż zasługiwał. Romans mógł się dla niego skończyć katastrofą, zwłaszcza w tamtym czasie, gdyby matce dziewczyny chodziło o pieniądze lub gdyby chciała wywołać skandal, zaszantażować Paula albo skłócić ze mną. Ale nic takiego nie zrobiła. A teraz cały ten bałagan przeszedł na nas. Jestem przekonana, że fakt, iż Paul uwzględnił córkę w testamencie, i dla nich był zaskoczeniem, choć w ich przypadku pozytywnym. Według raportu ich majątek jest bardzo skromny, mają tylko tyle, ile zarabia matka z praktyki lekarskiej, a to nie może być wiele. Więc dla nich to gratka. I twardy orzech do zgryzienia dla moich dziewcząt, bo odziedziczyły majątek, który będą musiały dzielić z przyrodnią siostrą, o której istnieniu nie miały dotąd pojęcia.

Cóż, sytuacja nie wygląda zbyt dobrze, pomyślał Aidan. No, ale przynajmniej matka i córka wydawały się uczciwe i porządne... Nie miał żadnej tolerancji dla osób pokroju Paula. Ponownie przygarnął Véronique do siebie i pocałował. Bardzo jej współczuł. Ileż ona musiała przejść z mężczyzną, wobec którego ewidentnie była dobra i lojalna! A ona wdzięczna była Aidanowi za jego życzliwość i wsparcie. Spędzili spokojny wieczór, rozmawiając o tym, po czym Véronique przefaksowała raport wszystkim trzem córkom. Nie wiedziała, kiedy otrzyma go Juliette, która była w tej chwili w Vermont, ale dwie pozostałe córki z pewnością wszystko jej powiedzą, kiedy zadzwoni. Juliette zawsze była w bliskim kontakcie z Timmie. Pod pewnymi względami raport przynosił dobre wieści, bo wynikało z niego, że panie Marnier są osobami godnymi szacunku, niemniej sytuacja była przykra dla wszystkich.

Nazajutrz znowu wyruszyli w trasę. Véronique nie wspominała już o raporcie, więc i Aidan nie wracał do tematu. Nie chciała o tym myśleć. Dzień później jednak zadzwoniły do niej na komórkę wszystkie trzy córki. Zareagowały na raport tak samo jak ona: że przynajmniej i matka, i córka wydają się rozsądne. Wszystkie obawiały się jednak spotkania z przyrodnią siostrą i jej matką, a po rozmowie z córkami Véronique wyznała Aidanowi, że ona też nie ma na to ochoty.

– No to się z nimi nie spotykaj – poradził jej po prostu. – Nie ty odziedziczyłaś posiadłość, tylko twoje dzieci. Jeśli nie masz ochoty na spotkanie z tą dziewczyną i jej matką, dlaczego miałabyś się do tego zmuszać? Po co ci to? Do diabła z nimi. Niech twoje córki się tym zajmą. W końcu są dorosłe.

Véronique nigdy nie przysłoby to do głowy, ale rada Aidana brzmiała sensownie. Czowała, że uwalnia się od jakiegoś ciężaru.

– Nie masz żadnego obowiązku narażać się na cierpienie z powodu faceta, który niemal przez całe życie cię krzywdził i żył sobie, jak chciał. Jeśli chcesz się z nimi spotkać, to się spotkaj. Ale jeśli nie masz ochoty, zostaw to córkom, a sama trzymaj się od sprawy z daleka.

Uśmiechnęła się i nachyliła, żeby go pocałować.

– Jesteś wspaniałą. Dziękuję ci. Cieszę się, że uratowałaś mi życie.

– Ja też się cieszę – odparł i też ją pocałował. Całowali się bardzo często, chociaż na razie udawało im się trzymać z dala od łóżka. Żadne nie chciało działać pochopnie, pod wpływem namiętności, bo później może by żalowali. Jeszcze nie byli pewni tego, co między nimi jest, i taki niespieszny flirt odpowiadał im obojgu. Nie chcieli się nawzajem skrzywdzić ani zostać skrzywdzonym.

– Nigdy nie byłem w takiej relacji – zwierzył się jej Aidan pewnego popołudnia w drodze do Portofino. – Zwykle sypiam z kobietami, ale się w nich nie zakochuję. Ciebie kocham, ale z tobą nie sypiam. Któregoś dnia muszę to naprawić. – Roześmiał się, a ona się uśmiechnęła. Ona też nigdy nie była w takim związku, z mężczyzną, który ją dobrze traktował i szczerze przejmował się tym, jak

się czuje, choć przecież ledwie ją znał. Paul zawsze myślał wyłącznie o sobie, o czym świadczyła choćby sytuacja, z którą jego córki musiały sobie teraz poradzić we Francji.

Zatrzymali się na trzy dni w Portofino, małym portowym miasteczku, gdzie mieszkali w uroczym hoteliku, a potem na jeden dzień w Cinque Terre, na Riwierze Liguryjskiej. Zwiedzali, Aidan robił zdjęcia, wylegiwali się na miejscowych plażach, a wieczorami chodzili na kolację do romantycznych knajpek.

Granicę z Francją przekroczyli czwartego dnia i stamtąd krętymi trasami ruszyli na południe. Chcieli wpaść do Èze w Alpach Nadmorskich, a potem zamierzali zatrzymać się w Antibes. Aidan znał tam na Starym Mieście pewien hotelik, niedaleko hotelu, w którym Véronique planowała zatrzymać się z córkami.

Droga do Èze była tak piękna, jak się spodziewali. Uliczki w miasteczku były wyłożone kocimi łbami, a gdziekolwiek się ruszyli, wszędzie natrafiali na grupki starszych mężczyzn, grających w bule. W dole roztaczał się malowniczy widok morskiego wybrzeża. Zjedli doskonały lunch i ruszyli do Antibes, gdzie odnaleźli hotelik, o którym mówił Aidan. Dostali dwa małe, sąsiadujące ze sobą pokoje, po czym wybrali się na spacer po starówce. Kolację zjedli w eleganckiej restauracji na barbakanie, podziwiając przy tym sunące po morzu okazałe jachty i różnej wielkości żaglówki. W Antibes znajdował się spory port dla jachtów. Było to świetne miejsce do wakacyjnego wypoczynku, z kilkoma plażami do wyboru.

Po kolacji wracali niespiesznie do hotelu. Aidan ogarnął Véronique ramieniem. Przystanęli na chwilę, żeby popatrzeć na łódki. Czas, jaki ze sobą spędzali, był dla nich spokojnym wytchnieniem od codzienności, ale i od realnego życia, i w końcu Aidan wypowiedział na głos to, co trapiło Véronique już od dawna.

– Co będziemy potem robić, Véronique? Odwiedzisz mnie w Londynie?

Bał się, że po tej wycieczce nigdy więcej jej nie zobaczy. Ich światy były odległe od siebie o lata świetlne. Dzieliły ich bardziej niż różnica wieku, która żadnemu zdawała się nie przeszkadzać. Na ogół czuli się równolatkami, chyba że Véronique mówiła o dzieciach; Aidanowi trudno się było do tego odnieść, jako że sam ich nie miał.

– Chyba mogłabym. A ty mógłbyś mnie odwiedzić w Paryżu albo w Nowym Jorku – zasugerowała.

– Przyjedziesz zobaczyć moją wystawę w Berlinie? – spytał. Chciał włączyć ją do swojego życia, pokazać jej, jak mieszka i pracuje. I oboje wiedzieli, że jemu będzie trudniej wejść do jej świata niż odwrotnie. Gdyby się nadal spotykali, musiałby poznać jej córki, a trudno było przewidzieć, jak zareagowałyby na kogoś w jej życiu, zwłaszcza na Aidana, który był od niej młodszy. Pewnie byłyby w szoku... Różnica wieku między nimi była błahostką bez znaczenia, niemniej istniała. Véronique podejrzewała jednak, że córki najbardziej zdenerwowałyby to,

że w ogóle z kimś się związała. Przyzwyczyły się, że jest sama, i nigdy nie myślały o niej jako o kobiecie, wyłącznie jako o matce, która istnieje tylko dla nich, po to, by stale służyć im uwagą i emocjonalnym wsparciem.

– Mogłabym przyjechać po wyjeździe dziewcząt – powiedziała z namysłem.
– Raczej nie zostaną zbyt długo.

– Strasznie bym chciał – odrzekł z uśmiechem. Przyjechałaby na jego wystawę! Super!

– Ja też – odparła, zadowolona, że ją zaprosił, po czym wrócili ramię w ramię do hotelu.

Tego wieczoru zadzwoniła Juliette z informacją, że przyjadą z Joy w przyszłym tygodniu. Zamierzały zostać pięć-sześć dni, tak jak Véronique przypuszczała. Po zakończeniu rozmowy z zaskoczeniem zdała sobie sprawę, że wizytę córek odczuwa jako najazd. Ten jeden raz chciała być z Aidanem, nie z nimi... Miała z tego powodu wyrzuty sumienia i nazajutrz, gdy jechali na dzień do Cap Ferrat, powiedziała Aidanowi o telefonie Juliette. Tego wieczoru zamierzali zjeść kolację w Voile d'Or, restauracji z ogródkiem wychodzącym na port w St. Jean Cap Ferrat, a ponieważ była dość droga, wymogła na nim, że tym razem płacić będzie ona.

Świadomość, że został im tylko tydzień, sprawiała, że każda chwila była tym cenniejsza. Jechali wzdłuż wybrzeża z jednego miasteczka do kolejnego, wypróbowywali nowe plaże, pływali, a wieczorami chodzili do miłych, zabawnych knajpek. Całymi godzinami rozmawiali, dzielili się marzeniami i sekretami, czasem się kłócili, zachwyceni i zniecierpliwieni sobą nawzajem, często się całowali i w ogóle świetnie się ze sobą bawili. Nigdy z nikim nie czuła się tak swobodnie, i on też nie. Każdą minutę, z wyjątkiem snu, spędzali razem i dzięki temu wiele się dowiedzieli o swoich charakterach. I podobało im się to, co do tej pory zauważyli. Aidan twierdził, że z żadną kobietą nie był tak szczęśliwy, a choć ze sobą nie sypiali, łączyła ich rzadko spotykana intymność. Każdy, kto widział ich razem, musiał sądzić, że są małżeństwem lub przynajmniej kochankami. Czuli się ze sobą w pełni swobodnie.

Czas mijał i ostatniego dnia znowu zaczęli rozmawiać o przyjeździe Véronique na wystawę do Berlina. Obiecała, że pojawi się na jej otwarciu, a może nawet przyjedzie parę dni wcześniej i pomoże mu ją urządzić. Aidan bardzo na to liczył, powiedział, że to by wiele dla niego znaczyło. Po wyjeździe córek miała wrócić do Paryża i stamtąd polecieć do Berlina. Ostatniego wieczoru zjedli kolację w pizzerii w starej części miasta, a potem, lawirując w tłumie przechodniów, wrócili objęci do hotelu. Tuż przed wejściem ją pocałował.

– Będę strasznie tęsknił – powiedział cicho. Trudno mu było teraz wyobrazić sobie bez niej choćby jeden dzień, i ona czuła tak samo. Dziwne było, że spotka się z córkami i nie będzie im mogła powiedzieć, jak ważny jest dla niej Aidan, a nawet

że go w ogóle poznała. Ale nie czuła się jeszcze gotowa, by to przed nimi ujawnić; chciała chronić to, co ją z Aidanem łączyło. Było to cenne, kruche i bardzo rzadkie.

Zanim poszli do swoich pokoi, pocałował ją jeszcze raz. Myśląc o nim, położyła się do łóżka. Ciekawe, czy on już śpi... Zarezerwowała pokoje dla siebie i córek w Eden Rock, gdzie zawsze się zatrzymywały. Aidan miał ją tam zawieźć jutro rano; zamierzali zjeść razem lunch, a potem on miał wyruszyć do Berlina. Juliette i Joy przyjeżdżały wieczorem. Spędzali dotąd ze sobą każdą chwilę i na myśl, że jutro się rozstaną, łzy napłynęły jej do oczu. Minęła godzina, a ona wciąż nie mogła zasnąć. W końcu wstała, by popatrzeć na morze w świetle księżyca, i wtedy usłyszała ciche pukanie. Podeszła do drzwi i otworzyła. Za nimi stał Aidan w samych slipkach, bosy, z niepewną miną.

– Nie śpisz? – spytał, a ona się uśmiechnęła, szczęśliwa, że go widzi. W ciemnym korytarzu wyglądał jak dziecko.

– Nie śpię. Nie mogę – odpowiedziała szeptem i szerzej otworzyła drzwi. Bez słowa wziął ją w ramiona. Nie mógł się z nią rozstać bez tego finału, na który oboje czekali całą wieczność. Tak, chcieli tego ostatecznego potwierdzenia ich związku, zanim się nazajutrz rozstaną, i obojgu wydawało się to właściwe. W milczeniu położyli się do łóżka, rozebrali i leżeli przez jakiś czas objęci, aż w końcu, powoli, ich ciała się połączyły. Kochali się w blasku księżyca, a potem leżeli obok siebie, zaspokojeni i ostatecznie zjednoczeni. Wreszcie...

Kiedy nadszedł poranek, głęboko spali obok siebie. Po przebudzeniu Aidan spojrzał na Véronique i oboje już wiedzieli, że w nocy postąpili słusznie. Pocałował ją na dzień dobry.

– Żałujesz? – spytał, patrząc na nią z niepokojem.

– Nie – uśmiechnęła się. – A ty?

– Nie wiem, jak to zrobimy – rzekł – ale wiem, że znajdziemy jakiś sposób, żeby nam się udało.

Tylko tyle potrzebowała usłyszeć. Chciała, żeby Aidan miał rację i żeby ich związek nie okazał się przelotnym wakacyjnym romanssem. Wydawało jej się, że tak nie jest... Aidan ponownie powiódł dłońmi po jej piersiach i brzuchu, wciąż nią nienasycony. To był dla nich zaledwie początek.

– Żałuję, że nie jedziesz dziś ze mną do Berlina – rzekł ze smutkiem.

– Niedługo przyjadę – obiecała i pocałowała go. Miał zdumiewająco piękne ciało... I jeszcze raz, ostatni, zanim będą musieli stanąć twarzą w twarz ze światem, połączyli się w miłosnym akcie.

Potem Aidan poszedł po prysznic, przebrał się w swoim pokoju i po chwili do niej wrócił. Teraz jednak patrzył na nią jakoś inaczej. Była jego i cokolwiek by się zdarzyło, mieli sobie z tym radzić razem. To, że się kochali, stanowiło koniec ich dotychczasowego życia i początek nowego. I żadne z nich nie było już samo. Tu, w tym pokoiku, została przypieczetowana łącząca ich więź.

Aidan wziął jej bagaże i ruszył do samochodu, a po chwili przyszła i ona. Czowała się tak, jakby kończył się ich miesiąc miodowy... Wsiadła i ruszyli w stronę Cap d'Antibes, zabierając wszystko, co ze sobą dzielili, co stworzyli i co sobie dawali przez te kilka tygodni. Oboje się uśmiechali, a gdy w polu widzenia ukazał się wytworny stary hotel, w którym miała zamieszkać, nachylił się i ją pocałował.

Nie chciała się z nim rozstawać, ale wiedziała, że musi, żeby się spotkać z córkami. Nie mogła dłużej wyłącznie podróżować z Aidanem, chodzić z nim na kolacje i budzić się w jego objęciach. Miała obowiązki, a on pracę do wykonania w Berlinie. I gdzieś pośród tego wszystkiego znajdą czas, by być ze sobą. Musieli tylko wymyślić, jak to zrobić, jak sprawić, żeby ich związek działał. I kiedy wysiadała przed znajomym budynkiem, w którym zatrzymywała się z rodziną od lat, przysięgła sobie, że wymyśli. Aidan zbyt wiele teraz dla niej znaczył, by miała go stracić. To była najlepsza rzecz, jaka ją w życiu spotkała, a w jego oczach, gdy ich spojrzenia się spotkały, czytała potwierdzenie, że on czuje to samo.

Rozdział 11

Eden Rock stanowił część dystyngowanego Hôtel du Cap na półwyspie Cap d'Antibes. Od swojskiego miasteczka Antibes, w którym się wcześniej zatrzymali, i od hoteliku, w którym w końcu skonsumowali swój związek, dzieliło go zaledwie parę kilometrów. Hôtel du Cap należał do najpiękniejszych i najbardziej ekskluzywnych hoteli w Europie, więc i ceny były odpowiednio wysokie. Główny budynek miał marmurowe posadzki i wysokie zdobione stropy, a okna wspaniałych pokoi i apartamentów z reguły wychodziły na lśniący bezmiar morza. Imponujące zewnętrzne schody prowadziły do jeszcze bardziej wytwornego Eden Rock, z ogrodami po obu stronach szerokiej alei i położonego bliżej wody. Hotel stanowił wakacyjną siedzibę arystokracji, rodzin królewskich, ludzi majątnych z dziada pradziada i świeżo wzbogaconych nuworyszy, rosyjskich potentatów i gwiazd kina. Wielu z nich wolało się zatrzymywać w mniej oficjalnym, położonym niżej budynku, z mniejszymi, choć równie eleganckimi apartamentami i z lepszym widokiem z balkonów na morze.

Oba hotele obsługiwała niezwykle wykwintna restauracja, a poniżej, na czymś, co wyglądało jak pokład statku, była druga, mniej oficjalna, w której goście hotelowi jadali lunch w astronomicznych cenach. Był tam też basen z widokiem na linię horyzontu i szereg prywatnych kabin, w których można było jeść posiłki, odpoczywać czy chodzić nago, nie będąc widzianym przez innych gości. Kabin były droższe niż pokoje w innych dobrych hotelach. Hôtel du Cap i Eden Rock stanowiły świat sam w sobie, z niemal stałym zespołem gości, którzy powracali tu wiernie rok po roku, w pojedynkę albo z rodzinami czy kochankami. Było to magiczne królestwo, odizolowane od prawdziwego świata, pełne elegancji, sław i celebrytów, którzy oczekiwali, że podczas pobytu będą noszeni na rękach, hołubieni i dopieszczani. Nawet obsługa pozostawała przez lata ta sama i dobrze znała Véronique i jej dzieci. Véronique jeździła do tego hotelu jeszcze jako dziecko, z rodzicami, i zaraz po ślubie zabrała tam Paula. W Eden Rock spędzili swój miesiąc miodowy. Ten hotel był dla niej niczym drugi dom.

Zaledwie przyjechała, konsjerż i jego dwaj asystenci wyszli na podjazd, aby ją przywitać, wraz z odźwiernym i dwoma portierami, którzy czekali, by odnieść jej bagaże. Aidan z miejsca się spiął, jakby się obawiał, że personel go zaatakuje. Powstrzymał tragarzy, gdy chcieli wyjąć torby z bagażnika, i sam im je podał. Po chwili jeden z nich wniósł bagaże do hotelu.

Stali pod portykiem obrośniętym dzikim winem i kwiatami. Véronique, w otoczeniu ubranych w uniformy pracowników, którzy skwapliwie ją witali, powoli ruszyła do środka, a Aidan powlókł za nią. Czuł się jak intruz, który trafił do niewłaściwego hotelu i gdy tylko obsługa się zorientuje, że jest oszustem i że tu nie

pasuje, zostanie wyrzucony. Véronique tymczasem po drodze do pokoju swobodnie ze wszystkimi gawędziła. Zatrzymywała się w tym samym pokoju od trzydziestu lat, a dzieci, dopóki były małe, i ich nianie mieszkały w apartamencie tuż nad nią. Konsjerż z niskim ukłonem otworzył drzwi do jej apartamentu i odsunął się. Aidan stał niepewnie z tyłu za całym orszakiem.

Véronique odwróciła się, żeby go odszukać. Przywołała go gestem dłoni i przedstawiła konsjerżowi, po czym wszedł za nią do pomieszczenia, na którego widok zaparło mu dech. Tak tu było elegancko, taki piękny widok rozciągał się za oknami! Apartament składał się z sypialni i salonu, z balkonami przy obu pokojach, oraz z dwóch łazienek. Biło od niego luksusem i wygodą. Piękne tapicerowane meble, utrzymane w bieli i błękicie, wyglądały jak antyki, chociaż nimi nie były. Portier odstawił torby Véronique na stojak, konsjerż się skłonił i życzył jej udanego pobytu i cała grupa wyszła, wraz z dwiema pokojówkami, które wcześniej zaproponowały, że rozpakują żałośnie skromny bagaż Véronique, ona jednak z uśmiechem odmówiła. I wreszcie pozostawiono ich z Aidanem samych.

– Szkoda, że nie możesz tu ze mną zostać – powiedziała Véronique, podchodząc do niego, i objęła go za szyję, a on w tej chwili zauważył na biurku duże pudełko czekoladek. O wszystkim pomyślano... Hotel starał się zaspokajać każdy kaprys gości.

– Bałbym się stąd wychodzić – odparł przejęty.

– Dlaczego? – spytała zaskoczona. Pociągnęła go na wygodny fotel, wystarczająco duży dla obojga. Wszystko tu było eleganckie, luksusowe i zachęcające, Aidan jednak czuł się niepewnie. Siedział obok niej sztywno, jakby połknął kij.

– Nie pasuję tutaj – rzucił nerwowo. Nie zdawał sobie sprawy, że jej życie jest aż tak luksusowe... Choć Cipriani w Wenecji to też był wspaniały hotel i wiedział, że Véronique ma pieniądze. Ale tu chodziło o coś więcej. Chodziło o podane w dyskretnej formie bogactwo tak wielkie, że jeszcze się z takim nie zetknął. Większość gości, którzy się tu zatrzymywali, pochodziła ze starych fortun, pozostali to byli miliarderzy w stylu Nikołaja. Wszystko ociekało tu pieniędzmi. – Gdybym nie był z tobą, wyrzuciliby mnie stąd – powiedział, wysuwając brodę, a wiedziała, że robi tak zawsze, kiedy czuje się niekomfortowo i niezręcznie, jak teraz. A ona chciała, żeby polubił ten hotel, tak jak lubiła go ona, i żeby któregoś dnia przyjechał tu z nią. Było to najbardziej romantyczne miejsce na świecie, zarówno przez położenie tuż przy linii brzegu, jak i sam hotel. Miał nawet własną przystań z jachtami dla gości! Zawsze czekało na kotwicy przynajmniej z pół tuzina.

– Nie wygłupiaj się – spróbowała dodać mu pewności siebie. – Niektórzy goście podczas pobytu tutaj noszą się jak włóczęgi. Ty wyglądasz jak człowiek w pełni cywilizowany, pasujesz tu tak samo jak inni.

Pomimo to nadal był spięty. Nie rozluźnił się nawet odrobinę.

– Nie mogę tu oddychać. Mówiłem ci, mam alergię na bogaczy, a bogatszych niż tu nie znajdziesz. – Wyglądał, jakby za chwilę miał dostać ataku paniki.

– Czym ty się tak przejmujesz? – spytała łagodnie, rozczarowana jego reakcją. – Uważasz, że nie zasługujesz, aby tu być?

– Możliwe – odparł niepewnie. – Ale przede wszystkim nie akceptuję ludzi, którzy tak żyją, gdy na świecie są miliony głodujących. Nie chcę się nawet zastanawiać, ile kosztuje pobyt w takim miejscu. – Wzdrygnął się na tę myśl.

– Dużo – zgodziła się. – Nikt nie musi tak żyć na co dzień. Ale na wakacje to miłe miejsce. Ja je uwielbiam. – Była z nim szczerą. – Jak myślisz, potrafiłbyś się przyzwyczaić na tyle, żeby czasem tu ze mną przyjechać? Raz na jakiś czas, na krótko, w charakterze odskoczni? – I podsunęła mu pudełko z czekoladkami, a on natychmiast wziął jedną i pochłonął. Roześmiała się. Czasem zachowywał się jak dziecko... A kiedy indziej zdawał się doroślejszy niż jakikolwiek mężczyzna w jej życiu, dbał o nią i chronił ją jak nikt. I jedno było pewne: nie był zepsuty ani nie zamierzał jej wykorzystywać, inaczej nie czułby się tak niezręcznie w tym luksusie. Sprawiał wrażenie, jakby mu było za ciasno we własnej skórze i najchętniej by z niej wyskoczył.

– Nie wyobrażam sobie dłuższego pobytu w takim miejscu – odparł, ponownie rozglądając się po pokoju. – Chociaż czekoladki są cholernie dobre – dodał z nagłym szerokim uśmiechem i sięgnął po następną, a Véronique znowu się roześmiała.

– Ale co ci zależy, skoro mnie stać na ten hotel? – spytała szczerze.

– Fajnie, że cię stać. Problem polega na tym, że mnie nie stać. I nie zamierzam zostać żigolakiem. Nie chcę cię wykorzystywać, Véronique. Nigdy tego nie robiłem i teraz też nie zamierzam.

To była druga strona medalu, jeśli chodzi o związek z porządnym człowiekiem, który nie pragnął jej z powodu tego, co posiadała... Mniej honorowy mężczyzna rzuciłby się na taką okazję bez wahania.

– A dlaczego nie możemy mieć jednego i drugiego? Czasem prostoty, jaką mieliśmy w hoteliku, w którym dopiero co mieszkaliśmy, a kiedy indziej tego? Tak naprawdę mówisz mi teraz, że jestem dla ciebie za bogata. To niesprawiedliwe. Ja nigdy bym ci nie powiedziała, że jesteś dla mnie za biedny. To dyskryminacja! Nie mógłbyś z większym luzem podchodzić do kwestii zamożności?

– Może i mógłbym – odrzekł z namysłem. – Jesteś pierwszą bogatą osobą, jaką kiedykolwiek lubiłem. – Po czym nachylił się ku niej, objął i pocałował, a potem wsunął jej rękę pod bluzkę i temat biednych i bogatych na chwilę poszedł w zapomnienie. Nie przerywając pocałunku, odnaleźli drogę do luksusowego łóża, Véronique ściągnęła narzutę i już po chwili ich ubrania leżały bezładnie na

podłodze, a oni kochali się jeszcze namiętniej, niż poprzedniej nocy.

Kiedy skończyli, Aidan opadł zdyszany na poduszki i uśmiechnął się do niej. Za oknem lśniły w blasku słońca wody Morza Śródziemnego.

– Może i nie jest tutaj aż tak źle – rzucił, wciąż z trudem łapiąc oddech. Gdyby tak mogła zaproponować, żeby został z nią jeszcze parę dni... Ale nic z tego, niedługo przyjeżdżały dziewczyny. Przeturlał się z nią po łóżku, wyraźnie mniej spięty niż na początku; rozluźniło go to, że się kochali. Zaproponowała, żeby wzięli kąpiel w wyłożonej marmurami łazience, i zgodził się.

Siedzieli jakiś czas w wodzie, rozmawiając o jej jutrzejszych odwiedzinach w zamku i o tym, czy powinna się spotkać z paniami Marnier. Véronique nadal nie miała na to ochoty, a Aidan namawiał ją, by zrobiła to, co podpowiada jej serce. W pełni ją rozumiał i wspierał w tej sprawie. Wreszcie wyszli z wanny, wytarli się nawzajem ręcznikami i Aidan, włożywszy frotowy szlafrok, wrócił do pokoju i zjadł kolejną czekoladkę.

– Teraz już wiem, jak to jest z prostytutkami – powiedział z westchnieniem.
– Wystarczyła raptem godzina, żebyś mnie skorumpowała. Pożarłem połowę twoich czekoladek, szlafrok jest przyjemny, łóżko bajecznie wygodne, prawie tak wspaniale jak to, co się w nim przed chwilą działo, o wannie już nie wspomnę. Pozwól mi tu pomieszkać przez tydzień, a zrobię co zechcesz. – Roześmiał się, ona jednak dobrze go już знаła. Wciąż był taki sam jak zawsze, wierny sobie, ale wyglądało, że dobrze się bawi i to ją cieszyło.

Przeszli do sąsiedniego budynku, w którym mieściła się luksusowa restauracja z długim, obficie zastawionym bufetem, uznali jednak, że wolą pójść do bardziej swojskiej, tej przy basenie. Lunch zjedli na tarasie, a potem siedzieli, podziwiając wspaniałe widoki. W przystani stało na cumie parę efektownych jachtów.

– Będę za tobą tęsknił – rzekł z powagą. – Dzwon do mnie, kiedy tylko będziesz miała ochotę. Do Berlina dotrę dopiero jutro, ale złapię cię zawsze na komórce. Przynajmniej teraz będę mógł sobie wyobrazić, gdzie jesteś. – Nie wiedziała, czy to dobrze, czy źle, ale wyglądał na szczęśliwszego niż na początku. Był człowiekiem idei, miał zdecydowane opinie i uprzedzenia co do ludzi zamożnych, ich stylu życia i tego, co sobą reprezentują, potrafił jednak rozluźnić się na tyle, by móc się z nią kochać i zjeść razem lunch. Dzięki temu pożegnanie przed czekającą ich parotygodniową rozłąką było miłsze. Po wyjeździe córek zamierzała dołączyć do niego w Berlinie. Przedtem musiała wprawdzie załatwić kilka spraw w Paryżu, potem jednak chciała się z nim zobaczyć jak najszybciej, i on też pragnął tylko tego. Bez niej będzie teraz samotny...

Wrócili do pokoju, żeby mieć jeszcze jedną chwilę sam na sam; jeszcze raz namiętnie ją pocałował, po czym odprowadził go do samochodu. Podstawił go parkingowy i niewielki, podniszczony austin stał teraz między dwoma lśniącymi

rolls-royce'ami, bentleyem i ferrari. Wymienili uśmiechy na ten widok, ale nie wydawało się, żeby go to naprawdę obeszło. I choć dotąd ostro krytykował życie takie jak jej, faktem było, że sąsiadował oto ramię w ramię z bogatym i superbogatym, w samym środku ich świata, czy mu się to podobało, czy nie. Miała nadzieję, że zdoła się przystosować na tyle, by od czasu do czasu tu zaglądać... Zresztą i ona, poza okazjonalnymi wypadami do takiej mekki luksusu jak Eden Rock, na co dzień bynajmniej nie szastała pieniędzmi. W Paryżu żyła spokojnie, jej mieszkanie było relatywnie skromne i nawet apartament w Nowym Jorku, mimo że luksusowy, nie przytłaczał bogactwem, choć miała wątpliwości, czy to samo powiedziałby Aidan. Jeszcze się do końca nie zorientowała, gdzie leży granica, której nie będzie w stanie przekroczyć. Hôtel du Cap wyraźnie lokował się powyżej tej linii, ale to był przypadek ekstremalny. Nawet ona musiała przyznać, że koniec końców jakoś się w nim odnalazł.

Przy samochodzie pocałował ją jeszcze raz.

– Dbaj o siebie. I nie pozwól się źle traktować, córkom ani nikomu innemu! – szepnął, a ona kiwnęła głową. – Pamiętaj, że cię kocham. Zadzwoń jutro. – Pocałowali się po raz ostatni, Aidan wsiadł do austina i z rykiem silnika, w kłębach spalin, pomachał jej na pożegnanie i odjechał. Parkingowy przyglądał się temu z kamienną twarzą, a gdy ruszyła z powrotem do hotelu, skłonił się z szacunkiem.

Po powrocie do pokoju usiadła na balkonie i myślała o Aidanie. Gdy poszli na lunch, pokojówka posłała łóżko, nie było więc już śladu po tym, że się kochali. Trudno uwierzyć, że wszystko to się wydarzyło i że Aidan nabrał w jej życiu aż takiego znaczenia... Miała wrażenie, że znają się od zawsze, a nie raptem od kilku tygodni, które upłynęły od pierwszego przelotnego spotkania w Rzymie, a potem w Wenecji. Tyle się od tamtej pory wydarzyło! Czuła się teraz inną kobietą, tak jakby wszędzie na jej ciele widniał stempel Aidana. Ciekawe, czy dziewczyny coś zauważą albo wyczują tę zmianę... Nie zamierzała im jednak na razie o niczym mówić. Było na to o wiele za wcześnie; ich związek musi okrzepnąć, zanim zdecyduje się przedstawić Aidana córkom. Nie wiedziała, kiedy to nastąpi, ale zdecydowanie nie teraz.

Poszła na spacer po przyległym terenie, słuchając cykania świerszczy, które się głośno darły, po czym usiadła w wynajętej kabinie i czekała na córki. Przylatywały do Nicei o czwartej. Była już prawie szósta, gdy wracając do pokoju zobaczyła, że pod hotel podjeżdża prowadzony przez szofera mercedes. Zatrzymał się i wysiadły z niego Joy i Juliette. Obie wyglądały ślicznie, Juliette w dzinsach, podkoszulku i swetrze, Joy w szortach i koszulce, jak zawsze efektowna. Zawołała je po imieniu, a one się odwróciły, szalenie uradowane na jej widok. Zaprowadziła je do ich wspólnego pokoju, który sąsiadował z jej apartamentem.

– Jesteście zmęczone? – spytała. Pokręciły głowami.

– Spałyśmy w samolocie – wyjaśniła Juliette. – Ja zjadłam normalny lunch, a

nasza Miss Piękności jak zawsze tylko dwa listki sałaty i jedną oliwkę. Ja zamówiłam sobie foie gras. – Juliette wyglądała na zadowoloną, bez śladu wyrzutów sumienia. Nie przeszkadzało jej, że ma parę kilogramów więcej niż inne. Wszystkie się zgadzały, że zarówno Joy, jak i Timmie są trochę za szczupłe – Timmie z powodu nerwów i stresu, a Joy ze względu na wymagania jej zawodu.

– Co robimy? Na co macie ochotę? – spytała, a one odparły jednogłośnie, że chcą popływać. Uwielbiały tutejszy basen. Kiedy były gotowe, Véronique poszła z nimi. Usiadła na brzegu basenu, zanurzając w nim nogi, ale pływać nie chciała. Była w dobrym nastroju, rozluźniona, i z przyjemnością przyglądała się pływającym córkom.

Po basenie wróciły do pokoju i przebrały się do kolacji. Było to zawsze dość oficjalne wydarzenie, z kobietami w eleganckich sukniach i klejnotach i mężczyznami w marynarkach, choć ostatnio krawaty nie były już wymogiem. Jeszcze kiedy Véronique przejeżdżała tu z Paulem, panowie pojawiali się na posiłkach w garniturach. Teraz było swobodniej, kobiety jednak nadal miały na sobie suknie koktajlowe, a kilka młodszych włożyło nawet przezroczyste, szyfonowe, sięgające ziemi. Wyglądały w nich zwiewnie i ponętnie. Juliette i Joy wybrały jednak krótkie czarne sukienki, Véronique zaś włożyła białe atlasowe dzwony i jedwabną bluzkę w kolorze ostrego różu, a do tego diamentowe kolczyki. Były to jedyne elegantsze ubrania, jakie zabrała do Rzymu, i teraz była zadowolona, że je ma. A na kolejne dni trzeba będzie coś wymyślić.

Sprawa Sophie Marnier i jej matki długo nie wypływała w rozmowie, w końcu jednak w połowie kolacji Joy zapytała Véronique, czy zamierza wybrać się na spotkanie wraz z nimi. Juliette umówiła się z paniami Marnier, że spotkają się nazajutrz o dziesiątej, a potem pójdą obejrzeć zamek.

– Możesz dołączyć do nas później, mamó – powiedziała ciepło Juliette. – Nie musisz się z nimi spotykać. Możesz pojechać bezpośrednio do zamku. – Co do nich, to nie miały wyboru. Dzieliły zamek z Sophie, która była ich przyrodnią siostrą, chciały więc rzucić na nią okiem. I obiecały, że opowiedzą wszystko Timmie, która umierała z ciekawości, jak im pójdzie.

– Sama nie wiem. Raczej nie mam ochoty poznawać matki, ale z drugiej strony to było tak dawno... Może jednak powinnam? Choćby po to, żeby zaspokoić ciekawość. I powinnam być przy was. – Nadal czuła się rozdarta.

– Możesz zdecydować rano – rzuciła lekko Joy, a potem zaczęła opowiadać o nowym menedżerze, którego zatrudniła. Podobało jej się to, co mówił, poza tym cieszył się w świecie menedżerskim znakomitą opinią wschodzącego talentu, chociaż miał dopiero trzydzieści dwa lata. Nazywał się Ron Maguire. I polecił jej nowego agenta, który od razu załatwił jej lepsze role, a Ron, menedżer, ma świetne kontakty do zorganizowania ogólnokrajowej kampanii reklamowej dzięki agencjom reklamowym, z którymi współpracuje. Była podekscytowana tym, co

robi, i tym, że ojciec otworzył przed nią nowe drzwi, tak by mogła podążać za marzeniami. Było to coś, czego Véronique, z racji swojego stosunku do kariery aktorskiej Joy, nigdy nie zrobiła. Teraz, słuchając córki, miała z tego powodu lekkie wyrzuty sumienia. No, ale przynajmniej Paul coś w końcu dla niej zrobił... Widziała, jak wiele to dla Joy znaczy, więc może miał rację? Pomyślała, że być może to znak, iż powinna spojrzeć bardziej przychylnie na zawodowe wybory wszystkich córek. Były dostatecznie dorosłe, by podejmować właściwe decyzje, nawet jeśli ona chciałaby dla nich czegoś innego.

Długo siedziały przy stole, rozmawiając. Juliette od śmierci ojca nie otworzyła sklepu z kanapkami i nie zamierzała otwierać aż do Dnia Pracy, postanowiła jednak zatrudnić parę osób, by móc trochę więcej podróżować. Zamierzała też wprowadzić w piekarni pewne ulepszenia, tak jak sugerował ojciec. I choć Véronique wciąż była na niego zła, wzruszało ją, że zrobił to dla córek, że pomógł im spełnić marzenia. Trochę to złagodziło jej stanowisko wobec aktorstwa Joy. A co do Juliette, to może faktycznie powinna pozostać przy wypiekach, skoro jej to pasuje? Cóż z tego, że matce trudno to pojąć... A Joy od lat nie była taka pogodna i zrelaksowana. Brała udział w przesłuchaniach do lepszych ról i szalenie się tym podniecała. Timmie na razie nie myślała o otwarciu własnego schroniska, ale dwie pozostałe córki uważały, że z czasem do tego dojdzie i że Timmie będzie wtedy szczęśliwsza niż w obecnej pracy.

Kiedy wracały do swoich pokoi, Véronique znowu pomyślała o paniach Marnier. Nie miała ochoty poznawać Elizabeth, matki Sophie, ale była ciekawa dziewczyny. Postanowiła, że się z tym prześpi, jak sugerowała Joy, i podejmie decyzję rano. A gdy po pożegnaniu z córkami znalazła się w pokoju, zadzwonił Aidan. W drodze do Berlina zatrzymał się na noc w Stuttgarcie. Jechał wiele godzin, nie zatrzymując się nawet na kolację. Twierdził, że przez cały czas myślał tylko o niej.

– Ja też o tobie myślałam – powiedziała cicho Véronique. – Tęsknię za tobą. – Siedziała na balkonie zalanym blaskiem księżyca. Miło jej było pomyśleć, że kochali się w tym oto łóżku, zanim wyjechał. Dzięki temu należał teraz do tej rzeczywistości, pomimo wątpliwości i wahań. I w wannie też, ilekroć do niej wejdzie, będzie wspominała ich wspólną kąpiel.

– A co słyszeć u córek? – Mówił tak, jakby je znał.

– Wszystko w porządku. Denerwują się tym, co będzie jutro. Spotkanie z przyrodnią siostrą, której się dotąd nie znało, to duża sprawa.

– Na pewno. A ty co postanowiłaś? Wybierasz się z nimi, czy pojedziesz od razu do zamku?

– Zdecyduję rano. Zależy jak się będę czuła. – Nadal miała mieszane uczucia w związku z tym wszystkim, nawet z perspektywą obejrzenia zamku, który tak niegdyś kochała.

– Będę ci przysyłał pozytywne myśli – rzekł ciepło. W jego głosie słychać było zmęczenie. Wiedziała, że pilno mu do Berlina i rozpoczęcia przygotowań do wystawy.

Rozmawiali jeszcze kilka minut, po czym się rozłączyli. Przez chwilę siedziała, myśląc o nim, wpatrzona w widok za oknem. Wreszcie wstała i opuściła elektroniczne żaluzje, by mogła spać rano do późna. W pokoju zrobiło się zupełnie ciemno

Leżała w łóżku, wspominając, jak się kochali poprzedniej nocy i dziś w ciągu dnia. Ich związek miał w sobie coś surrealistycznego, i to już od pierwszego spotkania w Rzymie. Potem Wenecja, podróże, wreszcie przyjazd do Eden Rock... Wszystko to stało się tak nagle, że czasem trudno jej było uwierzyć, że Aidan naprawdę istnieje. A jednak istniał, przed chwilą do niej dzwonił, powiedział, że ją kocha i czeka na jej przyjazd do Berlina. Wierzyła mu i też go kochała – jego godność i prawość, jego dumę i intelekt, jego wrażliwość i czułość. Przywoływała kolejno w pamięci niezwykle chwile, jakie przeżyła z nim w minionych tygodniach. Nie, bez względu na to, co przyniesie przyszłość, to, co ich w tej chwili łączyło, choć niewiarygodne i niezwykle, było szczere i prawdziwe pod każdym liczącym się względem. Wiedziała to całą sobą.

Rozdział 12

Niemal do ostatniej chwili przed wyjazdem Joy i Juliette do St. Paul de Vence na spotkanie z Sophie Marnier i jej matką Véronique nie była pewna: jechać z nimi czy nie. Zjadły we trzy śniadanie na tarasie. Ptaszki fruwały im nad głowami, to wlatując, to wylatując, a służba hotelowa podała pyszne jedzenie. Véronique postanowiła nie jechać, po czym, patrząc, jak córki wychodzą, w ostatniej chwili zmieniła zdanie.

– Jadę! – zawołała, złapała torebkę i wybiegła w ślad za nimi. Miała na sobie białe džinsy i także bluzę, a na nogi włożyła różowe pantofle na płaskim obcasie, bo po spotkaniu miały obejrzeć zamek. Wskoczyła do samochodu, w którym siedziały już obie dziewczyny i kierowca. Wiedziały, że do St. Paul de Vence jedzie się pół godziny, a do miasteczka, gdzie położony był zamek, zaledwie parę minut dłużej.

Véronique usiadła na tylnym siedzeniu obok Juliette i zaczęła w milczeniu wyglądać przez okno. Joy, na przednim, rozmawiała z kierowcą. Véronique wróciła myślą do tamtego dnia, gdy na usilne nalegania Paula kupiła ten zamek. Z początku sugerował nawet, że mogliby się tu przeprowadzić. Zakochał się w tej pięknej osiemnastowiecznej budowli. Véronique też się bardzo podobała, ale zdawała sobie sprawę, ile zachodu będą wymagały remonty i utrzymanie. Projekt był kosztowny, ale Paul dostał wręcz bzika na punkcie zamku, pomyślała więc, że warto zainwestować. Przestała tu bywać z córkami, odkąd przy rozwodzie podarowała zamek Paulowi, on zaś nigdy nie zabrał ich tam ponownie. Spędzał tu latem czas ze znajomymi, w końcu jednak zaprzestał i tego, zwłaszcza kiedy budynek zaczął wymagać nakładów. Zabił go po prostu deskami i zatrudnił miejscowego dozorcę, żeby miał oko na obiekt i posesję i załatwiał drobne naprawy. Zamek był ofiarą dwudziestoletnich zaniedbań, a teraz spadło to na barki dziewcząt czy ktokolwiek tam zostanie jego właścicielem. Dla ich dobra Véronique miała nadzieję, że zostanie szybko wystawiony na sprzedaż, zanim zdąży stać się dla nich ciężarem. Żadna z nich go nie potrzebowała. Nie potrzebowali go tak naprawdę również oni z Paulem, nawet gdy jeszcze byli rodziną, ale tym mniej sensu miałyoby to obecnie dla dziewcząt. A ona nie miała ochoty inwestować za nie w remonty. Château de Brize to worek bez dna. Zawsze nim był.

Powoli przejechali przez St. Paul de Vence. Minęli główny plac. Starzy ludzie siedzieli, pogadując, w cieniu drzew przed miejscową knajpką. Véronique dostrzegła znajomą kamienną dróżkę, która, wijąc się stromym zboczem, wiodła do kościoła. Wąska, licząca najwyżej metr szerokości, dostępna była w tym średniowiecznym miasteczku wyłącznie dla pieszych. Wreszcie dojechali do Biot, uroczej maleńkiej miejscowości odległej o parę kilometrów, z doskonale

zachowanymi średniowiecznymi murami obronnymi. Dysponowały adresem pań Marnier, ale miały się z nimi spotkać w gabinecie Elisabeth, znajdującym się, jak powiedziała, tuż obok domu. Sophie mieszkała z nią.

Po paru minutach mercedes zatrzymał się przed malowniczym kamiennym domkiem, przypominającym baśniową chatkę myszy. Na ścianie wisiała gontowa tabliczka z nazwiskiem Elisabeth Marnier, a pod spodem widniał napis „Médecine Générale”. Elisabeth była miejscową lekarką rodzinną.

Wszystkie trzy wysiadły. Wokół było pusto. Joy ruszyła przodem, Juliette i Véronique za nią. Joy zadzwoniła do drzwi. Wewnątrz dał się słyszeć odgłos dzwonka, ale przez dobrą minutę nikt nie otwierał. Wreszcie w drzwiach ukazała się drobna, szczupła blondynka w pogniecionej szarej lnianej sukience, ze spiętymi z tyłu głowy włosami. Nosła buty na płaskim obcasie, a na ręce męski zegarek. Powiodła poważnym spojrzeniem od jednej kobiety do drugiej. Oczy miała intensywnie niebieskie, twarz w zmarszczkach, tak jakby zbyt często się opalała w młodości, bez śladu makijażu. Okulary odsunęła na włosy. Zwyczajna i prosta, bez śladu pretensji, wyglądała dokładnie jak wiejska lekarka. Veronique i Juliette weszły po paru schodkach na ganek, a ona uśmiechnęła się ostrożnie.

– Elisabeth Marnier – przedstawiła się, patrząc Véronique prosto w oczy, i wyciągnęła na powitanie rękę. Z niewielkiego gabinetu dobiegła woń środków dezynfekujących. – Winna jestem pani przeprosiny – podjęła nie najgorszą, choć skąpą angielszczyznę. – Nigdy nie chciałam pani niepokoić, nie chciałam też, żeby pani wiedziała. To była okropna pomyłka.

Véronique nie spodziewała się podobnej bezpośredniości. Zaskoczona, z wilgotnymi oczami, skinęła głową i uściśnęła rękę Elisabeth. Była w tej kobiecie jakaś wyblakłość, jakby cień dawnej urody, która przeminęła bez śladu. Choć o pięć lat młodsza od Véronique, sprawiała wrażenie o dekadę starszej. W twarzy i gładkiej cerze Véronique wciąż było coś młodzieńczego; Elisabeth była zupełnie inną kobietą, nie miała łatwego życia, ciężko pracowała i było to po niej widać. Nie wyczuwało się w niej śladu lekkomyślności i nawet jeśli była ładna jako młoda dziewczyna, trudno było sobie wyobrazić zakochanego w niej Paula. Ich romans musiał się zrodzić z wakacyjnej nudy... Data urodzin Sophie, w maju, sugerowała, że istotnie tak było. Paul nigdy sobie niczego nie odmawiał, zwłaszcza jeśli chodzi o miłosne przygody... Nieoczekiwanie Véronique poczuła współczucie dla tej kobiety. Zaszła w ciążę jako młoda dziewczyna, z mężczyzną, którego to nie obchodziło albo obchodziło bardzo krótko. Ciekawe, czy kolejne dziecko stanowiło zaspokojenie jego ego, czy też po prostu z całą bez troską zabawił się z młodą wiejską dziewczyną, nie myśląc o konsekwencjach? Jeśli tak było, to Elisabeth zapłaciła wysoką cenę za chwilę zapomnienia z mężczyzną, który prawie nie oglądał ich dziecka.

– Może panie wejść? – zaprosiła je grzecznie, uściśnawszy dłonie także Joy i

Juliette, i wprowadziła je do gabinetu. Wszystko tu było stare i podniszczone, ale nienagannie czyste. Gdy weszły, pielęgniarka gotowała właśnie narzędzia w sterylizatorze i zaledwie usiadły przy biurku naprzeciw Elisabeth, zniknęła. Elisabeth zsunęła z powrotem okulary.

– Domyślam się, że to musiało być trudne dla was wszystkich i bardzo mi przykro z tego powodu. Ani Sophie, ani ja nigdy niczego nie oczekiwałyśmy od waszego ojca. Ostatni raz widział ją, kiedy była mała, a od dziesięciu lat nie miałam od niego żadnej wiadomości. Cała ta sprawa z zamkiem i dla nas była szokiem. Sophie studiuje medycynę w Grenoble. Chciałaby w przyszłości zrobić staż w Paryżu i podjąć tam pracę, a jeśli nie, to wróci tu i będzie pracować razem ze mną. Nie ma najmniejszej ochoty zajmować się zamkiem. – Elisabeth mówiła, a dziewczyny zastanawiały się, gdzie jest Sophie. Czyżby nie chciała się z nimi spotkać? – Myślę, że bardzo chętnie odstąpi wam swoją część za jakąś niewielką kwotę, tyle, ile będzie sprawiedliwie. Dzięki temu będzie miała za co żyć podczas studiów, ale nie ma zamiaru w jakikolwiek sposób was wykorzystywać. Im szybciej się pozbędzie swojego udziału, tym lepiej dla nas wszystkich.

Elisabeth nie wspomniała o reszcie zapisu, Arnold twierdził jednak, że po odliczeniu tego, co Paul pozostawił swoim legalnym dzieciom, kwota będzie bardzo mała. Zwłaszcza udział Timmie z przeznaczeniem na placówkę dla bezdomnych był na tyle znaczny, że ledwie wystarczyło dla pozostałych, a dla jego dziecka we Francji pozostały jakieś grosze.

– Zamierzają panie sprzedać zamek? – spytała Elisabeth, a dziewczyny skinęły głowami. Kobieta zrobiła na nich wrażenie. Wydawała się dość sympatyczna, a wszystko, co mówiła, było jak najbardziej w porządku. Przygotowane były na to, żeby znienawidzić i ją, i świeżo odkrytą przyrodnią siostrę, ale na razie nie miały za co.

– Nie mamy ochoty podejmować się jego renowacji – powiedziała Joy. – Żadna z nas tu nie mieszka. Nie jeździmy już latem do Francji, chyba że na jakiś tydzień do matki. Siostry mieszkają w Nowym Jorku, ja w Los Angeles. Po prostu nie ma to dla nas sensu.

Véronique przysłuchiwała się rozmowie, nie mówiąc ani słowa.

– Widziałyście go już? – spytała współczująco Elisabeth, a dziewczyny pokręciły głowami. – Słyszałam, że jest w kiepskim stanie. Wydaje mi się, że wasz ojciec już dawno temu przestał o niego dbać. Ostatni raz odwiedził Sophie trzynaście lat temu, kiedy miała dziesięć lat, i wątpię, żeby od tego czasu oglądał go choć raz. Nigdy więcej się nie pokazał. – Mówiła to bez pretensji czy oskarżania. Wyglądało na to, że niewiele ma o nim do powiedzenia, dobrego czy złego. I dziewczyny, i Véronique pamiętały, co napisał w swoim raporcie detektyw: że żyła przez dwadzieścia lat z innym mężczyzną, lekarzem, z którym do spółki prowadzili gabinet, i że zmarł on dwa lata temu. To raczej on spełniał rolę

ojca Sophie, a nie Paul, z którym Elisabeth widziała się raptem parę razy.

– Idziemy go obejrzyć dzisiaj – włączyła się Juliette, a Elisabeth skinęła głową. I w tejże chwili w drzwiach stanęła młoda dziewczyna, wyglądająca na kilkanaście lat. Niezwykle drobna, miała dziecięcą, niewinną buzię i wielkie zielone oczy. Dziewczyny pomyślały, że to młodsza siostra Sophie, ale Véronique, zaledwie ją ujrzała, nie miała wątpliwości, kim jest. Była zminiaturyzowaną, subtelną kopią Paula... Podobna do niego jak dwie krople wody, równie dobrze mogła być dzieckiem Timmie, która też bardzo przypominała ojca. Niewątpliwie było też jej podobieństwo do Juliette, choć w pomniejszonej wersji. Nie miała nic wspólnego z Véronique czy Joy, była jak skóra zdjęta z Paula. Choć blondynka, jak matka, i o jej karnacji, ojcostwo miała wypisane na twarzy. Véronique zaparło dech.

Dziewczyna uśmiechnęła się nieśmiało do wszystkich, weszła i stanęła obok matki. Zwinną, pełną wdzięku, o długich, rozpuszczonych blond włosach i miłej buzi, przypominała Alicję w Krainie Czarów.

– To jest Sophie – przedstawiła ją matka. – Bardzo się denerwowała tym spotkaniem – dodała z uśmiechem. – Ja też... Nie miałyśmy pojęcia, co o nas myślicie. Bardzo doceniam waszą uprzejmość. – Po czym uśmiechnęła się do córki i zagadała do niej po francusku, co w pełni rozumiała tylko Véronique: Elisabeth zapewniała córkę, że one się nie złością i że są bardzo miłe. Po czym znowu zwróciła się do nich: – Sophie nie mówi zbyt dobrze po angielsku. – Dziewczyna pokiwała głową, uśmiechając się wstydliwie. Trudno było ją sobie wyobrazić jako studentkę medycyny, wyglądała na jakieś piętnaście lat. – Zamierza zostać pediatrą. – Sophie znowu skinęła głową. Rozumiała, co mówi matka, ale wstydziła się z nimi rozmawiać.

Joy wyciągnęła do niej rękę. Nie było w tej dziewczynie nic, czego można by się obawiać; była młodziutka, nieśmiała i lękliwa, i obie przyrodnie siostry poczuły, że jej współczują.

– Cześć, Sophie. Jestem Joy, najmłodsza z sióstr, trzy lata starsza od ciebie. Mieszkam w Los Angeles.

Sophie uśmiechnęła się i skinęła głową.

– Studiuję medycynę – powiedziała trochę nieporadną angielszczyzną. – Chcę być lekarką, jak moja mama.

– A ja jestem kucharką – włączyła się z uśmiechem Juliette. – Mieszkam w Nowym Jorku, przyrządzam kanapki i piekę ciastka... *gateaux* – dodała, klepiąc się po biodrach, i wszystkie się roześmiały. – Prowadzę sklep z kanapkami i cukiernię. Mam dwadzieścia osiem lat. A nasza starsza siostra Timmie pracuje z bezdomnymi. – Nie była pewna, czy Sophie rozumie ten termin. Elisabeth wtrąciła: „SDF”, co było francuskim określeniem bezdomnego. – Ma dwadzieścia dziewięć lat i też mieszka w Nowym Jorku. Żadna z nas nie jest zamężna. – Wyglądało na

to, że był to komplet stosownych informacji wstępnych. Po chwili Juliette dodała: – Jesteś bardzo podobna do naszego ojca, i do Timmie też... i chyba również do mnie. – W jej głosie był smutek. – Tyle że Timmie jest bardzo wysoka.

Pogadały jeszcze parę minut. Elisabeth zaproponowała herbatę, ale żadna nie miała ochoty. W końcu Véronique spytała Elisabeth, czy chciałyby obie z córką towarzyszyć im przy oglądaniu zamku.

– Sophie powinna go zobaczyć – powiedziała, a Elisabeth się z nią zgodziła. Sophie gwałtownie pokręciła głową.

– Nie chcę Château de Brize – rzekła wyraźnie, zwracając się do siostr. – Za drogi dla mnie.

– Dla nas też – odparła z uśmiechem Joy. – Chcemy go sprzedać, ale przedtem chciałybyśmy go obejrzeć, żeby zobaczyć, w jakim jest stanie.

Sophie skinęła głową na znak, że rozumie i zgadza się, i pięć minut później wszystkie wyszły na zewnątrz. Elisabeth zgodziła się im towarzyszyć. Dziewczyny zaprosiły Sophie, żeby usiadła pomiędzy nimi na tylnym siedzeniu, a Elisabeth pojechała za nimi własnym autem. Od zamku dzieliły je dwa czy trzy kilometry podrzędnej lokalnej drogi, dobrze znanej Véronique. Czuła się jak we śnie. Właśnie poznała jedną z kochanek byłego męża, jadą obejrzeć zamek z jego nieślubnym dzieckiem, siedzącym pomiędzy jej córkami... To był jakiś surrealizm. Obie kobiety wydawały się jednak sympatyczne, a Sophie wręcz bardzo miła. Zachowywała się, jakby była młodsza niż w rzeczywistości, ale wyglądała na bystrą. A jej matka wykazywała mnóstwo godności i respektu wobec niezręcznej sytuacji, w jakiej się wszystkie znalazły. Nie była starsza niż Sophie, kiedy wdała się w romans z Paulem Parkerem, i być może tak samo naiwna. Co za nieuczciwość z jego strony, uwodzić ją... Co do tego wszystkie były zgodne.

Minęły ostatni zakręt i ich oczom ukazał się zamek. Véronique zapało na chwilę dech. Wyglądał tak samo jak trzydzieści lat temu, kiedy na prośbę Paula go kupiła. Stał wytworny i szlachetny na tle letniego nieba, w otoczeniu malowniczych starych drzew. Kamiennej budowli towarzyszyły liczne budynki gospodarcze; już teraz było widać, że są w bardzo złym stanie. Żywopłoty wokół całej posiadłości zostały niedawno przycięte, a przed domkiem strażnika, wyglądającym jak z baśni, rosły różane krzewy. Kiedy wyszły z auta, podbiegł do nich w podskokach wielki, łagodny pies, machając przyjaźnie ogonem, a z domku wyszedł, by ich powitać, wiekowy strażnik z żoną. Oboje byli tak starzy, że trudno było uwierzyć, by zdołali czegokolwiek dopilnować, ale mężczyzna wciąż sprawiał wrażenie całkiem rześkiego.

Véronique wyjaśniła im po francusku, kim są i po co przyjechali. Powiedziała, że to są dzieci pana Parkera i że chciałyby zwiedzić zamek. Strażnik odparł, że spodziewał się ich i że prawnik pana Parkera uprzedził ich listownie, że wkrótce przyjedzie tu rodzina. Nie znał Véronique, został zatrudniony, kiedy

przestała tu bywać.

Poszedł po klucze, które okazały się oryginalne, na wielkim kółku, i otworzył gigantyczne podwoje. W oddali Véronique dostrzegła stajnie, gdzie trzymała niegdyś konie dla dzieci. Oboje z Paulem dobrze jeździli konno i często udawali się na przejażdżki po okolicznych polach i lasach.

Wrota, rozchylając się, zaskrzypiały potępieńczo, niczym w filmowym horrorze. Strażnik powiedział, że żona sprząta w zamku raz na tydzień, co wydawało się nieprawdopodobne. Natychmiast po wejściu Véronique zauważyła pajęczyny, ale przemilczała to. We frontowym holu leżał na posadzce długi dywan z Aubusson. Wtem dał się słyszeć jakiś szmer. Juliette wrzasnęła i gwałtownie przykucnęła.

– Jasny gwint! Czy tu są nietoperze? – zwróciła się do matki, a wszyscy wybuchnęli śmiechem.

– Pewnie są – odparła Véronique. – Ale w dzień śpią.

Juliette skrzywiła się, po czym weszły za strażnikiem do ogromnego salonu. Nadal stały tu meble, okryte pokrowcami. Zasłony były te same co dawniej, choć tak wyblakłe, że niemal nie do poznania. W jednej ze ścian widniał gigantyczny kominek. Dwa piękne dywany z Aubusson zwinięto w rulony. Wnętrze wciąż było w pełni umeblowane i wciąż piękne, zwłaszcza kiedy strażnik otworzył okiennice i wpuścił do wnętrza słoneczny blask. Véronique niemal ujrzała w wyobraźni bawiące się tu córki, jeszcze maleńkie.

W ogromnej jadalni stał rozległy stół na trzydzieści osób. Oprócz tego było parę mniejszych pokoi gościnnych i biblioteka pełna starych ksiąg. Kuchnia, z wielkimi żelaznymi rondlami, stanowiła zabytek z ubiegłych wieków. Stał w niej okrągły stół, przy którym zwykle Véronique karmiła dzieci.

Długa, wytworna klatka schodowa prowadziła na piętro, gdzie odkryły mnóstwo ślicznych sypialni, wszystkie z widokiem na okoliczne tereny, i sypialnię główną, która znowu obudziła w Véronique bolesne wspomnienia. Myślała, że byli tu szczęśliwi, przynajmniej przez większość czasu; teraz wiedziała, że to nieprawda. Elisabeth i Sophie były tego żywym dowodem.

Łazienki były wspaniałe, staroświeckie w stylu. Na tym piętrze znajdowało się sześć czy osiem sypialni, wyżej zaś, pod mansardowym dachem z oknami w kształcie wolicz oczek, mieścił się chyba z tuzin mniejszych pokoi dla służby. Opiekun zamku powiedział, że w podziemiu jest rozległa piwnica winna, magazyn, piec i miejsce do przechowywania mięsa.

Całość wyglądała na mniej zrujnowaną, niż Véronique się spodziewała, ale w każdym niemal pomieszczeniu były ślady zacieków. Hydraulika sprawiała kłopoty już przed laty, w tej chwili wątpliwa była również instalacja elektryczna, kuchnię trzeba by w całości opróżnić i urządzić na nowo, inaczej korzystanie z niej byłoby koszmarem. Strażnik ochoczo przyznał, w całym budynku przecieka dach,

Véronique widziała też, że ramy okienne całkiem przegniły. Była tu kupa roboty, a nie miało sensu jej zaczynać. Dziewczęta nigdy nie będą z tego zamku korzystać. Choć nadal był piękny – w pewnym sensie nawet piękniejszy, niż zapamiętała go Véronique – niepodobna, by traktowały go jak dom trzy młode kobiety, mające własne życie i własne sprawy zawodowe. Nawet dla niej, samotnej kobiety mieszkającej jedną nogą w Paryżu, sens miałyby to niewielki. Elisabeth kręciła głową, olśniona rozmiarami i splendorem zamku, ale było to jak zwiedzanie starożytnego muzeum, a Sophie była wręcz na krawędzi paniki.

– Jak dla mnie, to nie, nie, nie, nie – zwróciła się do sióstr, gdy wróciły na parter, machając przy tym przecząco palcem, a drugim wskazując na siebie. – Za duży dla mnie i dla mojej *maman*. – Udała, że odkurza i zamiata, i przewróciła oczami, a pozostałe dwie dziewczyny wybuchnęły śmiechem.

– Jasne, dla mnie też, *moi aussi* – podchwyciła natychmiast Joy. – Za duży, za stary, za kosztowny. – Udała, że szarpie się za włosy, a Sophie roześmiała się i pokiwała głową.

– *Trop cher à réparer* – powiedziała. Zbyt kosztowne byłyby remonty. Jej matka potwierdziła skinieniem głowy, po czym zwróciła się do Véronique.

– Piękny zamek – powiedziała z podziwem. – Ale Sophie nie będzie w stanie z niego korzystać. Mieszkamy w małym domku niedaleko gabinetu i przez większość czasu jestem tam sama.

– Moje córki też nie będą w stanie – odparła Véronique ze smutkiem, myśląc: co za wstyd, że ten dom był tak długo opuszczony. Niestety, siebie też nie mogła sobie tu wyobrazić... Pewnie można by go sprzedać Rosjanom, którzy zrobią z niego pałac wart Ludwika XIV. Nikt inny nie zechce zawracać sobie głowy restauracją i nikogo też nie będzie na to stać. Jediną osobą, która mogłaby sobie na to pozwolić, była Véronique, ona jednak nie chciała zawracać sobie tym głowy. Joy i Sophie rozmawiały o tym wszystkim na migi i wydawały się w pełni zgodne, a Juliette włączyła się tu i tam na własną rękę.

Kiedy zbierały się do wyjścia, żeby zwiedzić stajnie, okazało się, że Juliette nie ma. Wróciła na piętro. W końcu zeszła na dół z rozmarzeniem w oczach.

– Tylko nie mów mi, proszę, że się w nim zakochałaś – powiedziała Joy z wyraźną irytacją. – Widziałas, że w każdym pokoju cieknie, widziałas okna? Tylko patrzeć, jak wypadną. A mama mówi, że strażnik powiedział, że dach przecieka jak sito. Musimy go sprzedać – dodała z przekonaniem, wiedząc, że Timmie się z nią zgodzi nawet bez oglądania. – Ja nie mogę brać sobie tego na głowę. Mieszkam w LA, no i nie stać mnie na to, tak samo jak ciebie.

– Można by z niego zrobić fantastyczny hotel – zauważyła Juliette, gdy brodząc w trawie, szły w kierunku stajen.

– O ile włożyłabyś w to przedtem miliony dolarów – odparła praktycznie Joy. Juliette zawsze była marzycielką, ale w tym marzeniu Joy nie chciała

uczestniczyć, i Timmie też by nie chciała. – Przestań tak na mnie patrzeć. Musimy go sprzedać – powtórzyła surowo.

– Tato kochał to miejsce – powiedziała Juliette ze smutkiem.

– Jak cholera. Nie zajrzał tu od trzynastu lat. On też nie chciał zawracać sobie głowy. Nawet Sophie się ze mną zgadza. – Wskazała na przyrodną siostrę, która zrozumiała, co mówią, i gwałtownie pokiwała głową. Była przerażona, że będą oczekiwały od niej pieniędzy na remont, i Elisabeth też się tego obawiała. Nie mogłyby sobie na to pozwolić. Ledwie stać je było na ten maleńki domek, w którym mieszkały.

Zwiedziły stajnie i wszystkie pozostałe budynki, włącznie z domkiem strażnika, gdzie panował bałagan i pachniało jakimś gulaszem. Po upływie trzech godzin widziały już wszystko, włącznie z jakimiś starymi kandelabrami, które przechowywano w stajni. Véronique przypomniała sobie, że kiedyś je kupiła i nigdy jakoś nie zainstalowała. Zaskoczona była, że je widzi. Od jej wyprowadzki Paul nie zrobił tu nic.

Wróciły do gabinetu Elisabeth, która po południu – jak powiedziała – spodziewała się pacjentów. Joy potwierdziła jeszcze raz wobec Sophie i jej matki, że bezwzględnie sprzedadzą Château de Brize i ma nadzieję, że Sophie się na to zgodzi, co też się stało. Sophie ucałowała na pożegnanie obie siostry i Véronique z niemal nabożnym respektem w twarzy. Były jeszcze piękniejsze, niż myślała, i jeszcze miłsze dla niej, niż liczyła. Jak na rodzaj okoliczności, spotkanie było bardzo udane, wszystkie kobiety okazały się dobrze wychowane i sympatyczne. Elisabeth i Véronique pożegnały się uściskiem dłoni. Véronique polubiła ją nawet bardziej, niżby chciała, a gdy się rozstały, znowu poczuła dla niej odruch współczucia. Paul potraktował Elisabeth jeszcze gorzej niż ją... Absolutnie nic dla niej nie zrobił. A Sophie była przemiłą dziewczyną. Paul znowu miał szczęście... Zawsze otaczali go ludzie znacznie miłsi, niż na to zasługiwał.

Ruszyły z powrotem do hotelu Du Cap. Po drodze Joy komentowała stan budowli, a Juliette, podejrzenie milcząca, śledziła nieobecny wzrokiem mijany krajobraz. W Véronique widok dawnego domu wzbudził uczucia nostalgiczne, w pełni zgadzała się jednak, że należy go sprzedać. Wszystkie się zgadzały. Wymagał mnóstwa pracy i nakładów, a nie było ani jednego rozsądnego powodu, żeby go zatrzymać.

– A ja wciąż myślę o tym, jaki piękny byłby z tego hotel – powiedziała w zamyśleniu Juliette, wyglądając przez okno, jakby do siebie samej. – Bliziotko do St. Paul de Vence, pół godziny drogi od wybrzeża... Lokalizacja idealna, a roboty nie byłoby aż tak dużo – dodała, zwracając się do Joy.

– Czyś ty zwariowała? Nie widziałaś, w jakim jest stanie? Myślałam, że dach zwali nam się na głowy. Kuchnia średniowieczna, wygląda, jakby miały tam gotować wiedźmy, niczym w *Makbecie*. A okna tylko patrzeć, jak wypadną. Nie

patrz tak na mnie, Juliette! To nie jest sklep z kanapkami w Brooklynie. To jest zamek i nie stać nas na jego utrzymanie, tak jak zresztą nie było stać i taty. Pozbądźmy się go jak najszybciej. Potrzebne mi są pieniądze, i tobie też. I Timmie na schronisko. I Sophie też ich najwyraźniej potrzebuje. Nie chcę słyszeć o jakichś odjechanych planach, żeby przerobić zamek na hotel. Jeśli chcesz mieć hotel, to kup jakiś. Ale mnie, proszę, wyłącz z tego biznesu.

Juliette, słuchając jej, miała łzy w oczach. Milczała, gdy wróciły do hotelu. Joy natychmiast zadzwoniła do Timmie i opowiedziała jej o spotkaniu i o tym, jakie miłe są Elisabeth i Sophie. Timmie przyjęła to z ulgą i spytała o zamek.

– Jeden syf – odparła Joy. – Mam nadzieję, że uda się nam go pozbyć. Ktoś będzie musiał utopić w nim fortunę.

– A może skonsultujcie się przed wyjazdem z agentem nieruchomości? – zaproponowała Timmie. Joy też spodobał się ten pomysł. Rozmawiały jeszcze, gdy Juliette weszła do pokoju matki. Véronique siedziała na tarasie, myśląc o zamku. Było to dla niej smutne *déjà vu*, a spotkanie z Elisabeth i Sophie kosztowało ją więcej, niż zdawały sobie sprawę córki.

– Możemy chwilę porozmawiać, mamo? – Juliette przysiadła obok niej na tarasie. – Jak się czujesz?

– Dobrze. Po prostu był to zbyt duży ładunek emocjonalny.

– Przykro mi. – Juliette zamilkła na chwilę, zastanawiając się, czy to właściwy czas na rozmowę. – Wiem, że to brzmi jak szaleństwo, ale jak myślisz, ile by to mogło kosztować, gdybym chciała spłacić pozostałe współwłaścicielki?

– Nie wiem – odparła z namysłem Véronique. – Musiałybyśmy to oszacować. Zamek prawdopodobnie nie jest zbyt wiele wart, biorąc pod uwagę, w jakim jest stanie. Trzeba w niego włożyć mnóstwo pracy.

– Wiem – podchwyciła Juliette. Wyraźnie zakochała się w zamku, matka widziała to w jej oczach. – Pożyczyłabyś mi pieniądze na spłatę? Na remont mogłabym wykorzystać te, które zapisał mi tato, być może też sprzedałabym sklep, i może niektóre prace mogłabym wykonać sama, gdybym znalazła kogoś miejscowego, kto by mi pomógł. Co o tym myślisz? Czy to w ogóle wchodzi w rachubę? To znaczy, pożyczka z twojej strony? Po prostu mi się wydaje, że on mnie wzywa, żebym go pokochała. – Niemal dokładnie takich słów użył Paul, gdy przed laty namawiał ją do kupna zamku. Kolejne *déjà vu*... – Czy mogę sobie na to pozwolić z mojego przyszłego spadku? – spytała Juliette, a matka skinęła głową. Mogła sobie pozwolić z łatwością, choć Véronique nie powiedziała tego córce.

– Jeśli naprawdę tego chcesz... Myślę, że powinnaś to przemyśleć i się upewnić. Nie mieszkaś tutaj. Musiałabyś się zastanowić, jak dalece będziesz z niego korzystać.

– Prawdopodobnie musiałabym się tu przeprowadzić – powiedziała Juliette, tak jakby miało to jakiś sens. – Nie mogę pracować na odległość, z doskoku.

– Naprawdę chciałabyś tu mieszkać? – Véronique była zdumiona. Żadna z córek nigdy nie pragnęła zamieszkać we Francji. Nawet o przyjazd raz w roku na tydzień musiała z nimi staczać walki.

– Może... Wydaje mi się, że w końcu znalazłam miejsce, w którym chcę być.

– Przemyśl to, zanim podejmiesz jakieś wiążące decyzje – poradziła Véronique z uśmiechem. Nigdy dotąd nie widziała córki tak szczęśliwej. – A jak ci się podoba Sophie? – nie mogła się oprzeć pytaniu.

– Bardzo miłutka. Jest jak dziecko... I strasznie podobna do taty, prawda?

– Do ciebie i Timmie też – westchnęła Véronique.

Po paru minutach Juliette wróciła do własnego pokoju. Joy do tego czasu skończyła już rozmowę i spojrzała podejrzliwie na siostrę.

– Co ty knujesz? – Obawiała się, że Juliette znowu zejdzie na jakieś manowce, tak jak wtedy, gdy zrezygnowała z historii sztuki i kupiła piekarnię w Brooklynie. W opinii Joy zawsze popełniała szaleństwa, na przykład z tym nieustannym przygarnianiem pod skrzydła rozmaitych nieudaczników.

– Kto wie, może i zechcę go kupić – powiedziała z powagą Juliette i Joy widziała, że nie żartuje. – Może być z tego fantastyczny hotel.

– Przecież ty nie masz pojęcia o prowadzeniu hotelu! – przypomniała jej Joy, zirytowana typowym brakiem realizmu siostry.

– O prowadzeniu piekarni też nie miałam pojęcia, a wyszło całkiem nieźle.

– A pieniądze, które tato dał ci na sklep z kanapkami? – spytała Joy z naciskiem.

– Tato dał nam pieniądze na spełnienie naszych marzeń. Timmie, żeby miała na własne schronisko dla bezdomnych. Tobie na karierę aktorską, żebyś mogła zatrudnić właściwego menedżera i agenta i opłacić sobie lekcje aktorstwa, i nie musiała usługiwać przy stolikach. A jeśli moim marzeniem okaże się przekształcenie zamku w hotel, to chyba nie takie straszne, prawda? Wciąż jest to moje marzenie. Co w tym złego?

Joy zamilkła. Widać było, że Juliette naprawdę tak myśli. Wreszcie pokręciła głową.

– Kocham cię, ale teraz to już jesteś patentowaną wariatką. Przecież doprowadzenie tego budynku do stanu używalności będzie kosztować fortunę. Skąd, do diabła, na to weźmiesz?

– Dużo rzeczy mogę zrobić sama, a mama może mi pożyczyć kasę, jeśli się wszystkie zgodzicie, żebym was spłaciła.

– Mówisz serio, prawda? – Joy spojrzała na nią ze zdumieniem, a Juliette skinęła głową. Nigdy w życiu nie traktowała niczego równie poważnie jak w tej chwili. Czowała, że tak właśnie miało być: ojciec dał jej finałowy prezent, żeby mogła robić w życiu coś więcej niż przyrządzanie kanapek w Brooklynie, no i tak będzie!

Zmieni Château de Brize w piękny, nieduży hotel i sama go poprowadzi. Może nawet będzie prowadzić kuchnię i przyrządzać wypieki? W głowie miała tysiąc sprzecznych myśli naraz.

W chwilę później dołączyła do nich Véronique. Usiadły sobie w kabinie i wyciągnęły się w słońcu, a kelner przyniósł im zimne napoje. Luksus... I jak dobrze było być razem! A po południu, gdy wróciły do pokoi, zadzwonił do Véronique Aidan.

– I jak poszło? Spotkałaś się z nimi? – spytał z troską w głosie.

– Sophie wygląda jak aniołek i jest szalenie podobna do swojego ojca – powiedziała melancholijnie. – A jej matka sprawia wrażenie niezwykle porządnej kobiety. Jest rozsądna, rzeczowa, poważna, godna szacunku. Musiała oszaleć na jego punkcie, kiedy była młodą dziewczyną, tak samo jak oszalałam ja. Jest wiejską lekarką, miłą i budzącą zaufanie. Od razu na samym początku mnie przeprosiła. Reasumując, wszystko poszło dobrze, tylko po prostu było to wyczerpujące emocjonalnie. I obejrzałyśmy zamek, całą piątką.

– No i? – spytał z zainteresowaniem. Véronique sprawiała wrażenie zmęczonej, ale spokojnej, i to przyniosło mu ulgę.

– Budynek jest nawet ładniejszy, niż zapamiętałam. Przypomina zamek Ripa Van Winkle'a, ten z książki, ale tak jak myślałam, jest w kiepskim stanie. Sprawia wrażenie, jakby już ze sto lat nikt nie tknął go palcem. Remont będzie kosztował fortunę... Timmie i Joy chcą go sprzedać, i teraz też Sophie, a jej matka wręcz drży, żeby to zrobić jak najszybciej. Nie stać ich na jego utrzymywanie i potrzebują pieniędzy na codzienne życie. Ale Juliette się w nim zakochała i chce go przerobić na hotel. Zawsze była w rodzinie marzycielką, ale wygląda na to, że traktuje sprawę serio. Chce spłacić siostry i sama pracować przy renowacji, o ile znajdzie kogoś do pomocy.

– Ma na to kasę? – spytał ze zdziwieniem.

– Chce, żebym jej pożyczyła. W sumie mogłabym, ale potrzebne mi jest pozwolenie jej sióstr. Nie chcę, żeby myślały, że ją faworyzuję. – Zawsze była bardzo uważna pod tym względem i traktowała wszystkie jednakowo.

– Pożycz jej. – W głosie Aidana było napięcie. – Nie trzymaj jej w niepewności. Pomóż, jeśli możesz sobie na to pozwolić. Może to jej przeznaczenie, a nie mrzonka.

– Jeśli tak jest, to znajdziemy jakieś wyjście – powiedziała spokojnie Véronique, ale wzruszyło ją, że się przejął sprawą dziewczyny, której nawet nie znał.

– Nigdy ci tego nie zapomni, jeśli to zrobisz, i nigdy nie wybaczy, jeśli nie zrobisz.

Véronique w zasadzie już postanowiła, że pożyczy córce pieniądze, i to w chwili, gdy Juliette wyszła z jej pokoju, ale musiała porozmawiać o tym również z

innymi. Jak na bezdzietnego mężczyznę, Aidan miał sporo dokładnie sprecyzowanych przekonań o tym, jak powinna postępować... No, ale zgadzała się z nim – miał słuszość.

– Mamy dużo do omówienia, jak wrócimy do domu. Chce sprzedać piekarnię i przeprowadzić się tutaj.

– No, to naprawdę musi traktować to serio. – Aidan był pod wrażeniem, podobnie jak Véronique.

– Chyba tak.

– To co, wygląda na to, że wszystko poszło lepiej, niż się zapowiadało? – podsumował. Jak dobrze było móc z nim porozmawiać... Wiedzieć, że jest ktoś, kto troszczy się o nią i jej życie. To była dla niej nowość.

– Fakt. A jak twoja wystawa?

– Nie byłem jeszcze w galerii. Jest tam mój przedstawiciel – przyjechał, żeby mieć na wszystko oko. Jeszcze się z nim nie widziałem. Chciałem przedtem zadzwonić do ciebie. – Miło było także być dla niego priorytetem. – Jak długo zostaną z tobą dziewczyny? – spytał. Nie mógł się doczekać na jej przyjazd do Berlina.

– Jeszcze nie wiem. Z parę dni. Na pewno nie dłużej.

– Dobra, to powiedz im, żeby się pośpieszyły. Czekam na ciebie w Berlinie – powiedział niecierpliwie. – Tęsknię za tobą, Véronique.

– Ja też za tobą tęsknię – odparła z uśmiechem. Dobrze było z nim porozmawiać. Właśnie tego potrzebowała po wizycie w zamku, która była jak odwiedziny ruin strzaskanych marzeń. A z Aidanem wszystko było nowe. Sama rozmowa z nim sprawiała, że czuła się młoda i pełna nadziei.

Rozdział 13

Tego wieczoru Joy i Juliette zjadły z matką kolację w Eden Rock, w oficjalnej sali jadalnej hotelu. Po odwiedzinach w zamku i spotkaniu z paniami Marnier miały mnóstwo spraw do omówienia. Wszystkie były przyjemnie zaskoczone, jeśli chodzi o Elisabeth i Sophie, a Juliette nie przestawała mówić o zamku. Joy uważała, że padło jej na mózg. Jeśli o nią chodzi, to chciała pozbyć się kłopotu najszybciej jak się da i kiedy znalazły się z powrotem w pokoju, powtórzyła to siostrze jeszcze raz.

– A ja jestem przekonana, że potrafię z niego zrobić coś fantastycznego – odparła Juliette z determinacją, jakiej Véronique nigdy przedtem u niej nie widziała. Nazajutrz znowu zagadnęła matkę o pożyczkę. Véronique się nie sprzeciwiała, o ile zgodzą się na to Joy i Timmie, stwierdziła jednak, że należy oszacować wartość posiadłości, tak by stosownie do tego ustalić udział każdej z dziewczyn. Juliette odrzekła, że zostanie na południu Francji jak długo trzeba, żeby uzyskać wiarygodną ocenę, i porozmawia z architektem o kosztach robocizny. Jeszcze tego ranka zadzwoniła do pośrednika nieruchomości w St. Paul de Vence i umówiła się z nim na jutro po południu.

Joy zapowiedziała już, że nazajutrz wyjeżdża. Nowy agent powiadomił ją mejlem o przesłuchaniu do lepszej roli w telenoweli, w której dotąd występowała, co mogło oznaczać, że będzie na wizji aż przez miesiąc, a menedżer chciał z nią pogadać o możliwości ogólnokrajowej kampanii reklamującej nową linię kosmetyków. Obie propozycje były szalenie interesujące i nie chciała ich przegapić. Śpieszno jej było z powrotem, zwłaszcza że menedżer dzwonił już kilka razy, stale też do niej esemesował. Mówiła, że to przyjemny i naprawdę niegłupi młody człowiek. Juliette spytała żartem, czy się z nim spotyka, ale Joy odparła, że chodzi wyłącznie o sprawy zawodowe, choć nie da się ukryć, że jest bardzo przystojny. Véronique też to przyszło do głowy – menedżer jakoś wyjątkowo się troszczył o Joy i jej sprawy, ona jednak uparcie twierdziła, że pracują nad jej karierą i nic poza tym. Powiedziała, że facet cieszy się w Hollywood znakomitą opinią, jeśli chodzi o lansowanie nowych gwiazd.

Spędziły w trójkę rozkoszne popołudnie nad basenem. Joy i Juliette pływały, jak w dzieciństwie, na dmuchanym materacu. Gdy Véronique była sama w kabinie, dostała SMS-a od Nikołaja Pietrowicza z pytaniem, gdzie teraz jest. Odpisała, że w hotelu Du Cap, z dwiema córkami, a on natychmiast przysłał jej kolejnego SMS-a: jest akurat na jachcie w pobliżu St. Jean Cap Ferrat i zmierza w jej kierunku. Może chciałaby z córkami zjeść kolację na jachcie? Będzie to dla niego zaszczyt. Rozbawiło to Véronique. Pomyślała, że spotkanie może być fajne dla dziewcząt, i dla niej też. No i dziewczyny na pewno chętnie zwiedzą łódź – wiedziała, że

Nikołaj ma ich kilka. Odpisała, że będzie im bardzo miło, a on poinformował, że wobec tego o ósmej w porcie Eden Rock będzie na nich czekać łódź towarzysząca.

– Nikołaj jaki? – spytała zdumiona Juliette, gdy wróciły z pływania i matka im o wszystkim powiedziała. Nigdy nie słyszała o kimś takim i nie miała pojęcia, w jaki sposób matka mogła go poznać. – Wiesz przecież, mamó, że nie cierpię jachtów. Zawsze dostaję morskiej choroby.

– Wydaje mi się, że jego jacht jest na tyle duży, że nie dostaniesz. Spotkajmy się z nim! – Nie widziała się z Nikołajem od tamtej kolacji na tarasie jego rzymskiego apartamentu, zaraz po tym, jak o mało jej nie zabił swoim ferrari. Nie wspomniała córkom o tym fakcie, ani też o tym, że nie zamierzała zejść mu wtedy z drogi.

– Jak go poznałaś? – Joy była zaintrygowana. Nie był to typ człowieka, z jakimi dotąd miała do czynienia matka. Była osobą spokojną i nie zadawała się z jakimiś kapiącymi złotem miliardami.

– W Rzymie, kiedy jechałam do Wenecji z tym obrazem ojca. – Brzmiało to przyzwoicie, aczkolwiek informacja była niekompletna. – Jest Rosjaninem – dodała, żeby je przygotować na jego niezwykłą tożsamość. Miała nadzieję, że nie będzie uwodził jej córek... E, chyba nie.

– Nuudy – orzekła Juliette. Nie miała nastroju, żeby spotykać się z kimkolwiek na kolacji, nie miała też ochoty na chorobę morską. A dla Joy był to ostatni wieczór przed powrotem do LA. Powiedziała, że nie ma chęci spędzać go z jakimś nieznanym, a Juliette ją poparła.

– Nie sądzę, żeby okazał się nudny – rzekła tajemniczo Véronique. – A nawet gdyby, to obiecuję, że wcześniej się pożegnamy. Po prostu mi zaufajcie. Myślę, że ciekawe będzie dla was go poznać. To niesłychanie barwna postać.

– Czy ty się z nim spotykasz, mamó? – spytała Joy, a Juliette przewróciła oczami, tak jakby ta myśl była całkiem od rzeczy. Tym trudniej byłoby im uwierzyć, że podróżowała po Włoszech z brytyjskim fotografem, młodszym od niej o jedenaście lat, i natychmiast po ich wyjeździe zamierzała się z nim spotkać w Berlinie.

– Byłam z nim raz na kolacji – powiedziała oględnie Véronique, mając na myśli Nikołaja. Nie było powodu mówić im o Aidanie.

Opuściły kabinę o szóstej. Dziewczyny pod wpływem nalegań matki z oporami zgodziły się na kolację na jachcie i wszystkie ruszyły do swoich pokoi, żeby się wykąpać i ubrać. Véronique wyciągnęła się na chwilę na łóżku, zastanawiając się, co powie Aidanowi. Wiedziała, że jest zazdrosny o Nikołaja i nie lubi, gdy tamten do niej esemesuje. Nie chciałyby go zdenerwować, ale okłamywać go też nie chciała. Postanowiła, że powie mu po wszystkim, a na razie wysłała mu krótkiego SMS-a: „Idę z dziewczynami na kolację. Zadzwoń później. Kocham cię, V.” Więcej na razie wiedzieć nie potrzebował.

Zdrzemnęła się pół godziny, po czym ubrała się pośpiesznie, nie zadając sobie trudu, żeby wyjrzeć przez okno. Wstąpiła po córki do ich pokoju i ujrzała Joy, wpatrującą się w olbrzymi jacht, stojący na kotwicy na wprost hotelu. Był dwa razy większy niż którakolwiek z sąsiednich łodzi.

– Myślałam, że to okręt wojenny albo jakiś krążownik – powiedziała Joy z rozbawieniem. Kolosalna motorówka była cała pomalowana na czarno, co nadawało jej wygląd dość złowieszczy; u rufy miała przymocowane dwie łodzie zapasowe. Pomimo odległości widać było grupkę żeglarzy wsiadających do jednej z nich.

– Coś mi się wydaje, że to właśnie tam zjemy kolację – rzekła Véronique, a Juliette wytrzeszczyła na nią oczy.

– Żartujesz sobie? Kim jest ten facet?

– Jakiś rosyjski miliarder. Nie za bardzo wiem, czym się zajmuje, ale wygląda na to, że jest ogólnie znany.

– Na pewno handluje bronią, skoro ma taki jacht – orzekła Joy.

Wyszły z hotelu i ruszyły w stronę doku, gdzie czekała już na nich łódź wysokiej prędkości z sześcioma umundurowanymi marynarzami i oficerem. Załoga była brytyjska. Grzecznie pozdrowili wszystkie kobiety, wyraźnie uradowani na widok dziewczyn, i pomogli im wejść do łodzi. Podczas krótkiej podróży do macierzystego kolosa dziewczyny nie odezwały się ani słowem. Wreszcie Joy nie wytrzymała i zapytała jednego z marynarzy o jacht, a ten wyjaśnił jej, że mierzy on sto trzydzieści siedem metrów długości i jest obecnie jednym z dwóch największych prywatnych jachtów na świecie. Znajduje się na nim lądowisko dla helikopterów i basen pływacki, a jego właściciel, jak powiedział marynarz, buduje obecnie jeszcze większy. Joy skinęła głową i zerknęła na Juliette. Obie były zdumione, że matka zna właściciela, a zdumiały się jeszcze bardziej, gdy go ujrzały.

Nikołaj czekał na nie na pokładzie, w białych lnianych spodniach i białej, rozpiętej koszuli. Na szyi miał ciężki złoty łańcuch, a na przegubie złotego Rolexa wysadzanego diamentami. Na widok Véronique wyraźnie się uradował. Objął ją serdecznie i przywitał się z dziewczętami, a stewardesa podała wszystkim trzem wysokie kieliszki z szampanem.

– Chciałybyście zwiedzić łódź? – spytał, a cała trójka ochno przytaknęła. Poprowadził je schodami na górny pokład, gdzie mieścił się rozległy taras z luksusowymi fotelami, bar, ekran do wyświetlania filmów w ciepłe noce i gigantyczne lądowisko, na którym stał jeden z odrzutowych helikopterów.

Na dolnym pokładzie weszli do sterowni, po której oprowadził je kapitan wraz z trójką oficerów. Załoga jachtu liczyła sobie pięćdziesiąt osób i wielu z nich było obecnych. Z podziwem patrzyli na dwie dziewczyny, a Nikołaj przy każdej okazji zwracał się z uśmiechem do Véronique, tak jakby byli starymi znajomymi.

Nie uszło to uwagi córek. Véronique nie wiedziała, czy więcej w tym strachu, czy podziwu, ale widać było, że jacht, niemal tak duży jak transatlantyk, powalił je.

Zwiedziły sześć kabin dla gości, dwa salony, salę kinową, ogromną siłownię wyposażoną w każdy możliwy rodzaj sprzętu i spa z dwoma masażystami w firmowych kitlach, a także, jak z dumą podkreślił Nikołaj, fryzjerką i manikiurzystką. Była też wypełniona książkami biblioteka, rozległa, wyłożona drewnem jadalnia na wypadek złej pogody, i druga, jeszcze większa, pod gołym niebem. Na każdym poziomie znajdował się zewnętrzny bar, przestrzeń z krzesłami i fotelami, by można było posiedzieć na powietrzu, oraz pokój karciany, gdzie Nikołaj, jak powiedział, lubił grać z przyjaciółmi w pokera. Ostatnim przystankiem był kambuz, gdzie trzech szefów kuchni i czterech zastępców przygotowywało dla nich posiłek. Sprawiało to wrażenie pływającego miasta, a kiedy wróciły na pokład główny, w jednym z barów pod gołym niebem czekał na nie kawior. Sam pobyt tu był kolosalnym przeżyciem i jak zauważyła Véronique, obie dziewczyny były pod wielkim wrażeniem. Ich gospodarz okazał się uroczy, inteligentny i szalenie gościnnie. Najwyraźniej był bardzo dumny ze swojego jachtu i zachwycony, że mógł go im pokazać. Niewątpliwie był też troszeczkę nieokrzesany, ale zarazem niezwykle ciepły i serdeczny.

Do kawioru, którym dziewczęta radośnie się opychały, podał wódkę. Juliette nie wykazywała żadnych objawów choroby morskiej. Prawie nie czuło się ruchu statku, a to dzięki gigantycznym stabilizatorom, jak wyjaśnił Nikołaj. Powiedział, że parokrotnie przepłynął nim Atlantyk i że ma jeszcze większy jacht, który trzyma na Karaibach, koło Wyspy Św. Bartłomieja. Wprost trudno było ogarnąć wyobraźnię takie bogactwo i luksus i Véronique siłą rzeczy wciąż przychodziło na myśl, jak zareagowałby na to Aidan. Bez sensu było wysuwać zastrzeżenia, pozostawało tylko wytrzeszczać z podziwu oczy. Że też ktoś mógł mieć takie pieniądze... A statek był piękny, nawet jeśli jego komfort i zbytek okazały się troszkę zbyt ostentacyjne. Oferował wszelkie wygody, jakie można kupić za pieniądze. A dzieła sztuki na ścianach warte były miliony. Wystrój był dość krzykliwy, ale właściciel to lubił.

Samo obejrzenie tego wszystkiego jest fascynujące, pomyślała Véronique. Miał na pokładzie Picassa, paru Jacksonów Pollocków, a w głównym salonie ogromnego Chagalla. Dziewczyny zatkało, szczególnie Juliette, która miała artystyczne wykształcenie. Véronique mało się nie roześmiała na widok ich zdumionych twarzy, kiedy w godzinę później Nikołaj poprowadził je do zastawionego stołu. To była cała uczta, włącznie z homarami i pieczonym prosięciem, które okazało się wyśmienite. Tego wieczoru nie było też śladu jego towarzyski, wydawał się być sam, choć Véronique podejrzewała, że kobieta jest gdzieś na jachcie. Przecież kiedy jedli wtedy kolację na tarasie, u Hasslera, przez cały wieczór czekała na niego, odesłana do sypialni... Ewidentnie nie miał żadnych

skrupułów, by trzymać ją godzinami w odosobnieniu. To był typ mężczyzny, który zawsze ma przy boku ładną kobietę – jako akcesorium, nic więcej.

– Czy matka wam powiedziała, jak się poznaliśmy? – zwrócił się Nikołaj do dziewczyn podczas kolacji.

– Nie, nic nie mówiła. – Joy rzuciła matce znaczące spojrzenie. Teraz, gdy poznały Nikołaja, była zaintrygowana jeszcze bardziej.

– W Rzymie o mało jej nie przejechałem moim ferrari – powiedział, patrząc ze skruchą na Véronique, która uśmiechnęła się uspokajająco. – Okropne to było... Był straszny ruch, wszyscy jechali za szybko. Udało mi się jej nie potrącić dosłownie o włos. Mieszkaliśmy w tym samym hotelu, więc zabrałem ją do pokoju i wezwałem lekarza. A potem poszliśmy na kolację – zaakcentował z dumą, tak jakby to był dla niego zaszczyt. – I teraz jesteśmy przyjaciółmi – uśmiechnął się do całej trójki. – I jesteście na mojej łodzi. Jeszcze w Rzymie obiecałem jej, że urządzę kolację na jachcie. No i tak zrobiłem. – Steward tymczasem nalewał im Château Margaux rocznik 1983, a oczy Juliette zaokrągliły się jeszcze bardziej.

– Nigdy nam o tym nie mówiłaś, mamo – rzekła z wyrzutem Joy.

– Wszystko się dobrze skończyło – zbagatelizowała sprawę Véronique. Nie chciała ich martwić, a kiedy pojechała do Wenecji i poznała Aidana, zanadto była nim zajęta, by wracać myślą do wypadku.

– Frunęła w powietrzu jak motylek – powiedział Nikołaj, wspominając ten okropny moment, kiedy był pewien, że ją zabił albo przynajmniej jest ciężko ranna. – Rzym to niebezpieczne miasto. A jak było w Wenecji? – zwrócił się z pytaniem do Véronique.

– Fantastycznie. Byłam w klasztorze, o którym ci wspominałam, z moim obrazem. Analizują go teraz. Jeszcze nie mam żadnych wiadomości. A potem pojechałam do Sieny i Florencji i tam też było cudownie. Uwielbiam galerię Uffizi – powiedziała, a córki wlepiły w nią oczy.

– Kiedy tam byłaś?

– Po Wenecji – odparła niewinnie. – A przed spotkaniem z wami.

– O tym też nam nie wspominałaś. Myślałyśmy, że wróciłaś do Paryża.

– Skoro już byłam we Włoszech, pomyślałam, że je trochę pozwiedzam – odrzekła oględnie Véronique, a dziewczyny wymieniły spojrzenia. Zignorowała to.

Właśnie jadły deser, ptysie z kremem oblane czekoladą plus czekoladowy suflet, gdy Nikołaj, zapaliwszy cygaro, zwrócił się z uśmiechem do Véronique.

– Mam dla ciebie propozycję – rzekł. Dla obu dziewczyn jasne było, że bardzo mu się podoba. – Chciałbym, żebyś namalowała mój portret. Zamawiam go u ciebie. Jesienią przyjadę do Nowego Jorku i wtedy będziesz mogła się tym zająć.

Nawet nie spytał, czy ma na to ochotę lub czas! Po prostu uznał, że to robi. Véronique się roześmiała.

– Przecież nawet nie wiesz, jak maluję! Poza tym od lat nie namalowałam

żadnego portretu, na serio w każdym razie.

– Masz moje pełne zaufanie – Nikołaj skwitował jej zastrzeżenia machnięciem ręki, w której trzymał cygaro, najwyraźniej kubańskie. Véronique uwielbiała ten zapach, przypominał jej ojca. Odgadywała trafnie, że to Cohiba. – Dam ci znać, kiedy przyjeżdżam.

– Możesz być bardzo rozczarowany efektem mojej pracy. – Véronique poczuła treść, ale Nikołaj nie miał żadnych obaw.

– Nie sędzę. Wierzę, że jesteś wspaniałą artystką. – Steward tymczasem nalał im do kieliszków Château d'Yquem i wszystkie trzy z przyjemnością upiły łyk cennego trunku.

Później Nikołaj opowiadał im o swojej kolekcji dzieł sztuki. Powiedział, że będzie mu bardzo miło, jeśli dziewczyny zechcą go odwiedzić w jego domu w Londynie czy na którymś z jachtów, kiedy tylko będzie im pasowało. Jeszcze z godzinę rozmawiali o tym i owym i wreszcie Véronique uznała, że muszą wracać do hotelu – miały za sobą długi dzień, a nazajutrz Joy odlatywała do LA. Wszystkim jednak żal było się zegnać z Nikołajem. Był niezwykle sympatycznym gospodarzem, a pobyt na jego jachcie był przeżyciem niezapomnianym. Ucałował na pożegnanie wszystkie trzy, a gdy wsiadły do łodzi i ruszyły sprintem w stronę doku, długo machał im na pożegnanie. Kiedy znalazły się z powrotem w hotelu, czuły się niczym powracające z balu Kopciuszki.

– Jasny gwint, mamó... Co to znaczy? – spytała Joy z szerokim uśmiechem, kiedy weszły do hotelowego lobby. – Naprawdę o mało cię nie przejechał w Rzymie?

– Nie, niezupełnie. Sporo mu brakowało do przejechania – odparła, myśląc: dzięki Aidanowi. – Ale bardzo się przejął i był potem bardzo miły. Miał u Hasslera fantastyczny apartament i zjedliśmy kolację u niego na tarasie.

– No no, brzmi to dość pikantnie. – Joy spojrzała na matkę innymi oczyma, a ona się roześmiała. Nigdy by im nie przyszło do głowy, że może znać kogoś takiego... I rzeczywiście była to rzadkość w jej życiu.

– Nie było w tym nic pikantnego – zapewniła córkę. – On miał tam dziewczynę. Bardzo ładną, młodszą od was.

– Nie dziwię się – wtrąciła Juliette. – Tu też widziałam bardzo ładną dziewczynę, wbiegła do salonu fryzjerskiego, kiedy zwiedzałyśmy statek. Ale jak my weszłyśmy do salonu, to już jej nie było. Nie do wiary, ten jacht... On musi być najbogatszym człowiekiem na świecie.

– Jednym z – uściśliła Véronique. W ostatnich latach pojawiła się cała nowa rasa wielkich bogaczy, często można było ich spotkać w Europie. Véronique widywała takich jak on w Paryżu. – Ciężko to sobie wyobrazić... Jacht jest niesamowity, prawda?

– Ale że nawet nam nie wspomniałaś o Florencji! – dziwiła się Joy.

– Jesteście zajęte, dziewczyny, a ja na ogół nie robiłam tam nic nadzwyczajnego. Nikolaј to osobliwość także i dla mnie. Ale mam nadzieję, że spodobało wam się zwiedzanie jachtu? Słyszałam o nim wcześniej, ale nie myślałam, że jest taki potężny.

– Na jachcie tej wielkości nie mam choroby morskiej! – zauważyła Juliette tonem odkrycia, a matka i siostra wybuchnęły śmiechem. Wypiły sporo wina i były w dobrym nastroju.

Véronique pożegnała się z Joy jeszcze tego wieczoru, bo córka wylatywała nazajutrz wcześniej rano. Załedwie weszła do swojego pokoju, gdy zadzwonił Aidan. Wcześniej zostawił jej wiadomość, a ona dotąd nie oddzwoniła.

– Coś ty robiła cały wieczór? – spytał wyraźnie zaniepokojony.

– Rozmaite szaleństwa – przyznała.

– To znaczy?

– Nikolaј Pietrowicz był w okolicy jachtem i zaprosił nas z dziewczynami na kolację. Pomyślałam, że im się spodoba.

– Do czego on zmierza? – niemal warknął Aidan. Był zazdrosny, ale nie chciała go okłamywać, nawet jeśli to, co robi, mu się nie podobało – a wiedziała, że tak jest. Nie chciała, żeby wytworzył się zły nawyk przemilczania pewnych rzeczy.

– Po prostu chciał się pochwalić jachtem. A dla dziewczyn było to coś nowego, innego niż dotąd. – Nie powiedziała mu, jaki fantastyczny jest jacht ani że dobrze się bawiły. Powiedziała, gdzie była, i dość.

– Pewnie będzie próbował się z którąś przespać – powiedział Aidan tonem dezaprobaty.

– Mam nadzieję, że nie – odparła lekko. – Jest starszy ode mnie.

– Albo z tobą – w głosie Aidana pojawiła się panika.

– Nie wygłupiaj się. W Rzymie ma dziewczynę, mniej więcej dwudziestoletnią. A ty co robiłaś dziś wieczorem? – spytała, żeby zmienić temat, ale czuła, że nadal jest zjeżony.

– Tęskniłem za tobą. Byłem na kolacji z moim przedstawicielem i zaczęliśmy rozwieszać eksponaty. Ciężko tu coś załatwić... – Zaczął mówić o swoich kłopotach z wystawą i po paru chwilach się rozluźnił. Powiedział, że dostał bardzo dobrą ofertę z jakiejś galerii w Nowym Jorku: sprzedaż limitowanej serii niektórych z jego fotogramów, a właśnie w taki sposób zarabiał na życie między jedną wystawą a drugą. Nie miał z tego kokosów, ale starczało na przeżycie. Jego potrzeby były niewygórowane, a w przyszłości, kiedy jego zdjęcia znajdą się muzeach, liczył na podwyższenie cen sprzedaży. Na ten cel pracował.

Powiedziała mu, że Joy rano wylatuje, a Juliette umówiła się z agentem nieruchomości na oględziny zamku, żeby oszacować cenę sprzedaży. Pozwoli im to ustalić uczciwą stawkę, jeśli postanowi spłacić siostry.

– A zdecydowanie jest na to nastawiona – dodała.

– Zamierzasz jej pomóc?

– Tak – powiedziała cicho, a jemu wyraźnie sprawiło to przyjemność.

Pogadali jeszcze chwilę, oboje coraz bardziej rozluźnieni, a gdy kończyli, Aidan był wyraźnie w lepszym nastroju.

– Tylko nie umawiaj się znowu z tym Ruskiem na kolację – rzekł srogo. – Pewnie to jakiś handlarz bronią albo coś. Niebezpieczny w każdym razie. – Nie sposób było się tego dowiedzieć.

– Może i jest – przyznała i przemilczała wobec Aidana, że Nikołaj zamówił u niej portret. Znowu by się zdenerwował, a tego nie chciała.

Obiecał, że nazajutrz zadzwoni, powiedział, że ją kocha i rozłączyli się. Véronique przeszła na taras i zapatrzyła się na ogromny motorowy jacht, wciąż jeszcze stojący na kotwicy. Lśnił światłami niczym pływające miasto. Widziała go jeszcze, gdy położyła się do łóżka. Leżąc, myślała o dwóch mężczyznach, których poznała tego lata, Aidanie i Nikołaju. Jakże byli odmienni... Jeden afiszował się majątkiem, jak tylko mógł, drugi miał alergię na bogatych i wyznawał najprostsze wartości. Podobał jej się Nikołaj, ale zakochana była w Aidanie... I z tą myślą zasnęła.

Kiedy obudziła się rano, jachtu już nie było. Nikołaj przysłał jej SMS-a, że wraca do Monako, żeby zabrać znajomych, i żeby esemesowała, jeśli tylko będzie znowu miała ochotę na kolację na jachcie. Véronique odpowiedziała mu i podziękowała za wspnięcia wieczór.

Niedługo potem spotkała się w kabinie z córką. Juliette robiła obszerne notatki na temat zamku i była zdecydowana spotkać się przed wyjazdem z architektem. A choć nie wspomniała o tym matce, po południu, po drodze do zamku, zamierzała odwiedzić Elisabeth i Sophie. Przed powrotem do Nowego Jorku chciała się z nimi zobaczyć jeszcze raz. Polubiła Sophie i jej matkę.

Véronique życzyła jej szczęścia i w chwilę później Juliette odeszła. Véronique spędziła całe popołudnie w słońcu, opalając się, czytając, a od czasu do czasu drzemiąc. Cudowny dzień... Była szczęśliwa. Spotkanie z dziewczynami się udało. Joy wyglądała na rozluźnioną i podekscytowaną nowymi możliwościami zawodowymi i nowym menedżerem. A Juliette zakochała się w zamku... A jak wyjadą, ona pojedzie do Berlina i zobaczy się z Aidanem, i zdecydują, dokąd pojedą razem. Wszystko w jej świecie było w porządku.

Po drodze do zamku Juliette poleciła kierowcy zatrzymać się w Biot przed gabinetem Elisabeth. Doktor Marnier miała pacjenta i pielęgniarka poprosiła ją, żeby zaczekała parę minut. Juliette przerzuciła jakiś francuski magazyn i po dziesięciu minutach z pokoju badań wyszła zaskoczona Elisabeth. Juliette wstała.

– Jadę do zamku i pomyślałam, że wstąpię się przywitać – powiedziała z ciepłym uśmiechem. Elisabeth, w białym fartuchu i ze stetoskopem na szyi, sprawiała wrażenie mile zaskoczonej.

– Czy matka i siostra też przyjechały? – spytała. Jeśli czekają w samochodzie, to miała zamiar zaprosić je do środka.

– Siostra wróciła rano do LA, a matka została w hotelu. Przyjechałam sama. Mam spotkanie z agentem nieruchomości. Trzeba oszacować zamek, tak żebyśmy wiedziały, ile jest wart.

Elisabeth uznała, że to dobry pomysł.

– Wymaga mnóstwa napraw – przypomniała.

– Wiem. Czy Sophie jest w domu?

– Dopiero co wyszła zobaczyć się z koleżankami z St. Paul de Vence. Bardzo była zadowolona z wczorajszego spotkania – powiedziała ciepło Elisabeth.

– Wszystkie byłyście dla niej takie miłe... Bała się, i ja też, że spotkanie będzie trudne. Pani matka zachowała się z dużą klasą – dodała szczerze. – Na pewno było to dla niej bolesne.

– Ona też panią polubiła – odparła Juliette. – Ulżyło jej po tym spotkaniu. Choć myślę, że odwiedziny w zamku były dla niej przeżyciem. Tyle jej wspomnień się z nim wiąże.

Elisabeth skinęła głową. Dla niej też się wiązało... Nie wspominała o tym wczoraj, ale Paul zabrał ją parę razy do zamku, kiedy Véronique i dzieci wyjechały. Tam poczęła się Sophie. Nie była z tego dumna i nie powiedziała o tym Juliette, ale odwiedziny w zamku w towarzystwie Véronique były niezręczne i dla niej. Głupia była w młodości i dla wszystkich będzie lepiej, jeśli pozbędą się tej posiadłości. Za dużo tam było widm przeszłości, smutku i rozczarowań.

– Mam nadzieję, że szybko go sprzedacie – rzekła, odprowadzając Juliette do samochodu. Juliette nie powiedziała jej, że zamierza zatrzymać zamek i wypłacić siostrze ich udziały. Zbyt nowy był jeszcze ten pomysł. Obiecała, że przed wyjazdem odwiedzi je jeszcze raz.

– Proszę pozdrowić Sophie! – zawołała na odchodnym, a kobieta, która była kochanką jej ojca, pomachała jej na pożegnanie.

Kiedy dotarła do Château de Brize, agent już na nią czekał. Był to poważny mężczyzna, dobrze znający region i wszystko, co ostatnio sprzedawał. Uprzedził ją, że biorąc pod uwagę stan zamku, nie przyniesie on wielkiego zysku. Odparła, że rozumie, po czym przez parę godzin chodzili razem po całej posiadłości, a on wszystko sprawdzał i tłumaczył jej po angielsku, przechodząc czasem na francuski, który rozumiała. Kiedy skończyli, była prawie szósta. Oboje byli zmęczeni i zgrzani. Agent zajrzał do notatek, które przyniósł ze sobą, po czym usiedli na stopniach zamku. Spojrzał na nią zafrasowany.

– Nie chcę pani rozczarować, ale nie chcę też robić fałszywych nadziei. Wszystko tu wymaga renowacji. Instalacja elektryczna, hydraulika, dach. Ktoś będzie musiał włożyć kupę pieniędzy, żeby doprowadzić to wszystko z powrotem do stanu używalności. Remonty i naprawy pochłoną prawdopodobnie więcej niż

kupno. Nie sędę, żeby mogła się pani za niego spodziewać więcej niż sześćset tysięcy dolarów. No, może sześćset pięćdziesiąt, ale to góra.

Oznaczało to, że przyjmując najwyższą możliwą stawkę, jej udział wynosiłby sto pięćdziesiąt tysięcy dolarów, siostrom zaś, jeśli się zgodzą, musiałyby wypłacić nieco ponad czterysta pięćdziesiąt tysięcy. To ogromna suma i nie wiedziała, czy matka zgodzi się na pożyczkę tego rzędu. Wiedziała jednak, że jej udział w matczym majątku będzie kiedyś o wiele wyższy. Byłoby to wypłacenie spadku awansem... A na rozpoczęcie remontu mogłaby przeznaczyć pieniądze, które pozostawił jej ojciec. W dodatku może sprzedać sklep w Brooklynie. Jak powiedział agent, będzie to kosztowny projekt, ale może pracować powoli, stopniowo, a nawet zamieszkać tutaj, kiedy już będzie bezpiecznie.

– Zna pan może w okolicy jakiegoś budowlańca i architekta?

– Znam. Jest dobra firma w St. Paul.

– Chciałabym oszacować, ile może kosztować remont, o ile ktoś zdecyduje się go poprowadzić.

Agent skinął głową, napisał na karteczce nazwisko i podał jej. Spojrzała: Jean-Pierre Flarion. Agent dał jej także jego telefon i adres. Juliette podziękowała mu i zapłaciła ustaloną wcześniej kwotę, która była niewielka.

– Czy życzy pani sobie, żebym wystawił nieruchomość na sprzedaż? – spytał z nadzieją.

– Jeszcze nie. Będziemy w kontakcie – powiedziała, po czym wróciła do samochodu. W drodze do hotelu przyszła jej do głowy pewna myśl: zadzwoniła z komórki do firmy budowlanej. Dłuższą chwilę nikt nie odbierał, wreszcie usłyszała poirytowany, niecierpliwy głos:

– *Oui?* Tak?

Spytała, czy może mówić z panem Flarionem, i usłyszała: „To ja, słucham”. Wyjaśniła, że ma w okolicy zamek i chciałyby się z kimś skonsultować co do napraw i restauracji.

– Jaki zamek? – W głosie dało się słyszeć zaintrygowanie.

– Château de Brize.

– Stoi nieużywany od lat. Jest w fatalnym stanie. Zamierza go pani kupić?

– Jest mój. Należał do mojego ojca. Czy zechciałby pan go jutro obejrzeć?

– Czemu nie – powiedział, wyraźnie zaintrygowany. – Proszę pozwolić, że coś sprawdzę. – Za chwilę był z powrotem. – Mogę być o dziesiątej. Potem będę zajęty. Do końca tygodnia mam umówione spotkania w Nicei.

– Jutro o dziesiątej, doskonale. – Juliette poczuła dreszcz podniecenia. A więc robi to! Spotyka się z architektem! To się dzieje naprawdę! Kiedy podziękowała mu i wyłączyła telefon, miała ochotę krzyknąć z radości.

Po powrocie natychmiast poszła do matki. Z wyrazu jej oczu Véronique wiedziała, że wszystko poszło dobrze.

– No i co powiedział? – spytała z uśmiechem.

– Powiedział, że zamek jest wart jakieś sześćset do sześćset pięćdziesiąt tysięcy dolarów, co oznacza, że musiałabym mieć na spłatę trochę ponad czterysta pięćdziesiąt tysięcy. Pożyczyłabyś mi, mam? – Wstrzymała dech.

Véronique pomyślała chwilę i skinęła głową.

– A skąd weźmiesz na renowację?

– Mogę na to przeznaczyć pieniądze, które zostawił mi tato, plus to, co dostanę za sklep, po zwróceniu ci długu za niego. Na początek mam.

– Myślę, że trzeba będzie pożyczyć ci więcej, na remont. Zsumujemy to z tym, co na spłaty. No i musimy spytać dziewczyn, co o tym myślą, czy akceptują kwotę, którą im proponujesz. Ale wydaje się uczciwa. – Véronique była bardzo rzeczowa.

Porobiły trochę notatek i Juliette wróciła do siebie jak na skrzydłach. Będzie miała hotel!

Tego wieczoru zjadły kolację w małej włoskiej knajpce w starej części Antibes. Véronique była tu parę razy z Aidanem. Starówka miała przyjazny, luzacki klimat. Po kolacji powłóczyły się trochę, po czym wróciły do Eden Rock.

Juliette źle spała tej nocy. Jutro miała się spotkać z architektem! Leżała bezsennie całe godziny, nie mogąc zmrużyć oka, a w głowie kłębiły jej się obrazy tego wszystkiego, co zamierzała tu robić. Większość rzeczy miała zaplanowanych. Oczyma duszy już widziała Château de Brize na liście Relais&Châteaux, globalnego bractwa luksusowych prywatnych hoteli i restauracji... Remonty i naprawy zajmą jej pewnie z rok. Ciekawe, co powie jutro architekt? Obliczając, ile może kosztować robocizna, zapadła w drzemkę i przyśnił jej się zamek. W stajniach rżały konie, w ogrodach kwitły kwiaty, mieli własne warzywa... A co do kuchni, to już dokładnie wiedziała, jaka ma być. Będzie mogła robić wszystkie wypieki, gotować też... Budziła się parę razy w obawie, że spóźni się na spotkanie. W końcu, wyobrażając sobie, że znajduje się w zamku we własnym pokoju, zapadła w ciężki sen.

Rozdział 14

Kiedy nazajutrz, spóźniona o dziesięć minut, Juliette dotarła do zamku, architekt już na nią czekał. Zasnęła, bo długo w nocy przewracała się bezsenność w łóżku, w obawie, że zaśpi, i później musiała piorunem przygotować się do wyjścia.

Jean-Pierre Flarion był wysokim trzydziestoparolatkiem o przyjemnej prezencji. Przyniósł ze sobą wszystko co trzeba: notatniki, taśmy miernicze, aparat fotograficzny, laptop. Juliette, rozczochrana, bo nie miała kiedy porządnie rozczesać i ujarzmić swojej burzy blond loków, przeprosiła go wylewnie za spóźnienie. Ubrała się w niebieskie džinsy i adidas, tak by mogła wejść z nim we wszystkie zakamarki bez obawy, że się pobrudzi. On miał na sobie džinsy i marynarkę. Na jej widok okazał zdziwienie.

– Myślałem, że jest pani o wiele starsza – powiedział, a gdy weszli do zamku, więcej uwagi okazywał Juliette niż budynkowi czy przyszłym remontom. Mówił bezbłędnie po angielsku, co ułatwiało kontakt.

– Odziedziczyłam zamek po ojcu – wyjaśniła. – Mam go do spółki z siostrami. Zamierzam je spłacić i urządzić tu hotel.

– Ciekawy pomysł – zauważył, patrząc na nią z aprobatą, po czym wyjął iPada i zaczął robić notatki. – Będzie pani musiała zatrudnić kogoś do jego prowadzenia – dodał praktycznie.

– Sama mogę go poprowadzić, gotować też – odparła, a on skinął głową, pod wrażeniem jej entuzjazmu, który zdawał się nie mieć granic.

Obeszli metodycznie wszystkie pomieszczenia. Jean-Pierre mierzył i robił notatki. Porozmawiali z dozorcą o przeciekach i stanie dachu.

– Sama nie wiem, czy potrzebny mi jest architekt, czy raczej budowlaniec – powiedziała serio.

– Mogę robić i to, i to. I ma pani rację, nie należy niczego zmieniać w strukturze zamku. Powinna pani zachować naturalny, oryginalny stan, ale będzie pani miała mnóstwo roboty z restauracją.

– Wiem – odparła dzielnie, zastanawiając się, czy on drogo by sobie policzył. Ale przynajmniej był miejscowy... Nie będzie musiała sprowadzać z Paryża jakiegoś wyrafinowanego architekta, który zdarłby z niej skórę. Czy choćby nawet z Nicei. On był stąd.

Do południa sprawdzili wszystkie elementy konstrukcji. Do tego czasu Juliette miała już na sobie cały wielowiekowy kurz i pył, osypujący się ze ścian i przedmiotów. Zgodzili się, że najwięcej pracy będzie wymagała kuchnia. Umeblowanie wydawało się jednak w dobrym stanie. Będzie tylko musiała zrobić na nowo całą tapicerkę i zawiesić nowe zasłony. Ale dywany, które kupiła przed laty jej matka, wciąż były piękne i charakterystyczne dla epoki.

– Może pani znaleźć świetne rzeczy na lokalnych aukcjach – poradził jej.

Wreszcie zrobili wszystko, co byli w stanie, i Jean-Pierre powiedział, że musi teraz pójść do biura i wykonać trochę obliczeń. Dopiero wtedy będzie mógł jej podać przybliżony koszt.

– Wyniki mogę mieć gotowe przed wieczorem.

– Doskonale – odparła. Krępowwała się powiedzieć, że mieszka w Eden Rock, dała mu więc numer komórki, a on obiecał, że zadzwoni. Po czym zaskoczył ją pytaniem, czy zechciałaby pójść z nim na lunch. Po chwili wahania zgodziła się. Jedli w knajpcie na skwerze w St. Paul de Vence. Namówił ją, żeby spróbowała miejscowej specjalności o nazwie *socca*, co okazało się czymś w rodzaju pizzy, tyle że zamiast pomidorów była tu cieciorka.

– Czemu bierze sobie pani na kark stary, rozpadający się zamek? – spytał, gdy zgodnie pałaszowali smakowicie pachnącą, świeżo wyjętą z pieca *soccę*. – Czemu go pani po prostu nie sprzedaje?

– Bo jak go zobaczyłam dwa dni temu, z miejsca się w nim zakochałam. Mam takie uczucie, jakby to było moje przeznaczenie. Od pierwszej chwili wiedziałam, że chcę tu urządzić hotel. – Po czym opowiedziała mu o sklepie z kanapkami, o tym, jak zrezygnowała z zajmowania się historią sztuki na rzecz Cordon Bleu i jak uwielbia gotowanie i pieczenie.

On z kolei opowiedział jej, że pochodzi z rodziny prawników i że ojciec chciał, żeby syn pracował w ich firmie prawniczej w Draguignan, a on odmówił. Poszedł na architekturę, a po studiach przeprowadził się do St. Paul de Vence, bo zawsze uwielbiał tę miejscowość, no i teraz ma własną firmę. Wyglądało na to, że jest bardzo dumny ze swoich osiągnięć. Przesiedzieli tak dwie godziny, a usta im się nie zamykały. Wreszcie się pożegnali, a na odchodnym on obiecał, że po południu zadzwoni z gotowym szacunkiem kosztów.

Wracając do biura, wciąż się uśmiechał. Nigdy nie spotkał kobiety takiej jak ona. Kipiała energią i pomysłami, cała przejęta tym, co robi. Wyglądała jak wcielenie karmicielki, wszystko w niej było kobiece, od twarzy, poprzez zmysłowe usta, po sylwetkę. Przez cały czas musiał ze sobą walczyć, żeby słuchać tego, co ona mówi, bo miał ochotę wyłącznie na nią patrzeć.

Kiedy po południu dzwonił do niej na komórkę, czuł się jak uczeń. Juliette siedziała właśnie nad basenem w Eden Rock i opowiadała matce o porannym spotkaniu. Powiedziała, że facet wygląda na takiego, co zna się na rzeczy.

Liczba, jaką jej podał jako szacunkowy koszt renowacji, wydała jej się niska.

– Jest pan pewien? – spytała podejrzliwie. Nie chciała, żeby ją wmanipulował w robotę, a potem zaśpiewał dwa razy tyle.

– Za dużo? – Był wyraźnie zaniepokojony.

– Nie, za mało. Nie chcę mieć przykrych niespodzianek po fakcie.

– Zawsze może być mały poślizg, ale obliczyłem bardzo starannie, bazując

na tym, co widzieliśmy. Czy lepiej się pani poczuje, jeśli powiem dwa razy tyle? – zadrwił, a ona się roześmiała.

– Nie, nie. W porządku, dla mnie to okej.

– Kiedy chce pani zacząć? – spytał.

Pomyślała chwilę.

– Wczoraj. Ale tak naprawdę potrwa pewnie z miesiąc-dwa, zanim ogarnę sprawy w Nowym Jorku. Albo i więcej. – Musiała spłacić siostry, sprzedać sklep z kanapkami w Brooklynie, a nie wiedziała, ile czasu jej to zajmie. Teraz była połowa sierpnia. – Powiedzmy, jakoś tak we wrześniu albo na początku października. Będzie pan wtedy miał dla mnie czas, czy może ma pan dużo innych zleceń?

– Dla pani będę miał. Proszę tylko dać mi znać, kiedy będzie pani gotowa. – Podobnie jak Juliette na widok zamku poczuła, że to jej przeznaczenie, on poczuł to samo wobec niej.

– Dziękuję – powiedziała z westchnieniem ulgi i zakończywszy rozmowę, zwróciła się rozpromieniona do matki: – Mam architekta! Wszystko zorganizowane! Teraz potrzebuję tylko spłacić dziewczyny, sprzedać sklep i zaczynamy.

Véronique się uśmiechnęła. Nigdy nie widziała córki tak szczęśliwej i ożywionej... Najwyraźniej wiedziała dokładnie, czego chce.

– Kiedy wracasz? – spytała.

Juliette zastanowiła się przez chwilę. Chciała się jeszcze zobaczyć z Sophie, ale z drugiej strony nie chciała marnować kolejnego dnia.

– Jutro – powiedziała zdecydowanie. – Powiem na portierni, żeby mi zamówili lot z Nicei. A ty, mamó? Zostaniesz tu jeszcze trochę? – Wiedziała, że matka nie ma nic do roboty i nie ma powodu śpieszyć się z powrotem do Nowego Jorku czy Paryża.

– Nie, myślę, że ja też jutro wyjadę – odparła matka. – Bez ciebie nie mam tu po co siedzieć. – Nie powiedziała, że wyjeżdża nie do Paryża, tylko do Berlina. Myśl o spotkaniu z Aidanem była równie ekscytująca, jak dla Juliette sprawa zamku, ale przemilczała to. Nie mogła się już doczekać, kiedy wreszcie zobaczy się z Aidanem i pomoże mu urządzić wystawę... Gdy tylko Juliette wskoczyła do basenu, napisała do niego SMS-a z wiadomością o rychłym przyjeździe. Był zachwycony. Niedługo się zobaczą!

Rozdział 15

Véronique poleciała bezpośrednio do Berlina, bez zatrzymywania się w Paryżu, w pięć godzin po wylocie Juliette. W hali przylotów, tuż za bramką, czekał na nią Aidan z szerokim uśmiechem na twarzy. Nie widzieli się zaledwie parę dni, a obojgu wydawało się to wiecznością. Wyszli z hali, trzymając się za ręce i ruszyli do zaparkowanego w garażu austina-healeya. Sam widok tego auta był dla Véronique niczym powrót do domu.

A Aidan sprawiał wrażenie człowieka, który ciężko pracuje. Miał na sobie spłowiały T-shirt i mocno wytarte džinsy. Własnoręcznie oprawiał fotografie i wieszal je na ścianach. Kiedy jechali autostradą, łączącą port lotniczy z Berlinem, Véronique zaktualizowała jego wiedzę na temat wszystkiego, co się wydarzyło. Opowiedziała o spotkaniu Juliette z architektem i o tym, że pojechała do domu, żeby zająć się sprzedażą knajpki w Brooklynie.

– A ty jej będziesz pomagać? – upewnił się. Véronique skinęła z uśmiechem głową. Jakie to miłe z jego strony, że przejmuje się sprawami jej córki, choć nawet jeszcze jej nie zna.

– Jestem pewna, że pozostałe dziewczyny nie będą miały nic przeciw temu. Na pewno będą szczęśliwe, że szybko dostaną pieniądze, zwłaszcza Joy i Sophie. – Wiedziała, że wszystkie przeznaczą pieniądze na własne projekty: Timmie na schronisko, Joy na życie i karierę w LA, a Sophie na studia i pomoc matce. Z tego co widziała, fakt, że zachęcała córki, by same na siebie zarabiałały, przyniósł dobre owoce, i była z nich dumna.

Po dotarciu do miasta zjechali z autostrady i skręcili do centrum. Aidan wskazywał jej charakterystyczne obiekty, pokazał, gdzie był mur berliński i Checkpoint Charlie. Véronique nie była dotąd w Berlinie i cieszyła się, że odkrywa go razem z nim. Zatrzymali się w niewielkim hostelu niedaleko Brunnenstrasse, gdzie znajdowała się jego galeria i gdzie zlokalizowane były inne awangardowe przedsięwzięcia, jak Kuratorzy bez Granic, organizacja non-profit założona przez Sarah Belden, marszandkę z Nowego Jorku. Ściany były tu pokryte graffiti, domy szare i skromne. Aidan ostrzegł ją już, że ich hostel to niewiele więcej niż spelunka, ale że znajdował się blisko galerii, był dla niego poręczny. Cipriani i Hôtel du Cap był dla niego wyrazistym sygnałem, że jej styl życia jest o wiele bardziej wystawny niż jego, co zresztą przeczuwał już wcześniej z jej manier, zachowania i strojów. Pomimo że nosiła rzeczy proste, to przecież widział, że kosztowne, i zawsze wyglądała sztywnie. Był pewien, że w Paryżu i Nowym Jorku żyje na wysokiej stopie, nie wiedział tylko, jak wysokiej. Ale nie miał zamiaru się przed nią popisywać. Chciał dzielić z Véronique swoje prawdziwe życie, a takie właśnie było.

Zatrzymali się w hostelu, żeby zostawić jej rzeczy. Aidan zaśmiał się, kiedy zobaczyła, że jest tu jeszcze gorzej, niż zapowiedział. W recepcji siedział student pokryty tatuażami, cały w kolczykach i z ogoloną czaszką. Długo szukał klucza Aidana, w końcu znalazł go w szufladzie. Miejsce wyglądało nieporządnie, goście też, kiedy jednak weszli do pokoju, okazał się czysty. Były tu tylko najpotrzebniejsze sprzęty plus mikroskopijna łazienka, Véronique powiedziała jednak, że jej to nie przeszkadza. Zostawili jej torbę i ramię w ramię ruszyli do galerii. Po obu stronach ulicy widniały sklepy, knajpki i galerie, ludzie wyglądali na nieokrzesanych, wszędzie stare mieszało się z nowym.

– Tak się cieszę, że przyjechałaś. – Aidan spojrzał na nią radośnie, dumny, że jest z nią. Była piękną kobietą i jedyną, na którą chciał patrzeć. Inne mogły nie istnieć.

Kiedy zobaczyła galerię, wrażenie było znacznie większe niż na widok hostelu. Była rozległa, oszczędna, z betonowymi posadzkami, o malowanych belkach stropowych i nagich, gładkich ścianach. Doskonałe oświetlenie właściwie eksponowało wystawiane prace. Przy biurku recepcyjnym siedziała dziewczyna, a trzech młodych ludzi wieszano zdjęcia we wskazanych przez Aidana miejscach. Dwie ściany były już pokryte jego znaczącymi, pełnymi niepokojącej treści obrazami. Tak jak jej powiedział, kiedy się poznali, fotografował tragedie i zło tego świata. Jego prace ukazywały żalną, brutalną stronę życia. Ciężko pobity mężczyzna. prostytutki i uzależnieni, bezdomni i głodujące dzieci. Ludzie skrzywdzeni, mający w oczach cały smutek świata.

– Wszyscy się odwracamy od takich scen – powiedział Aidan. – Chcę, żeby ludzie je zobaczyli. Nie można uciekać od życia, bo jest brzydkie czy smutne.

Był to brutalny obraz świata, robiący o wiele większe wrażenie niż prace Diane Arbus czy Nan Goldin, które także fotografowały różnych dziwaków i narkomanów. Świat, jaki prezentował Aidan, był o wiele surowszy i bardziej przygnębiający, a zarazem było w nim bolesne piękno. Véronique patrzyła i zastanawiała się, ile z tego się sprzeda. Nie były to prace, które chciałyby oglądać rano po przebudzeniu, jednak ze społecznego punktu widzenia taka diagnoza była niezbędna, a on, stawiając ją, wykazał wielką odwagę. Nie odwracał się z odrazą od brzydoty scen rynsztokowych, od obrazu getta... Na widok hinduskiego dziecka, płaczącego obok zmarłej matki, łzy stanęły Véronique w oczach. Wrażenie było potężne. Te prace stanowiły odbicie tego, kim był jako człowiek. Był rzecznikiem ubogich i sponiewieranych, głosem wykluczonych. Patrząc na te obrazy, nietrudno było zrozumieć, dlaczego z taką pogardą odnosi się do opływających w gotówkę bogaczy, wiodących łatwe, wygodne życie. Véronique czuła jednak, że na świecie jest miejsce dla jednych i drugich, gdy Aidan w sensie politycznym i społecznym należał do ekstremy. Jego zdjęcia krzyczały o tym w głos.

– Są piękne – powiedziała z podziwem. Aidan był zachwycony.

– Czasem się obawiam, że trochę za brutalne. Nie chcę straszyć ludzi, ale przeważnie tak właśnie to czuję.

Poznał ją z Karlem, właścicielem galerii, młodym człowiekiem tuż po trzydziestce. Był cały pokryty tatuażami, a w uszach nosił śruby. Bardzo grzecznie uściskał rękę Véronique, a ona zauważyła, że ma „von” przed nazwiskiem. Był więc w tym supernowoczesnym świecie arystokratą, choć z jego wyglądu nikt by tego nie podejrzewał. Ludzie pracujący w galerii to była artystyczna awangarda, ekstrema, zgodnie z tym, co słyszała wcześniej o środowisku artystycznym Berlina. Było o wiele intensywniejsze, bardziej agresywne niż paryski świat sztuki, któremu bliżej było do cyganerii w tradycyjnym, znajomym sensie. To, co widziała tu, było jednak ekscytujące, nowe, tak różne od tego, co już znała... Zawsze kochała sztukę, ale zupełnie innego rodzaju. To tutaj to był dla niej cały nowy wszechświat, jakże inspirujący, orzeźwiający, mobilizujący! Przy tym Aidan lubił także inne postacie sztuki i w Galerii Uffizi we Florencji był równie zachwycony, jak ona tutaj. Kiedyś zauważył, że wiele z tego, co dziś podziwiamy jako klasykę, w Renesansie stanowiło ówczesną awangardę. Ciekawe było spojrzeć na to w ten sposób; rozbawił ją, choć przecież było w tym sporo prawdy. Każdy prawdziwy twórca zawsze wyprzedzał swój czas i to, co robił, często odbierano jako szokujące – czy był to pierwszy akt, pomysł, że Ziemia jest okrągła, czy to, co robił w tej chwili Aidan.

Bardzo jej się podobało, że był tak otwarty pod względem artystycznym i że ośmielał się być tak nowatorski. Czowała, że inspiruje ją to, by wrócić do własnego malarstwa. I nieuchronnie przypomniał jej się Nikołaj i jego zamówienie. Ciekawe, czy rzeczywiście zadzwoni... Fajnie byłoby go malować! Jego silna osobowość tak wyraziście odbijała się w jego aparycji i wyrazie twarzy.

Później Aidan zabrał ją na lunch do ogródka piwnego, gdzie jedli kielbaski, popijając ciemnym piwem w wysokich szklankach. Po lunchu zaś zwiedzili parę innych galerii, tak by dać jej wyobrażenie o tym, co dzieje się na lokalnej scenie artystycznej. Wszystko było szalenie awangardowe, ale choć nie leżało to w jej zwykłej sferze zainteresowań, oglądała z wielkim zainteresowaniem, co robią inni artyści. Dostarczyło im to wielu tematów do rozmowy: kierunek współczesnej sztuki, motywacje artystów, ich wizje w porównaniu z jej, wpływy i przenikanie się artystycznych generacji, różnice pomiędzy nimi, czasem szokujące. Ekscytujące było dla niego towarzystwo kogoś tak pasjonującego się sztuką, obojętne w jakiej formie. Podobało mu się przy tym, że choć jej własne malarstwo jest o wiele bardziej tradycyjne i pozbawione ryzyka, jest otwarta na nowe idee. Bo on pojmował sztukę jako nadstawianie karku i odwagę bycia sobą.

Kiedy w końcu wrócili do galerii, był tam jego przedstawiciel, Johnny Gardner. Młodszy od Aidana, z czarną czupryną na jeża, z wielką powagą

rozmawiał z Véronique o pracach Aidana. Po paru minutach wyszedł na spotkanie z innym artystą, który miał studio na tej samej ulicy. Aidan wziął się do oprawiania prac, a ona trochę mu pomagała. Śledzili wieszanie fotogramów na ścianach, przy czym Aidan co chwila wstrzymywał pracowników, polecając zmienić to czy tamto, zamienić dwa eksponaty miejscami czy przesunąć któryś o parę centymetrów. Był perfekcjonistą zarówno w sztuce, jak i w sposobie jej ekspozycji. Cudownie było w tym wszystkim uczestniczyć. Ekscytacja wystawą była w całej galerii niemal namacalna.

Pracowali do jedenastej w nocy, po czym zamówili na wynos w Zagreus Projekt, galerii i restauracji zarazem, proste dania kuchni kajuńskiej, typowej dla ubogich francuskojęzycznych rolników, rybaków i rzemieślników z południa Luizjany. Okazały się bardzo smaczne. Jedząc, rozwiesili eksponaty na dwu kolejnych ścianach, po czym wrócili do hostelu i wyczerpani padli do łóżka. Aidan, choć szalenie skupiony na pracy, był szczęśliwy, że ma Véronique przy sobie.

Kiedy ocknęła się nazajutrz, leżeli obok siebie nadzy, a on ją pieścił. Była jeszcze na wpół śpiąca, kiedy zaczęli się kochać.

– Jaki miły sposób na obudzenie – powiedziała potem sennie. Przewróciła się na bok, by na niego spojrzeć, a on ją pocałował.

– Dziękuję za wczorajszą pomoc. Masz dobre oko.

– O, ty też. Twoje prace są wspaniałe.

Poszli razem pod prysznic i wkrótce z powrotem znaleźli się w galerii. Rozwieszali eksponaty jeszcze przez dwa kolejne dni. Haki, na których wieszano dodatkowe płaszczyzny ekspozycyjne, sprytnie powiększały przestrzeń wystawową. I wreszcie wszystko było gotowe. Zanim wrócili do hostelu, żeby się przebrać na wernisaż, poprawił jeszcze trzy fotogramy. Zainwestował w tę wystawę mnóstwo własnej pracy i liczył na dobre recenzje.

Na wernisaż Aidan włożył czarną koszulę i czarne dżinsy, a Véronique – czarne skórzane spodnie i czarny sweterek, które nabyła, gdy urwała się na kilkugodzinne zakupy na Oranienburger Strasse.

– Fantastycznie wyglądasz – powiedział z podziwem i pocałował ją, po czym wyszli i ruszyli pieszo do galerii. Aidan był szalenie podekscytowany i ona też, ze względu na niego. Na uroczystości miał być obecny najważniejszy berliński krytyk sztuki. Zaledwie weszli, właściciel galerii, Karl, powiedział, że był telefon z pewnego muzeum w Hiszpanii, które chce nabyć niektóre z jego prac, i drugi z Hamburga, również z pytaniami na ten temat. To był niezwykle ważny wieczór dla Aidana i szczęśliwy był, że może go dzielić z Véronique.

Szybko zaczęli napływać goście. Włączono muzykę, podano zakąski. Wkrótce salę wypełnił barwny tłum, w którym było wielu miłośników sztuki. Przybyli inni twórcy i kolekcjonerzy z Włoch, Hiszpanii i Anglii, pojawił się też krytyk, na którego liczył Aidan, i był pod wielkim wrażeniem wystawy. Aidan

został gwiazdą wieczoru, jego prace z zapalem omawiano i chwalono.

W pewnej chwili Véronique rozejrzała się dookoła i zdała sobie sprawę, że większość obecnych ma lat dwadzieścia parę-trzydzieści parę, nie było nikogo w jej wieku. Nagle poczuła się bardzo staro. Czy przypadkiem nie wygląda śmiesznie w tych skórzanych spodniach? Włosy na prośbę Adriana miała rozpuszczone... Przypomniało jej się angielskie powiedzenie: „Owca przebrana za jagniątko”. No, może nie jest aż tak źle!

Była tak inna niż ludzie, którzy otaczali Aidana! Nie przeszkadzało jej to, kochała go i możliwość bycia tu razem z nim była przygodą, niemniej ten wieczór stanowił ostre przypomnienie, jak skrajnie różne są ich światy. Czuła się tu dobrze, ale to nie było jej środowisko, nie wiedziała też, jak on będzie się czuł w jej kręgu. Mógłby się weń wpasować, gdyby chciał, ale miał wiele ostrych krawędzi i niezłomnych przekonań i nie wyglądało, by chciał je dla kogokolwiek złagodzić czy zmienić. Zresztą budziło to jej szacunek. Czy mógłby czuć się szczęśliwy w jej świecie, z tą swoją nieufnością wobec ludzi z pieniędzmi, z pogardą dla tradycji, które były dla niego bez sensu? Wszystko musiało być dla niego uczciwe, surowe, brutalnie prawdziwe, inaczej tego nie tolerował. Jak powiedział, nienawidził wciskania kitu i nie był w stanie tego znieść.

A przecież nie da się ukryć, że jej świat niejednokrotnie nie był uczciwy, rządziła tu sztuczność i udawanie. Niewielu ludzi mogło sobie pozwolić na szczerłość i bezpośredniość, jaką prezentował on. Nie miał nic do stracenia i nikogo nie próbował zadowolić, wyłącznie siebie. Véronique całe życie przystosowywała się do innych ludzi i sytuacji, często na własny koszt, co nie podobało się Aidanowi. Uważał, że powinna być wobec ludzi ostrzejsza i śmielsza, ona zaś upierała się, że to nie jej styl. Według niego, jeśli ktoś cię obraził, był dla ciebie nieprzyjemny, nieuczciwy czy nietaktowny albo próbował cię wykorzystać, to prawidłowa reakcja brzmi: „Spieprzaj”. Nieraz już sugerował, że to właśnie powinna mówić córkom, kiedy na to zasługują. Véronique wybuchała śmiechem. Co za pomysł... Chybaby padły trupem, gdyby to zrobiła!

Véronique zawsze była nienagannie grzeczna; we wszystkim, co robiła, widać było jej dobre wychowanie i maniery. Aidan twierdził, że to kłamstwo, a on nienawidził łgarzy. Jego zdaniem, jeśli ktoś postąpił z tobą źle, to dajesz mu kopa w zadek i się zabierasz. Coś z tego było również w jego pracach. Były konfrontacyjne, łapały za gardło. Miał czułe serce, ale było w nim też coś z jeżozwierza. Dotknięty, natychmiast jeżył kolce. Veronique była gładsza i bardziej miękka, i dziwna rzecz – te przeciwstawne cechy sprawiały, że się dobrze uzupełniali. Ona go zmiękczała, a on dawał jej odwagę do tego, by być silniejszą i twardszą. Ona chciała być taka, ale nie tracąc miłego obejścia, mniej agresywnie, niż sugerował. „Nie możesz być miła dla łajdaków” – powiedział jej raz podczas któregoś z prowadzonych długo w noc rozmów. „Oni tego nie docenią. Musisz być

tak samo bezwzględna jak oni, inaczej zawsze będą cię źle traktować”. W pewnym sensie robił to Paul... A od czasu do czasu nawet jej dzieci. To, że zawsze jest dla nich, traktowały jako oczywistość i gniewało to Aidana, gdy był czasem świadkiem jej rozmów telefonicznych, a po ich zakończeniu ganił ją, że jest wobec córek zbyt uległa.

Tego wieczoru zadzwoniła Juliette, by powiedzieć, że wystawiła na sprzedaż sklep z kanapkami. Przedyskutowała sprawę z Arnoldem i ustalili cenę, która wydawała się jej uczciwa, i chciała opowiedzieć o tym matce. Zaskoczył ją panujący w tle hałas, który utrudniał rozmowę, przy tym matka wydawała się zdekoncentrowana, czymś zajęta.

– Gdzie ty jesteś? – spytała zniecierpliwiona. Córki przywykły, że jest dostępna zawsze, ilekroć jej potrzebują, ale nie na odwrót – kiedy były zajęte, nie należało im zawracać głowy. Miała być matką na telefon, bez żadnych własnych planów czy potrzeb, i zawsze były zdziwione, kiedy miała coś innego do roboty. Tak jakby żyła w zamkniętym na klucz pokoju w oczekiwaniu na ich telefon, a wtedy powinna stanąć na baczność w pełnej gotowości.

– Jestem na wernisażu w pewnej galerii. – Véronique z trudem usiłowała coś usłyszeć poprzez hałas. Stała zbyt blisko głośników, a nie chciała wychodzić na zewnątrz – wiedziała, że Aidan pragnie mieć ją przy sobie, a to przecież był jego wielki dzień. Nie powiedziała Juliette, że jest w Berlinie, a nie w Paryżu. Córka nie potrzebowała tego wiedzieć. Prowadziłoby to do kolejnych pytań, typu „z kim?”, „dlaczego?”, a ona nie chciała na nie odpowiadać.

Juliette powtórzyła głośniej, co mówiła, tak żeby matka lepiej usłyszała, i rozwinęła temat, tak jakby Véronique nie miała nic innego do roboty. Taki właśnie był często styl ich rozmów. „Jestem zajęta, mamo” – kończyło rozmowę natychmiast. To, że Veronique jest zajęta, nie znaczyło nic.

– Rozmawiałam z Timmie – ciągnęła Juliette. – Zgadza się na spłatę w takiej wysokości, o jakiej mówiłyśmy, pamiętasz. Potrzebuje kasy, żeby uzupełnić to, co dał jej tato, i zaczyna się rozglądać za jakimś domem na West Side, ale to trochę potrwa. Dzwoniłam też do Joy, ale z nią cały czas trwa zabawa w „co mi zrobisz, jak mnie złapiesz”. Dostała rolę w tej telenoweli i przez najbliższe parę tygodni będzie pracować non stop. Coś mi się zdaje, że ona śpi z tym swoim menedżerem – dodała jakby na stronie, nawiązując do ich wcześniejszej rozmowy na ten temat, jeszcze we Francji. – Któregoś wieczoru przysłała mi SMS-a, że jest z nim na kolacji i omawiają tę kampanię kosmetykową, co to zorganizował dla niej przesłuchanie. Napisała, że zadzwoni, jak wróci do domu, ale nie zadzwoniła. Może pomyślała, że w Nowym Jorku już za późno na rozmowę, ale mam takie śmieszne uczucie, jakby coś przede mną ukrywała. – Wszystkie trzy siostry dobrze się znały nawzajem i tak samo znała je matka. Ona też miała wrażenie, że Joy trzyma coś w zanadrzu, jeśli chodzi o nowego menedżera.

– Mam nadzieję, że to coś prawdziwego i że jej nie wykorzysta – powiedziała zatroskana.

– On jest powszechnie znany, reprezentuje różne grube ryby – uspokoiła ją Juliette. – Wyguglałam go, kiedy mi o nim powiedziała. I ma rację, on rzeczywiście jest baaaardzo przystojny. To co o tym myślisz? – spytała, podnosząc głos, bo właśnie muzyka w galerii stała się głośniejsza. Grano jazz, od którego zawibrowały betonowe podłogi i ściany.

– O czym? – Véronique usiłowała przekrzyczeć hałas. – O menedżerze Joy? – Nie wiedziała, co o nim myśleć. Za wcześnie było na to, nic o nim dotąd nie wiedziała.

– Nie! O cenie, za jaką chcę sprzedać sklep. Czy to dość? – Znowu była skupiona na zamku i na tym, co musi zrobić, żeby projekt stał się ciałem.

– Nie wiem. A co mówi Arnold? – spytała Véronique, popychana przez tłum i zdekoncentrowana.

– Twierdzi, że jak dla niego w porządku, biorąc pod uwagę wyposażenie i klientelę.

– W takim razie jestem pewna, że w sam raz. Zadzwoń do ciebie jutro. – Niemożliwością było kontynuowanie tej rozmowy tu i teraz, i zresztą nie chciała.

– Jutro jestem zajęta. Muszę pojechać do mojego magazynu w Jonkers i zinwentaryzować trochę zapasowego sprzętu, który tam trzymam. Też chcę go sprzedać.

– Rozumiem – powiedziała Veronique. Właśnie Aidan zamachał ku niej ręką, a ona skinęła głową. – Kocham cię. Niedługo pogadamy. – Wyłączyła telefon i poszła poszukać Aidana. Chciał ją przedstawić znanemu niemieckiemu wydawcy, który zamierzał wydać album złożony z jego prac. Okazał się bardzo interesującym człowiekiem i Véronique dłuższą chwilę poważnie z nim rozmawiała. Oboje wywarli na sobie doskonałe wrażenie.

Okolo północy tłum zaczął rzednąć. Aidan był zachwycony rezultatami wieczoru, stawili się wszyscy, na których liczył. Właściciel galerii przyłożył się jak należy, żeby ich ściągnąć, a prace zyskały bardzo dobry odbiór. Johnny Gardner, przedstawiciel Aidana, też był pełen entuzjazmu. Nazajutrz recenzje okazały się znakomite, co nie było częste w przypadku prac takich jak te, które i cieszyły, i raziły zarazem. Aidan był w siódmym niebie. Został okrzyknięty jednym z największych młodych talentów w fotografii artystycznej. Jedyne, czego teraz pragnął, to żeby jego prace znalazły się w jak największej liczbie muzeów.

Nazajutrz rozmawiali o tym podczas lunchu w Paris Bar i Véronique dała mu dobrą radę. Dotychczas nauczył się już cenić jej mądrość i głowę do interesów. Kiedyś powiedział jej komplement na ten temat, a ona roześmiała się i powiedziała, że ma to w genach, bo jej dziadek też był przed laty handlarzem dzieł sztuki. Kiedy Aidan tego słuchał, z dnia na dzień czuł coraz silniej, iż to palec losu sprawił, że

zwrócił na nią uwagę wtedy, przy fontannie di Trevi, i później w Wenecji. Powiedział jej to parokrotnie. Był przekonany, że było im pisane się spotkać, jako część karmy każdego z nich.

– A nie przeszkadzało ci, że jesteś z najstarszą kobietą na tej sali? – spytała podejrzliwie. Przyszło jej to do głowy parę razy. Niektóre z dziewczyn na wernisażu były młodsze od jej córek, a on mógł być z każdą z nich. To było bardzo młodzieńcze środowisko, a Véronique różniła się wyglądem od wszystkich obecnych, gdy tymczasem Aidan pasował do niego doskonale, nawet jeśli i on miał sól i pieprz we włosach. To było zdecydowanie jego kółko, nie jej, i Véronique, pomimo że dobrze się bawiła, czuła to wyraźnie.

– Nie bądź głupia – zganiał ją jak klasyczny Brytyjczyk. – Byłaś najpiękniejszą kobietą na całej sali. Kogo obchodzi, ile masz lat? Mnie nie obchodzi, więc czemu ma obchodzić ciebie? I widziałem, jak patrzą na ciebie faceci. Połowa sali chciała cię poznać. A mój niemiecki wydawca pytał mnie o twój numer telefonu. Nie dałem mu – uśmiechnął się. – Chciałem najpierw zapytać ciebie.

– Dziękuję ci za to – powiedziała. Dobrze jej się rozmawiało z tamtym wydawcą, ale nie miała ochoty podtrzymywać z nim kontaktu. Była całkowicie szczęśliwa z Aidanem i z rozbawieniem zdała sobie sprawę po raz kolejny, że jest o nią zazdrosny i nieco zaborczy. Było to pochlebne i świadczyło, że mu na niej zależy. – Całe to środowisko było o wiele bardziej gniewne niż ja. – Nawet jeśli nosiła czarne skórzane dzinsy, to pantofle miała od Chanel, a wszyscy pozostali nosili klapki lub adidas. Większość wyglądała, jakby ubierała się w lumpeksach. Ona nie miała do tego drygu ani ochoty. Aidan włożył do dzinsów czarne kowbojki, które znalazł w jakimś ciuchlandzie w Londynie, dość zniszczone przez poprzedniego użytkownika. To nie był jej styl. Cokolwiek włożyła, musiało pasować do reszty. Była elegancka i wyrafinowana w sposób im obcy.

– Byłem z ciebie dumny – powiedział cicho Aidan. – I tylko to się liczy. Gdybym chciał być z dziewczyną w porwanym podkoszulku, która ma na piersi wytatuowanego sępa, a na szyi węża, i kolczyki gdzie się da, tobym był. Takich dziewczyn jest wiele. Ty jesteś tylko jedna. – Uśmiechnął się do niej i widziała, że naprawdę tak myśli i czuje. Ulżyło jej. Przyznała mu się, że przez jakiś czas czuła się tam nie na miejscu, dopiero potem się rozluźniła, zaczęła rozmawiać z ludźmi i były to ciekawe rozmowy. To był wybitnie międzynarodowy tłum i wszyscy mówili po angielsku.

Przez kolejne dwa dni zwiedzali Berlin. Poszli do Muzeum Fotografii, jednego z berlińskich muzeów państwowych i do Muzeum Sztuki Współczesnej w Hamburger Bahnhof, dawnym budynku dworca. Objeżdżali miasto, poszli do Ogrodu Botanicznego, oglądali wystawy na Kurfürstendamm. Véronique nalegała, żeby poszli do Muzeum Żydowskiego, w którym znajduje się Wieża Holokaustu, i

oddali hołd Żydom, którzy zginęli podczas Zagłady. Było to przejmujące przeżycie. Głęboko poruszeni, oglądali zdjęcia i ekspozycje i słuchali tego, co mówi przewodnik. W milczeniu wyszli z powrotem na słoneczny blask. Véronique długo nie mogła otrząsnąć się z wrażenia. Rozmawiali o tym, spacerując, przez kolejne dwie godziny. Wreszcie wrócili do hostelu i położyli się na chwilę, żeby odpocząć przed wyjściem na kolację. Te parę dni, odkąd przyjechała, były pełne wrażeń. Szalenie ceniła sobie każdą przeżyta tu minutę. Nieoczekiwanie jej życie stało się tak interesujące, jak nie było od wielu lat.

Myślała o tym, leżąc na łóżku. Aidan drzemał. Wtem zadzwonił telefon. Timmie.

Odebrała szeptem, nie chcąc budzić Aidana.

– Gdzie jesteś? – chciała wiedzieć Timmie. – W kinie? Dlaczego mówisz szeptem?

– Po prostu są obok mnie inni ludzie – skłamała Véronique. Wyglądało na to, że robi to coraz częściej. Nie było jednak jak wytłumaczyć Aidana, a zwłaszcza tego, że śpi obok niej. Nieoczekiwanie zaczęła mieć sekretne życie... Nigdy dotąd się to nie zdarzyło. – Co się stało? – spytała, bo Timmie miała niezwykle poważny głos, całkiem jakby ktoś umarł. Véronique natychmiast to wyłapała, dobrze знаła swoje dzieci.

– Wszystkie dostałyśmy dzisiaj list i ty też dostaniesz. Bertie nas pozywa i kwestionuje testament. Chce jedną czwartą wszystkiego, włącznie z zamkiem, i chce wykluczyć Sophie z jakiegokolwiek dziedziczenia, jako że tato nigdy za życia jej nie uznał.

– To nie ma znaczenia – powiedziała spokojnie Véronique. – W Stanach Zjednoczonych można zapisać majątek komu się tylko chce. Możesz go w całości pozostawić własnemu psu, jeśli masz taką fantazję. We Francji dzieci dziedziczą z mocy prawa trzy czwarte wszystkiego, ale nie w Stanach. Więc nie może niczego odebrać Sophie.

Zastanawiała się, czy Bertie ma szansę wygrania z pozostałymi siostrami. Nie była pewna, ale Paul wytłumaczył niezwykle jasno, dlaczego wykluczył z dziedziczenia Bertiego, i w świetle wszystkiego, co dostał od ojca wcześniej, wydawało się to racjonalne i uczciwe.

– Cóż, nie jestem zaskoczona – powiedziała z westchnieniem. – Ale przykro mi to słyszeć. Żadnej z was nie jest potrzebne całe to zawracanie głowy i mnie też nie. A co na to Arnold?

– Mówi, że najprawdopodobniej Bertie w sądzie nic nie wskóra, ale może nas to sporo kosztować z racji kosztów procesu. I że Bertie tak naprawdę nie chce procesu, chce tylko nas zastraszyć, tak żebyśmy poszły na ugodę. A my nie pójdziemy. Rozmawiałam dziś rano z Joy i Juliette i one mówią to samo – chrzanić go. To gnojek i łotr, i zawsze taki był. Próbował wycyganiać od nas kasę, jak

byłyśmy małe, i kradł nam kieszonkowe. Niech idzie do diabła. – Cóż, trudno było się z tym nie zgodzić, nawet jeśli Véronique ujęłaby to nie tak drastycznie.

Nadal mu współczuła, ale zarazem przerażała ją jego zachowanie. Z biegiem lat zdawało się coraz gorsze, a teraz pojawił się w nim ton autentycznej desperacji. Podejrzewała, że musi siedzieć po uszy w długach. Jego ojciec też czasem był zadłużony na skutek złych inwestycji, ale zawsze wychodził z honorem. Był uczciwy, w każdym razie w sensie finansowym. Bertie – nie.

– Chce, żeby nas przesłuchano^[1]. Co za szuja – dodała Timmie ze złością. – A Arnold mówi, że nie może nas reprezentować, bo nie jest stroną wszczynającą spór. Będzie nadzorował sprawę, ale wynajmie nam adwokata, więc licznik zaczyna stukać. Akurat tego nam potrzeba... Przemiejluję ci ten list. Nasze przyszły pocztą, więc twój pewnie też. Prawdopodobnie do Nowego Jorku. – Véronique bez trudu mogła sobie wyobrazić, co list zawiera, i była niespokojna. – Jutro mam się spotkać z tym prawnikiem – ciągnęła Timmie. – Juliette mówi, że ma jakieś spotkanie, którego nie może odwołać, z pośrednikiem od restauracji, a Joy dzień i noc jest zajęta przy tej telenoweli. Nigdy nie mogę jej złapać. Chyba śpi z tym swoim nowym menedżerem – powiedziała Timmie z irytacją, a Véronique się uśmiechnęła. Joy chyba naprawdę jest nim oczarowana.

– Chyba jesteśmy jednomyślnie w tej sprawie. Miejmy nadzieję, że to miły chłopak i porządny menedżer, a nie tylko leci na jej pieniądze.

– Joy jest za sprytna na takie coś. Ona nie traci pieniędzy na facetów. – W przeciwieństwie do Juliette, o czym obie dobrze wiedziały, ale żadna nie powiedziała tego na głos. – No i w ten sposób muszę iść na to spotkanie sama. Słowo daję, chętnie bym Bertiemu powyrywała nogi, wiadomo skąd.

– Cóż, z pewnością nie jest to dobry chłopak – rzekła Véronique ze smutkiem – ale mimo wszystko to wasz przyrodni brat. Miejmy nadzieję, że kiedyś zrozumie. – Véronique nigdy nie traciła nadziei. Timmie poddała się wiele lat temu, i tak samo Paul. Véronique wciąż usiłowała mieć na niego pozytywny wpływ, ale bezskutecznie. A teraz on je pozywa... Odebrało to wiarę również jej.

– On nigdy nic nie zrozumie, mamo. To kanciarz i złodziejaszek. – Véronique nie mogła zaprzeczyć, ale i tak było to przygnębiające. – Któregoś dnia wyładuje w więzieniu, co mu się od dawna należy. Tato też tak uważał.

– Dzięki Bogu, że tego nie zobaczy. Serce by mu pękło.

– Dobrze wiedział, co z Bertiego za ziółko. Właśnie dlatego go wydziedziczył. A tak w ogóle to chciałam, żebyś wiedziała, co się tutaj dzieje. Kiedy wracasz do domu? Potrzebujemy cię tutaj, mamo.

Zabrzmiało to dziecinnie i bezradnie, co było niepodobnie do Timmie. Zawsze była taka silna i twarda! Wydawała się niezwyciężona. Ale śmierć ojca podziałała na nie wszystkie. Tak jakby skruszyła się część fundamentu, na którym się wspierały, i teraz były niestabilne, niepewne siebie. Przypomniało to

Véronique, że i ona tak się czuła, kiedy umarł jej ojciec, i właśnie dlatego już po upływie roku wyszła za mąż za Paula. Nieważne ile mamy lat, utrata rodzica zawsze stawia nas twarzą w twarz ze śmiertelnością, własną i tych, których kochamy. Śmierć Paula stanowiła ogromną stratę, nawet jeśli nie spisywał się jako rodzic.

– Niedługo – obiecała mgliście Véronique. Nie miała żadnych planów, chciała być z Aidanem. Z westchnieniem odłożyła telefon. Aidan już nie spał i słyszał końcówkę rozmowy.

– Coś nie tak? – spytał z troską, widząc zmartwienie na jej twarzy.

– Tak. Nie... Było do przewidzenia, ale i tak to przykre. Mój pasierb żąda, żeby przesłuchano nas wszystkich w sprawach majątkowych, bo ojciec wydziedziczył go w testamencie. Wiedziałam, że tak będzie... Przykro powiedzieć, ale to nie jest dobry człowiek.

Aidan uśmiechnął się i ją pocałował.

– Znasz moją odpowiedź dla tego typu ludzi: spieprzaj.

Roześmiała się, ale wiedziała, że on mówi serio.

– Łatwiej powiedzieć, niż zrobić. Przez dwadzieścia lat starałam się, żeby rodzina trzymała się razem, pomimo rozwodu i dzieci z dwóch małżeństw, ale testament Paula położył kres tej fantazji. Wydziedziczył własnego syna, a obdarował dziecko z wolnego związku, o którego istnieniu nikt dotąd nie wiedział... To tyle, jeśli chodzi o moją fantazję. Tak czy owak, skoro nas pozywa, musimy w tym wszystkim wziąć udział, nawet pójść do sądu, jeśli będzie się upierał. Myślę, że to na razie taka sztuczka, żeby nas zaszantażować, ale amerykański system prawny to umożliwi, a nawet zachęca takich jak on, żeby występowali z podobnymi żądaniami. Będzie miał używanie, zanim się to wszystko skończy.

– Ma szanse na wygraną? – spytał Aidan.

– Wątpię. A dziewczyny nie pójdą z nim na ugodę. Wygrani będą tylko prawnicy. Obrona będzie nas kosztować majątek, a on pewnie dostanie prawnika z urzędu, tak że nie zapłaci nic, gdyby wygrał.

– Chory system – zauważył z niesmakiem Aidan.

Véronique popatrzyła na niego żałośnie.

– Dziewczyny chcą, żebym wróciła. Tak strasznie mi się nie chce rozstawać z tobą tak szybko.

– No to się nie rozstawaj. Są dorosłe. Pozwól im, żeby same to załatwiły. – Był wyraźnie rozczarowany tym, że chce go opuścić.

– Nie mogę im powiedzieć: spadajcie – rzekła łagodnie. – To moje dzieci, Aidan. Zresztą on pozywa i mnie. Prawdopodobnie powinnam wrócić do Nowego Jorku, spotkać się z prawnikami i zobaczyć, co się dzieje. Wynajmują adwokata i powinnam się z nim spotkać. Później mogę wrócić do Europy. – Nie zapraszała go

do Nowego Jorku, bo na razie wolą być z nim tam, gdzie nie ma córek, które by im przeszkadzały czy odkryły jego istnienie. Dowiedzą się później, w tej chwili jednak, kiedy wszystkie były przygnębione z powodu Paula, a teraz Bertiego, nie był to właściwy moment. I sam fakt, że w życiu matki jest jakiś mężczyzna, mógł się okazać dla córek szokujący. Nie miała w tej sprawie złudzeń. – Przyjedziesz do Paryża, jak wrócę?

Mogłoby być im tam wspaniale... Skinął głową, ale wyglądał jak porzucone dziecko. Lubiła w nim tę jego miękką stronę, kiedy nie było widać kolców jeżozwierz, które czasami wystawiał. Wyczuwała też, że w związku ze śmiercią matki, kiedy był jeszcze taki mały, ma kompleks porzucenia, choć od czasu, gdy powiedział jej o tym po raz pierwszy, nigdy więcej nie wrócił do tematu. Zanadto był bolesny.

– A jakbyś tak pojechała teraz ze mną do Londynu? – spytał, patrząc na nią błagalnie. – Będiesz mogła wylecieć stamtąd.

Pomyślała przez chwilę i skinęła głową, a on bardzo się ucieszył. Chciał jej pokazać swoje studio, mieszkanie i swój tamtejszy świat. Dotychczas tylko razem podróżowali, a on chciał ją wprowadzić w swoją codzienność. Ona ze swej strony też chętnie by go wprowadziła, tylko nie wiedziała jak. Mogła to zrobić wyłącznie w Paryżu, gdzie była sama. W Nowym Jorku z powodu dziewczyn byłoby znacznie trudniej, a poza tym w Paryżu miała pełną swobodę i mogła robić, co chce. W Nowym Jorku jej matczyna smycz była znacznie krótsza, czego on, nie mając własnych dzieci, nie był w stanie zrozumieć. Zawsze mógł robić, co chce. I uważał, że wracając, Véronique traktuje córki jak małe dzieci.

– Przecież to dorosłe kobiety. Pozwól im, żeby załatwiły to same – powtarzał podczas pakowania. Postanowili nie iść na kolację do Borchardta, gdzie serwowano kuchnię berlińską, tylko wyruszyć do Londynu jeszcze tego wieczoru. Jego sprawy w Berlinie były zakończone.

– To mój zawód, Aidan. Matką jest się całe życie, nawet jeśli dzieci są dorosłe. – Jego rodzice z pewnością tak tego nie widzieli i ta koncepcja była mu obca.

– Muszą stanąć na własnych nogach – twierdził niewzruszenie i szkolił ją w mówieniu „spieprzaj”, co stało się pomiędzy nimi często przywoływanym żartem. Na ogół jednak traktował to serio, ale po prostu nie było to w jej stylu.

Aidan zadzwonił do Karla, podziękował mu za wspaniałą wystawę i powiedział, że wyjeżdża. Karl obiecał być z nim w kontakcie, jeśli chodzi o kolejnych nabywców, pytania ze strony muzeów i w ogóle. A jego przedstawiciel nazajutrz po wernisażu wrócił do Nowego Jorku.

Ruszyli znajomym już austinem-healeyem i dojechali tej nocy do Antwerpii. Zatrzymali się w małym hoteliku, a rano wstali wcześniej, by kontynuować jazdę.

Nazajutrz, w drodze do Londynu, za kierownicą usiadła Véronique i z

przyjemnością przejęła prowadzenie. Dotarli do kanału La Manche w Coquelles, koło Calais, i na trzydzieści pięć minut jazdy „rurą” załadowali auto na pociąg. W pociągu zjedli śniadanie i właśnie kończyli, gdy dotarli do Folkestone. Tu znowu przesiedli się do austina i po dwóch godzinach byli w Londynie. Aidan mieszkał w Notting Hill, gdzie miał loft, zawalony sprzętem fotograficznym i skarbami, które przywoził z podróży. Od razu było widać, że to mieszkanie kawalera: porozrzucane po kanapie swetry, zero jedzenia w lodówce, łóżko nieposłane. Powiedział, że ma kobietę do sprzątanía, która przychodzi od czasu do czasu, ale zapomniał do niej zadzwonić. A jednak pomimo bałaganu w mieszkaniu było ciepło i przytulnie, a w jednym z rogów stał brzuchaty piecyk. Przyznał, że w zimie bywa tu bardzo chłodno, ale jemu to nie przeszkadza. Otoczenie też było przyjemne, co stwierdziła Veronique, gdy wyszli kupić coś do jedzenia. W domu nie było nic, nawet kawy. Ryba z frytkami, którą kupili, to danie, jak zgodnie stwierdzili, okropne, ale oboje za nim przepadali. Położyli je na gazecie, żeby wchłonęła nadmiar tłuszczu, posolili i skropili octem.

– Mmmm... Ale dobre – powiedziała Véronique, mrużąc z rozkoszą oczy, a on ze śmiechem strzelił jej fotkę. To, że przy nim była, sprawiało, że każde miejsce stawało się lepsze, i w łóżku powiedział jej, jak bardzo mu jej brakowało. Zgodziła się spędzić z nim w Londynie dwa dni, a potem, sądziła, musi jechać. W międzyczasie miała telefony od Juliette i Joy, które były równie złe i przygnębione jak Timmie z powodu procesu, którym groził im Bertie. Dzwoniła też, cała spanikowana, Elisabeth Marnier. Véronique uspokoiła ją, że najprawdopodobniej nic z tego nie wyjdzie i że pozycja Sophie jest niewzruszona, jako że ojciec uznał ją w testamencie za córkę. To tylko narzędzie, za pomocą którego Bertie usiłuje wydębić pieniądze, ale nie sądzi, by mu się udało. Obiecała Elisabeth, że będzie ją informowała na bieżąco z Nowego Jorku i poradziła, żeby się nie przejmowała. Po rozmowie z Véronique Elisabeth poczuła się lepiej, co obu im wydało się ironią. Koniec końców Paul pozostawił je, żeby zajmowały się sobą nawzajem i dziećmi, które z nim miały, a sam się zmył. Jakież to w jego stylu.

Przez najbliższe dwa dni Véronique była całkowicie skupiona na Aidanie. Odwiedzili Tate Modern, Muzeum Wiktorii i Alberta i wszystkie jego ulubione galerie. Spali w jego łóżku, przy czym przedtem Véronique pomogła mu sprzątnąć mieszkanie i zmienić pościel. Jednego wieczoru wspólnie przyrządzili kolację, a drugiego poszli do restauracji. Veronique chciała go zabrać do tutejszego Harry's Bar, w którym nadal miała członkostwo, aby porównać go z weneckim, ale w Londynie był to klub znacznie bardziej oficjalny, a żadne z nich nie miało ochoty się stroić. Chcieli po prostu cieszyć się własnym towarzystwem, korzystać z rozrywek i kochać się. Miała uczucie, że gromadzą ten wspólnie przeżyty czas na dni, kiedy będą samotni. Wiedziała, że będzie bardzo za nim tęsknić, i on powiedział to samo. Wydawało się takie naturalne, że dom i dzieci stały się dla niej

czymś odległym. Jej dom był teraz tam, gdzie Aidan.

W dniu, kiedy miała lot, przylepiła na łazienkowym lustrze karteczkę z napisem: „Kocham cię”, tak by znalazł ją później. Z trudem oderwali się od siebie na lotnisku.

– Niedługo wrócę. Obiecuję – szepnęła, gdy się całowali. Aidan już teraz wyglądał jak sierota. – Spotkamy się w Paryżu, najszybciej jak się da.

To będzie następny przystanek w tym wzajemnym poznawaniu swoich światów. Wszędzie poszło im dobrze, w Londynie tak samo jak w Wenecji, Florencji czy Berlinie. Czowała się z nim zupełnie swobodnie i bardzo polubiła jego mieszkanie. Miała nadzieję, że i on polubi jej, na Wyspie św. Ludwika w Paryżu... Ale już powiedział, że uwielbia Paryż, więc się nie denerwowała.

Na jego prośbę obiecała mu, że zadzwoni natychmiast po wylądowaniu, pocałowali się po raz ostatni pośród mrowiących się wokół ludzi i przeszła przez bramkę. A potem długo machała mu na pożegnanie, dopóki się nawzajem widzieli. I z ciężkim sercem, już teraz za nim tęskniąc, weszła na pokład nowojorskiego samolotu.

Rozdział 16

Kiedy Timmie wchodziła do kancelarii Arnolda Sandsa na spotkanie z prawnikiem, którego dla nich zatrudnił, nie wiedziała, czego się ma spodziewać. Wiedziała tylko, że nazywa się on Brian McCarthy, że skończył Harvard i że ma znakomitą opinię jako ktoś, kto wygrywa każdą sprawę. Arnold nie sądził, by sprawa Bertiego była trudna do wygrania. Przyznał, że zatrudnienie Briana McCarthy'ego to może być armata na muchę, liczył jednak, że jeśli to on będzie je reprezentował, wystraszy to prawnika Bertiego i być może nawet sprawi, że ten zrezygnuje ze swoich żądań. Zaangażował go w charakterze buldoga, a Timmie spodobała się myśl o odstraszeniu Bertiego i jego adwokata z urzędu. Jej zdaniem zasługiwali na to. O tak, niech rozpęta się nad nimi gniew bogów, niech krwawa będzie zemsta wszystkich czterech sióstr! Z tego co mówił Arnold, Brian McCarthy nadawał się do tej roli.

Kiedy weszła, już na nią czekał. Arnold uścisnął ją serdecznie i przedstawił jej Briana, który okazał się zupełnie inny, niż się spodziewała. Przypuszczała, że będzie trochę podobny do Arnolda, tymczasem przypominał raczej rozgrywającego zespołu Green Bay Packers albo taran bojowy, albo drzewo. Mierzył chyba ze dwa metry, bary wypełniłyby drzwi. Twarz miał przystojną, ale w zielonych jak jej oczach dziki błysk, tak jakby bójki barowe nie były dla niego czymś obcym – i ogień rude włosy. Wyglądał na Irlandczyka do szpiku kości. Arnold nie uznał za potrzebne powiedzieć jej, że Brian był kapitanem drużyny futbolowej w Harvardzie i że porzucił karierę w NFL, zawodowej lidze futbolu amerykańskiego, na rzecz prawa. Miał ciepły uśmiech, ale wyglądał na twardego niczym skała i Timmie była nieco zaskoczona, chociażby z racji jego rozmiarów. Był ogromny! Timmie też miała słuszny wzrost jak na dziewczynę, prawie metr osiemdziesiąt, ale przy nim czuła się jak karliczka. A ważył na pewno ponad setkę! Nie był gruby, był potężnie zbudowany. I z miejsca zaczął mówić o procesie jej brata, co o nim myśli i jak by postąpił. Timmie słuchała i uśmiechała się, rozbawiona.

– Czy to śmieszne? – spytał zaskoczony. Był szybki, ostry, bezpośredni i walił prosto z mostu.

– Przepraszam. Pomyślałam, że mój brat padnie na pana widok i będzie kwiczał jak prosiątko – powiedziała, delektując się tym obrazem, a on pokazał zęby w uśmiechu. Arnold uprzedził go, że Timmie może być trudną klientką, ale jak dotąd nic takiego nie zauważył. Prawdopodobnie była kobietą stanowczą, ale tego Brian się nie obawiał. Poradzi sobie.

– Mój braciszek jest jeszcze wyższy niż ja i gra w Lakersach, mogę przyprowadzić i jego, jeśli pani sobie życzy – zadrwił i wszyscy wybuchnęli śmiechem. – Przepraszam, po prostu nie mam szacunku dla gości takich jak pani

przyrodni brat, co to najpierw przepuszczą kasę, a potem próbują ją wydebić od kogo się da. Z tego, co mówił Arnold, to pani ojciec miał prawo wyłączyć go z testamentu. Miał dotąd mnóstwo szans. Nie musi szantażować sióstr.

Brian miał też świadomość, że w testamencie pojawiło się nieślubne dziecko ich ojca. Arnold powiedział mu, że był to ogromny szok, ale wygląda na to, że sprawa zostanie rozwiązana pokojowo. Véronique zadzwoniła do niego z Cap d'Antibes z wiadomością, że spotkanie z paniami Marnier poszło dobrze i że tak jak mówił detektyw, są bardzo miłe. Nie chcą żadnych kłopotów i wdzięczne są za to, co dostały. Véronique i jej córki miały szczęście. To Bertie był dla nich kością w gardle.

– Jak sprawić, żeby się poddał i zniknął z pola widzenia? – spytała Timmie. Najbardziej by chciała, żeby Bertie po prostu rozwiął się jak mgła. Brian nie sądził, by tak się stało. Dla Bertiego była to loteria i mogła mu się opłacić, o ile stchórzą i coś mu odpalą, co, jak Brian miał nadzieję, o której z miejsca ją powiadomił, nie nastąpi.

– Proszę się nie martwić, o tym nie ma mowy. Za cholerę – uspokoiła go Timmie.

– W porządku, a zatem tak mu powiemy. Przekonamy go, że wasze stanowisko jest niezmiennie i przypomnimy jego adwokatowi, że nie ma żadnych podstaw do takich oczekiwań. A jeśli nie ustąpi, to w sądzie spuścimy mu tęgie lanie. A sądzę, że nie ustąpi. To nie leży w zwyczaju takich gości jak on. Nie ma nic do stracenia, a wszystko do zyskania. Nie sądzę, że zechce pociągnąć to aż do rozprawy, ale zanim do niej dojdzie, będzie was nękał – zeznania, przesłuchania, sądowe raporty na temat stanu majątku i co tylko się da, i będzie was to kosztowało kupę pieniędzy i nerwów. A wszystko to obliczone na to, że dla świętego spokoju dacie mu kasę, byle się odczepił.

– Wykluczone – powiedziała Timmie, najwyraźniej z przekonaniem. Wierzył jej.

– A pani siostry? Czy nie będą skłonne pójść na ugodę? – chciał wiedzieć Brian. Co do Timmie, to widział już, że traktuje rzecz serio i jest niegłupia. Była też ładna, no ale to nie ma nic do rzeczy. Chodzi o sprawę.

– Joy nie pójdzie. Jest tego zdania co ja i tak samo nienawidzi Bertiego. Może nie aż tak jak ja, ale zgadza się ze mną. Juliette też, ale to rodzinny mięczak i czułe serduszko.

– Sądziłem, że jest pani pracownicą socjalną – zauważył z kąśliwym uśmiechem.

– A jakże, i najgorszym łobuzem w dzielnicy – powiedziała z dumą. – Własnoręcznie nogi bym mu z zadka powyrywała, gdybym mogła. – Był z nią otwarty i szczerzy, więc i ona nie wahała się zachowywać tak samo wobec niego. Reprezentował zupełnie inną rasę niż Arnold. Tamten był dystyngowany, grzeczny,

dżentelmen do szpiku kości, ten to zadymiarz.

– Proszę więc pozwolić, że powyrywam mu je w pani imieniu – rzekł Brian, starając się być szarmancki, gdy w rzeczywistości był po prostu brutalny.

– Od czego zaczynamy? – spytała, patrząc mu prosto w oczy.

– Odpowiemy na jego żądania w imieniu każdej z pań. A co z waszą matką? Co o tym myśli?

– Jest rozczarowana. Wychowywała Bertiego od ósmego roku życia. Jako ostatnia pozbyła się złudzeń co do niego, nawet ojciec machnął ręką wcześniej. Nie zamierza nic mu dawać. Wie, że to kanciarz, choć niechętnie to przyznaje.

Brian skinął głową.

– Żądają udostępnienia materiału dowodowego, więc damy im, czego chcą. Wszystkie papiery waszego ojca, raporty finansowe, wyciągi, wszystko co ma związek z księgowością, i tak samo jeśli chodzi o was i waszą matkę. Robią to wyłącznie po to, żeby nas zdenerwować, ale musimy się podporządkować.

– Poważnie? Dlaczego nie możemy tego po prostu zignorować, skoro te dokumenty nigdy prawdopodobnie nie trafią do sądu?

– Ponieważ mamy prawny obowiązek dać im wszystko, czego żądają. Mają prawo do tego, żeby przejrzeć waszą dokumentację finansową i sprawdzić, czy czegoś nie znajdą – wyjaśnił Brian McCarthy.

– Okej, no więc ja nie mam zamiaru – powiedziała z uporem. Brian popatrzył jej w oczy. Była twarda, tak jak ostrzegł go Arnold.

– Musi pani, panno Parker. Czy ma pani coś do ukrycia? – spytał otwarcie. Błysnęła wściekle oczami.

– Nie. Tylko nie mam czasu. Zajmuję się ludźmi, którzy umierają na ulicach i potrzebują dachu nad głową. Nie mogę tracić czasu na jakiegoś dupka, który chce wycygnąć ode mnie kasę.

– Nawet jeśli istotnie tak jest, to prawo jest w tej chwili po jego stronie. Ma prawo zażądać od nas przedłożenia wszelkiej dokumentacji finansowej dotyczącej wszystkich sześciorga osób, w tym majątku waszego ojca.

– Niech inni to robią. Ja nie mogę – zbyła go krótko. Zdumiał się.

– Mam wrażenie, że pani nie rozumie. To nie jest loteria. Każde z was musi przedłożyć swoje dokumenty majątkowe.

– Rozumiem. Ja nie przedłożę.

Brian spojrzał skonsternowany na Arnolda. Arnold, zakłopotany, spróbował wytłumaczyć to Timmie jeszcze raz, używając łagodniejszych określeń.

– Nie jestem głupia. Rozumiem. Powiedziałam: nie mam czasu. Nie mogę pokazać faka moim podopiecznym po to, żeby tygodniami przekopywać się przez jakieś tam dokumenty. Nawet nie wiem, czy je mam, a jeśli mam, to gdzie.

– No to proszę sprawdzić – powiedział Brian surowo. – Inaczej nie mogę pani reprezentować. – I wstał. – Ma pani swoje racje, ale ja nie zamierzam tracić

czasu na klientów, którzy nie chcą współpracować w zakresie najbardziej podstawowych zasad prawa. – I z ogniem w oczach zwrócił się do Arnolda: – Proszę mnie skreślić. Nie pracuję dla was.

– Robi pan z tego taką aferę, bo jest pan mężczyzną! – wybuchnęła Timmie. Brian spojrział na nią z gniewem.

– Żartuje pani? Oskarża mnie pani o seksizm, bo oczekuję, że będzie pani ze mną współpracować? Kim pani jest? Jakaś walcząca feministką? Proszę w takim razie zatrudnić kobietę, ale ona też będzie oczekiwała tego samego co ja. To jest prawo, a nie wojna płci!

Tama pękła. Problemy, jakie miała Timmie z mężczyznami, wylały się z niej gwałtownie niczym powódź.

– Faceci zawsze muszą udowodnić, że to oni dyktują zasady! Zawsze chcą o wszystkim decydować! To oni ci mówią, co masz robić! Albo cię zbajerują, tak żebyś sama tego chciała! – Jak jej ojciec... Ale nie powiedziała tego na głos. – Albo cię okłamują, albo śpią z twoją najlepszą przyjaciółką! – wyliczała.

Brianowi zrobiło się jej żal. Najwyraźniej klientka miała więcej problemów niż prawne żądania przyrodniego brata... Nagle zobaczył, że w tych płonących zielonych oczach jest nie tylko złość, ale i zranienie. Ściszył głos i zwrócił się do niej jeszcze raz.

– Powiem tak. Nie prześlę się z pani najlepszą przyjaciółką. I nie okłamię pani, bo nigdy nie kłamię, choćby nie wiem jak nie podobało się pani to, co mówię. A jeśli chodzi o kwestie prawne, to będzie pani robiła, co należy, przynajmniej w minimalnym zakresie, tak żebym nie wyszedł na głupka albo żeby nie pozbawiono mnie uprawnień. Jeśli wyrażam jakąś opinię czy radę, może się pani ze mną kłócić do woli. Jeśli chodzi o kwestie prawne, musimy się stosować do zasad. Co pani na to?

Popatrzyła mu w oczy długo, nieustraszenie, po czym skinęła głową.

– W porządku. Mogę to wytrzymać. – Brian nie był pewien, czy on może, ale się zgodził. Coś Arnoldowi zawdzięczał i ze względu na niego starał się nie zrażać. – Czy to wszystko? – spytała, wstając. – Muszę wracać do pracy, nie mogę stracić całego dnia na głupoty, które wymyśla mój brat. – Brian miał ochotę powiedzieć, że on też nie może, ale zmilczał. Uścisnęli sobie ręce i klientka wyszła.

– Chryste Panie. W coś ty mnie wrobił? – zwrócił się Brian do Arnolda. – Powinienem sobie policzyć podwójną stawkę – warknął, a Arnold się uśmiechnął. – O mało jej nie udusiłem, szlag by to... Mam nadzieję, że jej siostry nie są takie okropne?

– Timmie nie jest „okropna” – powiedział Arnold wyrozumiale, choć i on nie był zadowolony z przebiegu spotkania i z zachowania dziewczyny. – Ma swoje problemy z ojcem. Nigdy go przy nich nie było... Był strasznym egoistą i do tej pory nie może mu tego darować. Myślę też, że zaliczyła parę trudnych związków.

Typowe miłosne rozczarowania...

– Nic dziwnego. Odgryza facetom głowy czy tylko kasa? Co za sekutnica, psiakrew.

– Jej siostry są bardzo miłe, w każdym razie te dwie, które znam. Byłem świadkiem ich dorastania. A ich matka to anioł. Z nią nie będziesz miał najmniejszych problemów. Nic nie wiem o tej dziewczynie z Francji, ale spotkały się z nią w zeszłym tygodniu i słyszałem, że poszło doskonale. Ma jakoby być dość przyjemna. Wyzwaniem będzie tylko Timmie.

– Kiedy byłem obrońcą z urzędu, miałem raz faceta, który zastrzelił z samochodu trzydzieści jeden osób. Był sto razy sympatyczniejszy niż ona... Powinna chodzić w kagańcu i na smyczy.

– Z czasem się uspokoi – próbował dodać mu otuchy Arnold, ale sam nie był pewien, czy tak będzie. Brian wyszedł, umówiwszy się przedtem na przyszły tydzień z Juliette. Chciał się spotkać ze wszystkimi, żeby się zorientować, z kim ma do czynienia. Timmie, jak widać, to dość twardy orzech do zgryzienia, ale nie pozwoli, żeby wodziła go za nos. Miał już do czynienia z trudniejszymi klientami niż ona.

Timmie, wracając do pracy, była równie wzburzona. Nie przywykła do tego, żeby jakiś prawnik jej groził czy nią pomiatał. Brian McCarthy wydał jej się męskim szowinistą, a do tego miał nieszczęście być potężniejszą wersją jej byłego narzeczonego, który ją zdradził. Z miejsca dostrzegła to podobieństwo, tylko rude włosy się nie zgadzały. I tamten też grał w futbol w Harvardzie, tyle że nie był kapitanem drużyny, no i był młodszy, w jej wieku. Co do Briana, to przeczytała w Internecie, że ma trzydzieści dziewięć lat i jest w swojej firmie pełnoprawnym partnerem. Referencje miał znakomite, ale tak czy owak ona nie pozwoli sobie wcisnąć żadnego kitu, przez niego czy kogokolwiek. O nie.

To właśnie powiedziała matce, kiedy zadzwoniła do niej tego wieczoru. Véronique akurat wróciła. Była północ, a ona rozpakowywała się, myśląc o Aidanie. Strasznie za nim tęskniła. Zadzwoniła do niego natychmiast po wylądowaniu, tak jak obiecała, ale przez to tęskniła jeszcze bardziej.

Timmie nie spytała jej o lot ani nie wyraziła radości z powrotu matki. Od razu zaczęła perorę na temat spotkania z Brianem McCarthym.

– Nie podoba mi się ten gość – powiedziała, wściekła na nowo.

– Dlaczego? – spytała Véronique, usiłując się skupić na tym, co mówi córka, a nie na Aidanie. W głowie miała wyłącznie jego, poza tym była zmęczona lotem. Timmie o tym nie pomyślała.

– To przemocowiec i seksista. Nie mam zamiaru pozwolić, żeby mną pomiatał.

– A próbował? – Véronique była zaskoczona. Nie sądziła, żeby Arnold mógł zatrudnić kogoś takiego, ale z drugiej strony słyszała, jaka zdenerwowana była

Timmie. Na samo wspomnienie trzęsła się ze złości.

– Musimy ujawnić całą naszą dokumentację finansową. Bo tamci żądają. Nie mam czasu na takie głupoty, tylko dlatego, że Bertie jak zwykle usiłuje coś od nas wyłudzić.

– Liczyłam się z tym – powiedziała spokojnie Véronique. – Wszystkie będziemy musiały to zrobić.

– Ty nie pracujesz, mamó – podkreśliła Timmie. W jej głosie pojawiła się ostra nutka, której matka nie lubiła.

– Mimo wszystko musisz się podporządkować, Timmie – powiedziała stanowczo. – Czy to o to pokłóciłaś się z tym prawnikiem?

– Nie podoba mi się jego ton i styl. Choć w garniturze, wygląda jak dupek ze studenckiej korporacji, co to tylko piwko i dziewczynki. – Podobnie jak jej eks-narzeczony.

– Arnold twierdzi, że to znakomity prawnik – powiedziała Véronique ze znużeniem. Naprawdę nie miała ochoty wnikać w szczegóły sporu Timmie z adwokatem, bo wydał jej się seksistą i korporantem. Potrzebowały prawnika, który poprowadzi ich sprawę, a Arnold powiedział, że ten jest najlepszy.

– Po prostu trzymaj się od niego z daleka i rób to, co musisz – poradziła córce. Timmie ponarzekała jeszcze przez parę minut i wyraźnie w złym nastroju, zakończyła rozmowę. Matce jej reakcja wydała się przesadna. Podobnie sądziła i Juliette, gdyż Timmie poskarżyła się także jej.

Powrót Véronique do domu okazał się przygnębiający. W Londynie była teraz piąta rano, więc nie mogła zadzwonić po raz kolejny do Aidana. Nagle cały ten czas, który spędzili razem, wydał jej się nierealny. Może to był tylko szalony wakacyjny romans i nic poza tym? Rzym, Wenecja, Siena, Florencja, Antibes, Berlin, Londyn... Przemierzyli Europę, dokąd jednak udadzą się teraz? On miał ją odwiedzić w Paryżu, ona obiecała, że przyjedzie jeszcze raz do Londynu. A potem? Może on miał rację, kiedy z początku powiedział, że nie da się połączyć w jedno życia ich dwojga? Łączyło ich mnóstwo rzeczy – z wyjątkiem pochodzenia i wieku. Na ile jest to ważne? Nie wiedziała.

Położyła się do łóżka zmęczona i zniechęcona, i samotna jak nigdy. Miała wrażenie, jakby wszystko, co się zdarzyło, było tylko snem. Do tego ten wściekły telefon Timmie... Nie było to ciepłe powitanie w domowych pieleszach. Jak zwykle Timmie zapomniała spytać, jak matka się czuje i co robi. Nic dziwnego, że nie mówiła im o swoim życiu, pomyślała Véronique, odpływając w sen. Jej relacja z dziećmi najczęściej przypominała ulicę jednokierunkową: całe uczucie i wysiłek płynęły wyłącznie w jedną stronę, od niej do nich.

Rozdział 17

Véronique poleciła Arnoldowi, żeby przygotował papiery potrzebne do przekazania Juliette pieniędzy z jej osobistego majątku w ramach wypłacenia córce awansem części jej przyszłego udziału. Uzyskała podpisy pozostałych dziewcząt, tak żeby później nie mogły twierdzić, że o tym nie wiedziały czy że się sprzeciwiały. Gdy tylko Juliette otrzymała od matki pieniądze, wypłaciła siostrą uzgodnioną sumę. Taka sama kwota została przelana na konto Sophie Marnier w Nicei. Sophie była wniebowzięta, podobnie jak pozostałe dziewczyny. Teraz miały Sophie z głowy, jeśli chodzi o zamek, notabene ku jej wielkiej radości.

Juliette dostała też od matki dodatkową sumę z przeznaczeniem na remont i czekała na sprzedaż sklepu z kanapkami, co miało uzupełnić fundusze na ten cel. Timmie dodała otrzymane pieniądze do tego, co planowała wydać na schronisko i nadal rozglądała się za właściwym obiektem. A Joy dołożyła otrzymaną sumę do pieniędzy, które dał jej ojciec na karierę aktorską i na bieżące życie pomiędzy kolejnymi angażami.

Joy przyznała, że spotyka się z Ronem, swoim nowym menedżerem, i że za nim szaleje. Pomagał jej w sensie zawodowym, poza tym jednak, mówiła, jest dla niej niezwykle miły i widują się niemal co wieczór. Raz wreszcie jej mężczyzna mieszkał w tym samym mieście co ona, nie dzieliły ich ciągle podróże i kontynenty, co Véronique uważała za dobry znak. W wieku lat dwudziestu sześciu Joy po raz pierwszy była w związku, który zdawał się działać, chociaż nadal były to dopiero początki. Véronique miała nadzieję, że pozna jej partnera, Joy jednak powiedziała, że na razie nie wybierają się do Nowego Jorku. Pewne rzeczy nie uległy zmianie: Joy nadal trzymała się na dystans i była bardziej niezależna niż siostry, no i całe jej życie toczyło się w LA, a nie w Nowym Jorku. Ale był cieplejsza niż dawniej i sprawiała wrażenie szczęśliwszej, bardziej rozluźnionej.

Véronique zorganizowała spotkanie z Brianem McCarthym, żeby porozmawiać o procedurach, z udziałem Timmie i Juliette, i Timmie znowu się z nim pokłóciła. Bertie zażądał od nich zeznań pod przysięgą, a jego prawnik sporządził formalny wniosek w tej sprawie, wciąż po to, żeby je zdenerwować, i Timmie znowu powiedziała, że nie ma na to czasu, bo rozgląda się za budynkiem na schronisko. Véronique nie wierzyła własnym uszom. Że też córka potrafi być taka niegrzeczna dla kogoś i taka uparta! Brian się zaczerwienił, ale zachował spokój, a Véronique po wyjściu Timmie przeprosiła go za córkę. Zdażyła się już zorientować, na czym polega problem: Brian był jak skóra zdjęta z jej byłego narzeczonego, tylko wyższy od tamtego, i Timmie nie potrafiła ich we własnej głowie rozdzielić. No a poza tym była nieufna i niechętna wobec mężczyzn w ogóle.

Véronique wspomniała o tym podobieństwie, kiedy wieczorem tego dnia rozmawiała z córką o jej niestosownym zachowaniu. Timmie znowu się zezłościła.

– Nie bądź śmieszna. Nie ma między nimi żadnego podobieństwa. To jakaś psychoza. – Zbyt gwałtownie jednak zaprzeczała, by było to szczere.

– Ależ tak, jest – powiedziała z naciskiem Véronique. – Nie ma sensu, żebyś utrudniała nam wszystkim sprawę skądinąd i tak już trudną. Zatrudniłyśmy człowieka, żeby prowadził dla nas sprawę. Pozwól mu na to. Nie musisz go lubić, po prostu pozwól mu robić, co do niego należy. – Timmie zachowywała się na spotkaniu jak jędra, tak że Juliette przewracała tylko oczami i spoglądała na matkę znacząco. Jeśli Timmie coś ugryzło albo ktoś się jej nie spodobał, robiła się z niej megiera. Jak dotąd jednak Brian się nie zniechęcił, co po dzisiejszym występie Timmie Véronique uważała za cud. Z pewnością jednak ich sprawa nie była jego ulubioną.

Parę razy na dzień rozmawiała z Aidanem, który czuł się równie samotny i nieszczęśliwy jak ona. Po dwóch tygodniach w Nowym Jorku miała wrażenie, że siedzi tu już całe wieki.

– Kiedy ja cię wreszcie zobaczę? – pytał żałośnie. W Londynie panowała fala upałów i siedział w swoim łofcie tylko w spodenkach, niezdolny do jakiegokolwiek zajęcia. Był w depresji, i ona też. Zmęczyła ją walka o majątek i wojna, jaką toczyła Timmie z adwokatem. Miała wrażenie, że wsysa ją bagno.

– Nie wiem – odpowiadała przygnębiona.

– One nie są dziećmi, na litość boską. Dlaczego nie możesz po prostu wyjechać?

– Staram się im pomóc, a poza tym musimy wszystkie przedłożyć dokumentację majątkową. Timmie nienawidzi naszego adwokata, wypowiedziała mu wojnę. Drobną sprawą, ale dokłada się do i tak już gigantycznego zamętu.

– Dokłada się do tego, żebyśmy nie byli razem – powiedział ponuro. – Brak mi ciebie.

Aidan był zirytowany i zniecierpliwiony tym, że tyle czasu poświęca dzieciom, gdy one go dla niej praktycznie nie mają. Ten brak równowagi uderzył go od samego początku, a ona zdawała się tego nie dostrzegać albo jej to nie przeszkadzało. Przywykła do niesymetrycznej relacji, jaka łączyła ją z dziećmi

– Mnie też ciebie brak. Jeszcze ze dwa-trzy tygodnie i chyba będę mogła wyjechać do Paryża – obiecała. No, ale co potem? Nie potrafiła sięgnąć wzrokiem dalej niż najbliższa podróż. Czy może być dla nich coś więcej? On miał pracę zawodową w Londynie, ona różne obowiązki w Nowym Jorku i życiową odnogę w Paryżu, i trzy córki, które przez dwadzieścia dziewięć lat stanowiły cały jej świat. Przy tym pytanie, kto miałby się wpasować w czyje życie, nadal pozostawało otwarte. „Nie śpieszmy się, działajmy krok po kroku, zobaczymy” – próbowała mówić rozsądnie. Aidan znowu jeżył kolce. Starła się go uspokoić, dodać otuchy,

pilnując zarazem swoich nowojorskich obowiązków.

Minęły jeszcze dwa tygodnie rozmów na tematy prawne, spotkań z Brianem i dyskusji z Arnoldem na temat likwidacji majątku Paula. Wreszcie pod koniec września umówiła się z Juliette i Timmie na szybką kolację. Juliette była zmęczona próbami sprzedaży sklepu, nieskutecznymi jak dotąd. Timmie w każdej wolnej chwili szukała stosownego budynku i też jeszcze nie znalazła. Juliette powiedziała, że na weekend jedzie na Cape Cod, żeby złapać oddech, a Timmie dostała zaproszenie od kogoś z pracy na wybrzeże New Jersey. I nagle Véronique zdała sobie sprawę, że nie ma po co tu dłużej siedzieć. Córki nie miały dla niej czasu, miały własne życie i własne plany, a ona tkwi w Nowym Jorku na wszelki wypadek, bo a nuż będzie im potrzebna. Aidan miał rację, to bez sensu, one nie są dziećmi. Nie mogła się doczekać pory, kiedy Aidan się obudzi, żeby zadzwonić.

– Skończyłam. W każdym razie na tę chwilę. Nie mam po co tu dłużej siedzieć. Co robisz w weekend? Spotkajmy się w Paryżu. Masz czas?

– Czy mam czas?! Czekam na ciebie od miesiąca! Ruszaj tyłek i przyjeżdżaj. Kiedy możesz?

Pomyślała chwilę.

– Jutro. W ciągu dnia ogarnę sprawy i polecę nocnym. A ciebie kiedy tam zobaczę?

– Ja już tam będę! – zawołał uszczęśliwiony. Zaczynało mu się już wydawać, że wcale jej nie było i ich romansu także. I ona też miała takie uczucie. Tego wieczoru, po rozmowie z córkami, zdała sobie sprawę, że jej matkowanie to w dużym stopniu nawyk i że wcale im nie jest tak potrzebna, jak przywykła myśleć. Lubily wiedzieć, że matka jest w pobliżu na wypadek jakiegoś kłopotu. Poza tym jednak była dla nich reliktem przeszłości.

Radośnie podekscytowana, zaczęła się szykować do drogi. Dziewczyny nie dzwoniły, a ona dotąd nie powiedziała im, że zamierza wyjechać. Dopiero pod koniec dnia wysłała do obu SMS-a: „Jadę na jakiś czas do Paryża. Całuję, mama”. Były do tego przyzwyczajone i raczej nie robiło im to różnicy, zresztą zdążyła już dla nich załatwić większość prawnych detali. Esemesowała też do Briana i podała mu swój numer we Francji, na wypadek gdyby chciał się skontaktować w sprawach sądowych. I wreszcie, uśmiechnięta, wsiadła nocą na pokład samolotu. Nie mogła się już doczekać na spotkanie z Aidanem. Miał dotrzeć do Paryża na godzinę przed nią i poczekać na nią na lotnisku, a potem mieli razem pojechać do miasta. Z ekscytacją myślała o tym, że pokaże mu swoje mieszkanie na Wyspie św. Ludwika. Było dość wiernym odpowiednikiem jego loftu, w przeciwieństwie do rozległego nowojorskiego apartamentu na Piątej Alei, który był znacznie elegantszy i nie tak luzacki. Paryż to było miejsce, gdzie się relaksowała. Cudownie będzie robić to z nim!

Samolot przyleciał o czasie. Véronique wyszła jako druga i pośpieszyła do

kontroli celnej. Tym razem nie zamawiała asysty pracownika linii lotniczych. Chciała być z Aidanem sam na sam, kiedy się spotkają. Nie widzieli się prawie miesiąc! A wydawało się, że całe wieki.

Zobaczyła go natychmiast, zaledwie przeszła przez bramkę w hali lotniska Charlesa de Gaulle'a. W dzinsach i skórzanej czarnej kurtce, porwał ją w ramiona i zaczął całować. Stali tak, całując się, przez parę minut. Wreszcie wyszli z terminalu i wezwali taksówkę. Véronique, jako że w Paryżu miała garderobę pełną ubrań, zabrała ze sobą tylko jedną walizkę, a Aidan niedużą torbę i aparat fotograficzny. Miał zamiar robić w Paryżu zdjęcia, zwłaszcza jej.

– O Boże, jak dobrze znowu cię widzieć – powiedział, patrząc na nią z uśmiechem. – Już zaczynało mi się wydawać, że nigdy nie wrócisz i że sobie ciebie wymyśliłem.

– Mnie też – przyznała. Co ona robiła przez tyle czasu w Nowym Jorku? Nie mogła sobie już nawet przypomnieć, ale była stale zajęta, głównie majątkiem Paula. Strasznie pożerała też czas sprawa wytoczona przez Bertiego, gromadzenie materiałów, których okazania zażądał od nich wszystkich.

Jazda do miasta trwała pół godziny. Taksówka zatrzymała się nad Sekwaną, na Quai de Béthune; tuż obok płynęły powoli z nurtem rzeki wycieczkowe statki Bateaux Mouches. Aidan natychmiast chwycił aparat i pstryknął zdjęcie, po czym wszedł za nią do wiekowej kamienicy. Kiedy szli po schodach, Véronique wspomniała, że troszkę została wykiwana, bo budynek jest strasznie stary, ale za to ma znakomitą lokalizację. Szukała takiej przez kilka lat.

Kiedy weszli do mieszkania, okazało się, że podłogi są leciutko nachylone, a widok z okien typowo paryski, na rzekę i Lewy Brzeg.

Postawili bagaże. Aidan wziął ją w ramiona i stali tak dłuższą chwilę. Wąchał jej włosy, czuł dotyk jej policzka na swoim, wdychał jej urodę.

– Czy będę niegrzeczny, jeśli od razu zapytam, gdzie jest sypialnia? – spytał, szczerząc zęby w uśmiechu, a ona się roześmiała. Wskazała mu pokój, spoglądając na niego figlarnie, a on wziął ją na ręce i wniósł, a potem położył ostrożnie na łóżku. Usiadł obok i ją pocałował. I w chwilę później ubrania leżały już na podłodze, a ciała splotły się w uścisku, i cała ich samotność i smutek ostatnich tygodni rozplynęły się w miłosnym akcie. Był to cudowny powrót do domu dla nich obojga.

Gdy po dłuższym czasie znowu leżeli obok siebie, rozluźnieni, na jej wygodnym łóżku, Aidan podniósł głowę i rozejrzał się po pokoju. Był przytulny i swojski, i bardzo kobiecy z tym bladoniebieskim jedwabiem, ale podobało mu się to. Oprowadziła go potem po mieszkaniu i pokazała salon, studio, jadalnię i kuchnię, i dwa małe pokoje gościnne, w których spały dziewczyny, kiedy odwiedzały ją w Paryżu. Widział, że ona szalenie lubi to mieszkanie, było dla niej idealne, i on też dobrze się tu czuł.

Podczas kąpieli w antycznej wannie rozmawiali o tym, co będą robić. Chciała mu pokazać swoje ulubione miejsca i on też miał parę takich, gdzie chciał ją zaprowadzić. Poszli na spacer i zjedli lunch w knajpce na Place du Palais Bourbon, przespacerowali się wzdłuż Sekwany, wreszcie kupili na kolację butelkę wina, ser, salami i pasztet, żeby wieczorem zjeść w kuchni ze świeżą bagietką. Nagle wszystko, jej mieszkanie, otoczenie i całe bycie tu razem, stało się niezwykle romantyczne. Siedzieli na kanapie i jedząc, patrzyli na Sekwanę rozjaśnioną światłami sunących nią statków, a potem znowu wylądowali w łóżku, żeby się kochać. Wprost nie mógł oderwać od niej rąk, same mu się wyciągały, żeby ją przygarniać. Leżała potem, patrząc na niego, oczarowana, zdumiona, że miała takie szczęście. Zasnęli twardym snem, spleceni, tak jakby zawsze byli razem. Ich związek wydawał się odwieczny.

Nazajutrz było jeszcze lepiej. Poszli do Grand Palais, by obejrzeć wystawę, spędzili trochę czasu w Luwrze, przespacerowali się alejkami ogrodu Tuileries, po czym usiedli na ławeczce i długo rozmawiali. O miastach, które odwiedzili tego lata, o sobie, o odkrywaniu się nawzajem. A wieczorem poszli na kolację do Le Voltaire, jej ulubionego paryskiego bistro. Jedzenie było znakomite. Po kolacji, z dłonią w dłoni, ruszyli pieszo do domu, patrząc na rozświetloną katedrę Notre Dame.

– O czym myślisz? – spytał.

– O tym, jaka jestem z tobą szczęśliwa. Tak mi z tobą dobrze, Aidan. – Jemu też było z nią dobrze, była dostatecznie wrażliwa, by to czuć.

– Mówiłem ci. To przeznaczenie. Było nam pisane, żeby się spotkać. Mnie było pisane, żebym cię zobaczył w Rzymie i uratował cię spod kół ferrari, prowadzonego przez jakiegoś szalonego Ruska. A tak naprawdę to myślę, że sprawił to pocałunek pod Mostem Westchnień – powiedział z uśmiechem. Tak, to było niezapomniane lato, a teraz razem wkroczyli w jesień... Wrócili do domu, posiedzieli trochę w studio, rozmawiając, i poszli do łóżka.

Nazajutrz rano Véronique dostała telefon od dozorczy opiekującego się domem rodziców na Lewym Brzegu. Był jakiś problem z dachem i dozorca chciał, żeby go obejrzała i zdecydowała, czy wymienić go w całości, czy tylko załatać i poczekać kolejny rok. Po roku najprawdopodobniej znowu coś się popsuje. Przy śniadaniu, na które jedli croissantsy i białą kawę, powiedziała Aidanowi, że musi tam pojechać.

– Wciąż jeszcze trzymasz dom rodziców? – Spojrzał na nią zaskoczony. Mówiła mu o tym, ale zapomniał i zabrzmiało mu to dziwnie, bo przecież wiedział, że ojciec nie żyje od trzydziestu lat.

– Nigdy nie miałam serca, żeby go sprzedać. Wychowałam się tam, i z Paulem też tam z początku mieszkaliśmy, kiedy jeszcze dzieci były małe. Ale po rozwodzie przestałam z niego korzystać. Za wiele niewesołych wspomnień... Parę

lat temu, po przyjeździe do Paryża, myślałam, żeby w nim zamieszkać, ale potem znalazłam to mieszkanie, bardziej swobodne i wygodniejsze. I dziewczynom też się tu bardziej podoba.

– To czemu go nie sprzedasz, skoro nikt w nim nie mieszka? – Był zdumiony. Tyle było w jej życiu rozmaitych widm, reliktyw odległej przeszłości, i tyle z nich było dla niej bolesnych.

– Zbyt wyjątkowy jest, żeby go sprzedawać – odparła po prostu Véronique. – Moja matka odziedziczyła go po własnym ojcu. Umierając, przekazała go mojemu ojcu, a później przeszedł na mnie. Chyba trzymam go dla córek. Pewnie go sprzedadzą... Ja nie mam serca tego zrobić. To siedemnastowieczny budynek na Lewym Brzegu. Starszy niż zamek – uśmiechnęła się z lekką kpina. – I w lepszym stanie. Jestem lepszą właścicielką i gospodynią niż Paul.

Wciąż wydawała spore pieniądze na jego utrzymanie. W ciągu tych lat miała parę ofert kupna, przeważnie od bogatych Arabów, a raz od Amerykanina, ale nie chciała go sprzedawać i wątpiła, czy kiedykolwiek zechce.

– Chcesz go zobaczyć? – spytała, gdy skończyli śniadanie.

– Jasne. – Był zaintrygowany. Wyglądało, że to jakiś interesujący relikw odległej epoki.

Poszli pieszo. To było niedaleko Inwalidów, miejsca pochówku Napoleona, na Rue de Varenne. Minęli Muzeum Rodina i Matignon i przeszli ulicą jeszcze kawałek. Véronique wyjęła klucz, otworzyła ciężkie drzwi i przekroczywszy wysoki próg, weszli na elegancki dziedziniec. Z czterech stron otaczały go skrzydła budynku zbudowanego na planie kwadratu. Jedno skrzydło było dla dozorczy, w drugim znajdowało się obszerne pomieszczenie na powozy, a na wprost – okazały dom mieszkalny w nienaganej kondycji.

Aidan przystanął i spojrzął na Véronique. Zadzwonila do stróżówki i po chwili w drzwiach ukazał się mężczyzna, który serdecznie ją przywitał. Przedstawiła go Aidanowi i ruszyli w stronę części głównej. Schodki przed wejściem były bez jednej planki. Aidan miał wrażenie, że przyszedli do kogoś z wizytą, a nie że zwiedzają pusty, niezamieszkały dom. Ona też tak to zawsze czuła. Zbyt dobrze pamiętała rodziców w tym wnętrzu, a nawet Paula i własne dzieci.

Wzięła Aidana za rękę i gdy Luc, dozorca, otworzył im drzwi wejściowe, wprowadziła go do głównego holu. Był tu oryginalny siedemnastowieczny parkiet, kunsztowne sztukaterie i ogromny kandelabr, dla ochrony przed kurzem okryty pokrowcem. Wszystko było doskonale utrzymane i w nieskazitelnym stanie. Na ścianach lśniły kryształowe kinkiety, a wysokie stropy pomalowano w chmurki i aniołki. Przeszli przez niewielką bawialnię do rozległego salonu, z oknami wychodzącymi na wzorowo utrzymany ogród, pełen kwiatów i drzew tworzących schludny, regularny wzór. Była także oficjalna jadalnia, gdzie jej rodzice wydawali

przyjęcia, a nawet sala balowa, przypominająca Wersal.

Na piętrze znajdowały się niezliczone sypialnie, w tym należąca do rodziców, ich elegancka garderoba oraz pokój, w którym mieszkała jako dziecko. Była też biblioteka, nadal pełna książek. Wszystkie meble starannie okryto pokrowcami. Jedyne, czego brakowało, to obrazów na ścianach, bo Véronique już dawno je sprzedała lub zabrała do Nowego Jorku. Większość z nich kupił jeszcze jej dziadek. Były za to siedemnastowieczne malowidła ściennie, doskonale zachowane, a niektóre ze ścian zostały obite tkaninami. Niewątpliwie był to jeden z najładniejszych domów w Paryżu.

Odkąd weszli, Aidan nie powiedział ani słowa. Wreszcie usiedli w osobistej bawialni matki, z oknami wychodzącymi na roztaczający się w dole ogród. Véronique spojrzała na Aidana: był oszołomiony.

– Piękny dom, prawda? No to teraz widzisz, dlaczego go nie sprzedaję. Po prostu nie mogę. – Wciąż, mimo że od lat tu nie mieszkała, była szalenie przywiązana do niego i do wszystkiego, co sobą reprezentował: jej dzieciństwo, rodziców, jej małżeństwo, kawał jej życia. I on też dzięki tej wizycie zrozumiał parę rzeczy, które wcześniej nie były dla niego jasne. Teraz tak.

– To muzeum – powiedział ściszym głosem. Luc czekał dyskretnie na dole. – Nie potrafię sobie nawet wyobrazić, że tu mieszkam, jako dziecko czy jako dorosły. – W głowie mignął mu, niczym błysk pioruna, obraz rozwalającej się chatki, w której wyrastał. Ten kontrast uwydatniał wszelkie różnice pomiędzy nimi... Był wręcz porażony, kręciło mu się w głowie.

– To wyjątkowy dom – odparła po prostu. Nie żeby się chełpić, naprawdę patrzyła na ten obiekt jako na dom. I to mu powiedziało, kim ona jest. Poczul się znokautowany. Była taka skromna i bezpretensjonalna, że nigdy nie podejrzewał czegoś takiego jak to... I równie oczywiste było, że ona może sobie pozwolić na utrzymywanie tego domu. Każdy jego centymetr był pieczołowicie zadbany.

Sprowadziła go następnie na dół i wyszli z powrotem na dziedziniec, a Luc, wskazując na dach, wyjaśnił, na czym polega problem: zardzewiały rynny, a na mansardzie obluzowały się dachówki. Bał się, że zimą zacznie przeciekać, czego dotąd udawało się im uniknąć. Nie ukrywał jednak, że wymiana całego dachu będzie znacznie bardziej kosztowna niż drobne naprawy. Wysłuchała go i skinęła głową.

– Myślę, że trzeba zrobić całość – powiedziała stanowczo. Nie chciała narażać domu na ryzyko.

– Tak myślałem, że pani tak powie. Też jestem tego zdania. – Luc skinął głową. – Ale chciałem, żeby sama pani zdecydowała. To mnóstwo pieniędzy – dodał z westchnieniem.

– Remont domu też by dużo pochłonął – odparła. Luc także o tym wiedział, ale ilekroć się dało, próbował zaoszczędzić.

Później Véronique zaprowadziła Aidana do ogrodu, pełnego woni kwiatów i starannie zaaranżowanych klombów. Była tu stara huśtawka, na której huśtały się niegdyś jej dzieci. Raz jeszcze powiedli spojrzeniem po gąszczu zieleni i barw i ruszyli w stronę wyjścia. Podziękowali Lucowi i po paru minutach byli z powrotem na ulicy. Aidan wyglądał, jakby miał zemdleć. Myślała, że tak mu się spodobał dom i było jej przyjemnie. Stał jak wryty na chodniku na Rue de Varennes i wlepiał w nią oczy, jakby nigdy dotąd jej nie widział.

– Kim ty jesteś? – spytał z paniką w oczach.

– O co ci chodzi? – Nie zrozumiała pytania. Nie miało dla niej sensu.

– Właśnie o to. Kim ty jesteś, że wychowałeś się w takim domu i możesz sobie pozwolić na jego utrzymywanie w nieskończoność? Wiesz, gdzie ja się wychowałem, Véronique? W budzie, gdzie w jednym pomieszczeniu spali rodzice, a ja miałem materac na podłodze w drugim, i przeważnie nie mieliśmy co jeść, bo ojciec przepijał pieniądze na życie. Cały nasz dom był mniejszy niż jedna wasza łazienka! Co ty, do diabła, robisz przy mnie?

– Kocham cię. Przykro mi, że miałeś takie dzieciństwo – powiedziała z bólem w oczach. – I chodzi mi nie tylko o biedę... ale twój ojciec... śmierć twojej matki... Mnie też przydarzyły się w życiu smutne rzeczy. Nie chodzi o dom. Kocham ten dom, miałam szczęście, że tu mieszkałam, ale to nie zmienia faktu, że się kochamy. – W jej głosie brzmiała pewność.

– Nie należę do twojego świata – odparł ponuro. Ruszyli przed siebie ulicą. Aidan miał udręczony wygląd.

– Nie jesteś zakochany w świecie. Jesteś zakochany w kobiecie. A ja jestem zakochana w tobie. Wszystko mi jedno, czym się zajmujesz i co masz lub nie masz.

– Nie chcę od ciebie niczego! Rozumiesz to?! – Przystanął i wykrzyczał te słowa, nie wiedząc nawet, że ludzie patrzą.

– Wiem o tym – powiedziała cicho.

– Przez cały czas myślałem, że to twój były mąż miał pieniądze i że był dla ciebie hojny. A to twoje pieniądze, prawda? To wy wszyscy... ten dom... zamek... Czy on też był bogaty? – Aidan z trudem nad sobą panował, a ona wiedziała, że nie może zrobić nic, żeby go uspokoić. – Czemu mi nic nie mówiłaś?

– Uważałam, że będzie niegrzecznie mówić ci, że mam pieniądze. A odpowiadając na twoje pytanie: nie miał nic. I nie obchodziło mnie to. Fakt, później wyszło na jaw, że właśnie dlatego się ze mną ożenił. Nie miało to znaczenia. Kochałam go, mieliśmy troje dzieci. To nie pieniądze decydują o tym, kim jestem.

– Ależ tak, decydują! – ryknął. – Całe życie żyłaś właśnie tak, miałaś wszystko i nie miałaś pojęcia, jak żyją ludzie biedni!

– Czemu mnie za to karzesz? Jestem odpowiedzialna za to, co mam. Pomagam innym ludziom. Czy to moja wina, że moja rodzina była bogata? Czemu

mnie oskarżasz?

– Powinnaś była mi powiedzieć – warknął. Znowu podjęli marsz. – Nie, nic z tego nie będzie między nami. W tej sytuacji? Co twoje dzieci powiedzą? Że lecę na twoją kasę?

– Koniec końców rozumieją, że nie lecisz. A ja nie mam zamiaru rezygnować dla nich z naszej wspólnej przyszłości. One mają własne życie, a ja mam prawo do mojego. Jesteś dobrym człowiekiem, Aidan. Kocham cię. To nie w porządku karać mnie za to, że mam ten dom czy że mieszkałam w nim jako dziecko. Czy mogę stać się dobrym człowiekiem tylko wtedy, kiedy sypiam na podłodze albo głoduję? Dlaczego? Uważasz, że masz wyłączne prawo do szlachetności, bo żyłeś w nędzy, a ja jestem zła, bo moja rodzina miała pieniądze? Co to ma z nami wspólnego?

– Nie jesteś w stanie zrozumieć niczego, co mnie dotyczy – powiedział ze złością.

– W takim razie nie powinienesz być ratować mnie spod tego ferrari, skoro na to nie zasługuję. Ani śledzić mnie w Wenecji. Mamy prawo do bycia razem, o ile tego chcemy. Nie chodzi o to, czy się jest bogatym, czy biednym. Jeśli ludzie się kochają, tylko to się liczy, i w nosie mam, czy jako dziecko byłeś biedny, czy bogaty, przykro mi tylko, że było to dla ciebie bolesne. I tak samo jest mi obojętne, co masz czy nie masz teraz.

– Pewnie, że tak. Jesteś bogata. Dlaczego miałyby ci na tym zależeć? I tak masz wszystko. Wszystko, czego nienawidziłem przez całe życie.

– A jeśli się mylisz? A jeśli istnieją źli biedacy i dobrzy bogacze? To dopiero by była niespodzianka, prawda?

Nie odpowiedział. Szedł przed siebie wielkimi krokami, a ona dotrzymywała mu tempa. Dopiero gdy znaleźli się pod jej domem, spojrzał na nią żałośnie.

– Chcesz, żebym sobie poszedł?

– Oczywiście, że nie. To nie ja mam z tym problem. To ty go masz. Na litość boską, Aidan, wydorosłej! Okej, no więc mam pieniądze. I co z tego? A jak nie potrafisz mnie kochać pomimo moich pieniędzy, to spieprzaj.

Spojrzał na nią zdumiony i wybuchnął śmiechem.

– Nie wierzę własnym uszom. Powiedziałaś to? Jezu. Powiedziałaś to! Powiedziałaś, żebym spieprzał!

– Przepraszam, ale zasłużyłeś. – Wyglądała na zakłopotaną.

– Może i zasłużyłem. Ale musisz przyznać, że to szok jak cholera, zakochać się w kobiecie, o której myślisz, że jest umiarkowanie bogata, a potem odkryć, że jest właścicielką takiego domu i podarowała mężowi zamek, i Bóg wie co jeszcze... Pewnie mogłabyś kupić cały Paryż, gdybyś chciała!

– Niezupełnie.

– No, okej, nie byłem na to przygotowany. A ty byłaś tak pioruńsko

dyskretna... Nic nie wiedziałem, tyle że zatrzymujesz się w luksusowych hotelach. Ale podejrzewam, że robi tak wielu ludzi, z mniejszymi pieniędzmi niż twoje.

– Właśnie o to chodzi. O dyskrecję. Chcesz, żebym się zachowywała tak jak Nikolaï, nosiła złoty łańcuch i zegarek z diamentami i rozbijała się po morzach stu pięćdziesięciometrowym jachtem?

– Niech Bóg broni. A czemu byłaś taka bezwzględna dla swoich dzieci i kazałaś im zarabiać na życie, tak jakbyście byli bez grosza przy duszy?

– Bo nie chcę, żeby były rozpuszczone i leniwe. To, co odziedziczą kiedyś, to inna sprawa. W tej chwili chcę, żeby wszystkie miały zajęcie i solidnie pracowały, i żyły z tego, co zarabiają.

– Czy one wiedzą o tym wszystkim? – Zrobił nieokreślony gest w stronę domu na przeciwległym brzegu.

– Oczywiście.

– I że to twoje pieniądze, a nie ich ojca?

Skinęła głową.

– Nie robiłam z tego jakiejś sprawy, ale dotarło to do nich już dawno temu. Paul był bardzo zepsuty.

Aidan pokręcił głową. Weszli po kręconych schodach na piętro i Aidan opadł na kanapę w jej niewielkiej bawialni. Choć wygodna i z wdziękiem, była szalenie odległa od domu, który dopiero co obejrzeli. Véronique niezaprzeczalnie była niezwykle dyskretna co do swojego stanu posiadania, nie afiszowała się nim, nawet jeśli żyła na przyzwoitym poziomie.

– Muszę to przemyśleć – rzekł, starając się uspokoić. – Nigdy nie myślałem, że zwiążę się z kimś takim jak ty. Nigdy przedtem nie miałem takiego problemu. Cóż, w tej sytuacji wszystkie moje dotychczasowe teorie oczywiście biorą w łeb. – Kiwnęła głową, a on poszedł do kuchni i nalał sobie wina. – Niezły orzech do zgryzienia mam z tobą – poskarżył się.

– Ja z tobą też nie mam łatwo. – Popatrzyła na niego z całą miłością, jaką wobec niego czuła. – Kocham cię, Aidan. W dobrej doli i w złej, w bogactwie i w ubóstwie. Nie obchodzi mnie, co ma czy nie ma każde z nas.

– Naturalnie. To ja powinienem to powiedzieć. Muszę się nad tym wszystkim zastanowić. – Po czym nachylił się i pocałował ją mocno w usta, i zanim oboje zdążyli się zorientować, co się właściwie stało, już byli w łóżku i kochali się jeszcze namiętniej niż dotychczas. Było w tym szaleństwo i desperacja. Gdy leżeli potem wyczerpani, bez tchu, Véronique spojrzała na niego z uśmiechem.

– No, no... Jesteś jeszcze lepszy w łóżku, niż zanim się dowiedziałeś, jaka jestem bogata – zadrwiła, a on wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Och, spieprzaj – powiedział i znowu ją pocałował.

Rozdział 18

Véronique i Aidan spędzili w Paryżu dwa tygodnie. Po wstępnym szoku, wywołanym odkryciem, jaka jest bogata, Aidan powoli się uspokoił. Po paru dniach zaczął nawet przejawiać poczucie humoru na ten temat, co w oczach Véronique stanowiło dobry znak. Odkrycie wstrząsnęło nim, niemniej prawda była taka, że niczego to między nimi nie zmieniało, tak jak Véronique mu tłumaczyła.

Byli załamani, że muszą opuścić Paryż i się rozstać, ale prawnik Bertiego zażądał od niej złożenia zeznań pod przysięgą, miała też parę innych spraw do załatwienia i musiała wracać do Nowego Jorku. Obiecała, że za parę tygodni przyjedzie znowu. Obojgu wydawało się to wiecznością. Czas, jaki spędzali razem, był idyllą. Chodzili na długie spacerunki w Lasku Bulońskim i parku Bagatelle, odwiedzali wystawy, które mieli ochotę obejrzeć, bywali w hotelu Drouot na aukcjach, w które wprowadziła go ona, a on to bardzo polubił. Przyrzędzali kolacje, chodzili do restauracji, rozmawiali całymi godzinami albo kochali się i ucinali sobie drzemki. Zdarzyło się nawet, że Aidan czytał jej wiersze, po tym jak na jednym ze straganów nad Sekwaną znalazł tomik, który zawsze uwielbiał. Nie było pomiędzy nimi żadnych zgrzytów, pomimo różnic wieku i pochodzenia. Było to po prostu nieważne.

Wylecieli z lotniska de Gaulle'a równocześnie. Odprowadził ją do bramki i pocałował na pożegnanie, a gdy szła pasażerem do samolotu, długo machał jej ręką. Kiedy zniknęła, czuł się tak, jakby stracił najlepszego przyjaciela. Zadzwonił do niej na komórkę, zanim jeszcze samolot wystartował. Jedyne, czego pragnął, to żeby szybko wróciła, i obiecała mu to.

On miał w Londynie pracę – przygotowywał kolejną wystawę. A ona, zaledwie znalazła się w Nowym Jorku, wpadła w wir zajęć.

Drugiego dnia po powrocie zadzwoniła do niej Juliette. Sprzedała sklep z kanapkami i była w euforii. Teraz mogła wyjechać do Francji! Postanowiła, że zrobi to najpóźniej za tydzień, ale koniec końców zajęło jej to dwa. Joy przyleciała z Ronem na umówione przez niego spotkanie z firmą kosmetyczną, która chciała ją zaangażować jako twarz kampanii promocyjnej nowej linii produktów. Sprawa wyglądała na pewną i oboje byli szalenie podekscytowani, bo gdyby doszła do skutku, Joy dostałaby potężną kasę, a poza tym zwróciłoby to na nią uwagę i pomogło w dalszej karierze.

Joy przybyła wieczorem w przeddzień wylotu Juliette do Francji. Była to dla wszystkich trzech sióstr rzadka okazja, żeby zjeść razem kolację i zaprosiły Véronique, żeby do nich dołączyła. A Ron, cokolwiek nerwowo, zgodził się przed spotkaniem wypić z Véronique drinka, żeby się nawzajem poznać. Kiedy dotarli do niej wraz z Joy, Ronowi o mało oczy nie wypadły z orbit na widok zgromadzonych

tu dzieł sztuki.

– Jasny gwint... Czy to wszystko autentyki? – spytał szeptem, zanim Véronique weszła do pokoju. Joy z uśmiechem skinęła głową.

– Większość kupił mój pradziadek – odszepnęła. – Był marszandem, handlował dziełami sztuki.

Ron nie chciał nawet myśleć o fortunie, jaką warte są same obrazy. Weszła Véronique, w spodniach i prostym sweterku, uderzająco podobna do Joy. Uśmiechnęła się do wysokiego, przystojnego mężczyzny u boku jej córki. Ron spojrział z uwielbieniem na Joy, a potem z niepokojem na jej matkę. W tym eleganckim pokoju poczuł się nagle jak nieobyte dziecko.

– Bardzo się cieszę, że mogę pana poznać – powiedziała Véronique serdecznie i zaproponowała mu drinka. Miał ochotę na wódkę z lodem, ale pomyślał, że to nie wypada. Zawahał się.

– To może szampan?

Poprosiła go o pomoc w otworzeniu w kuchni butelki Cristalu. Nalała każdemu z nich kieliszek i przeszli z powrotem do salonu, by usiąść. Pochwaliła go za pomoc, jakiej udziela Joy w jej karierze, a Joy wyraźnie się wzruszyła – matka robi co może, żeby pomóc Ronowi się rozluźnić. Powoli trema mu przeszła. Zrozumiał, że ma do czynienia z sympatyczną kobietą, dbającą o najlepiej pojęte dobro córki. Przyznała, że przez kilka lat była niezadowolona, że Joy wybrała zawód aktorki, w końcu jednak zmieniła zdanie i była pod wrażeniem tego, co robił, by jej pomóc.

– A to dopiero początki – powiedziała, uśmiechając się do Joy. – Któregoś dnia Joy zostanie gwiazdą. Bardzo bym chciała, żeby dostała rolę, w której mogłaby wykorzystać także swój talent wokalny. A ta kampania promocyjna będzie znakomitą promocją także i dla niej. Cały kraj będzie przez rok oglądał jej twarz! – Miło jej było usłyszeć, że i Ron szanuje umiejętności wokalne Joy i uważa, że ma wspaniały głos.

Gawędzili przy szampanie przez godzinę i opróżnili całą butelkę. Ron wypił trzy kieliszki i gdy musiały iść na umówioną kolację, był już w Véronique zakochany. Na ulicy, gdy się żegnali, ucałował ją w oba policzki, a ona życzyła mu szczęścia na jutrzejszym spotkaniu. Wsiadły do taksówki, a on pomachał im na pożegnanie. Véronique zwróciła ku Joy uśmiechniętą twarz.

– Bardzo mi się podoba. Jest bystry, uczciwy, ma znakomite pomysły co do ciebie, no i wyraźnie oszalał na twoim punkcie.

Joy rozpromieniła się.

– Jesteś takim dobrym człowiekiem, mamó – powiedziała zdławionym ze wzruszenia głosem. Véronique ją uściskała.

– Ty też. Jestem z ciebie dumna.

– Dziękuję. – Joy miała łzy w oczach. Przez całą drogę do centrum trzymała

matkę za rękę. Była to rzadka chwila bliskości pomiędzy nimi, a Véronique miała nadzieję, że jest pierwszą z wielu następnych.

Były umówione z Juliette i Timmie w popularnym bistro Balthazar w SoHo, zamożnej postindustrialnej dzielnicy Manhattanu o tradycjach związanych ze sztuką awangardową. Kolacja była na cześć Juliette, która jutro odlatywała do Francji. Kiedy dotarła na ten babski bankiet, była cała podekscytowana. Uprzedzała Jean-Pierre'a Flariona o przyjeździe już chyba z pięć razy, ustalając zarazem, za którą część projektu wezmą się najpierw. Zamierzała też zobaczyć się z Elisabeth i Sophie – na weekend Sophie miała przyjechać z Grenoble do domu.

Timmie także była zadowolona – znalazła obiekt, który, być może, będzie się nadawał na schronisko. A Joy i Véronique wyglądały, jakby miały w zanadrzu jakiś sekret. Kiedy złożyły zamówienie, Véronique powiedziała, że właśnie poznała Rona i bardzo się jej spodobał. Timmie widziała się z nim poprzedniego wieczoru i też go polubiła.

– To dobry materiał na partnera – przytaknęła Véronique, a Joy się z nią zgodziła.

– Wszystkie wasze projekty są wspaniałe i wszystkie są na dobrej drodze – powiedziała Véronique z podziwem. – A ja chyba wrócę do malowania – dodała. Timmie się zdziwiła.

– Do malowania? Przecież nie malowałaś od lat. Dlaczego akurat teraz? – Zabrzmiało to tak, jakby matka powiedziała, że zamierza wykonywać taniec brzucha na marokańskim suku.

– A dlaczego nie? Mam do dyspozycji mnóstwo czasu. A tego lata widziałam we Włoszech tyle dzieł sztuki, że mnie to zainspirowało.

Dziewczyny nie podzielały jej entuzjazmu.

– To po prostu głupio wygląda zaczynać karierę w twoim wieku – ciągnęła Timmie. – Przecież nie jesteś w potrzebie. A jak zaczniesz przyjmować zamówienia na portrety, to będziesz uwiązana i ludzie będą ci mówili, co masz robić.

– To prawda. Ale myślę, że to by mi się podobało. – Wszystkie córki patrzyły na nią nierozumiejącym wzrokiem. Były podekscytowane tym, co robią, i ona też się cieszyła ze względu na nie, ale myśl, że i ona miałyby się czymś ekscytować, wydawała im się głupia. – A co waszym zdaniem powinnam robić?

– Podróżować od czasu do czasu, odpoczywać, odwiedzać znajomych – odparła Timmie, a Joy przytaknęła.

Wizja życia, jakie zdaniem córek powinna prowadzić w wieku pięćdziesięciu dwóch lat, wydała się Véronique potwornie nudna.

– Być przy nas, kiedy tego potrzebujemy – dodała Timmie. Nigdy dotąd córki nie stawiały tego tak otwarcie i bez ogródek, że ma nic nie robić, bo jej zasadniczą rolą jest czekać na ich wezwanie, kiedy będzie im potrzebna. Wieczna

matka na telefon, która poza tym nie ma żadnych spraw, zajęć, potrzeb.

– Wy już nie potrzebujecie mnie tak często – zwróciła im uwagę. – A ja potrzebuję robić coś więcej. Zastanawiam się nad tym od paru lat, odkąd stałyście się dorosłe. I tato w testamencie też mnie zachęcał, żebym wróciła do malowania. Prawdę mówiąc, Nikolaï poprosił mnie, żebym namalowała jego portret, kiedy będzie następnym razem w Nowym Jorku.

– Uważaj na niego – ostrzegła ją Joy ze śmiechem. – Wyglądało na to, że wpadłaś mu w oko, jak byliśmy u niego na jachcie.

– Nie sędzę – uśmiechnęła się Véronique. – Ale ciekawe będzie go malować. Ma niezwykle ekspresyjną twarz.

– I niezwykle imponujący jacht – dodała Joy. Po tamtej wizycie na jachcie rozmawiały o nim tygodniami.

– Dzięki Bogu, mamu, że nie musisz się o to martwić – powiedziała miło Juliette. – Nie potrzebujesz wychodzić znowu za mąż ani nawet się z nikim spotykać. Jesteś całkowicie samowystarczalna. – Chciała dobrze, ale dla Véronique zabrzmiało to przygnębiająco.

– Nie spotykałabym się z nikim ani nie wychodziłabym za mąż z potrzeby finansowej. Gdybym się z kimś spotykała albo z nim była, to tylko z miłości.

Dziewczyny najwyraźniej poczuły się niezręcznie.

– E, po co ci to – rzekła Timmie, oddalając pomysł, ale Véronique zdecydowała się pociągnąć temat.

– A gdybym chciała? Gdybym się w kimś zakochała?

Córki znowu wlepiły w nią oczy.

– Na przykład w Nikolaïu? – Joy była w szoku.

– Nie, nie w Nikolaïu. W kimś innym. Kimkolwiek. Co byście powiedziały?

– Powiedziałybyśmy, że oszalałaś – odparła bez namysłu Timmie. – Po co ci to zwracanie głowy? W twoim wieku? A poza tym dla kobiety w twoim wieku nie ma żadnych porządnych facetów. Wszyscy są żonaci. – Udało jej się za jednym zamachem zburzyć wszelkie nadzieje. – Nawet w moim wieku nie ma porządnych facetów, a co dopiero w twoim. Mamu, lepiej ci tak jak jest, naprawdę... No i przecież masz nas. – Powiedziała to z tak przejmującym naciskiem, że Véronique zaparło na chwilę dech. Ale było to też odkrycie.

– Mam was, ale wy macie swoje życie i swoje zajęcia, i tak powinno być. Jak często ze sobą rozmawiamy? Raz na tydzień? Raz na dziesięć dni? Wszystkie chcecie mieć życiowych partnerów, więc dlaczego ja mam go nie mieć? – Chciały, żeby była dla nich dostępna, ilekroć będą jej potrzebować, ale poza tym ma im nie zwracać głowy. I w ogóle im nie przeszkadzało, że jest samotna! W gruncie rzeczy tak właśnie im pasowało.

Spojrzały na nią, jakby straciła rozum, po czym Joy zmieniła temat i zaczęły rozmawiać o Ronie i o jutrzejszym spotkaniu w sprawie reklamy kosmetyków.

Juliette piała hymny na temat zamku, a Timmie mówiła o swoim schronisku dla bezdomnych. Ale myśl, że matka mogłaby mieć jakieś własne życie, jakiś projekt, że miałyby wrócić do malowania czy spotykać się z mężczyzną, była im kompletnie obca i wydawała się absurdem. Przez resztę życia miała być przykuta łańcuchem do ściany i czekać na nie... Uświadomiło jej to, że tak naprawdę nie jest dla nich człowiekiem, tylko rzeczą. Przedmiotem służącym do ich wygody. Biurem usług. Po powrocie do domu nadal o tym myślała. Jakież to smutne, poznać ich punkt widzenia... Jej szczęście czy dobrostan kompletnie ich nie interesowały!

Powiedziała o tym wszystkim Aidanowi, kiedy zadzwonił.

– Dzieci to niewdzięcznicy – skomentował. – Właśnie dlatego nigdy nie chciałem mieć dziecka. Jestem pewien, że nawet im w głowie nie zaświta, że może chciałabyś kogoś mieć, że nie chcesz przez całe życie być sama i że możesz być szczęśliwa z mężczyzną.

– Traktuj mnie, jakbym miała sto lat – poskarżyła się, zraniona tym, że tak dalece myślały tylko o sobie. Ona nieustannie martwiła się o to, żeby były szczęśliwe, a one mają w nosie jej szczęście.

– Nie – odparł Aidan rozsądnie. – One uważają, że jesteś ich matką, czyli istotą nadludzką, bez wieku i poza czasem, która nie ma żadnych własnych potrzeb. Myślą, że mogą cię wyjąć z szafy, kiedy potrzebują, żebyś je pocieszyła czy posprzątała bałagan, a jak sprawa jest załatwiona, odstawiają cię z powrotem na miejsce. Coś jak odkurzacz – powiedział, a ona się zaśmiała, wyobrażając sobie ten obraz.

– Dokładnie – zgodziła się. – Wiesz, słuchać tego, co mówiły... co za straszne uczucie. Im w ogóle na mnie nie zależy. W nosie mają, jak ja się czuję. Mają mnie za maszynę. Nawet nie chcą, żebym malowała, uważają, że to bez sensu, po co sobie zawracać głowę?

– Ja chcę, żebyś malowała. Uważam, że powinnaś wrócić do malowania portretów.

– Myśle o tym – powiedziała, ale nie wspomniała o Nikołaju. Zresztą nie miała pojęcia, czy rzeczywiście się odezwie, by kontynuować tamto zamówienie.

– Kiedy wracasz? – spytał tęsknie.

– Jeszcze nie wiem. Obie z Timmie mamy złożyć zeznania w związku z tą sprawą. – Parę dni temu, przed wyjazdem do Paryża, zeznawała Juliette i powiedziała, że to były okropne nudy. Od Joy, na żądanie Briana, mieli odebrać zeznania w Los Angeles. – Dopiero jak skończymy z zeznaniami, będę mogła powiedzieć coś o powrocie.

– Wróc niedługo, proszę. – W głosie miał smutek. Od tamtego wspólnego pobytu w Paryżu nie powracał do swoich skrupułów co do jej majątku. Miała nadzieję, że o nich zapomni albo się z czasem przyzwyczaił.

Po zakończeniu rozmowy dłuższy czas myślała o córkach i o tym, co

mówiły. Jak mogłaby teraz w ogóle wspomnieć o Aidanie, skoro uważały, że ona ma już kompletnie z górki, że nie ma co myśleć o randkach i do końca życia zostać sama? Nie wyobrażała sobie tego. Co ona ma z tym teraz zrobić? „Wiecie, a tak przy okazji... mam kochanka, młodszego o jedenaście lat, z którym nie wychodzimy z łóżka...”. Powiedzieć nie sposób, a utrzymywać wszystko w sekrecie też nie do przyjęcia. No, ale przecież dały jej bardzo jasno i wyraźnie do zrozumienia, że jej życie ich nie interesuje i w ogóle nie sądzą, że ona może potrzebować jakiegoś innego życia, jakiegoś zajęcia czy mężczyzny. Tylko podróże, znajomi i one. Wiedziały, że ją kochają, ale nigdy nie pomyślały o tym, co może być dobre dla niej, a jedynie o tym, co dla nich. Były w tym podobne do swojego ojca, który też całe życie miał na uwadze wyłącznie siebie i swoje potrzeby, swoje zachcianki. Sprzyjało to powstaniu między nimi relacji jednokierunkowej, czyli tego, czego właśnie chciała uniknąć – a jednak tak się stało. Jeśli się dowiedzą, że ona i Aidan się kochają... Na samą myśl ogarniało ją przerażenie. Ze smutkiem zdała sobie sprawę, że córki w ogóle jej nie znają i nie chcą znać. Podoba im się, że jest sama, bo dzięki temu mogą ją mieć na zawołanie. Tym większą poczuła wdzięczność dla losu, że ma Aidana. Gdyby nie on, gdyby miała tylko dzieci, marnie by z nią było... Aidan powiedział, że wszystkie dzieci są takie, ale nie była pewna.

Przesłuchanie Véronique w sprawie Bertiego przebiegało bez większych wrażeń, choć zdawało się nie mieć końca. Trwało pięć godzin, z krótką przerwą na lunch. Odbyło się w kancelarii Briana McCarthy’ego, w sali konferencyjnej. Stawił się też Arnold, by udzielić jej moralnego wsparcia, którego nie potrzebowała. Véronique była pod wielkim wrażeniem Briana i pomyślała, że to bardzo dobry prawnik. We właściwych momentach wnosił sprzeciw, wcześniej pouczył ją starannie, na jakie pytania nie odpowiadać i jak nie dać się wciągnąć w triki prawnika Bertiego. Była dobrze przygotowana. Zadawali jej mnóstwo pytań na tematy finansowe i jak powiedziała później Aidanowi, było to nudne.

Na tak samo monotonne i pozbawione wrażeń zapowiadało się i przesłuchanie Timmie. Brian przeskolił i ją, czego ma nie mówić i czego powinna się wystrzegać, Timmie przyszła jednak z określonym nastawieniem: jakie to dla niej niedogodne i nie w porę. W pracy miała mnóstwo zajęć, musiała odwołać spotkanie z agentem nieruchomości, z którym miała obejrzeć wybrany dom pod kątem złożenia oferty kupna. Prosiła Briana o zmianę terminu przesłuchania, a że powiedział, iż to niemożliwe, była na niego zła i spierała się z nim co do pytań, od których jego zdaniem należało się uchylać.

Prawniki Bertiego byli wobec niej o wiele bardziej napastliwi niż wobec Véronique i o wiele mniej uprzejmy, a Bertie siedział i przewiercał ją na wylot gniewnym spojrzeniem. Po godzinie Timmie gotowała się ze złości, a prawnik Bertiego celowo ją prowokował. Miała pretensje do Briana, że nie reaguje

dostatecznie szybko. Pod koniec Brian był wściekły, Timmie też, a zadowolony wydawał się tylko prawnik Bertiego. Natychmiast po zakończeniu Timmie niedwuznacznie dała Brianowi do zrozumienia, co myśli o jego postępowaniu i powiedziała, że całe to składanie zeznań to wyłącznie strata czasu. Brian, wzburzony, wypadł z sali, nawet się nie żegnając, a Timmie zrobiła to samo.

Wróciła do biura, dysząc gniewem, i zabrała się do pracy. W pewnej chwili zadzwonił służbowy telefon. Natychmiast rozpoznała w słuchawce głos Briana. Nie wierzyła własnym uszom. Po tym, jak spartaczył robotę, ma odwagę dzwonić?

– Chcę zawrzeć z panią umowę – powiedział. Miała ochotę odłożyć słuchawkę, ale wcześniej zadzwonił do niej Arnold z prośbą, żeby odpuściła, zanim Brian wycofa się ze sprawy. Potrzebowali go, mówił, Brian to najlepszy prawnik w mieście, nie powinna jeździć po nim jak po łysej kobyle. A teraz Brian sam do niej dzwoni?

– Jaką umowę? – spytała szorstko.

– Nie wiem, jaki pani ma ze mną problem, czy nie lubi pani mnie osobiście, czy przerzuca pani na mnie odpowiedzialność za to, że pani przyrodni brat jest skurczybykiem, czy może po prostu nienawidzi pani mężczyzn w ogóle. Albo może ma pani jakieś problemy z ojcem. Jeśli tak, to bardzo mi przykro. Niemniej albo sobie z tym poradzimy, albo się wycofuję. Chciałbym się przekonać, czy potrafimy jak dwoje ludzi cywilizowanych zjeść razem kolację i czy zdołamy wypracować przy tym jakieś pokojowe rozwiązanie. A jeśli po kolacji nadal będzie mnie pani nienawidzić tak jak poprzednio, rezygnuję z prowadzenia sprawy. Nie mogę się nią zajmować w takim klimacie jak dotąd, nie potrzebuję szarpać sobie nerwów, i pani też. A więc? Co pani na to? Wybór restauracji należy do pani. Może Twenty One?

Była to najlepsza restauracja w mieście, jej ulubiona.

– Co panu zależy, czy pana lubię, czy nie? – warknęła zaskoczona. Tak naprawdę chciała go nienawidzić, lubiła to. Dawało jej to okazję do wyładowania się.

– Jestem miłym facetem. Nie zasługuję na to. I nie potrzebuję tej sprawy. Przyjąłem ją ze względu na Arnolda, ale to przypadek do kitu. Nie sposób z tego wyciągnąć sensownych pieniędzy, a pani przyrodni brat to palant. Wszyscy o tym wiemy. Dług wdzięczności wobec Arnolda już spłaciłem i w tej chwili więcej z tym zwracania głowy, niżbym miał ochotę. Ale to nie w porządku, że jakiś gówniarz i jego obleśny prawnik wymachują wam szabelką przed nosem. Chciałbym wam pomóc, ale tylko pod warunkiem, że stanowimy zespół. Nie ma zespołu, nie ma sprawy, znikam. – Był wobec niej niezwykle szczery i mimo woli była pod wrażeniem.

– Przepraszam. Chyba mnie dziś poniosło. To była potworna strata czasu, zmarnowałam cały dzień. Moi podopieczni mnie potrzebują i mam parę innych

spraw do załatwienia. – Miała klientkę, którą po próbie samobójczej przyjęto niedawno do szpitala psychiatrycznego, i chciała ją odwiedzić.

– Ja też. A przesłuchania takie właśnie są. Strata czasu dla wszystkich. Przesłuchanie pani matki trwało jeszcze dłużej.

– Ona nie ma nic innego do roboty – powiedziała lekceważąco, co jego zdaniem nie było miłe. Była porażająco szczerą, a poza tym wyraźnie zła na cały świat.

– To co w sprawie kolacji? Idziemy? – Propozycja była uczciwa, choć nie miała pojęcia, dlaczego po wszystkim, co powiedziała, on ma jeszcze ochotę na kolację z nią.

– W porządku. Twenty One. Kiedy? – Nie zwracała sobie głowy podziękowaniem.

– Może jutro wieczorem?

Była wolna.

– Dobrze.

– A potem mogę zniknąć. Pani decyzja.

– Odważna decyzja – zauważyła odrobinę łagodniej.

– Jestem człowiekiem odważnym. Gorzej bywało. Nie obawiam się wyrzucenia z pracy. Zwłaszcza kiedy dostanę czek – roześmiał się.

– Wie pan co? Jeśli nadal będę pana nienawidzić, to ja zapłacę za kolację – zaproponowała.

– Nie taka była umowa – przypomniał jej. – Ja płacę, a pani mówi mi, czy chce, żebym zrezygnował. Bułka z masłem.

– To nie jest tak, że pana nienawidzę – powiedziała zakłopotana. – Po prostu się zdenerwowałam. Nienawidzę marnowania czasu. No i nienawidzę Bertiego.

– Zasługuje na to. Ja nie. Tak czy owak, w każdej sytuacji oboje będziemy wygrani. Jeśli zdecyduje się pani mnie zatrzymać, stworzymy drużynę. Jeśli zechce pani, żebym sobie poszedł, oszczędzimy energię, którą wydajemy na walkę, i możemy zostać życzliwymi znajomymi. Właściwie wszystko mi jedno, czy zostanę wyrzucony, czy nie. To dobra umowa. – I jakże twórcza propozycja. Była pod wrażeniem. – Chce pani, żebym panią podrzucił do domu? Gdzie pani mieszka?

– W centrum. Wezmę taksówkę.

Nie powiedział, że i on mieszka w centrum, w Tribeca. To, że chce dotrzeć do domu na własną rękę, zabrzmiało bardzo kategorycznie.

Nikomui nie powiedziała o zaproszeniu. Nazajutrz o wpół do ósmej, tak jak się umówili, stawiała się w Twenty One. Czekał przy barze, sącząc Krwawą Mary. Drink wyglądał dobrze i ona też taki zamówiła. Miała za sobą ciężki dzień, odwiedziła tamtą kobietę w szpitalu psychiatrycznym, a z samego rana dowiedziała się, że jeden z jej ulubionych klientów zabił się wczoraj wieczorem. Zabierali go z ulicy szereg razy, ale wciąż tam wracał. Tym razem znaleźli mu porządne lokum,

ale człowiek czuł się tak samotny, że się powiesił. Przez cały czas miała do czynienia z tragediami tego typu, ale tego człowieka szczególnie lubiła. Myślała nawet, żeby odwołać kolację, ale mimo wszystko zdecydowała się przyjść. Krwawa Mary troszeczkę jej pomogła.

– Ciężki dzień? – spytał Brian. Widział to w jej oczach.

– Bardzo – uśmiechnęła się, a kiedy usiedli przy stoliku, zdecydowała się mu o wszystkim opowiedzieć.

– Nie wiem, jak pani może robić to, co pani robi. Już moje zajęcie jest dostatecznie niewdzięczne. A moja matka jest psychiatrą i specjalizuje się w samobójstwach dzieci i młodzieży. Ja bym nie wytrzymał. A ona do tego jest bardzo pogodna.

– Jak to się stało, że wybrała taki zawód i taką specjalizację?

– Miała siostrę bliźniaczkę, która w wieku piętnastu lat popełniła samobójstwo. To jej sposób na wyrównanie rachunków. No a pani? Dlaczego właśnie bezdomni?

– Na studiach magisterskich miałam praktykę w schronisku dla bezdomnych i połknęłam haczyk.

– A gdzie pani studiowała? – spytał zadowolony. Wciąż usiłował zrozumieć, dlaczego ona ma w sobie tyle gniewu.

– W Princeton, a studia magisterskie w Columbii. A pan, jak wiem, skoczył Harvard – powiedziała z podziwem, odrobinę rozluźniona. Ewidentnie był facetem rozgarniętym.

– Bóg jeden wie, jak mi się to udało. Miałem marne oceny, dopiero kiedy zacząłem kurs prawa, zaczęło mi iść lepiej. Jedyne, na czym mi zależało, to sport. Studia to była cena za to, żeby móc grać w futbol. Parę lat trwało, zanim do mnie dotarło, że są jeszcze inne rzeczy na świecie – dziewczyny na przykład albo zajęcia, w których człowiekowi nie grozi, że go zdeptają na śmierć i w których może używać mózgu, na przykład prawo. Zawsze miałem fioła na punkcie sportu – wyznał. Niewątpliwie miał odpowiednie warunki fizyczne.

– I nadal pan gra? – Spojrzała na niego zaskoczona.

– Niezupełnie. Za futbol na studiach zapłaciłem kolanami. Teraz narty, tenis, ale rzadko. Brak czasu.

– Wiem coś o tym. Kiedyś miałam jakieś życie. Teraz pracuję po kilkanaście godzin na dobę. Nie mam czasu na głupstwa.

– Troszkę to niewesołe – powiedział ze współczuciem.

– Podobnie jak życie na ulicy. – I opowiedziała mu o schronisku, które chce otworzyć dzięki pieniądzom otrzymanym od ojca, i o domu, na który zwróciła uwagę, na West Side. – Być może przeznaczę go dla kobiet i dziewcząt – powiedziała z namysłem – ale jeszcze nie wiem. Kobiety po prostu nie są w stanie przetrwać na ulicy. To dla nich za trudne w sensie czysto fizycznym. Niektórzy

faceci mogą tak funkcjonować, jeśli im się pomaga, ale co do kobiet, to codziennie jestem świadkiem załamań.

Brian skinął głową. Najwyraźniej miała serce, ale grubo okręcone drutem kolczastym. Z zaskoczeniem stwierdził, że mimo woli ją lubi.

Rozmawiali o muzyce, sztuce, o tym, co lubią robić, kiedy zdarzy im się mieć wolny czas, i Timmie stopniowo się rozluźniała. Wyglądało na to, że on pracuje równie ciężko jak ona... A po paru kieliszkach wina wyznał, że rok temu zerwał z dziewczyną. Mieszkali razem przez pięć lat.

– Wyszła za mojego najlepszego kolegę ze studiów. Wygląda na to, że jest bardziej rozrywkowy i nie pracuje tyle co ja. Jest terapeutą manualnym, masuje i nastawia zawodników New York Mets. Dawał mi wejściówki na mecze, a ja je oddawałem jej. No i wyszło jak wyszło. Teraz znowu jestem solo, no i bardzo dobrze. Nie mam czasu na randki.

– Ja też – powiedziała Timmie zdecydowanie i znacznie się odprężyła. – Zerwałam zaręczyny dwa lata temu. Zdradził mnie, i poprzedni partner też mnie zdradził z moją najlepszą koleżanką. No i postanowiłam, że kończę z tym. Dwie nieudane akcje i wypadam z gry.

– Ale skąd. Trzeba wyrzucić złych zawodników i zaangażować innych. Czasem powinniśmy odświeżyć zespół, a nie rezygnować z gry. Wszyscy popełniamy błędy. – Uśmiechnął się do niej i zdał sobie sprawę, jaka jest ładna, kiedy się nie złości. Była piękną kobietą, aczkolwiek był pod wielkim urokiem jej matki, którą uważał za niezwykle atrakcyjną, a przy tym szalenie miłą osobę. Trudno uwierzyć, że są ze sobą spokrewnione... Tego jednak Timmie nie powiedział.

– Nie byłam na randce od dwóch lat – wyznała Timmie. – I nie tęsknię za tym.

– To nie ma sensu w pani wieku – zauważył, patrząc na nią. No, ale wyjaśniało to jej gniew... Zraniono ją i jeszcze nie wróciła do zdrowia. – Musi pani wrócić na boisko. – Zapłacił rachunek i uśmiechnął się. – No to jak? Mam się wycofać?

Też się uśmiechnęła.

– Było przyjemnie – powiedziała, patrząc milej niż przez cały wieczór.

– Mnie też. Ale to nie ma nic do rzeczy. Wyrzuca mnie pani?

– Chyba nie – odparła nieśmiało.

– To dobrze, bo tak czy owak chciałbym zaprosić panią na obiad jeszcze raz. Będziemy mogli popsioczyć, że tak ciężko pracujemy, i ponarzekać na zdrajców z przeszłości, przez których mamy teraz zero życia uczuciowego. – Wykrzywił się. – A tak na serio, to brzmi okropnie. Spróbujmy się odprężyć i znaleźć jakiś inny temat do rozmowy.

– Dziękuję za kolację – powiedziała, gdy wstali od stolika i szli ku wyjściu.

– Dziękuję za to, że mnie pani nie wyrzuciła. Podrzucić panią? Mieszkam w Tribeca.

Skinęła głową. W taksówce rozmawiali o bejsbolistach z Metz i o perspektywach drużyny w przyszłym roku. Przyjemny był z niego towarzysz, można było czuć się przy nim swobodnie. I miał rację: był miłym facetem. Ona też tak uważała. Kazał kierowcy zatrzymać się w West Village, po czym taksówka stała jeszcze przez parę minut, a oni rozmawiali.

– Ma pani psa? – spytał. Spojrzała zaskoczona i pokręciła głową.

– Ja też nie. Co za pech. Moglibyśmy razem wychodzić z psami na spacer.

Roześmiała się. Naprawdę miło spędzało się z nim czas.

– To był fajny wieczór – powiedziała z uśmiechem.

– Dla mnie też. A byłem pewny, że po kolacji mnie pani wyrzuci – wyszczerzył zęby w uśmiechu.

Odprowadził ją do drzwi, a potem wrócił do taksówki i pomachał jej na pożegnanie. Od lat nie spędziła tak miłego wieczoru... Idąc po schodach, uśmiechała się bezwiednie, podobnie jak on, kiedy wysiadł z taksówki w Tribeca. Wieczór dla obojga okazał się bejsbolowym home runem – emocjonującą, zakończoną sukcesem akcją.

Rozdział 19

Po wylądowaniu w Nicei Juliette wynajęła samochód i pojechała do St. Paul de Vence. Miała zamówiony pokój w miejscowym hotelu, a na najbliższą przyszłość zamierzała wynająć jakiś niewielki domek, gdzie mogłaby się zatrzymać, zanim zamek będzie się nadawał do zamieszkania. Pośrednik, który oceniał wartość zamku, już się za czymś dla niej rozglądał. Po drodze do hotelu zatrzymała się przed gabinetem Elisabeth; Sophie właśnie wysiadała z samochodu z zakupami spożywczymi.

– Jesteś! – rozpromieniła się na widok Juliette, jakby były starymi przyjaciółkami. Juliette uściśnęła ją serdecznie. Czuła się z nią dziwnie związana, tak jakby Sophie stanowiła jeszcze jedną więź łączącą ją z ojcem, dziedzictwo, które jej pozostawił

Weszły do małego domku pań Marnier. Elisabeth miło ją przywitała i przekonała, by została na kolację. Przyrządziła *pot au feu*, jednogarnkową potrawę z mięsa i jarzyn, którą Juliette uwielbiała. Sophie powiedziała, że jej matka robi najlepsze w miasteczku *hachis Parmentier* i *confit de canard*. *Hachis Parmentier*, tłuczone ziemniaki zapiekane z resztkami mielonego mięsa albo z kaczką, były fantastycznym daniem na zimowe wieczory.

Zjadły, gawędząc, po czym Juliette pożegnała się i pojechała do hotelu. Zmęczona lotem i wrażeniami, padła do łóżka i natychmiast zasnęła. Ale ten wieczór był bardzo miły dla wszystkich trzech kobiet. Sophie powiedziała z dumą, że za część pieniędzy, które otrzymała od Juliette jako jej udział w zamku, kupiła sobie nową garderobę na studia, Juliette zauważyła też, że mają nowe zasłony. Dzięki spłacie mogły sobie pozwolić na trochę przyjemności, na które nie stać ich było wcześniej, i zyskały poczucie bezpieczeństwa, którego im brakowało.

Nazajutrz Juliette zadzwoniła do Jean-Pierre'a i pojechała do jego pracowni, żeby popatrzeć na plany, które dla niej sporządzał. Kuchnię zaprojektował całkiem od nowa i – jak przysięgał – wcale nie będzie to takie drogie. Szafki mieli kupić w IKEA, a na podłogę wykorzystać drewno z rozbiórki starej stodoły. Kiedy już wszystko obejrzała i zaakceptowała, usiadł z powrotem na krześle i spojrzął na nią z uśmiechem.

– Obawiałem się, że się pani wycofa.

– Ależ skąd! – Zdumiona była, że coś takiego mogło mu przyjść do głowy. – Po prostu musiałam wszystko ogarnąć i sprzedać piekarnię. Dostałam za nią przyzwoitą kasę – przyznała z ulgą. – Sprzedałam też trochę starego wyposażenia, które trzymałam w magazynie. – Każdy grosz, który była w stanie uzyskać, przeznaczala na renowację zamku.

Zjedli razem lunch – znowu była to *socca* – po czym pojechali do zamku,

żeby skonfrontować plany z rzeczywistością. Jean-Pierre powiedział, że może zaczynać za tydzień. Dwa dni później zadzwonił pośrednik z wiadomością, że znalazł dla niej mały domek w Biot i że dopóki nie przeprowadzi się do zamku, może w nim zamieszkać za symboliczne pieniądze. Obejrzel go wspólnie z Jean-Pierre'em, który wyraził aprobatę. Sam mieszkał zaledwie o kilometr czy dwa od tego miejsca, a poza tym, jak powiedział, była to porządna okolica, gdzie będzie mogła czuć się bezpiecznie.

A w niedzielę wieczorem, przed wyjazdem Sophie do Grenoble, zabrała go na kolację do pań Marnier. Elisabeth przyrządziła swoje słynne *hachis Parmentier* i Jean-Pierre zjadł trzy dokładki, a Juliette dwie. Na pożegnanie mocno uścisnęła Sophie i powiedziała, że będą w kontakcie. Obiecały do siebie esemesować i mejlować.

– Fajne ma pani znajome – zauważył Jean-Pierre, odwożąc ją do domu. Zawahała się przez chwilę, po czym spojrzała na niego, nieco skrępowana.

– To nie są znajome. To moja siostra, a raczej siostra przyrodnia. Jej matka i mój ojciec... – zawiesiła głos, a on pokiwał ze zrozumieniem głową. – Nic o tym nie wiedziałam, dowiedziałam się dopiero po jego śmierci. Też uważam, że są fajne.

– To miłe, że może je pani tak odwiedzać – zauważył, a Juliette skinęła głową. Ona też tak uważała. – Tu się to często zdarza – skomentował. – Zawsze tak było. Dwór królewski pełen był nieślubnych dzieci, jak również rzekomych dzieci, które tak naprawdę były synem czy córką kogoś innego. Francuzi są skomplikowani – dodał z uśmiechem. – No, ale pani ojciec nie był Francuzem.

– Moja matka jest pół-Francuzką. Miała matkę Francuzkę. I dziadkowie ze strony matki też oczywiście byli Francuzami.

– A zatem i pani jest Francuzką – powiedział, patrząc na nią ciepło. – Mamy silne geny.

I niewątpliwie ciągnęło ją, żeby zamieszkać we Francji, choć nie wiedziała dlaczego. Jego to jednak cieszyło. Wysadził ją przed domkiem i powiedział, że zobaczą się nazajutrz. Był podekscytowany czekającą ich pracą przy zamku i tym, że pomoże jej zmienić go w hotel; wiedział przy tym, jak wiele znaczy to dla niej. To, że Juliette trafiła do St. Paul de Vence, wciąż wydawało mu się przeznaczeniem.

W dniu, kiedy Juliette wyjechała do Francji, Joy miała przesłuchanie w sprawie kampanii reklamowej kosmetyków. Po spotkaniu zadzwoniła do matki z wiadomością, że poszło jej całkiem dobrze. Miała nadzieję, że dostanie tę kampanię, a Ron wręcz twierdził, że na pewno. W czasie rozmowy wyglądała fantastycznie, mówił. Joy była szalenie podniecona nową perspektywą. Wieczorem mieli wracać do LA.

– Doskonale, to dajcie mi znać, kiedy coś będzie wiadomo – powiedziała

Véronique. Widziała, że Ron bardzo pomaga Joy w karierze i wspiera ją na co dzień. Joy wydawała się znacznie bardziej pewna siebie niż dotychczas, a on nie marnowałby jej czasu na rzeczy, które jego zdaniem nie przyniosą owoców. Agent dawał jej teraz o wiele więcej propozycji przesłuchań i castingów, a Ron chciał, żeby wybierała te, które jej odpowiadają. A gdyby dostała tę ogólnokrajową kampanię, zyskałaby fantastyczny rozgłos i być może byłby to punkt zwrotny w jej karierze.

Wciąż było jej przykro z powodu Bertiego i jego złości. Miała nadzieję, że mu to minie i że coś zrobi ze swoim życiem. Co do córek, to wszystkie zdawały się zmierzać we właściwym kierunku, każda na swój, ważny dla niej sposób.

Smutno jej było, że i Joy, i Juliette wyjechały z Nowego Jorku, ale nie wspominała o tym Aidanowi. I tak już uważał, że jest zanadto przywiązana do dzieci, biorąc pod uwagę ich wiek. I widać było, że one są do niej przywiązane znacznie mniej, co było normalne w ich wieku. Wciąż czuła się troszkę zraniona, że ich zdaniem po tylu latach przerwy nie ma co sobie zawracać głowy malowaniem i że mężczyźni to już nie dla niej. No, ale przecież miała Aidana, czy o tym wiedziały, czy nie, więc w sumie nie było to takie ważne.

A nazajutrz rano zadzwonił do niej Nikolaïj. Był w Nowym Jorku i chciał się z nią spotkać.

– Kiedy zaczynamy? – spytał swoim niskim głosem i topornym akcentem.

– Co zaczynamy?

Wiedziała, że nie chodzi mu o romans. Była dla niego o wiele za stara, biorąc pod uwagę dziewczyny, z którymi się spotykał, zwłaszcza tę, którą odesłał w Rzymie do sypialni.

– Zamówienie. Mój portret.

– Mówisz serio? – Była w szoku.

– Oczywiście. Zamówiłem u ciebie portret, wtedy jak byłaś z córkami u mnie na jachcie, na kolacji.

– Nikolaïj, ja nie malowałam od lat. Może ci się w ogóle nie spodobać.

– Mam do ciebie zaufanie. Kiedy zaczynamy? – powtórzył. A przecież nie miała nawet żadnych przyborów do malowania ani farb! – Mam czas jutro. Będę w Nowym Jorku przez cztery dni.

Myśli Véronique galopowały jak szalone.

– No dobrze. Zrobię ci trochę zdjęć i filmów wideo, i mogę dokończyć później. – Cztery dni wystarczą na wstępny szkic, a potem będzie mogła pracować we własnym rytmie. – W porządku. Przygotuję się. Czyli jutro o dziesiątej?

– Fantastycznie. A potem pójdziemy na lunch. Tak?

– Tak.

Zabrakło jej tchu. Nie do wiary... Właśnie się zgodziła namalować portret Nikolaïja! A jeśli już nie potrafi?

Pomknęła do sklepu z artykułami dla artystów, kupiła odpowiednie farby olejne, płótno, które jej zdaniem miało właściwe wymiary, sztalugę, terpentynę, pędzle – wszystkie akcesoria malarskiego rzemiosła, porzuconego dawno temu. Czowała się zardzewiała, denerwowała się... A kiedy przytargała to wszystko do domu i zaniosiła do kuchni, gdzie jej zdaniem było najlepsze światło, po czym przyciągnęła dla przyszłego modelu wygodny fotel, wydała się sobie głupia.

Tego wieczoru nie powiedziała o tym Aidanowi ani słowa, bo przecież chodziło o Nikołaja. Była jednak tak podekscytowana, że słyszał to w jej głosie.

– Oj, wygląda mi na to, że coś knujesz – oskarżył ją dobroduszenie, ale cieszył się, że nie jest w depresji po wyjeździe córek. Obu miała nie widzieć przez dłuższy czas, a co do Timmie, to wiedział, że się zanadto matką nie interesuje. Martwiło go, że Véronique jest taka samotna, kiedy nie są razem.

– A, troszkę się bawię przyborami do malowania – powiedziała ogólnikowo.
– Kupiłam sobie dziś rano.

– No i bardzo dobrze. Już czas. – Pracował przy organizacji kolejnej wystawy, więc i on był zajęty.

Poszła za jego radą, choć miała leciutkie poczucie winy, że nie powiedziała mu całej prawdy. Nazajutrz Nikołaj przyszedł punkt o dziesiątej. Ogarnął ją na powitanie niedźwiedzim uściskiem, po czym poczęstowała go kawą i usadziła w fotelu. Zaskoczona była, że szkicowanie idzie jej tak dobrze. Zrobiła też parę zdjęć i film wideo i poleciła, żeby podczas rozmowy poruszał się swobodnie we wszystkie strony, tak by mogła zobaczyć jego twarz pod różnymi kątami i wybrać ujęcie, które jej się najbardziej podoba. Zgodzili się na portret *en trois quatre*, Nikołaj zaakceptował też rozmiar. Powiedział, że dokładnie o to mu chodziło. Véronique nie posiadała się wprost ze zdumienia, że tak szybko ulotniło się jej zdenerwowanie, i zatopiła się w pracy. Naniosiła zarys twarzy na płótno, zrobiła też parę surowych szkiców na kartonie i pokazała mu, gdy skończyli sesję.

– Bardzo dobrze – powiedział, kiwając głową z aprobatą. Po czym poinformował ją, że na lunch zarezerwował stół w La Grenouille, jednej z najelegantszych restauracji w Nowym Jorku.

Umyła ręce i szybko przebrała się w elegancki czarny kostium od Chanel. Na dole czekał jego samochód. Przemknęli Piątą Aleją do Pięćdziesiątej Drugiej pomiędzy Piątą a Madison. Zjedli świetny lunch, gawędząc o sztuce, o jego portrecie i o jego wspaniałym jachcie. Niedługo miał lecieć w pewne miejsce na południowym Pacyfiku, gdzie trzymał inny, ale jak powiedział, znacznie mniejszy. Był niezwykle łatwy w kontakcie i przyjemnie się z nim rozmawiało. Po lunchu wrócili do domu i kontynuowali pracę nad szkicami i cyzelowaniem tego, co zrobiła rano. Start okazał się udany.

Nazajutrz rano przyszedł znowu. Véronique wciąż jeszcze nie powiedziała o nim Aidanowi, tylko tyle, że maluje i że jej się to podoba. Nie chciała, żeby mu

było przykro. Pracowali z Nikołajem trzy godziny, kolejnego dnia dwie, a ostatniego dnia miał dla niej tylko godzinę. Zdążyła jednak nagrać kolejne wideo i zrobić więcej zdjęć, tak że była zadowolona: miała wszystko, czego potrzebowała. Jego czas już nie był jej niezbędny.

– Powiesz mi, jak skończysz portret, a ja ci powiem, gdzie go wysłać. Sto tysięcy dolarów? – spytał, wyjmując książeczkę czekową. Momentalnie zaprotestowała.

– Nie, nie! Dziesięć. Pięć... Nie wygłupiaj się. I nie płac mi teraz. Najpierw sprawdź, czy ci się podoba. Jak skończę, przyślę ci fotkę.

– Dziesięć tysięcy to za mało – rzekł surowo. – Jesteś profesjonalną artystką, nie uliczną.

Zaśmiała się.

– To jeszcze zobaczymy. Może uznasz to za kicz.

– Nie sądzę – zaprzeczył, a przed wyjściem popatrzył na szkice jeszcze raz. – Bardzo mi się podobają.

– Dziękuję, Nikołaj.

Uściskał ją jeszcze raz i poszedł, a ona przez trzy kolejne dni pracowała z pasją, dopóki wspomnienie pozwania było świeże w jej umyśle. W jakiejś chwili spostrzegła, że nie ma ochry, która była potrzebna do podkładu. Zapomniała o tym kolorze – już od tak dawna nie malowała...

Pojechała do sklepu i kupiła ochrę i jeszcze jeden kolor, którego zawsze używała, by ocieplić tonację ciała, plus parę dodatkowych pędzli. Myśląc o portrecie, zeszła z krawężnika, by zatrzymać taksówkę. Kątem oka zarejestrowała, że coś przemyka obok niej z pełną szybkością i zanim zdążyła się zorientować, co się stało, potrącił ją kurier na rowerze. Poleciała w powietrze i upadła na chodnik, a nieco dalej paczka ze sprawunkami. Ktoś krzyknął. Taksówka z piskiem zahamowała, kierowca wyskoczył i rzucił się ku niej. Ktoś inny podniósł jej torebkę i sprawunki i położył obok niej. Véronique leżała na ziemi i patrzyła oszołomiona na kuriera i kierowcę taksówki. Czuła okropny ból w lewym ramieniu, ale nie wiedziała, dlaczego ją boli. Spróbowała wstać, ale nie mogła. Taksówkarz zorientował się, że jest ranna i powiedział do kogoś z tłumu gromadzących się gapiów, żeby zadzwonił pod 911. Kurier był w szoku.

– Nie zauważyłem, jak pani schodzi z krawężnika – tłumaczył się, ona jednak nie mogła się skupić na tym, co mówi. Taksówkarz powiedział, żeby nie próbowała wstawać, ale nie próbowała i tak. Miała wrażenie, że cała lewa strona ciała została strzaskana na milion kawałków. Po chwili usłyszała pulsujący sygnał pogotowia i poczuła, że kładą ją na nosze. Syreny zawyły jeszcze głośniejsze i pomknęły ulicami miasta. Ratownik tymczasem sprawdził jej ciśnienie i założył jej maskę tlenową.

– Wszystko będzie dobrze – rzekł pocieszająco, ale ona już zauważyła, że

ramię ma wykrzywione pod dziwnym kątem, stopę też, i wiedziała, że ma coś złamane. Wreszcie, śmiertelnie upokorzona, zwymiotowała.

Przewieziono ją do szpitala Lenox Hill i zaniesiono na izbę przyjęć. Ratownicy zabrali się za wypełnianie papierów, a pielęgniarka zaczęła jej zadawać niekończącą się listę pytań: o ubezpieczenie, o wiek, czy nosi protezy zębowe i okulary, o wyznanie, czy cierpi na jakieś uczulenia i czy przyjmuje na stałe jakieś leki.

– Chyba mam złamaną rękę – jęknęła. – Albo kark. Wszystko mnie boli...

Okryto ją ciepłym kocem i powiedziano, że zaraz przyjdzie lekarz. Przedtem nie chciano podawać jej znieczulenia. Leżała więc, cała obolała, i zastanawiała się, jak do tego doszło. Nie widziała tego chłopaka, dopiero gdy ją potrącił... Czuła się jak idiotka, miała mdłości i strasznie ją bolało.

– Czy chciałaby pani kogoś powiadomić? – spytała pielęgniarka. Pomyślała, że Aidana, ale zaraz uznała, że lepiej go nie straszyć. Potem przyszła jej na myśl Timmie, ale nie chciała jej sprawiać kłopotu, przecież dziewczyna jest zajęta, a zresztą, cóż takiego strasznego się stało? Nie umiera przecież, po prostu cierpi. Może złamała sobie nadgarstek?

Spróbowała się zdrzemnąć, bo może wtedy nie zwymiotuje jeszcze raz. Z drzemki wyrwał ją lekarz. Spytał, co się stało, po czym ją zbadał. Prześwietlono jej całą lewą stronę ciała i lekarz przekazał jej werdykt.

– Cóż, mogło być jeszcze gorzej – powiedział filozoficznie. – Mogła pani upaść na jezdnię i przejechałoby panią auto, albo uderzyć o chodnik głową. Ma pani złamaną kostkę i nadgarstek. Oba złamania są czyste, więc myślę, że obejdzie się bez gwoździ. Założymy pani gips i dostanie pani środki znieczulające. Za jakieś pięć tygodni wszystko powinno być w porządku. Mieszka pani sama?

Skinęła głową, oszołomiona z bólu i szoku.

– W takim razie zatrzymamy panią na parę dni. Będzie pani musiała poruszać się o kulach, co przy złamanym nadgarstku będzie trudne. – Upadek był silny, ale była praworęczna, więc da sobie radę. Może nawet zdoła malować?

Wkrótce potem przewieziono ją na salę operacyjną oddziału ortopedii, podłączono kroplówkę i podano środek nasenny. Kiedy się przebudziła, była w sali wybudzeń, a pielęgniarka w niebieskim kitelku i spodniach wołała ją po nazwisku i proponowała lodowe chipsy.

– Jak się pani czuje?

– W głowie mi się kręci – szepnęła Véronique, usiłując spać dalej, ale jej nie pozwolono. Pielęgniarka powiedziała, że jak będzie troszkę przytomniejsza, dadzą jej coś przeciwbólowego i przewiozą na salę. Wcześniej na izbie przyjęć dała im swoją kartę ubezpieczenia i powiedziano jej, że może dostać separatkę.

Przewieziono ją do niej dwie godziny później i podano środek przeciwbólowy. Leżała otumaniona. Wciąż powracała myśl, że to musiała być jej

wina, jak wtedy w Rzymie z tym ferrari, ale wiedziała, że ten przypadek był inny. Rowerzysta potrącił ją, zanim w ogóle do niej dotarło, co się dzieje. Chciała być w domu, skończyć portret Nikołaja, a nie leżeć tu półprzytomna i obolała...

Dopiero koło ósmej wieczorem rozjaśniło jej się w głowie. Ręka i kostka bolały jak cholera, ale nie chciała być wciąż na środkach znieczulających. Ostatecznie postanowiła też zadzwonić do Timmie i powiedzieć jej, co się stało. Natychmiast została przełączona na pocztę głosową, co z reguły oznaczało, że Timmie jeszcze pracuje. Nie chciała pozostawiać wiadomości i jej przerażać, esemesować też, i koniec końców postanowiła, że zadzwoni rano.

Zaproponowano jej środek znieczulający, po którym przespała parę godzin, ale o czwartej rano znowu obudził ją ból. Z pomocą personelu, mając do dyspozycji tylko jedną nogę i jedną rękę, pokuśtykała do toalety, co okazało się znacznie trudniejsze, niż oczekiwała. Leżała później, wyczerpana wysiłkiem, gdy wtem dotarło do niej, że w Londynie jest dziewiąta rano, więc może zadzwonić do Aidana. Odczekała jeszcze godzinę, starając się być dzielna, wreszcie wyjęła komórkę z torebki i wybrała jego numer. Kiedy odebrał, wyglądało na to, że jest w jakimś ruchliwym miejscu.

– Cześć, kochanie. Co tam? Jestem teraz na dworcu kolejowym, robię zdjęcia. Mogę oddzwonić za chwilę? – spytał wesoło.

Schrypniętym głosem odparła „tak” i to go zaalarmowało.

– Masz dziwny głos. Źle się czujesz? Gdzie jesteś?

Starła się nie rozplakać, ale tak ją, cholera, bolało.

– Miałam głupi wypadek – wybełkotała. Język miała jak z papieru ściernego i jakby o trzy rozmiary za duży: efekt leków.

– Jaki wypadek? – spytał gwałtownie. Momentalnie przypomniało mu się tamto ferrari.

– Nic takiego... to było idiotyczne... nie widziałam go... zatrzymywałam taksówkę przed sklepem plastycznym i potrącił mnie rower. Nie zauważyłam, że nadjeżdża – mówiła mętnie, jakby z trudem. Aidan wpadł w panikę.

– No i co? Wszystko dobrze? – Ale już wiedział z jej głosu, że nie jest dobrze.

– Mam złamany nadgarstek i kostkę. Ale złamania są czyste, więc nie jest źle. Mogło być gorzej. – I nagle wbrew woli się rozplakała. – Nic, nic... tylko tak cholernie boli – wykrztusiła. – Jutro będzie lepiej...

Nie był tego pewien. Dwa złamania to nie żarty...

– Jesteś w domu?

– Nie. Zostawili mnie w szpitalu. – To już lepiej, ale i tak przykre to, że nikogo przy niej nie ma.

– Dzwoniłaś do dziewczyn?

– Joy i Juliette wyjechały. Do LA i do Francji. Dzwoniłam do Timmie, ale

odezwała się poczta głosowa i nie chciałam jej straszyć wiadomością, że jestem w szpitalu. Taka jestem głupia...

– Nie jesteś głupia, aczkolwiek obniżasz loty. Potrącenie przez ferrari było o wiele bardziej szykowne – zadrwił, a ona się roześmiała. Już sama rozmowa z nim sprawiała, że czuła się lepiej. – Koniecznie zadzwoń do Timmie i powiedz jej, żeby ruszyła tyłek i przyszła. Z samego rana!

– Zadzwonię troszkę później. Nie chcę jej niepokoić o piątej rano.

– Obiecuj mi, że zadzwonisz. I powiedz, żeby ci dali coś na sen. Zadzwoń do mnie, jak się obudzisz. Aha, a w jakim szpitalu leżysz?

– Lenox Hill. Kocham cię – szepnęła. Jak dobrze było z nim porozmawiać...

– Ja ciebie też. A teraz postaraj się zasnąć.

Po rozmowie z nim poczuła się lepiej. Uczucie, że wszystko wymknęło jej się spod kontroli, złagodniało. Łyknęła kolejną tabletkę przeciwbólową i przespała parę godzin, a po obudzeniu znowu spróbowała zadzwonić do Timmie. I znowu włączyła się poczta głosowa. Zostawiła jej wiadomość z prośbą, żeby zadzwoniła, nie wspominając o wypadku, żeby jej nie denerwować. Zawsze uważała, że wobec dzieci musi być silna, nawet jeśli nie były już dziećmi i to one mogły być dla niej pomocne. Prawie nigdy nie prosiła ich o pomoc, nie mogła sobie przypomnieć, kiedy zdarzyło się to ostatni raz. Uznała, że musi być samowystarczalna i nie stanowić dla nich ciężaru.

Po chwili przyszła pielęgniarka i pokazała jej, jak poruszać się o kulach w sytuacji, gdy nie mogła wesprzeć się swobodnie na lewej ręce ani przenieść ciężaru ciała na lewą nogę. Było to trudne i kiedy dotarła do łóżka, w głowie jej się kręciło z wyczerpania. A Timmie wciąż nie oddzwaniała. Zadzwoił za to Aidan.

– Jak się czujesz? – spytał zatroskany. Ale głos miała lepszy niż w nocy i była wyraźnie przytomniejsza.

– Dobrze. Nadal mnie bolą te głupie kończyny i trudno mi chodzić o kulach ze złamanym nadgarstkiem, ale radzę sobie. – Jak dotąd to nawet do toalety nie była w stanie dojść samodzielnie, ale o tym mu nie powiedziała. Stanie na jednej nodze i podciąganie majtek jedną ręką to była czysta żonglerka, ale będzie musiała się tego nauczyć. Opowiedziała mu o tym z humorem, ale w rzeczywistości nie było to śmieszne.

– Rozmawiałas już z Timmie? – spytał z naciskiem.

– Nie, jeszcze nie. Pewnie jest zajęta. Jak zobaczy, że dzwoniłam, to oddzwoni.

– Na litość boską, czy nie możesz do niej zadzwonić i zostawić wiadomości, że jesteś w szpitalu? Przynajmniej przyjdzie i ci pomoże! Przysięgnij, że zadzwonisz!

Pogadali jeszcze parę minut. Véronique obiecała, że za parę godzin znowu do Timmie zadzwoni. Była wyczerpana i wciąż jeszcze dosyć ją bolało.

Timmie zauważyła, że matka dzwoniła dwa razy i odsłuchiwała jej wiadomość, ale od wczorajszego wieczoru sama borykała się z kryzysem. Jedną z jej podopiecznych została pobita przez swojego chłopaka- narkomana. Kiedy zadzwoniła z ulicy, Timmie zaraz do niej pojechała i odwiozła ją do szpitala, dała znać na policję, po czym pojechała do schroniska, gdzie mieszkali, i załatwiła opiekę zastępczą dla dzieci. Zajęło jej to całe popołudnie, a gdy wróciła do biura, czekali już na nią inni potrzebujący. Chciała pojechać jeszcze raz do szpitala i odwiedzić pobitą, która była w stanie krytycznym, zawieszona między życiem a śmiercią, a oprócz tego miała ważne zebranie zespołu na temat źródeł finansowania, i jako kierowniczka działu musiała nie tylko być obecna, ale i je poprowadzić. Był to jeden z tych dni, kiedy miała uczucie, że za chwilę się rozerwie, a każda sprawa, którą musiała załatwić, wydawała się najważniejsza. Wiedziała, że tego dnia nie da rady oddzwonić, i wysłała matce SMS-a: „Jestem b. zajęta. Wieczorem mam ważne spotkanie. Zadzwonię jutro. Przepraszam”. Trudno było wytłumaczyć to dokładniej SMS-em, a sądziła, że matka jak zwykle chce po prostu pogadać i podtrzymać kontakt.

Kiedy Véronique zobaczyła SMS-a, uznała, że nie będzie Timmie zawracać głowy. I tak niewiele by jej pomogła, a skoro miała wieczorem ważne spotkanie, to przyjść tak czy owak nie mogła, więc nie było sensu jej denerwować.

Przez parę godzin drzemała, po czym znowu zadzwonił Aidan.

– Dzwoniła?

– Przysłała mi SMS-a. Jest zajęta, wieczorem ma ważne spotkanie. Nie chcę jej przeszkadzać. Przecież mam tu opiekę. – Problem będzie dopiero, kiedy ją odeślą do domu, i nawet sobie nie umiała wyobrazić, jak to będzie. Dzwoniła do Carminy i powiadomiła ją, gdzie jest, ale Carmina nie mogła z nią zamieszkać, miała dzieci i nikogo do pomocy, kto zostałby z nimi na noc. Sugerowała, żeby Véronique zamówiła sobie pielęgniarkę, ale ona nie chciała. To tylko kostka i nadgarstek, nie miała złamanej nogi ani operacji serca, nie chciała robić zamieszania.

– Guzik mnie obchodzi jej ważne spotkanie! Powiedz jej, że jesteś w szpitalu – nalegał. – Przecież po to ma się dzieci! Po co inaczej zawracać sobie nimi głowę?

Coś w tym było... I pod wpływem jego nalegań w końcu wysłała Timmie SMS-a:

„Miałam wczoraj głupi wypadek. Złamanie lewego nadgarstka i kostki. Niedługo porozmawiamy. Całuję, mama”. – Nie chciała wywierać na nią żadnego nacisku ani zabierać jej uwagi, ale przynajmniej córka znała teraz fakty.

Tym razem Timmie odpowiedziała błyskawicznie: „Dzięki Bogu, że tylko lewy nadgarstek. Jestem dziś totalnie zarżnięta. Zadzwonię jutro, całuję, T.”

Timmie jęknęła, kiedy zobaczyła matczyne SMS-a. Tylko tego jej brakowało! Utyskującej inwalidki, którą trzeba będzie się zajmować! Miała na

głowie kolejne kryzysowe sytuacje zagrażające życiu jej podopiecznych, no a od złamanego nadgarstka przecież się nie umiera. Czy matka spadła z jakichś schodów, czy jak? Jakkolwiek jednak do tego doszło, nie mogła się tym teraz zajmować.

Aidan był zły, kiedy podczas kolejnej rozmowy Véronique mu o tym powiedziała.

– Jak ona może? A inne córki? Czy one dzwonią do ciebie tylko jak czegoś potrzebują? Kiedy jesteśmy razem, to dzwonią non stop z prośbami o radę czy pomoc!

– Nie ma sensu dzwonić do Joy w LA ani do Juliette we Francji. I tak nic by dla mnie nie mogły zrobić. A ja jestem dorosła, powinnam umieć sama sobie radzić.

– I radzisz sobie, a jakże. Najpierw o mało cię nie przejechało ferrari, a teraz rower. Nie mogę cię na pięć minut zostawić samej... Szlag by to, jestem wściekły na twoją córkę. Powinna była zadzwonić! W nosie mam, czy jest zajęta, to jakieś bzdury!

Véronique też nie była zachwycona, ale brała rzeczywistość taką, jaka jest. Timmie nie była typem opiekunki gotowej rzucić wszystko, by pielęgnować matkę, a w pracy miała do czynienia z bardzo napiętymi sytuacjami. Juliette przybiegłaby natychmiast, ale była o pięć tysięcy kilometrów stąd. Denerwowanie jej przez telefon nie miałyby sensu. Véronique potrzebowała kogoś, kto jej pomoże podciągnąć majtki czy się ubrać, a nie współczucia przez telefon, choć bardzo lubiła rozmawiać z Aidanem. To ona była w rodzinie od czuwania, pielęgnowania i dopieszczania, a nie jej dzieci. Żadna z córek nie miała nigdy do tego okazji, wobec niej czy kogokolwiek, jako że żadna nie miała męża ani dzieci. Swojego ojca też nie doglądały po udarze.

– Jak ty będziesz sobie radzić po powrocie do domu? – spytał Aidan z troską.

– Zobaczę. Przecież nie straciłam ręki ani nogi, mam tylko nosić gips przez pięć tygodni.

– Pięć tygodni? To jak ty sobie, do diabła, dasz radę?

– Będę skakać na jednej nodze i posługiwać się prawą ręką.

– Może Timmie z tobą zamieszka? Albo chociaż pomoże ci po pracy?

– Mogę ją spytać, ale wątpię. Jest strasznie zajęta.

Aidan tego nie skomentował. A że wkrótce poznał po głosie Véronique, że jest zmęczona i nie czuje się zręcznie, powiedział, żeby się przespała.

Do końca dnia na przemian drzemiała i oglądała telewizję. Lekarz odłożył wypisanie jej ze szpitala do pojutrze, tak żeby poczuła się pewniej na kulach. Uważał, że jeden dzień więcej będzie miał znaczenie.

Wieczorem Aidan już nie zadzwonił i Timmie też nie. Véronique wzięła pigułkę nasenną i spała jak zabita aż do siódmej rano, kiedy obudził ją telefon

Timmie. Była już w pracy, od szóstej. Nie mogła spać – jej podopieczna, która była w szpitalu, umarła o północy, a pielęgniarki zadzwoniły, żeby jej o tym powiedzieć. Teraz, rozmawiając z matką, wciąż była przybita, ale głos miała niemal normalny, tyle że zmęczony.

– Przepraszam, mamó, że nie zadzwoniłam wczoraj. Miałam niezły cyrk. To jak, do licha, do tego doszło? – Starła się skoncentrować na niezbyt ważnym wypadku matki, a nie na tragicznej śmierci swojej podopiecznej. Dziewczyna miała dwadzieścia trzy lata i troje dzieci... Co z nimi teraz będzie? Matka nie żyje, ojciec w więzieniu... Przedwczoraj go aresztowano, a teraz zostanie oskarżony o morderstwo, więc pójdzie siedzieć. A dzieci zostaną w rodzinie zastępczej albo pójdą do domu dziecka...

– Potrącił mnie rowerzysta, kurier – powiedziała Veronique, czując się znowu jak idiotka.

– Chryste, dobrze, że cię nie zabił. Wiem, że to brzmi okropnie, ale po prostu nie mogę dziś przyjść do siebie. Za dużo tego wszystkiego na raz. – Na dodatek chciała odwiedzić dzieci swojej nieżyjącej podopiecznej w domu zastępczym. – Czy Carmina się tobą opiekuje? – spytała nieco protekcjonalnie. Problemy, z jakimi ona musiała się borykać, były o wiele większe i bardziej przerażające.

– Jestem w szpitalu, w Lenox Hill – wyjaśniła Véronique zmieszana. – Uczę się obsługiwać kulami.

– To dobrze, przynajmniej jesteś tam bezpieczna. Wpadnę jutro, obiecuję. – W głosie Timmie była ulga. Matka jest w szpitalu, a więc jest bezpieczna, zaopiekowana, nie potrzebuje jej pomocy.

– Jutro mnie chyba wypiszą.

– To dobrze. Przyjdę w weekend, na pewno.

Véronique skinęła głową i zła na siebie samą poczuła, że łzy napływają jej do oczu. Jakoś tak myślała, że kiedy Timmie się dowie, że jest w szpitalu, to ją odwiedzi. Ale była zbyt zajęta... Po zakończeniu rozmowy Véronique leżała i gapiała się w okno z uczuciem, że nikomu na niej nie zależy. Chciała już iść do domu, nawet jeśli miałyby się zabić w łazience. W szpitalu było gorzej.

Łzy płynęły jej jeszcze po policzkach, gdy do separatki wszedł lekarz w chirurgicznym czepku, masce i granatowym stroju chirurga i podszedł do łóżka, żeby ją zbadać. Pomyślała, że pewnie wyszedł z sali operacyjnej. Czekala, ciekawa, co powie, bo dotąd jedyne, o co ją pytano, to czy była w toalecie i jak sobie radzi z kulami. Doktor spojrział na nią i oznajmił, że przykro mu, ale postanowili amputować jej rękę i nogę... Véronique wlepiła w niego przerażone oczy – i po chwili zaczęła się śmiać.

– A niechże pana licho weźmie! Prawie że panu uwierzyłam!

Lekarz tymczasem zdjął maskę i pocałował ją w usta. To był Aidan...

– Skąd się tu wziąłeś?! – wykrzyknęła. – Och, kochany... Jak to dobrze, że

przyjechałeś! Dziękuję, dziękuję! – Nigdy w życiu czyjś widok nie sprawił jej takiej radości.

– Wspomniałaś, że nie jesteś w stanie sama podciągnąć majtek i prawdę mówiąc, to właśnie zwróciło moją uwagę. Pomyślałem, że jedynie słuszną rzeczą będzie, jeśli wpadnę i ci w tym pomogę, choć znacznie lepiej idzie mi ich ściąganie – mówił, zdejmując chirurgiczny czepek i zrzucając lekarski kitel i spodnie. Véronique śmiała się, uszczęśliwiona. – No i, skoro twoje ohydne dzieci nie zajmują się tobą jak należy, pomyślałem, że ja to zrobię. Włożyłbym nawet kostium pielęgniarki, ale wyglądałem w nim, cholera jasna, jak facet przebrany za kobietę.

Usiadł w fotelu przy jej łóżku i pełne miłości spojrzenie, jakie wymienili, warte było tego wszystkiego, co przeszła.

– Kiedy wracasz do domu? – zapytał.

– Jutro. Ale muszę poćwiczyć chodzenie o kulach.

Podzieliła się z nim śniadaniem, kiedy je przyniesiono, po czym powiedziała, żeby poszedł do jej mieszkania i się urządził. Miała być Carmina, ale niezależnie od tego dała mu własne klucze. Poleciała, żeby zamieszkał w jej sypialni. Wkrótce poszedł, żeby wziąć kąpiel po nocnym locie. Véronique zadzwoniła do Carminy i uprzedziła ją, że Aidan przyjdzie, nie dodając żadnych wyjaśnień.

Po dotarciu na miejsce zadzwonił.

– W porządku, tym razem nie będę wydziwiał. Pomyślałem tylko, że cię o coś spytam. Czy słusznie zakładam, że ten Renoir i Degas, i wszystkie te śliczne obrazki, które masz w całym mieszkaniu, to autentyki i należały do twojego dziadka? Mam rację?

– Tak – odparła cichutko, licząc, że nie wpadnie znowu w panikę. – Czy to dobrze?

– Nie, to jest okropne, i pomyślałem, że powinnaś je sprzedać. Kobieto, toż to muzeum. Nadal nie mam pojęcia, co ty przy mnie robisz. A tak przy okazji – rzekł srogo – co ten portret robi w twojej kuchni?

I dopiero teraz Véronique sobie uprzytomniła, że wychodząc po farby, zostawiła w kuchni na sztalugach rozpoczęty portret Nikołaja.

– To zamówienie. Zaoferował mi za ten portret sto tysięcy dolarów.

– To bierz – odparł, ale nie wydawał się zadowolony. Nadal był o Nikołaja zazdrosny.

– Targowałam się i opuściłam cenę do pięciu albo dziesięciu tysięcy – powiedziała ze śmiechem, wciąż lekko zakłopotana, że nie powiedziała Aidanowi wcześniej.

– Prawdziwa z ciebie bizneswoman. Powinienem być na ciebie zły, że mi nie powiedziałaś, ale skoro jesteś inwalidką, przymknę oko. Tylko nie rób tego na drugi raz!

– Dobrze. Ale to naprawdę nieszkodliwe. To tylko zamówienie.

– Mam wielką i nieposkromioną nadzieję. Gdyby to było coś więcej, musiałbym go zastrzelić. – Żartował, ale słyszała w jego głosie, że jest zdenerwowany, bardziej z powodu portretu niż kolekcji sztuki. Dom, który widział w Paryżu, przygotował go dostatecznie. – A swoją drogą, twoje paryskie mieszkanie bardziej mi się podoba – dodał. – Jest bardziej na ludzką miarę i weselsze. To jest dla mnie odrobinę za poważne. Niemniej dzieła sztuki są fantastyczne.

Kiedy je oglądał, Carmina zerkała na niego podejrzliwie. Nie miała pojęcia, kim on jest. Może to złodziej dzieł sztuki? No, ale Véronique dała mu wolną rękę, no i postawił swoje bagaże w sypialni, co wiele mówiło.

– Niedługo będę z powrotem – powiedział. – Przynieść ci coś?

– Tylko siebie. Rzeczy będę potrzebowała jutro przy wypisie, bo dzinsy mi rozciągli, kiedy mnie przyjmowali. Ale nad tym się zastanowimy wieczorem.

– Zaraz będę – obiecał i pół godziny później ukazał się w drzwiach separatki z wielkim bukietem kwiatów i ogromnym balonem w kształcie misia – żeby ją rozweselić. Miś-balon, kupiony w szpitalnym kiosku z upominkami, trzymał niebieski banerek z napisem: „To chłopiec!”. Véronique wybuchnęła śmiechem.

– Strasznie ci dziękuję, że przyjechałeś – powtórzyła po raz kolejny i pocałowali się. Pocałunek trwał dłuższą chwilę i wtedy weszła pielęgniarka.

– O, widzę, że dziś jest pani znacznie weselsza – skomentowała z uśmiechem. – Jak pani idzie z tymi kulami?

Nie ćwiczyła ostatnio, teraz więc Aidan wraz z pielęgniarką próbowali jej pomóc uzyskać właściwy chwyt, ale z gipsem i bolącym nadgarstkiem nie było to łatwe. Pielęgniarka sugerowała też, żeby zabrała do domu wózek inwalidzki – będzie bezpieczniejszy, jeśli zechce wyjść na dwór.

– Czuję się, jakbym miała sto lat – sarknęła Véronique, zła, ale i tak wyraźnie była w lepszym stanie, niż Aidan się obawiał. Przez telefon sprawiała okropne wrażenie.

Spędził z nią cały dzień, w końcu jednak dała o sobie znać różnica czasu. Véronique posunęła się w łóżku, on położył się obok niej i zasnął, a ona jeszcze przez jakiś czas czytała pismo, które przyniosła jej pielęgniarka. O szóstej rano spał spokojnie z głową na jej ramieniu, gdy do pokoju weszła Timmie. Wyglądała niemal jak własna matka, tak była zmęczona. Obie miały podkrążone oczy.

Timmie wytrzeszczyła oczy na Aidana.

– Kto to jest? – spytała z urazą.

– Znajomy z Londynu. Przyleciał, żeby mnie odwiedzić. – Véronique starała się mówić spokojniej, niż się czuła. Miała wrażenie, że jest nastolatką, którą matka przyłapała, jak całuje się z chłopakiem.

– Co on robi w twoim łóżku? – Timmie była w szoku. Nie miała pojęcia,

kim jest ten człowiek ani dlaczego śpi tak głęboko w łóżku matki.

– Śpi. Niedawno przyleciał.

– Co to jest, do licha? – Timmie podniosła głos i Aidan się obudził. Z gniewnego wyrazu jej twarzy z miejsca się domyślił, z kim ma do czynienia. Usiadł.

– Jestem Aidan Smith – powiedział spokojnie. – Przyjechałem, żeby zaopiekować się pani matką, bo nikt inny się dotąd nie pokazał. – Wstał z łóżka, wyprostował się na całą wysokość, podszedł do Timmie i wyciągnął rękę. – Przypuszczam, że pani to Timmie, prawda? Co za pech z tym wypadkiem – dodał. Timmie podała mu rękę, ale szybko cofnęła dłoń. Nie była przygotowana na jego opanowanie i spokój. Véronique, uwięziona w łóżku, czuła się lekko zakłopotana.

– Co tu się dzieje? – spytała Timmie tonem sierżanta policji. – Czy jest coś, o czym powinnam wiedzieć? – Utkwiła w matce oskarżycielski wzrok.

– Nie sędzę – odparł chłodno Aidan. – Chyba że wyjaśni nam pani, co się takiego działo, że nie miała pani czasu odwiedzić matki. Pani mama tak naprawdę nie ma z tym problemu, ale dla mnie to nieco irytujące. Ośmielam się zakładać, że ona by panią odwiedziła, gdyby to pani znalazła się w szpitalu.

Timmie, w szoku, przez dłuższą chwilę nie odpowiadała. Cała trójka patrzyła tylko w milczeniu na siebie nawzajem.

– Nie mam dzieci – podjął Aidan – ale gdybym miał i trafiłbym połamany do szpitala, to chciałbym, żeby mnie odwiedzały.

– Miałam kryzysową sytuację w pracy. Umarła moja podopieczna, musiałam załatwiać sprawy na policji, w szpitalu, znaleźć dla dzieci opiekę zastępczą – powiedziała Timmie wrogo, wściekła na Aidana. – A wieczorem miałam superważne spotkanie – dodała, ale straciła wiatr w żaglach. Kimkolwiek był ten człowiek, wyraźnie się jej nie bał, no i jasne było, że z matką łączy go bliska więź. Ciekawe, co tu się działo ostatnio... – Wygląda na to, mam, że nic nie wiemy o twoim życiu – powiedziała ostro.

I w tejże chwili przypomniało jej się, jak matka niedawno pytała, co by powiedziały, gdyby w jej życiu istniał jakiś mężczyzna. Najwyraźniej było to pytanie znaczące, nie tak niewinne, na jakie wyglądało.

– Co się dzieje? – spytała z naciskiem.

– Spotykamy się z Aidanem od tego lata – odparła po prostu Véronique. – Poznaliśmy się w Rzymie. – Nie wymieniła innych miast, w których razem bywali, bo Timmie by padła. I tak wyglądała na bliską zemdenia.

– Czy to coś poważnego? – spytała. Nie było to miejsce ani czas, które Véronique by wybrała, by odpowiadać na takie pytania, ale teraz nie miała wyboru. I nie chciała zdradzić Aidana, zaprzeczając. Przyjechał dla niej zza oceanu, czuła, że jest mu winna tę szczerość wobec córki.

– Na to wygląda – odparła spokojnie.

– Miło, że nam powiedziałaś – wypaliła Timmie z ogniem w oczach, po czym odwróciła się na pięcie i wymaszerowała z pokoju.

Véronique i Aidan spojrzeli na siebie. Widział, że jest zdenerwowana.

– Jak się czujesz?

– Chyba dobrze – powiedziała cicho. Usiadł na łóżku obok niej. – Kiedykolwiek bym jej powiedziała, i tak by się jej nie podobało. One chyba wolą, kiedy jestem sama. Tak jest dla nich wygodniej.

No i nie miały dotąd widowni, kiedy traktowały ją źle albo ignorowały... A Timmie najwyraźniej się nie podobało, że Aidan ją odpytywał, dlaczego nie przyszła wcześniej. Jasne, nie było to miłe ani ciepłe z jej strony, ale Véronique wiedziała, że Timmie to Timmie, no i ewidentnie miała ten kryzys w pracy, który musiała ogarnąć.

Chwilę później napisała do niej SMS-a: „Przykro mi, że wyszło niezręcznie. Dziękuję, że przyszłaś. Kocham cię”. Tyle tylko chciała powiedzieć w tej chwili.

Natychmiast po wyjściu ze szpitala Timmie zadzwoniła do obu sióstr. Zaledwie każda z nich odebrała, z miejsca wypaliła: „Mama miała wypadek i ma chłopaka”. Ich reakcja unaoczniła różnice pomiędzy nimi. Juliette z miejsca spytała z niepokojem, jaki wypadek, zaś pierwsze słowa Joy brzmiały: „Jakiego chłopaka?” Opowiedziała obu, co się stało, i o Aidanie. Juliette było przykro, że matka do niej nie zadzwoniła.

– Pewnie nie chciała cię na darmo niepokoić – odparła Timmie praktycznie. Opowiedziała im, że Aidan sprawia wrażenie młodszego od matki i że wygląda to na coś poważnego między nimi. – Spał w jej łóżku, jak przyszłam – powiedziała do Joy – i zrobił mi awanturę, że nie przyszłam wcześniej.

– Jak to, to nie poszłaś do niej od razu? – spytała Joy zszokowana.

– Nie mogłam. Byłam strasznie zajęta przez dwa dni. Jedną z moich klientek pobił na śmierć jej chłopak i musiałam ogarniać sprawy z jej dziećmi. A wieczorem musiałam poprowadzić zebranie zespołu – tłumaczyła się, lekko zakłopotana. No, ale przecież nie przesiedziała tego czasu u fryzjera! Musiała sobie radzić z sytuacją tragiczną, a sytuacja matki taka nie była.

– A skąd on się tam wziął? – spytała Joy z zainteresowaniem. Nigdy by matki o coś takiego nie podejrzewała.

– Przyleciał z Londynu, żeby się nią zaopiekować. Tak powiedział. Nie mam pojęcia, gdzie ona go dotąd chowała, ale teraz jest i nie wygląda, żeby miał się szybko zabrać.

– Musiała się czuć okropnie. – Juliette była przygnębiona. – Żadnej z nas przy niej nie było... Jak się teraz czuje?

– Nie wiem. Chyba dobrze. Ma gips na ręce i nodze. Nie udało mi się z nią pogadać. Wkurzyłam się i wyszłam.

Obie spytały, gdzie matka leży. Powiedziała im że w Lenox Hill. I zaraz po

rozmowie z Timmie obie dziewczyny zadzwoniły do matki. Żadna nie wspomniała słowem o Aidanie i obie były szalenie współczujące. Po zakończeniu rozmowy Véronique spojrzała z uśmiechem na Aidana.

– Tam-tamy bębnią w dżungli – stwierdziła ubawiona.

– Mówiły coś o mnie? – spytał.

– Ani słowa.

– Przepraszam, że z miejsca na nią naskoczyłem, ale nie podobała mi się jej postawa.

– Może to dla niej i dobrze. To nie w porządku z jej strony, że nie przyszła wcześniej – przyznała Véronique. – Ale cieszę się, że ty jesteś. – I spojrzała na niego ze skrucą: – Nie będzie ze mnie wielkiej pociechy z tym gipsem. – Po całym dniu ćwiczeń zaledwie była w stanie przekuśtykać przez pokój.

– Damy radę – powiedział z szelmowskim błyskiem w oku.

– Nie to miałam na myśli! – roześmiała się, po czym odchyliła się na poduszki i uśmiechnęła się szeroko. – No cóż, witaj w rodzinie, Aidan. Poznałeś Timmie, teraz musisz jeszcze poznać dwie pozostałe córki.

– Nie mogę się doczekać – rzekł, kładąc się znowu obok niej. – Z pewnością będzie to ciekawe, ale bardziej mnie frapuje ich matka.

Wszystkie trzy dziewczyny miały teraz o czym myśleć. Nigdy by się nie spodziewały, że będą miały z czymś takim do czynienia... W życiu matki jest mężczyzna! I to młodszy.

Timmie powiedziała o tym Brianowi, kiedy spotkali się tego wieczoru na kolacji w jej okolicy. Była to ich druga randka.

– Jesteś zaskoczona? Naprawdę? – zdziwił się. – Przecież to piękna kobieta. – A do tego wyglądała na niewiele starszą od córek.

– Dziwi – przyznała Timmie. – Zawsze była sama... Ojciec miał wiele kobiet, ale matka od rozstania z nim nikogo nie miała. Jakaś randka od czasu do czasu, ale nigdy nic poważnego. I przez cały czas była mu bardzo oddana.

– No to wygląda na to, że jej się należy, żeby wreszcie kogoś miała – powiedział rozsądnie. – Mam nadzieję, że to przyjemny facet. Zasługuje na takiego – zauważył. Timmie milczała.

Rozdział 20

W niedzielę po południu Timmie odwiedziła matkę w domu, uprzedziwszy ją przedtem o wizycie. Drzwi otworzył jej Aidan. Przywitała się z nim chłodno i odtąd przez cały czas go ignorowała. Złe wystartowali...

Véronique kuśtykała po domu o kulach i wciąż ją bolało. Joy i Juliette do niej dzwoniły, ale obie były zajęte. Joy uczyła się tekstu do telenoweli, w której nadal występowała, i wciąż czekali z Ronem na odpowiedź w sprawie tamtej kampanii kosmetyków. A Juliette pracowała wraz z Jean-Pierre'em przy zamku. W piątek o włos uniknęli katastrofy – hydraulik podczas spawania rur wywołał mały pożar, ale na szczęście zdołali go ugasić, zanim spowodował większe szkody. Mimo to oboje się zdenerwowali, a on przez cały weekend pomagał jej sprzątać bałagan. Elisabeth Marnier też przysłała im pomoc.

Timmie złożyła ofertę kupna budynku na schronisko i teraz czekała na odpowiedź. Powiedziała o tym matce podczas wizyty, cała podekscytowana. Aidan na jakiś czas zostawił je same, żeby porozmawiały, a pod koniec wrócił i odprowadził Timmie do drzwi, gdy wychodziła. Spojrzała na niego lodowato, nie odpowiedziała na jego pożegnanie i mocno zamknęła za sobą drzwi.

– Uwielbia mnie – rzekł Aidan z kpiącym uśmieszkiem do Véronique. – Tylko boi się to po sobie pokazać.

Véronique miała nadzieję, że tych dwoje niedługo się pogodzi, ale Timmie wystrzegą się jakichkolwiek komentarzy na temat Aidana. Niemniej traktowała teraz matkę z większą uwagą i szacunkiem. Dotarło do niej to, co mówili Aidan i Brian, a wypadek Véronique wstrząsnął wszystkimi. Mogło być o wiele gorzej.

Véronique i Aidan przez cały weekend grali w karty albo oglądali filmy, więc po wyjściu Timmie i on wyszedł na jakiś czas z aparatem fotograficznym i wrócił uszczęśliwiony – strzelił w parku trochę świetnych fotek. Potem przyrządził dla nich na kolację pyszny makaron, a po kolacji posiedział jakiś czas przy komputerze. Przywiózł ze sobą trochę pracy, więc był w stanie zostać w Nowym Jorku, jak długo Véronique będzie go potrzebowała, a po zdjęciu gipsu chciał, żeby przyjechała do niego do Londynu. Zgodziła się. Będzie już wtedy grudzień... Teraz, gdy kuśtykała o kulach, wydawało się to odległe o całe wieki.

A w poniedziałek Véronique wróciła do pracy przy portrecie Nikołaja. Aidan warczał, ilekroć przechodził obok, ale kiedy go troszkę podciągnęła, przyznał, że jest bardzo dobry. Pilnie studiowała zdjęcia i filmy wideo, by lepiej poznać ekspresję twarzy Nikołaja i nadać portretowi życie. Była bardzo staranną i skrupulatną artystką.

Tydzień po wypadku siedziała przy pracy, gdy zadzwonił Arnold i spytał, czy czytała poranną gazetę. Nie czytała.

– Wczoraj aresztowano Bertiego – poinformował ją posępnie. – Za oszustwo w ubezpieczeniach. Jeśli zostanie uznany za winnego, pójdzie siedzieć. Dobrze, że Paul tego nie dożył... Serce by mu pękło.

Oboje jednak wiedzieli, że by go to nie zaskoczyło. Od dawna przepowiadał, że tak się to skończy, i obawiał się tego.

Véronique natychmiast zadzwoniła z wiadomością do Timmie i córka, o dziwo, odebrała. Okazało się, że już ją powiadomił Brian. Véronique myślała, że w tej sytuacji Bertie wycofa się ze sprawy, Timmie powiedziała jednak, że według Briana może tym bardziej nalegać na ugodę, żeby mieć z czego opłacić adwokata w sprawie kryminalnej, który będzie kosztowny i nie z urzędu.

– Jesteś teraz w lepszych stosunkach z Brianem? – spytała matka. Timmie mówiła o nim tonem dość łagodnym.

– Prawdę mówiąc, tak, w lepszych – przyznała Timmie niemal rozradowana. – Dwa razy zaprosił mnie na kolację. Za pierwszym razem powiedział, że jeśli pod koniec kolacji nadal będę go nienawidzić, to wycofa się z prowadzenia sprawy. Poszliśmy do Twenty One i było dosyć miło, więc się nie wycofał.

Véronique była zdumiona. Pomyślała, że to mądra taktyka. Ale z Aidanem Timmie nadal była na wojennej ścieżce... Matka miała nadzieję, że wkrótce jej to przejdzie. Cokolwiek córki myślały, trudno było mu coś zarzucić. Był dla niej cudowny.

Później zadzwoniła do Joy i Juliette, i żadna z nich nie była zaskoczona nowiną. Bertie od tak dawna był nieuczciwy i zdemoralizowany, że to się musiało tak skończyć. Po rozmowie Véronique powiedziała do Aidana, że obie córki sprawiają wrażenie szczęśliwych.

– Wydaje mi się, że Juliette jest zakochana w tym swoim architekcie z St. Paul de Vence – zauważyła. – A Timmie dopiero co mi powiedziała, że chodzi na kolacje z naszym adwokatem. – A Joy była szczęśliwa z Ronem... Życie ich wszystkich zdawało się być na dobrej drodze. Z wyjątkiem Bertiego, który zmierzał za kratki.

Przez następne pięć tygodni, podczas których Aidan dotrzymywał towarzystwa Véronique, Timmie w czasie odwiedzin u matki była chłodna, ale grzeczna. Jej oferta co do kupna domu została przyjęta i projekt schroniska mógł wystartować. A Véronique nauczyła się wreszcie bez problemu poruszać o kulach.

Véronique martwiła się o Święto Dziękczynienia, jako że między Timmie i Aidanem wciąż panowało napięcie, w rzeczywistości jednak ten dzień okazał się mało znaczący, co bardzo uprościło sprawy. Juliette i Joy nie przyjechały, a Timmie wzięła wolontaryjny dyżur w centrum kryzysowym, tak więc Aidan i Véronique byli sami. On przyrządził kurczaka, a ona – tradycyjne nadzienie i całą resztę i spędzili spokojne, przytulne Święto Dziękczynienia tylko we dwoje.

Na tydzień przed zdjęciem gipsu Véronique skończyła portret Nikołaja.

Nawet Aidan przyznał, że jest świetny. Przemajlowała Nikolajowi parę zdjęć w pliku jpg. Był zachwycony i poprosił, żeby wysłać mu portret do Londynu. Wysłała mu go jako prezent i odmówiła przyjęcia zapłaty. Powiedziała, że to była dla niej przyjemność i że dzięki temu wróciła do malowania.

I wreszcie, nazajutrz po wysyłce portretu, zdjęto jej gips. Dla uczczenia tego faktu Aidan zabrał ją na kolację i tegoż wieczoru spytał, kiedy mogliby pojechać do Londynu. Spędził w Nowym Jorku dokładnie pięć tygodni. Czuł się z nią jak u siebie i nawet Carmina z czasem bardzo go polubiła, ale musiał wracać do Londynu i zabrać się do pracy przy wystawie. W Nowym Jorku zrobił tyle, ile mógł. I tak był niezwykle cierpliwy.

– Możemy jechać natychmiast po Bożym Narodzeniu. Albo ty możesz wyjechać już teraz, a ja zaraz po świętach do ciebie dołączę – powiedziała Véronique z wdzięcznością. Był dla niej cudowny. – Na święta muszę tu być, ale po świętach nikomu nie jestem potrzebna. Dziewczyny się rozpierchły. Timmie jest zapracowana. Od końca grudnia jestem cała dla ciebie. – Popatrzyła na niego z ufnością. – Albo możemy jechać teraz oboje, ja wrócę tu na święta, a zaraz potem znowu do Europy.

– Muzyka dla moich uszu – rzekł rozanielony, po czym uzgodnili, że wyjadą za trzy dni, tak żeby mógł nadgonić pracę. Na Boże Narodzenie Véronique zamierzała wrócić do Nowego Jorku, żeby spędzić święta z córkami, co wydawało jej się słuszne, a jemu – uzasadnione.

Przed wylotem zjadła kolację z Timmie, która opowiedziała jej o świeżo zakupionym domu. Jak dotąd mieściła się w budżecie. Właśnie złożyła w fundacji, gdzie pracowała, trzymiesięczne wypowiedzenie. Przyznała też, że często widuje się z Brianem.

– A co z tobą i Aidanem? – spytała zakłopotana. Nadal go nie lubiła po tamtym niefortunnym początku, Véronique zauważyła jednak, że teraz, gdy córki wiedzą o jego istnieniu, wszystkie trzy są dla niej nieco miłsze. Joy i Juliette częściej dzwoniły, a Timmie była mniej agresywna i troszkę bardziej uważna wobec matki.

– Wygląda, że to działa. Nawet bardzo dobrze – odparła cicho Véronique. – Myślę, że kiedy go lepiej poznasz, polubisz go i dasz mu szansę.

– To dziwne, że on jest praktycznie w tym samym wieku co facet, z którym ja się spotykam – powiedziała Timmie nadąsana. Aidan był dwa lata starszy od Briana.

– To nie jest dziwne. Po prostu tak jest. Nasz wiek nie jest problemem dla żadnego z nas – odparła po prostu Véronique, bez żadnego tłumaczenia się przed córką. – To działa. Jesteśmy różni, każde z nas ma własne wyobrażenia i myśli, ale on pozwala mi być sobą. I podobam mu się. Jestem z nim szczęśliwa.

Nie wiedziała, jak jeszcze miałyby to opisać. Ich relacja z Aidanem była

łatwa. I nawet Timmie w rozmowie z siostrami przyznała, że nie wygląda, żeby go interesowały pieniądze matki. Wszystkie oglądały w sieci jego prace i widziały, że jest poważany w swojej dziedzinie. A Véronique nigdy przedtem nie była taka radosna i spokojna. Nawet córki nie mogły temu zaprzeczyć.

– Kiedy wracasz? – spytała Timmie.

– Przyjadę na święta – uspokoiła ją, ale na twarzy Timmie pojawiło się zmieszanie.

– Nie będzie mnie na święta, mamó – wyznała ze skruchą. – Brian właśnie zaprosił mnie do Bostonu. I chciałabym pojechać.

Véronique, zaskoczona, zadzwoniła wieczorem z tą sprawą także do Joy i Juliette. Okazało się, że Joy wybiera się z Ronem na wyspę Świętego Bartłomieja, tylko nie zdążyła jeszcze matce powiedzieć. A Juliette wprawdzie strasznie nie chciałaby matki rozczarować, ale wolałaby zostać na Boże Narodzenie we Francji. A więc wszystkie córki będą w święta poza domem! A ona będzie mogła spędzić je z Aidanem, w Londynie czy w Paryżu. Powiedziała mu o tym nazajutrz przy śniadaniu.

– Spodziewasz się, że będę się skarżył? No więc się nie spodziewaj – odparł rozpromieniony. – Jak długo możesz zostać w Europie?

– Może i parę miesięcy – uśmiechnęła się. Wszystkie córki były zajęte, co za szczęście, że miała jego! Mogła budować z nim własne życie, mieć czas dla siebie. Już pora.

Cudownie było znaleźć się znowu w lofcie Aidana w Londynie. Zamierzali zostać tu przez dziesięć dni, by mógł nadgonić pracę, a potem pojechać na Boże Narodzenie i Nowy Rok do Paryża. Aidan przygotował jej kąt w swoim mieszkaniu, by mogła malować, jeśli będzie miała ochotę. Véronique planowała, że na jakiś weekend wyskoczą razem do St. Paul de Vence, aby obejrzyć postępy przy renowacji zamku i poznać Jean-Pierre'a. Wyglądało na to, że również romans między nim a Juliette rozkwita w szybkim tempie.

Byli w Londynie od tygodnia i urządzali się, gdy tuż przed świętami zadzwonił do Véronique na komórkę brat Tommaso z Wenecji. Powiedział, że ma z nią do przedyskutowania ciekawą sprawę związaną z pochodzeniem obrazu, przedtem jednak chciałby, żeby mu go przysłała. Obiecał, że zadzwoni, jak tylko go dostanie. Véronique natychmiast zatelefonowała do Arnolda i poprosiła o wysłanie obrazu do Wenecji.

– O co chodzi? – spytał Aidan, gdy skończyła rozmowę.

– Nie wiem. Brat Tommaso powiedział, że ma mi coś ciekawego do przekazania. Chce przedtem zobaczyć obraz, więc poprosiłam Arnolda, żeby mu go wysłał. Nie mogę się już doczekać, kiedy się dowiemy!

Święta spędzili w mieszkaniu Véronique w Paryżu, tylko we dwójkę. Na pasterkę poszli do katedry Notre Dame. A na Sylwestra i Nowy Rok pojechali do

Juliette i Jean-Pierre'a do St. Paul de Vence. Obojgu Jean-Pierre bardzo się spodobał, a renowacja zamku szła szybciej, niż Véronique się spodziewała.

Na styczeń wrócili do Paryża. W połowie stycznia znowu odezwał się brat Tommaso i zaprosił Véronique do Wenecji. Obraz dotarł bez problemów i brat Tommaso starannie go przeanalizował. Aidan mówił, że to jak czekanie na wynik losowania na loterii, a że nadrobił już zaległości w pracy, chciał jej towarzyszyć w wyprawie. Polecili w pewne piątkowe popołudnie i dotarli do klasztoru o czwartej, kiedy bracia szli do kaplicy na wieczorne nabożeństwo. Był słoneczny zimowy dzień, a Wenecja wyglądała jeszcze piękniej niż zwykle.

Brat Tommaso czekał na nich w bibliotece. Obraz stał na sztaludze. Brat Tommaso natychmiast wstał i wyszedł zza biurka, żeby ich powitać i powiedzieć, jak bardzo cieszy się ze spotkania.

– Analiza pani obrazu to była dla mnie wspaniała zabawa – zwrócił się do Véronique, po czym ujął wskazówkę i zaczął im wskazywać ważne szczegóły, którymi się kierował przy ocenie autentyczności dzieła.

Aidan nie mógł dłużej znieść niepewności.

– Czy to prawdziwy Bellini? – spytał.

Brat Tommaso spojrzał poważnie na oboje, po czym dał odpowiedź, której się nie spodziewali.

– Czy to Jacopo Bellini? Nie.

Serce Véronique zamarło, ale nie była zaskoczona. Zawsze wątpiła w autentyczność obrazu... No i miała rację.

– Od naszego ostatniego spotkania – podjął brat Tommaso – przeprowadziłem wiele drobiazgowych badań pod kątem przypisania autorstwa obrazu Belliniemu ojcu, Jacopo, i okazało się to po prostu niemożliwe. Ale te poszukiwania doprowadziły mnie do innego bardzo interesującego obrazu, który pod koniec dziewiętnastego wieku należał do pierwszego księcia Dudley. Ostatni raz był wystawiany publicznie w roku 1955, po czym wypłynął ponownie na powierzchnię pięćdziesiąt pięć lat później – wystawiono go na aukcji w roku 2010. Obraz nosi tytuł *Madonna z dzieciątkiem w pejzażu* i został namalowany przez Giovanniego Belliniego, syna Jacopo. Śledząc losy tamtej pracy, zyskałem pewność, że pani obraz to właśnie dzieło Giovanniego, a nie, jak pierwotnie myślałem, jego ojca. A więc, moja droga, ma pani Giovanniego Belliniego, a nie Jacopo. Nie mam co do tego żadnych wątpliwości.

I Aidan, i Véronique milczeli, pod wrażeniem rozległości i staranności jego badań oraz rezultatu końcowego. A brat Tommaso dodał jak gdyby po namyśle:

– Być może fakt, że jest to praca Giovanniego Belliniego, a nie jego ojca, też będzie dla pani dobrą wiadomością. Prace Jacopo sprzedają się dziś na rynku sztuki po – plus minus – dwadzieścia do stu tysięcy dolarów. Praca Giovanniego, o której wspomniałem, została sprzedana w roku 2010 w Sotheby's za ponad pięć milionów

dolarów . A pani obraz jako rzadki skarb może osiągnąć nawet wyższą cenę.

Véronique i Aidan oniemieli.

– A losy tego obrazu są niemal równie godne uwagi, jak jego autor – ciągnął brat Tommaso. – Natrafiłem na wzmiankę o nim w jednej z bardzo starych ksiąg, jakie mamy w bibliotece, a opis ten ukazał się następnie w dwóch odrębnych edycjach. Obraz został nabyty tu, w Wenecji, na przełomie wieków przez pewną francuską rodzinę, która zabrała go do Francji. Jedyna rzecz, której nie wiem, to jak trafił z powrotem do Wenecji, bo tam go państwo kupili. Na pewno jednak miał za sobą długą drogę, i niekoniecznie szczęśliwą. Rodzina, która go pierwotnie kupiła, to byli francuscy bankierzy nazwiskiem Berger-Cohen i wisiał w ich paryskim mieszkaniu przez wiele lat. Przeszedł na własność jednego z dzieci, zdaje się najstarszego syna, w roku 1918 i był w jego posiadaniu do roku 1940.

Véronique i Aidan milczeli zasluchani.

– W roku 1940. całkowicie straciliśmy go z oczu – podjął mnich. Po prostu zniknął. Ale zdołaliśmy prześledzić smutne losy rodziny Berger-Cohenów. Podczas okupacji Paryża wszyscy zostali wysłani do obozu pracy w Niemczech i według naszej najlepszej wiedzy nikt z nich nie przeżył. Mieli bardzo rozległą kolekcję dzieł sztuki i niektóre jej elementy pojawiały się odtąd w różnych miejscach. W Niemczech, w Anglii, jeden we Francji, parę w Ameryce Południowej. Zaledwie kilka płócien umieszczono w muzeum ze względu na ich wartość.

Urwał na chwilę.

– A teraz pojawiło się to... W jakiś sposób obraz trafił z powrotem do Wenecji i pani go kupiła. Możemy jedynie przypuszczać, że wraz z resztą kolekcji Berger-Cohenów został przejęty przez nazistów, kiedy ich wysiedlili i wysłali do obozu. Handlarz, który go pani sprzedał przed laty, najwyraźniej nie miał pojęcia, jaki skarb posiada, biorąc pod uwagę, jak mało pani za niego zapłaciła. I teraz, moja droga – brat Tommaso spojrzał na Véronique – ma pani w swojej kolekcji wielki, wielki skarb. Musi pani bardzo o niego dbać. Tak naprawdę powinien się znaleźć w muzeum.

Cała trójka milczała z szacunkiem przez długą chwilę. W końcu Véronique spytała:

– A co z Berger-Cohenami? Wszyscy zginęli w obozie?

– Raczej tak. Kiedy ich zabrano, obraz najwyraźniej trafił w ręce Niemców. Czasem łatwiej jest śledzić dzieło sztuki niż człowieka. Ale z tego, co czytałem, po nikim z nich nie został ślad – odparł z powagą.

Véronique się zamyśliła. Co za smutna historia... Czowała się teraz winna, że jest właścicielką obrazu, który dotarł do niej w tak przykry sposób.

Podziękowała wylewnie bratu Tommaso za jego pracę i wypisała czek na hojną sumę na rzecz klasztoru i drugi – dla niego prywatnie, a on ucałował ją w oba policzki. Poprosiła, by zatrzymano obraz, dopóki nie załatwi jego transportu z

powrotem do Nowego Jorku i otrzymawszy stosowny dokument, wyszli. W drodze powrotnej do hotelu Danieli, gdzie zatrzymali się tym razem, Véronique nie wyrzekła ani słowa. Szli pieszo.

– O czym myślisz? – spytał Aidan. Spodziewał się, że będzie uszczęśliwiona, ale nie. Milczała, jak gdyby rozważając jakiś problem.

– Myślałam o Berger-Cohenach i o ich losie. – Ten obraz przybliżył im Holokaust jeszcze wyraziściej niż muzeum w Berlinie... Aidan skinął głową. Widział, jaka jest przygnębiona. – Może moglibyśmy sprawdzić, czy w Paryżu nie pozostał przy życiu jakiś członek tej rodziny?

– To było siedemdziesiąt pięć lat temu – zauważył Aidan łagodnie. – Nawet jeśli ktoś z nich przeżył obóz i wojnę, to już dotąd nie żyje.

Skinęła głową i w posępnym milczeniu wrócili do hotelu. Przez cały wieczór Véronique była bardzo milcząca. Poszli do swojej ulubionej trattorii, ale o tej porze roku był tam mniejszy ruch, a Véronique była smutna i jakby nieobecna.

Równie milcząca była, gdy nazajutrz opuszczali Wenecję. Okazało się, że obraz wart jest fortunę, ale wyglądało, że jej na tym nie zależy. Czowała się nielepszą od któregoś z tych nazistów, którzy go zrabowali. I powiedziała Aidanowi, że jako jego posiadaczka ma uczucie, jakby miała krew na rękach.

– Oni wszyscy już nie żyją – powiedział rozsądnie. – Więc równie dobrze możesz się nim cieszyć. To piękne płótno, podobne do tych, które masz po dziadku. No i twój były mąż chciał, żebyś go miała, to dar.

– Żaden z obrazów mojego dziadka nie został ukradziony ludziom, którzy zginęli w obozie – odrzekła ze smutkiem, i nie próbował się z tym spierać. Widział, że nie ma sensu. W Paryżu od razu usiadła do komputera i przesiedziała przy nim całe popołudnie i wieczór, a kiedy poszła do łóżka, on od dawna już spał.

Nazajutrz rano znowu wróciła do komputera i pracowała tak przez kilka dni. Po czterech dniach z listy, którą przeczesywała, wyłowiła trzy nazwiska. W Paryżu były tysiące Cohenów i tyleż samo Bergerów. Berger-Cohenów znalazła troje. Pokazała listę Aidanowi i jeszcze tego popołudnia do nich zadzwoniła.

Pierwszą osobą na liście była młoda kobieta, która powiedziała, że jej rodzina pochodzi z Alzacji i nigdy nie mieszkała w Paryżu. Drugi był młody mężczyzna, student, jak się okazało, który wyjaśnił, że jego rodzice nigdy nie byli w formalnym związku. Matka miała na nazwisko Berger, a ojciec Cohen i na jego użytek połączyli oba nazwiska w jedno.

Kiedy Véronique zadzwoniła pod trzeci numer, odebrała młoda kobieta. Powiedziała, że jej nazwisko to Henriette Villier, a François Berger-Cohen to jej dziadek, że mieszkają u niego, żeby się nim opiekować, i telefon jest na jego nazwisko. Odpowiadała na pytania tak, jakby sądziła, że jej rozmówczyni jest telemarketerką, i okazała zdziwienie, kiedy Véronique spytała, czy mogłaby ich odwiedzić, i to jak najszybciej.

– Czy coś się stało? – spytała wystraszona.

– Nie, nie. Wydaje mi się, że mogę mieć coś, co należało do pani dziadka albo jego rodziny wiele lat temu i chciałabym z nim o tym porozmawiać.

– To niemożliwe – powiedziała zdecydowanie. – Cała jego rodzina zginęła podczas wojny. Przeżył tylko on i stracił wszystko, co do nich należało – dom i w ogóle wszystko.

– Wiem – odrzekła cicho Véronique. – Czy mógłby ze mną porozmawiać?

– On ma osiemdziesiąt osiem lat i nie czuje się dobrze. Był wtedy chłopcem. Umysł ma sprawny, ale może nie pamiętać tej rzeczy, którą pani ma – wyjaśniła wnuczka. – O ile rzeczywiście należała do rodziny.

– Przyniosę mu zdjęcie – powiedziała Véronique. Miała je w komputerze i mogła poprosić Aidana, żeby jej wydrukował. – Czy mogę przyjść jutro? – nalegała.

– Będę musiała odebrać synka ze szkoły – rzekła z westchnieniem Henriette.

– Proszę przyjść o piątej po południu. Ale proszę, niech go pani nie zdenerwuje. To był dla niego tragiczny czas. Nie lubi o tym mówić.

– Zrobię, co mogę, żeby go nie zdenerwować, obiecuję. Myślę, że jeśli to należało do jego rodziny, do rodziców, będzie chciał to odzyskać.

Rozłączyła się i spojrzała na Aidana okrągłymi ze zdumienia oczami.

– Myślę, że go znalazłam. Jednego z nich. Ma osiemdziesiąt osiem lat. To wtedy musiał mieć trzynaście.

– Co zamierzasz zrobić? – spytał z troską Aidan. Od czterech dni, odkąd wrócili z Wenecji, gdzie usłyszeli opowieść brata Tommaso, Véronique zachowywała się jak owładnięta jakąś myślą.

– Zamierzam się z nim jutro zobaczyć. Pójdiesz ze mną?

Skinął głową. Nie mógł postąpić inaczej. I wiedział, że musi z nią pójść. Znowu wabiło ich przeznaczenie.

Rozdział 21

Nazajutrz przez cały dzień, czekając na spotkanie, Véronique była niespokojna. Wyszli z mieszkania o wpół do czwartej i pojechali pod podany adres w 15. *arrondissement*. Kiedy po zaparkowaniu dotarli na miejsce, okazało się, że to nieduży domek w dość lichym stanie. Widać było, że kiedyś był porządny, teraz jednak ewidentnie wymagał odmalowania i rozmaitych napraw. Ulica też nie należała do efektownych.

Z Aidanem u boku Véronique przycisnęła guzik dzwonka. Otworzyła trzydziestoparoletnia kobieta w granatowej spódnicy i grubym swetrze; obok stał nieduży chłopiec. Z wnętrza dochodziła kuchenna woń gotowania, a kiedy weszli, otoczyła ich aura dystygowanego ubóstwa. Podłoga w holu wysłana była żółkłym, popękanym linoleum, przykrytym wytartym dywanikiem; obok schodów stał wózek inwalidzki.

Véronique przedstawiła siebie i Aidana. Kobieta posadziła chłopca przed telewizorem, włączyła go i rzuciwszy im pełne wahania spojrzenie, tak jakby obawiała się, czy to nie jakieś oszustwo, poprowadziła ich na górę. Véronique tak jednak naciskała przez telefon, że kobieta ustąpiła. Miała nadzieję, że się nie myli... Jakiś instynkt kazał jej wyrazić zgodę na tę wizytę. Przy tym Véronique sprawiała wrażenie szczerzej i mówiła z wielką determinacją.

Véronique przyniosła ze sobą zdjęcie Belliniego w beżowej kopercie. Z zimnymi dłońmi, drżąc, szła za kobietą po schodach, a tuż za nią Aidan. Rozmawiała z Henriette po francusku.

Przeszli długi hol, wyłożony sfatygowanym chodnikiem, i kobieta otworzyła drzwi do niewielkiego pokoju, gdzie na fotelu siedział stary człowiek. Obok stał balkonik. Kiedy weszli, starzec podniósł na nie oczy znad czytanej książki. Miał na sobie stary, niemodny garnitur, który pamiętał lepsze czasy, był jednak czysty i zadbany i patrzył bystro, przytomnie.

– Dziadziu, ci państwo chcieli się z tobą zobaczyć. Porozmawiać z tobą – rzekła wnuczka, a Véronique uśmiechnęła się do niego. Przyjrzał się jej, tak jakby mogła być kimś znajomym, i leciutko pokręcił głową.

– Nie znam pani – powiedział wyraźnie.

– Nie, *monsieur*, nie może pan mnie znać – odparła spokojnie Véronique. – Chciałabym panu opowiedzieć pewną historię o czymś, co do mnie należy, i spytać pana o tę rzecz.

Pokiwał głową. Nieczęsto go odwiedzano i rad był jakiejś rozrywce. Spojrzał na Aidana, po czym skinął głową w stronę wnuczki. Zgadzał się. Kobieta przysunęła Véronique i Aidanowi dwa wąskie krzesła, a sama usiadła na łóżku. Na ścianach wisiało parę pospolitych obrazków, a okno wychodziło na ogród.

Véronique opowiedziała mu o tym, jak przed laty podczas miesiąca miodowego kupili w Wenecji pewien obraz.

– Przekazałam go przy rozwodzie byłemu mężowi, ale ostatnio znów zostałam jego właścicielką. Zawsze wątpiłam w jego autentyczność. Wyglądało, że to Bellini, ale mogła to być również dobra kopia.

Starzec patrzył na nią uważnie.

– Parę miesięcy temu zawiozłam go do pewnego klasztoru w Wenecji, bo chciałam dowiedzieć się o nim czegoś więcej, sprawdzić jego pochodzenie i ustalić, czy to naprawdę Bellini. Gdyby się okazało, że to autentyk, chciałam go przekazać dzieciom. W zeszłym tygodniu byliśmy w tym klasztorze ponownie. Prześledzono losy obrazu.

Zawiesiła głos.

– Należał mniej więcej od roku 1900 do pewnej paryskiej rodziny nazwiskiem Berger-Cohen. W roku 1918 przeszedł na własność najstarszego syna pierwotnego właściciela. W roku 1940 obraz zniknął, w tym samym czasie, gdy rodzina... – Przez chwilę nie mogła mówić, a oczy starego człowieka zaszyły łzami. – Rodzina też zniknęła – powiedziała zdławionym głosem. – Mnisi są zdania, że nikt z rodziny nie przetrwał, ale nie wiedzą tego na pewno. Znalazłam pana przez Internet. Przyszłam się dowiedzieć, czy pochodzi pan z tej rodziny.

Stary człowiek przez chwilę nie mógł mówić. Patrzył tylko na nią i łyzy ciekły mu po policzkach.

– Miałem trzynaście lat. Wróciłem ze szkoły z kolegą. Przyszedłem za późno, nikogo z rodziny już nie było. Wszystkich wywieźli, rodziców, cztery siostry, starszego brata. Siostry były młodsze ode mnie. Zabrali wszystkich. Przez jakiś czas ukrywali mnie sąsiedzi, ale w końcu Niemcy i tak mnie znaleźli. Musiałem wychodzić wieczorami i szukać jedzenia, ludzie, którzy mnie ukrywali, sami go nie mieli. Wysłano mnie do innego obozu niż rodziców. Nikt nie przeżył. Dowiedziałem się o tym po wojnie, przez Czerwony Krzyż.

Chwilę milczał.

– Kiedy miałem osiemnaście lat, uwolnili mnie z obozu Amerykanie. W obozie poznałem moją żonę. Miała wtedy zaledwie siedemnaście lat. Krótco potem pobraliśmy się. Wróciliśmy do Paryża. Pracowaliśmy ciężko. Ona też straciła całą rodzinę, tak jak ja. Dość długo czekaliśmy na dzieci. O, to jest moja wnuczka Henriette. Opiekuje się mną. Jej ojciec, a mój syn, mieszka w Lyonie. Nasz dom, z którego zabrano moją rodzinę, był w 16. *arrondissement*. Nigdy nie odzyskaliśmy nic, co do nas należało. Ja zostałem nauczycielem, moja żona była pielęgniarką. Bardzo szlachetna kobieta. Umarła trzy lata temu.

Podciągnął rękaw i pokazał Véronique i Aidanowi zblakły numer wytatuowany na przedramieniu. Véronique niemal poczuła mdłości. Wszystko stanęło jej jak żywe przed oczami... Młody chłopak, zesłany do obozu śmierci,

dziewczyna, którą tam poznaje, jakimś cudem udaje im się przeżyć... zaczynają nowe życie na ruinach dawnego...

Wyjęła z koperty zdjęcie i podała mu. Długo milczał, zagubiony w innym, nieistniejącym świecie.

– Należał do mojego dziadka. Przekazał go mojemu ojcu. Wisiał w naszej jadalni. Moja matka go uwielbiała – uśmiechnął się. – A ja zawsze uważałem, że jest głupi... z tymi wszystkimi aniołkami. – Spojrzał na Véronique, a potem na Aidana. – Tak, pamiętam ten obraz.

Jego oczy to były dwa przejrzyste jeziora smutku.

– Miałam nadzieję, że będzie pan pamiętał, chociaż trzynastoletni chłopiec niekoniecznie zwraca uwagę na obrazy. Jedyne, co chciałam wiedzieć, to czy obraz rzeczywiście należał do pańskiej rodziny. Chciałabym go panu zwrócić. Jest wasz, nie mój. To wy jesteście jego prawowitymi właścicielami, został wam ukradziony. Nie zamierzam wam go ukraść po raz drugi. Wart jest teraz dużo pieniędzy, wiele milionów euro. Być może zechce go pan sprzedać, z pożytkiem dla siebie i rodziny. Jeśli pan sobie życzy, mogę pana skontaktować z ludźmi, którzy mogą się zająć jego sprzedażą na pańskie zlecenie, albo może pan sam wystawić go na aukcji. Na pewno spowoduje wiele szumu w świecie sztuki, zwłaszcza że jego autentyczność została potwierdzona przez wiarygodne źródło. Mogę go wysłać panu albo, jeśli pan woli, bezpośrednio do marszanda. Porozmawiajcie o tym w rodzinie i zdecydujcie, co wolicie.

– Chce mi go pani dać? – spytał zmieszany. To spotkanie było dla niego przepełnione emocjami. Wnuczka siedziała na łóżku osłupiała. To nie żaden kant... To chyba aniołowie z nieba odwiedzili ich dom! Oboje płakali, Véronique także, Aidan miał łzy w oczach.

Véronique dotknęła ręki starego człowieka.

– On należy do pana. Tak jak należał do pańskiego ojca i dziadka. Jest pan prawowitym właścicielem tego obrazu, z tymi wszystkimi głupimi aniołkami – uśmiechnęła się przez łzy i on także.

– Dlaczego chce pani to dla mnie zrobić? – spytał drżącym głosem.

– Bo tak jest słusznie. W końcu, po tylu latach, zostanie przywrócona sprawiedliwość, maleńka jej część. – Miało to zmienić ich życie, choć on o tym jeszcze nie wiedział. Véronique przypuszczała, że jakiś kolekcjoner może zapłacić za obraz co najmniej pięć milionów dolarów, bo, jak powiedział im brat Tommaso, za tyle został sprzedany w Sotheby's w roku 2010 inny Giovanni Bellini. To przecież bardzo, bardzo rzadkie dzieło o fascynującej historii. – Proszę powiedzieć wnuczce, żeby do mnie zadzwoniła, kiedy będzie pan gotów, i powiedziała mi, gdzie go przesłać. W tej chwili jest w klasztorze w Wenecji. Bracia wyślą go do pana, jeśli tak im zlecę.

– Moja matka byłaby szczęśliwa – powiedział starzec łamiącym się głosem i

pocałował Véronique w policzek. – Dziękuję... Dziękuję, że przywraca nam pani coś, co kiedyś było nasze. Jedyne, co mieliśmy dotąd przez cały ten czas, moja żona i ja, to wspomnienia.

– A teraz ma pan marzenia. Może pan robić, co tylko zechce. – Uśmiechnęła się do niego i oboje z Aidanem wstali z miejsca. Zmęczyli go i miał wiele do przemyślenia. Ścisnęła dłoń Aidana; on też miał łzy w oczach. Schyliła się i pocałowała starca w policzek. – Do widzenia panu. Proszę o siebie dbać.

– Do widzenia – wyszeptał – i dziękuję. Moja rodzina będzie szczęśliwa.

Szczęśliwsza niż mógł sobie wyobrazić... To były pieniądze wprost niewyobrażalne na tle życia, jakie wiódł od czasu, gdy jako chłopiec został wywieziony i stracił wszystko, włącznie z rodziną. Véronique uśmiechnęła się po raz ostatni i ruszyli do wyjścia. Na dole zapisała Henriette na kartce swój numer.

– Proszę dać mi znać, kiedy państwo postanowią, co dalej. Obraz może być sprzedany po bardzo wysokiej cenie. Z chęcią państwu w tym pomogę.

Kobieta patrzyła na nią zdumiona.

– Nie wiem, jak pani dziękować – wyjąkała drżącym głosem.

– Nie potrzebuje pani dziękować. To jego obraz, nie mój – powiedziała cicho Véronique i wyszli na styczniowy chłód. W milczeniu ruszyli w stronę zaparkowanego samochodu. Po paru minutach Aidan zatrzymał się i spojrzał na nią.

– Nie mogę uwierzyć, że to zrobiłaś.

Był wprost porażony tym, co zaszło.

– Tak było słusznie – odparła po prostu. – To jego obraz, nie mój.

– Czy ty zdajesz sobie sprawę, ile on jest wart?

Skinęła z uśmiechem głową. Czowała się lekka i szczęśliwsza niż kiedykolwiek.

– Wiesz co, choć taka bogaczka, jesteś bardzo, bardzo dobrym człowiekiem – powiedział z uśmiechem, wślizgując się za kierownicę, i przygarnął ją ramieniem. Nigdy nikogo tak nie kochał jak jej.

Tego wieczoru Véronique stała w oknie i patrząc na oświetloną blaskiem księżycą Sekwanę, myślała o François Berger-Cohenie i o Paulu, który swoim dziwnym testamentem wszystko to zapoczątkował. Więcej zrobił dla nich wszystkich po śmierci niż dla kogokolwiek za życia... Timmie podarował schronisko dla bezdomnych. Juliette – hotel, który urządza w zamku. Aktorska kariera Joy była na dobrej drodze, miała porządnego menedżera i mogła spodziewać się w przyszłości dobrych ról. Sophie została uznana, zyskała siostry, a obie z matką – zabezpieczenie na czarną godzinę. Bertie został nareszcie przywołany do porządku i powstrzymano jego zapędy. François Berger-Cohen odzyskał swój obraz i zyskał fortunę, która odmieniła jego ostatnie lata i życie jego rodziny – maleńka rekompensata za wszystko, co przeżyli. Ona wróciła do

malowania. I każde z nich w konsekwencji tych darów spotkało na swojej drodze odpowiednią osobę, która wydawała się mu pisana... Ona poznała Aidana w podróży, która miała za cel ustalenie pochodzenia obrazu, co do którego Paul upierał się, że jest autentycznym – i miał rację. Timmie miała Briana i wyglądało na to, że pasują do siebie idealnie. Stanowił znakomitą przeciwwagę dla jej zadziornego charakteru. Juliette podczas renowacji zamku poznała Jean-Pierre'a, a Joy zyskała menedżera, który był dobrym człowiekiem i ją kochał. Paul każdemu dał to, czego potrzebował i o czym marzył. Jak dobrze znał każde z nich! Jego pożegnalne dary były o wiele bardziej wartościowe, niż wszystko, co mógł dla nich zrobić za życia. Gdziekolwiek wylądował w zaświatach, czynił stamtąd cuda, i to nie tylko na rzecz dzieci, ale także i jej.

Aidan podszedł do niej z tyłu i objął ją ramieniem.

– O czym myślisz? – spytał, ale sam się tego domyślał.

– O wszystkim. O tym, jak dobrze się wszystko ułożyło. – Wsparła się o niego. Jak bezpiecznie było w jego ramionach.

– Zrobiłaś dziś dobrą robotę – powiedział i pocałował ją w czubek głowy. – Chodźmy do łóżka – szepnął.

Kiedy znaleźli się w jej wygodnym łóżku, objął ją i przygarnął do siebie. Wiedział, że nigdy nie zapomni wyrazu oczu starego człowieka, kiedy powiedziała, że daje mu obraz, ani jej, gdy to mówiła. To był wspaniały dar, równie niezwykły, jak pożegnalne dary Paula dla nich wszystkich.

Przypisy

^[1] Amerykański system prawny przewiduje – zanim ewentualnie dojdzie do właściwego procesu przez sądem – możliwość zażądania przez jedną ze stron, by druga została przesłuchana w obecności prawników obu stron, złożyła zeznania pod przysięgą, przedłożyła do wglądu dokumentację finansową itp. Może to być wykorzystywane jako sposób nękania drugiej strony, w nadziei że się zmęczy i „dla świętego spokoju” zaspokoi roszczenia nękanącego (przyp. tłum.).

